ZAMACH AUGUSTA II NA WARSZAWĘ W ROKU 1704

przez

KAZIMIERZA JAROCHOWSKIEGO.

Pospieszny i dorywczy akt elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, rezultat i wynik najrozmaitszych czynników, mściwego uporu i kłopotów Karola XII o następcę po zdetronizowanym Auguście, pretensyi i potrzeb Sobieskich, dobroduszności połączonéj z pewną dozą ambicyi samegoż neo-elekta, nastąpił, jak wiadomo, wieczorem dnia 12 Lipca 1704 roku na polu pod Wolą. Z wyjątkiem bardzo nielicznych stronników, samych niemal Wielkopolan, Mikołaja Święcickiego, biskupa poznańskiego, Macieja Gębickiego, starosty nakielskiego, posłów województwa poznańskiego i kaliskiego, którzy najmocniéj głos podnosili i najwyżéj czapki podrzucali na polu elekcyjném, nie było prawie nikogo, coby mimo wszelkich niechęci do słusznie znienawidzonego w narodzie Sasa, był się chciał wyznawać bezwzględnym zwolennikiem nowéj królewskości. Nie nadaremno zgadzają się wszystkie współczesne świadectwa na prawdę faktu, iż biedny młody Stanisław, dobroduszny a wygodny magnat wielkopolski, światły i wymowny statysta, mąż zawsze pokoju raczéj aniżeli wojny, trudów i niebezpieczeństw,—okazywał bladą i znużoną twarzą w dniu samymże elekcyi i pono kilka dni po niéj, jak mu bardzo ciąży nowa korona, jakim kłopotem obarczyły jego dotychczasowy spokój natarczywa protekcya bohaterskiego krola Szwecyi i chęć służenia za wygodną pokrywkę tronowym pretensyom Sobieskich (1). Na miejscu w Warszawie, odwrócili się odeń

(1). Nordberg, Histoire de Charles XII, à la Haye. 1742. I, 469: „La tristesse et l'abattement, qu'on lui remarqua pendant quelques jours, firent assez connaitre, qu'il avait l'esprit rempli de l'idée du fardeau dont il venait de se charger et des contradictions qu'il aurait à essuyer.“

chwilowo wszyscy prawie najzawziętsi nawet przeciwnicy Augustowéj sprawy. Prymas zamknął się u siebie w domu w dniu elekcyi i nie chciał choćby nawet moralnie tylko uczestniczyć w całym przebiegu jéj aktu. Obaj Towiańscy, Pieniążek wojewoda sieradzki, co więcéj nawet Bronisz marszałek konfederacyi warszawskiéj, — wszystko to trzymało się na uboczu, odgrywało rolę malkontentów wobec nowéj królewskości. Tyle popularna późniéj osoba Stanisława Leszczyńskiego, wyraz i hasło jedności narodowéj po zgonie Augusta II w dwadzieścia dziewięć lat późniéj, rozpoczynała obecnie pierwszy swój występ na wielką widownię własnego kraju w doskonałém osamotnieniu. Otaczają młodego króla prócz najbliższéj rodziny, jak już powiedziano, Mikołaj Święcicki, biskup poznański, Maciéj Gębicki, starosta nakielski, Benedykt Sapieha, podskarbi litewski, wreszcie Szwedzi: Arwid Horn i stary Wachslager, istni ojcowie chrzestni jego świeżéj godności wraz z assystencyą 600 koni i 600 piechoty szwedzkiéj. Dni następne dopiero, groźby kwaterunków i pożogi Karola XII, sprowadziły do komnaty zamku warszawskiego z powinszowaniami dla Stanisława: prymasa Radziejowskiego, magistrat warszawski i Hieronima Lubomirskiego, hetmana w. koronnego. Niemoc nowéj królewskości, zależność jéj od wyniosłych opiekunów szwedzkich, przemawiała wyraźnie z licznych szczegółów. W kilka dni po elekcyi przypędzono do Warszawy z powiązanemi rękoma, z kajdanami na nogach kilkudziesięciu szlachty nurskiéj i drohickiéj, winnych czynnego oporu przeciw ściągającym żywność i kontrybucyą komendom pułkownika Klas Bondego i komissarza szwedzkiego Adlersterna. Widok podobny był za silny na słabe nerwy czy poczciwe serca młodych królewskich małżonków, Stanisława i Katarzyny Leszczyńskich. Prosili o uwolnienie jeńców, o możność powrotu dla nich do domowych zagród. Napróżno twardy opiekun nowego króla, surowy i bezwzględny mimo wszelkich przyborów ówczesnéj elegancyi, mimo olbrzymiéj peruki, żabotów i koronkowych mankietków, Arwid Horn odmówił prośbie Stanisława, i jeńców wyprawił do głównéj kwatery szwedzkiéj (1).

---

(1) Archiwum drezdeńskie. Vol. Correspondenzen, die politischen und Kriegsereignisse in Polen betreffond, d. a. 1698—1719; loc. 3578. List z Jarosława 29 Lipca 1704: „So war auch der Oberstlieutenant Clas Bonde mit denen zu Pultusk bei sich gehabten Truppen zu Warschau angelanget, allda an 60 von Adel mit Stricken und Ketten gefesselt vor sich hinführen lassen, und obwohl des durch den König von Schweden neu obtrudirten Königs Gemahlin vor selbige intervenirct, wäre doch solches ganz vergeblich gewesen."

Niedość na tém, stał August ciągle w okolicy Sandomierza, oparty na powadze uchwał konfederacyi sandomierskiéj, zasnuwający na wszystkie strony tkankę negocyacyi dyplomatycznych, oczekujący co najważniejsza, z każdą niemal chwilą pomocy z dwóch przeciwległych sobie krańców, od wschodu i zachodu, ze strony Saxonii i ze strony Rusi, posiłków saskich i posiłków carskich. Michał Wiśniowiecki, wojewoda wileński i hetman w. litewski z ramienia Augustowego, wisiał nad Warszawą od strony Grodna i Podlasia (1); Adam Sieniawski, wojewoda bełzki, hetman polny koronny, przesyłał z ruskich dóbr Augustowi akty akcesu do uchwał konfederacyi sandomierskiéj. Co wreszcie było może mniejszém niebezpieczeństwem i grozą, aniżeli powodem bolu i przykrości dla Stanisławowego serca, poczęły z jego wielkopolskiéj dzielnicy, ze stron niemal rodzinnych w chwili samej prawie dokonywającéj się czy dokonanéj już elekcyi, nadchodzić wiadomości, iż niechętni mu zawsze Radomiccy i Szółdrscy, zdołali szlachtę poruszyć w interesie Augustowym, skłonić ją na Lipcowym zjeździe w Kościanie do przyjęcia uchwał sandomierskich, wreszcie do zebrania zbrojnego w okolicy Szamotuł na dzień 18 Lipca (2). Wśród tylu i takich trudności byłby niewątpliwie i energiczniejszy, aniżeli Stanisława charakter stracił głowę i równowagę, zwłaszcza, że środków gotowych podtrzymania kulawéj królewskości nie było, a tworzyć ich nie miał z czego. Cóż zaś dopiero biedny król Stanisław! Przesiadywał kłopotliwie pod opieką Horna, po zasłoną rajtarów i piechoty szwedzkiéj w Warszawie, wyprawiając raz poraz uczty dla przebłagania opornych, jak np. prymasa, w. hetmana Lubomirskiego, wojewody łęczyckiego Towiańskiego, wojewody sieradzkiego Pieniążka, wojewody podlaskiego Branickiego, nie wymieniając innych. Tak to schodziły pierwsze dni królowania Leszczyńskiemu, przez drugą połowę miesiąca Lipca roku 1704. Dodajmy do tego, co należy do dokładności obrazu owéj chwili, że kiedy wkraczające równocześnie do Wielkopolski w liczbie 18,000 ludzi i 24 dział wojska saskie pod dowództwem feldmarszałka Schulenburga, nakładają Łęcznu Stanisławowemu kontrybucyę 40,000, Wschowie 20,000 talarów (3), Wołosi z wojska szwedzkiego dokazują w Puł-

(1) Załuski, Epistolae ad familiares. IV. 366.

(2) Archiwum grodzkie poznańskie. Liber relationum grodu Wschowskiego z roku 1704.

(3) Załuski, Epistolae. IV, 333. „Ex majore Polonia nuntiatur, Saxonicos ibi, qua equitatus, qua peditatus subsistere 18 millia, cum 24 tormentis.“

tusku i Nurze jak „furye piekielne,“ palą miasteczka, kościoły, niszczą archiwa, mordują bez różnicy kogo i gdzie napotkają (1); dodajmy daléj, że wobec nadciągających z Ukrainy kozackich posiłków Mazepy i Paleja, wszystko co może, szlachta, żydzi, księża uciekają ku Wiśle (2), a uprzytomni się nam w najgłówniejszych i najcharakterystyczniejszych rysach krwawa i jaskrawa fizyognomia pierwszych kilku dni Stanisławowéj elekcyi.

Zobaczmy teraz, jakie wrażenie wywarł fakt owéj elekcyi na obozie Augustowym, doniesiony z wszelkiemi szczegółami przez posła hollenderskiego Hrosolta von Kasnenburg przebywającego w Warszawie. Król August zostawał ciągle w okolicy Sandomierza, by utrzymać węzeł kommunikacyi między jądrem przychylnych sobie województw Rzeczypospolitéj, a posiłkami mającemi mu nadciągnąć z jednéj strony z Saxonii, z drugiéj strony z Ukrainy. Raz poraz robił tu ztąd wycieczki bądź to do zamku Baranowskiego, aby ugościć przyjeżdżającego posła tureckiego, bądź do Łańcuta, aby powziąć języka o zbliżającém się wojsku carskiém. Głównie jednakże przebywa i w miesiącu Lipcu jeszcze w szlacheckim dworze téjże saméj wsi Brzezia, gdzie stanęła właściwie konfederacya sandomierska i zkąd wyjeżdżał bądź to pod czerwony baldachim na narady konfederacyjne, bądź wśród huku dział do katedry sandomierskiéj na uczczenie aktu jéj ostatecznego zawiązania. Do tego dworku szlacheckiego w Brzeziu, zajmowanego chwilowo przez Augusta i otoczenie jego, przyszła wiadomość o akcie elekcyjnym z Warszawy dnia 17 Lipca (3). Jeżeli wierzyć sumienności sprawozdań saskich, przeznaczonych dla dworu berlińskiego, nie sprawiła elekcya Stanisława Leszczyńskiego na dworze Augusta, czyli lepiéj powiedziawszy, na wędrownym jego obozie z pod Brzezia zbyt wielkiego wrażenia. Traktowano raczéj cały akt ten jako śmieszność, aniżeli jako niebezpieczeństwo, a do pewnego stopnia miano słuszność. Wobec usposobienia Rzeczypospolitéj, w obec zawiązanéj już konfederacyi sandomierskiéj, wobec zawiązujących się tu i owdzie, nawet w Wielkopolsce konfederacyi wojewódzkich w jéj duchu i celach,

(1) Tamże, str. 320: „Egressi sunt Pultovia cum Suecis Valachi, tanquam furiae avernales cum facibus et inprimis ipsam Metropolim Nurensis districtus cum vetustissimo archivo combusserunt.“

(2) Tamże str. 287.

(3) Archiwum kopenhazkie. Listy posła duńskiego Jessena do króla duńskiego z Krakowa 16 Lipca, 19 Lipca, z Rzeszowa 30 Lipca 1704.

wobec spodziewanych posiłków saskich i carskich, był sam fakt elekcyi Leszczyńskiego mało znaczącym, ozdóbką gmachu przewagi szwedzkiéj w Polsce, ozdóbką, która zapowiadała, że runie z ruiną samegoż gmachu, skoroby go się obalić udało. W tym też duchu pisał August do Flemminga, reprezentanta swego na dworze berlińskim z Kamienia, pod dniem 21 Lipca o akcie elekcyi swego przeciwnika, dodając wszakże: „Jest rzeczą jasną jak słońce i aż nazbyt znaną, że zmarły ojciec wojewody poznańskiego, to jest były generał wielkopolski a naostatku podskarbi koronny, był aż do grobu oddany najzupełniéj interesowi francuzkiemu. Nie można się też czego innego spodziewać, jak że syn wstąpi w jego ślady i że będzie zastępował osobę Contego tak dobrze, jak gdyby on sam był w Polsce obecny (1). Dwór wiedeński wiedział według doniesień posła saskiego Wackerbartha, że Stanisław przyjął tylko koronę jako depozyt rodziny Sobieskich i lekceważył sobie jego królewskość. Flemming zawiadomiwszy dwór berliński stosownie do instrukcyi Augusta o wyborze Leszczyńskiego według komentarza powyżéj zamieszczonego, doniósł pod dniem 25 Lipca 1704 (2). „Miałem posłuchanie u króla dnia wczorajszego w Schönhausen. Traktuje sprawę téj elekcyi jako śmieszność, mówiąc, że nie wie, co ona ma znaczyć właściwie. Przedstawiałem mu i z méj strony, jak mało sensu i racyi jest w całym tym wypadku.“ Mimo to, dodaje Flemming do tego swego listu zaraz następną uwagę: „Trzeba jeszcze powiedzieć, że jakkolwiek na tutejszym (berlińskim) dworze są bardzo zadowoleni, że wybór padł na człowieka tak małego znaczenia, jakim jest p. Leszczyński, i że jakkolwiek uważają to jako wypadek, którego W. K. Mość masz bardzo mało powodu się obawiać, ja jednakże obawiam się z méj strony, aby dwór tenże nie popadł w stan obojętności, skoroby król szwedzki chciał sam wziąć dla siebie koronę polską, lub wynieść na tron polski księcia Conti.“ Na teraz nie było jednakże

(1) Archiwum drezdeńskie vol. XVII. Loc. 3613. „Was an dem konigl. Preussischen Hofe durch den Geh. Rath von Flemming hierinnen negociirt worden.“

(2) Il (król) traita cette élection en ridicule, disant qu'il ne savait pas ce que cela voulait dire. Je lui remontrai aussi, combien qu'il y avait si peu de rime et de raison dans ce fait... Encore faut il dire ici, que bien que l'on soit bien aise à cette cour-ci que l'élection est tombée sur un homme de si peu de conséquence comme Mr. Leszczyński et que l'on envisage cela comme une chose dont V. M. a très peu à craindre, pourtant de mon côté je crains, que cette cour ne retombe dans une nonchalance à tout guère de la craindre, qu'elle a eu que le Roi de Suède pensait lui même à la couronne de Pologne ou qu'il y voulait élever le Prince Conti.“

powodu podobnéj obawy; przeciwnie nawet, nie przestawała elekcya Leszczyńskiego być przedmiotem ciągłych żartów na dworze berlińskim. Tak np. przybył Flemming dnia 2 Sierpnia na nową audyencyą do króla Fryderyka prosząc, aby nie odpowiadał na zawiadomienie Szwedów i konfederacyi warszawskiéj o wyborze Leszczyńskiego. Król Fryderyk odpowiedział, że niestety prośba ta przychodzi już za późno, ponieważ właśnie odeszły z kancellaryi jego listy do Warszawy z uznaniem neo-elekta polskiego. Zbladł na podobne słowa Flemming i zapytał z przerażeniem, czy istotnie coś podobnego stać się mogło? Wtedy dopiero wybuchnął król Fryderyk śmiechem i zaczął sobie żartować z łatwowierności i strachu Flemminga (1). Nie inaczéj zapatrywali się obecni w Berlinie reprezentanci Anglii, lord Rabby i Hollandyi, syndyk Hop, na fakt téj elekcyi, a August spoglądając na usposobienie mocarstw europejskich, rozpatrując się w usposobieniu saméjże Rzeczypospolitéj, wyczekując od dnia do dnia posiłków carskich na Rusi, kiedy według odebranych wiadomości Schulenburg na czele 18,000 Sasów nowéj formacyi znajdował się w Poznańskiém,—miał wszelki powód być spokojnym o przyszłość swéj królewskości. Mimo to, uważał położenie rzeczy zadość groźne, by rąk nie opuszczać i by ze zwykłą swéj naturze w przerwach hulanki i rozpusty, czynnością podjąć dzieło swego ratunku na wszystkie strony. Tuż po odebraniu wiadomości o elekcyi Leszczyńskiego, wyruszył August na Kamień ku Łańcutowi, by się zbliżyć do posiłków carskich. Dnia 21 Lipca znajdujemy go w Kamieniu. W ciągu marszu nadjechał do obozu Patkul, obróciwszy podróż z Berlina na Drezno, z wiadomością o chybionéj swéj negocyacyi na dworze berlińskim. Już wtenczas rozpoczynały się między nim a królem Augustem, mianowicie jednakże poufnym doradcą Augustowym hr. Bosem, owe rozterki i nieporozumienia (2), które wzrastając z czasem i nabierając drażliwości miały zaprowadzić nieszczęsnego rzecznika praw inflanckich do celi więziennéj Königsteinu, następnie na pole okrutnéj egzekucyi pod Kaźmierzem. Patkul czuł nateraz wagę swego stanowiska w obozie królewskim; był patronem Augustowéj sprawy, był twórcą traktatu między królem a carem, miał teraz jakoby za rękę przyprowadzić do skołatanego obozu saskiego nadciągającą od Lwowa

(1) Tamże. List Flemminga do Augusta z Berlina 2 Sierpnia 1704.
(2) Tamże. List marszałka Pflugka do Flemminga z Jarosławia, 2 Sierpnia 1704 roku.

pod wodzą księcia Golicyna pomoc carską. W poczuciu ważności swego stanowiska zaczął tedy Patkul już w ciągu owego pochodu z pod Brzezia czy Kamienia spoglądać nieco przez ramię na saskie otoczenie królewskie i do pewnego stopnia na króla samego, co nie pozostawało bez wpływu i wrażenia na Sasów. Prócz podobnie usposobionego reprezentanta cara Piotra, towarzyszyli Augustowi w ciągu owego pochodu Spada, nuncyusz papiezki, Jessen, poseł duński i cały tabor senatorów, dygnitarzy i szlachty składających konfederacyą sandomierską. Wojskowe siły składały się na teraz z 3,000 jazdy saskiéj, batalionu piechoty saskiéj, 2,000 jazdy polskiéj pod dowództwem generała Brandta, kilkanaście wreszcie chorągwi wojska koronnego, pod dowództwem Stanisława Rzewuskiego referendarza koronnego. Towarzyszył także królowi książę Janusz Wiśniowiecki, brat wojewody wileńskiego i hetmana w. litewskiego po Sapieże z ramienia Augustowego. Duszą jednakże wojskową obozu Augustowego i działalności jego wojennéj, był w owéj chwili dzielny generał Brandt, znany już z kroniki téj nieszczęsnéj wojny jako jedyna osobistość nie okryta wstydem i sromotą, zwycięzca w podjazdowéj wojnie przeciw Szwedom wszędzie, gdzie się tylko z nimi spotkał. Poddany króla duńskiego, Holsztyńczyk, rodem z Sonderburga, spowinowacony następnie z rodziną podskarbiego koronnego Przebendowskiego, trwał wiernie przy Auguście, był równocześnie okiem i ręką jego obozu w owéj chwili (1). Dodać jeszcze należy, że przed wymarszem z pod Brzezia, aby się zabezpieczyć przeciw możliwemu zamachowi ze strony rozłożonego na lewym brzegu Wisły pod Sandomierzem Renskiölda, kazał August zerwać most na Wiśle i zniszczyć szaniec przedmostowy, zapewniający mu kommunikacyą po obu brzegach rzeki (2). Obóz królewski nie zatrzymał się długo w Kamieniu, około 28 Lipca znajdujemy go w Łańcucie... Tutaj to wypadnie nam zatrzymać się na chwilę w opowiadaniu

(1) Archiwum kopenhazkie. List Jessena do króla duńskiego z Krakowa 16 Sierpnia 1704: „Es ist gewiss eine grosse Avantage, dass der König von Polen gedachten General (Brandt) auf seine Seite gezogen, weil er von den Polen fast für einen andern Hercules gehalten wird und nie eine Partie commandiret haben soll, so nicht glücklich gewesen. Er ist Ew. Königl. Majestät gebohrener Unterthan und aus Sonderburg bürtig, hat sich aber in Polen feste gesetzt und mit des Kron-Schatzmeisters Familie allürt.

(2) Archiwum kopenhazkie. List posła duńskiego Grunerta ze Sztokholmu według rapportu z Sandomierza 18 Lipca 1704: „L'armée avant que d'abandonner son ancien camp, a détruit le pont qu'elle avait faite sur la Vistule et sur le San.“

nieciekawych zresztą szczegółów zbrojnéj wędrówki króla Augusta ku przystani posiłków carskich, by się zwrócić do skreślenia kroków *politycznéj* doniosłości, jakiemi na wewnątrz i zewnątrz odpowiedział na akt elekcyi Stanisława Leszczyńskiego. Działaniu Augustowemu pod *tym* względem nie można odmówić przymiotów pospiechu i sprężystości. W trzy dni już po odebraniu wiadomości o fakcie dokonanéj elekcyi, wyprawiają dnia 20 Lipca (1) z pod Sandomierza stany królestwa polskiego do mocarstw zagranicznych list wyklinający Stanisława Leszczyńskiego jako zdrajcę majestatu i ojczyzny, wskazujący ze wzgardą na śmiałość dziesięciu zaledwie wichrzycieli, co się pokusili bezbożną ręką ściągać królewski dyadem z Augustowéj głowy, wzywający w imię wspólnego wszystkich monarchów interesu ich *moralnéj* przynajmniéj w sprawie ocalenia królewskości Augustowéj, poręki. Równocześnie z owemi listami stanów królewstwa polskiego do mocarstw zagranicznych wyszły od nich pod tąż samą datą listy do papieża (2) z oskarżeniem prymasa Radziejowskiego i Święcickiego biskupa poznańskiego, również jako zdrajców ojczyzny i majestatu, sprzyjających przez heretyków podjętéj sprawie. Listy te oskarżały prymasa wyraźnie o udział w rozpoczęciu wojny szwedzkiéj, twierdziły stanowczo, że na poprzedzającéj ją radzie senatu prymas doradzał królowi ową wojnę, że następnie prosił w imieniu Rzeczypospolitéj dwór brandenburski o wolny przemarsz wojsk saskich do Polski, „że przyjął sam kapitulacyą Inflantczyków na 100,000 talarów.“ Tém czarniejsza teraz tedy, tém bardziéj na karę zasługująca obecna jego zdrada, pozorowana argumentem, jakoby król bez jego i Rzeczypospolitéj wiedzy i woli był rozpoczynał ową nieszczęsną wojnę. Proszą tedy stany królestwa polskiego, oddając wszelką cześć działalności nuncyusza Horacego Spady przy boku królewskim, o odsądzenie prymasa Radziejowskiego i biskupa poznańskiego Święcickiego od ich biskupich godności, tudzież od dóbr arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa poznańskiego, probostwa miechowskiego i opactwa sieciechowskiego. Pod tąż samą wreszcie datą wyprawił sam król August od siebie list do papieża, domagając się cenzur kościel-

(1) Epistolae Załuskiego, tom IV str. 331.

(2) Tamże, str. 334 i 335: „Nam ubi S. R. Majestatem D. N. C. Christianum infelici huic bello, cujus ante alios bene conscius erat et pro libero in transitu copiarum saxonicarum in Livoniam sollicitavit aulam brandenburgicam et capitulationem a Livoniensibus supra summam centum millium talerorum accepit.“

nych przeciw wiarołomnym biskupom i poparcia wobec duchowieństwa i narodu polskiego. Po tych pierwszych protestach i zastrzeżeniach tak króla jak stanów królestwa polskiego przeciw aktowi elekcyi Leszczyńskiego, nastąpił, jak już powiedziano wyżéj, wymarsz z pod Brzezia. Gromadniejsze zebranie senatorów, dygnitarzy i szlachty w obozie pod Łańcutem, dało sposobność do wystąpienia z nowym, donioślejszym jeszcze na témże samém polu aktem. W samymże dniu prawie przybycia wędrownego, królewskiego zastępu do Łańcuta, odbyła się tutaj 28 Lipca walna rada tak obecnych przy boku królewskim senatorów, jak licznie reprezentowanych dygnitarzy i deputatów konfederacyi sandomierskiéj. Kronika zjazdu łańcuckiego wskazuje nam obecność i Teodora Potockiego, biskupa chełmińskiego, Gomolińskiego, biskupa kijowskiego, Michała Wiśniowieckiego, wojewody wileńskiego, Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, wuja Stanisława Leszczyńskiego, Marcina Chomentowskiego, wojewody mazowieckiego, Żaboklickiego, wojewody podolskiego, kasztelanów: rawskiego, lubaczowskiego, podskarbiego koronnego Przebendowskiego, podkanclerzego koronnego Jana Szembeka, Stanisława Denhoffa marszałka konfederacyi sandomierskiéj, — nie wymieniając wielu innych. Rzecz łatwa do zrozumienia, iż wśród podobnego grona i w podobnych okolicznościach narady odbywały się wśród straszliwego przeciw sprawcom i bohaterom warszawskiéj elekcyi rozdrażnienia (1). W chwili rozpoczęcia narad ozwały się zewsząd z tłumu głosy zaklinające króla, by nie oszczędzał zdrajców. Domagano się, by król nałożył cenę na głowę Leszczyńskiego. Andrzéj Olszowski, starosta wieluński, przemawiał za rozdaniem wakansów po winnych dygnitarzach; Bogusławski, starosta płocki, żądał destytucyi hetmana w. koronnego i prymasa. Grabski deputat z Łęczyckiego, domagał się ogłoszenia wakansu starostwa łęczyckiego; Ossoliński chorąży drohicki, wynagrodzenia szlachty województwa mazowieckiego i podlaskiego, pokrzywdzonéj tak srogo przez Szweda; Rosnowski, podwojewodzi lwowski, zażądał, aby król w ciągu obecnego marszu, powołał do swego boku cały senat i wszystkich dygnitarzy Rzeczypospolitéj, w czém go poparł Żaboklicki, wojewoda podolski. Wrząca tedy i kipiąca, jak ztąd widać, przeciw neo-elektowi, Szwedom i konfederacyi warszawskiéj, była owa rada walna na zamku łańcuckim. Rezultatem

---

(1) Opis szczegółów rady łańcuckiéj w IV tomie Epistolae Załuskiego, str. 359—361.

zaś jéj była nasamprzód uchwała ponownego, liczniejszego jeszcze zebrania w Jarosławiu na dzień 12 Sierpnia i ogłoszenie manifestu konfederacyi sandomierskiéj z podpisem jéj marszałka Stanisława Denhoffa miecznika koronnego, z datą z pod Łańcuta 28 Lipca 1704 (1). Manifest tenże, obszernéj, zbyt obszernéj może na podobną chwilę i potrzebę rozciągłości, nie był przecież bez pewnéj prawdy i bez pewnéj siły. Rozpoczynając rzecz od skreślenia przebiegu wojny szwedzkiéj, zwracał się następnie przeciw prymasowi i sprawcom konfederacyi wielkopolskiéj. Wspominając o sejmie lubelskim z r. 1703 mówił konfederacki manifest, że mimo chaosu i zamieszania „była już nadzieja rzeczy lepszych,“ lecz że w téj stanowczéj chwili właśnie nastąpiła podstępna robota prymasa i hipokryzyjna działalność konfederacyi wielkopolskiéj udającéj, jakoby *przy* majestacie Augustowym była chciała stawać, kiedy w rzeczywistości *przeciw* niemu nurtowała. Konfederacya ta była dziełem szwedzkiém. „Brzmią nam jeszcze,“ mówił konfederacki manifest, „w uszach odzywające się po całéj Polsce, jak długa i szeroka, głosy generałów szwedzkich: „Jeżeli nie przystąpisz do konfederacyi, pójdziesz z dymem!“ Otoż to pod wpływem takich groźb przyszła do skutku konfederacya wielkopolska, następnie generalna warszawska, któréj dziełem, pod patronatem gwałtu szwedzkiego stała się bezprawna pod każdym względem elekcya Stanisława Leszczyńskiego. Przeciw téjże elekcyi protestują uroczyście skonfederowane w Sandomierzu Rzeczypospolitéj stany i oświadczają trwać wiernie przy królu Auguście. Co rzecz najbardziéj uderzająca, to że ciskanie owych oficyalnych gromów przeciw bohaterom, sprawcom i uczestnikom warszawskiego aktu przez Augusta i mimo Augusta, nie przeszkadzało rownocześnie cichéj, tajemnéj a niedostrzegalnéj, mianowicie patronom szwedzkim, robocie około ich nawrócenia i pozyskania (2). Głównym pośrednikiem i kierownikiem téj roboty był Jessen, poseł duński, miano-

---

(1) Tamże, str. 339—345.

(2) Archiwum kopenhazkie. List Jessena do króla duńskiego z Krakowa, 30 Sierpnia 1704: „Von dem Wojewoden zu Marienburg habe ich wiederum ein Schreiben erhalten, aber weilen es fast unleslich, wie auch mehrerer Secreta halber nicht mit beischliessen wollen, worinnen Er vermeldt, dass der Cardinal Primas, der Kron-Grossfeldherr und der Neu-Erwählte selbst in der beständigen Disposition seien honesto modo sich mit dem König in Polen unter anderer Puissances Mediation zu reconciliiren und schliesset in diesen Formalibus, dass Er als morgen eine zuverlässige Relation von denen, so dieses Werk unter Händen, erwarte und wie er vorhin nach

wicie po wyjeździe swym w końcu Lipca z obozu królewskiego do Krakowa. Agentami jego w téj w podziemnéj robocie byli Krzewski, wojewoda malborski, bawiący w Warszawie i owdowiała wojewodzina poznańska Małachowska, bawiąca w Krakowie. Oboje donosili jednozgodnie posłowi duńskiemu, że konfederacya warszawska nie ma, mimo ciążącéj opieki szwedzkiéj wiary w siebie, że prymas, w. hetman koronny a nawet sam Stanisław, mieliby ochotę pogodzić się z królem Augustem za odebraniem tylko pewnych rękojmi bezpieczeństwa co do dóbr, osób i dygnitarstw, a że byle król August okazał się tylko wyrozumiałym, doprowadzenie do skutku podobnego dzieła zgody nie byłoby zbyt trudne. Jessen donosił naturalnie o podobnych usposobieniach w Warszawie na jednę stronę swemu królowi, na drugą Augustowi, który mając późniéj nieco plon téj roboty skosić, w *obecnéj* chwili z niéj skorzystać jeszcze nie mógł, czy nie chciał. Tymczasem wolał zrobiwszy, jak widzieliśmy dopiero, co się zdziałać dało na *wewnątrz* Rzeczypospolitéj, — pukać jeszcze o pomoc do dworów *zagranicznych*. *Papieża* poręka, o którą się, jak widzieliśmy wyżéj, upomnieć nie omieszkał, nie była ze względu na stanowisko duchowieństwa w Polsce w ogóle, nie była wreszcie ze względu na usposobienie kraju i narodu polskiego rzeczą małéj lub obojętnéj wagi. Odezwy stanów królestwa polskiego i samegoż króla Augusta do papieża odniosły też stosownie do ważności i okoliczności pożądany skutek.

Kurya papiezka nie leniła się odpowiedzieć czém prędzéj na wezwanie Augustowe zakommunikowane jéj przez nuncyusza. Już pod dniem 3 Sierpnia 1704 r. wyszły listy papiezkie do króla Augusta, do biskupów polskich, do senatorów, do stanu rycerskiego (1), oświadczające się wszystkie za nienaruszalnością praw Augustowych, protestujące przeciw kandydaturze Stanisława Leszczyńskiego, naganiające udział niektórych biskupów w heretyckiém dziele jego wyniesienia, upominające naród do posłuszeństwa dla prawnie obranego i panującego króla. Nadto wystosował papież pod tąż samą datą listy do prymasa Radziejowskiego i biskupa poznańskiego Święcickiego, udzielając im uroczystą na-

Warschau überschrieben, der Ministre Mediateurs wäre in Krakau zu finden, also verhoffete Er in wenig Tagen sich mit mir darüber an einem dritten Orth nahe bei dieser Stadt, worinnen er noch nicht vermeinet sicher zu sein, weiter expliciren zu können....“ „Ich Solches von der Wojewodin von Posen so aus dem Hause Lubomirski ebenfalls abgenommen.“

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 354 do 358.

ganę z powodu udziału w wyniesieniu Stanisława, upominając ich do wierności dla Augusta, wzywając ich wreszcie, aby się pod zagrożeniem cenzur kościelnych stawili w przeciągu trzech miesięcy w Rzymie ku wytłómaczeniu się z uczynionych sobie przez króla Augusta zarzutów. Nie poprzestając na tém odezwaniu się do potęgi moralnemi tylko rozporządzającéj środkami i na skutecznym względnie swego odezwania się do niéj rezultacie, kołatał August jak dotąd ciągle, tak i w *téj* właśnie chwili kilkunastu dni lipcowych po elekcyi Leszczyńskiego, o pomoc do dworu duńskiego i do dworu berlińskiego. *Pierwszy* był dlań zawsze jak najlepiéj usposobiony. Jak już wspomnieliśmy wyżéj, był poseł duński Jessen najwierniejszym i najsprawniejszym króla Augusta agentem, czy to w obozie pod Sandomierzem, czy to w pochodzie pod Łańcut, czy to późniéj nieco zawiadując jego interesami w Krakowie. Sekretarz ambassady duńskiéj Menschen wędrował wiernie z Augustem po wszystkich manowcach i bezdrożach Rusi i przesyłał swojemu pryncypałowi Jessenowi co kilka dni niemal dokładne sprawozdania z obozu królewskiego. Poseł duński w Berlinie, Ahlfeld, nie był mniéj gorliwy Augustowéj sprawy rzecznikiem; król Frydyryk IV sam wreszcie pałał niedwuznaczną chęcią podania ręki swemu zakłopotanemu bratu ciotecznemu Augustowi II. Opierając się tedy na podobnych usposobieniach dworu kopenhazkiego i dyplomacyi duńskiéj, poczęli tak August we własném, jak Patkul w carskiém imieniu kołatać do Danii o przymierze i pomoc (1). Bezpośredniego do tego powodu dostarczyła równoczesna kommunikacya posła hollenderskiego Hersoltego van Kranenburg z Warszawy. Dyplomata ten odgrywający po cichu rolę agenta Augustowego, podglądający i donoszący z bruku warszawskiego Augustowi tajemnice konfederacyi warszawskiéj i Szwedów, doniósł, że jest zamiarem Karola XII wtargnąć do Saxonii wraz z Aleksandrem Sobieskim w celu uwolnienia uwięzionych jego braci (2). Pozostanie rzeczą

---

(1) Archiwum kopenhazkie. List Patkula do Jessena z Krakowa 5 Sierpnia 1704 r. Memoryał Patkulowy z dnia tegoż: „Es werden begehret 6 Bataillons und 8 Esquadrons, die Hälfte Dragoner, praeter propter 5,000 Mann"... „Wird eine Hülfe zur Bedeckung der Churlanden von 5,000 Mann begehret."

(2) Archiwum kopenhazkie. List Augusta do króla duńskiego z Jarosławia 31 Lipca 1704 r.: „Was wir an Ew. Majestät nur vor wenig Tagen und zwar unter dem 21 Jujus, jüngsthin wegen einer von dem König in Schweden angedrohten Invasion in unsere Chur und Fürstlich Sächsische Erblande freundvetterlich gelangen lassen, solches wird deroselben verhoffentlich zu Recht zukommen sein. Nachdem nun nach der Zeit die sichere Nachricht eingelaufen, dass angeregte Invasion unfehl-

wątpliwą, czy zamiar taki powstał *naówczas* już na prawdę w głowie króla szwedzkiego. Co jednakże pewna, to że sama o nim pogłoska rzuciła niemały alarm na wędrowny obóz saski. Wtedy to właśnie, jak także powiedzieliśmy wyżéj, wysilił się August na formacyą świeżego wojska saskiego, posunął je pod dowództwem Schulenburga do Wielkopolski. Saxonia była ogołocona, pospieszny marsz Karola XII przez kraj cesarski lub brandeburski z pozostawieniem na tyłach swych Augusta i Schulenburga w Polsce—rzecz w zawodzie wojennym króla szwedzkiego aż nazbyt często praktykowana, mogła w przeciągu dni kilku oddać Elektorstwo Saskie, źródło rzeczywistéj potęgi i siły Augustowéj, w ręce nieprzyjaciela. Cała sztuka akcyi politycznéj i wojennéj króla Augusta powinna była zależeć na przeszkodzeniu podobnie niebezpiecznemu zamachowi nieprzyjaciela. W celu zapobieżenia mu odwołano się tedy do Danii. Król August i Patkul, ostatni ofiarując na ten cel subsydia pieniężne carskie, odzywali się po kilkakroć do Jessena o cichy traktat przymierza, na podstawie którego król duński miał wystawić nasamprzód 8,000, potém choćby już tylko 4,000 piechoty i 1000 jazdy, krórych przeznaczeniem nie byłby czynny udział w wojnie polskiéj, lecz po prostu tylko zajęcie Elektoratu Saskiego w celu obrony jego neutralności jako części nienaruszalnéj terrytoryum niemieckiéj Rzeszy. Tak Jessen jak sam król Fryderyk IV podawali chętnie ucho podobnéj propozycyi i byliby się zgodzili wreszcie na nią, gdyby nie były przeszkadzały z jednéj strony węzły traktatu trawendalskiego, z drugiéj strony obawa bardzo możliwego odwetu szwedzkiego, którego niebezpieczeństwo mogło być odwrócone tylko przez udział prusko-brandeburski w nowém przymierzu. Ztąd też to zwracają się ponowne starania Augusta za pośrednictwem duńskiém do dworu berlińskiego, a jak zobaczymy zaraz, przybierają ciekawy, choć nie szczególnie zaszczytny dla polityki *polskiéj* króla Augusta, charakter. Jak już nam wiadomo, był stałym reprezentantem Augusta na dworze berlińskiem Flemming, co nie

bar erfolgen werde, innassen der König in Schweden auf die von Reichs wegen durch Ihre M. den König in Preussen dieserhalben gethane Vorstellung zur Antwort ertheilet, dass er die Invasion in Sachsen, da er Hoffnung hatte in Kurzem in Polen selbst zu seiner verlangten Satisfaction zu gelangen, zu seiner Zeit vorzunehmen wissen würde, als finden wir uns bei sogestelten Sachen genöthiget unser jüngsthin geschenes Ansuchen hiermit nochmahlen zu wiederholen und leben zu Ew. M. des freundvetterlichen und festen Vetrauens, Sie werden mehrbesagte Unsere Sächs. Erblande wider die Schwedische Invasion mit reellen Hülfsmitteln garantiren und beschützen helfen.“

przeszkadzało, że w ciągu jego posłowania, ile razy Augustowi dolegliwszy jaki kłopot w Polsce doskwierał—przybiegali do Berlina co chwila to Patkul, to Bose, to późniéj nieco Przebendowski podskarbi koronny, by brać na spowiedź króla Fryderyka, ministrów jego Wartenberga, Ilgena i Wartenslebena, robić im propozycye przymierza, słuchać ich ofiar, konszachtować z nimi kosztem nie wiedzącéj nic o podobnych negocyacyach Rzeczypolitéj. Widowisko podobne powtórzyło się dosłownie ze wszystkiemi swemi szczegółami w porze owéj z miesiąca Lipca na Sierpień roku 1704. Obie strony: tak dwór berliński, jak reprezentant dworu saskiego, Flemming, nie dowierzały sobie koniecznie, starały się płatać sobie nawzajem niegodne trochę poważnéj sytuacyi i poważnéj sprawy figle. Tak np. zaręczali ministrowie pruscy Flemmingowi z najpoważniejszą w świecie miną, że nic ich nie wiąże ze Szwedami, jakkolwiek Flemming wiedział aż nazbyt dobrze o istnieniu traktatu zawartego między królami szwedzkim a pruskim w Sierpniu r. 1703. Tak daléj wyprawiał Flemming dla króla i ministrów pruskich uczty w Berlinie, nie w chęci zabawy, ani ze szczególnéj dla nich przyjaźni, lecz aby ich, jak pisał w swych sprawozdaniach do króla Augusta, w ten sposób wobec Szwedów kompromitować, wzbudzać podejrzenie jakoby istniało porozumienie pomiędzy dworem berlińskim a drezdeńskim. Również nie nosi zbyt szlachetnego charakteru negocyacya poważniejszego zakroju, jaka się po za obrębem tych sztuczek dyplomatycznych między Flemmingiem a ministrami pruskiemi toczyła. Dwór saski pragnął naturalnie współdziałania pruskiego przeciw Szwedom w Polsce, a starał się pomoc ową w obec podejrzliwości Rzeczypospolitéj polskiéj okupić jak najtańszym, o ile możności, kosztem. Ministrowie pruscy tymczasem uważali owe negocyacye za pożądaną sposobność wyrozumienia Flemminga i innych reprezentantów Augustowéj polityki, jak daleko by się ich ofiarność względem Pruss posunąć była gotowa i targowali wyraźnie o Gdańsk, Warmią i dolną Wisłę. Po za granicę *targu* nie odważyła się jednakże sięgnąć naówczas pożądliwość pruska, ponieważ mimo wszelkich swych apetytów była przecież mniejsza od obawy mściwych ciosów oręża szwedzkiego, a Karol raz już oświadczył, iż od korony polskiéj ani piędzi ziemi odrywać nie pozwoli. W Lipcu jednakże, w Sierpniu roku 1704 był Karol daleko od granic pruskich, zagłębił się w Mazowsze, następnie w Małą Polskę i Ruś, sprawa Augustowa zdawała się brać korzystny obrót, ztąd też to odżyły znów negocyacye prusko-saskie i wykazują ku charakterystyce polskiéj polityki króla

Augusta następne rezultaty. Flemming, któremu Patkul pod tym względem nie przestał dodawać odwagi, doradzał Augustowi, aby bez względu na krzyki „głupich Polaków,“ okazywał się nieco powolniejszym w ofiarach swych dla Pruss, aby „nie tracąc minuty“ w interesie zyskania przymierza pruskiego, oddał królowi pruskiemu w posiadanie bądź to wieczyste, bądź czasowe dwa miejsca nad dolną Wisłą, np. Gniew i Nowe, jako punkta zaręczające swobodną kommunikacyą między Elektorstwem Brandeburskiém a księztwem pruskiém.

Ta koncessya nie wystarczała jednakże apetytowi pruskiemu, który łaknął czegoś więcéj, mianowicie posiadania całéj dolnéj Wisły a coraz też widoczniéj i Gdańska. Co się *tego* ustępstwa tycze, nie miał chęci zgadzać się na nie sam dwór saski mimo wszelkiego lekceważenia interesu polskiego i drażliwości polskich. Tém bardziéj też zaczynały być Flemmingowi podejrzane zachody pruskie około tego klucza ujść Wisły. Minister pruski Schlippenbach zakommunikował mu nibyto poufnie, że jest zamiarem króla pruskiego zgromadzić sześciotysięczny korpus i obsadzić nim Gdańsk na własne żądanie mieszkańców w celu zabezpieczenia ich od zamachu jakiegobądź nieprzyjaciela. Flemming przyjął podobną kommunikacyą z pewną zimną ostrożnością i nie kwapił się bynajmniéj z podziękowaniem za tak przyjacielską usługę. Równocześnie zauważył jednakże ze wzrastającą podejrzliwością, że obecny w Berlinie syndyk miasta Gdańska, Hoppen, odbywa potajemnie, bez jego wiedzy i w jego nieobecności, codziennie kilkogodzinne konferencye z ministrem pruskim Ilgenem. Flemming zakommunikował ten fakt posłom Anglii i Hollandyi, którzy mu jednozgodnie oświadczyli, że zadaniem ich i staraniem będzie pod każdym warunkiem i wśród wszelkich okoliczności bronić niepodległości miasta Gdańska (1). Jako sens moralny wszystkich tych negocyacyi Augustowych dyplomatów, czy to Patkula, czy Fleminga, objawiała się nie dająca się zaprzeczyć prawda, że dwór berliński myśli co najwięcéj wyzyskać króla Augusta kłopoty w interesie własnych, nowych nabytków terrytoryalnych; że jeśli ich w ten sposób *już* dotąd nie wyzyskał, nie jest dowodem jego dobréj woli, lecz niedomagającéj decyzyi i stanowczości, że zaś

(1) Archiwum drezdeńskie: „Was an dem konigl. Preuss. Hofe durch den Geh. Rath Grafen von Flemming hierinnen negociiret worden anno 1703—1704. vol. XVII (Loc. '3613). Listy Flemminga do króla Augusta z dnia 9 i 13 Lipca, 2 Sierpnia, 8 Września, 7 i 26 Października, 10 Grudnia 1704 r,

pod żadnym warunkiem spieszyć Augustowi z pomocą na teraz nie ma zamiaru. Po wymarszu już z Łańcuta, wyszły dalej z Jarosławia pod dniem 3 Sierpnia protesta Augusta przeciw wyniesieniu Leszczyńskiego, do cesarza niemieckiego, tudzież do sułtana i do w. wezyra Porty Ottomańskiéj, do ostatniego z prośbą i upomnieniem, aby nie słuchał zdradnych podszeptów wiarołomnych poddanych królewskich i aby nie pozwolił hanowi Tatarów dawać im pomocy, o którą podobno prosili (1). Dodajmy jeszcze, że w téjże saméj chwili pułkownik Heins z ramienia Augustowego znajdował się przy boku carskim w Inflantach, spoglądając na zdobycie Dorpatu i oblężenie Narwy, że zaś Tomasz Działyński wojewoda chełmiński udał się także tam (2), by przyprowadzić do skutku traktat przymierza między carem i Rzecząpospolitą polską; a będziemy mieli wyczerpujący i dokładny obraz działań *politycznéj* doniosłości, jakiemi August odpowiedział na fakt elekcyi Leszczyńskiego.

Po tym szkicu jego robot politycznych, wypadnie nam się znów zwrócić do opisu jego akcyi wojennéj. W dniu jeszcze samym rady łańcuckiéj, dnia 28 Lipca, nastąpił wymarsz królewski do Jarosławia, gdzie dnia następnego stanął. Pobyt Augusta trwał tu kilka dni, wypełniony oczekiwaniem coraz to już bliżéj nadciągających posiłków carskich i nadejściem generała Brandta, który ze swą jazdą rozświecał królewski pochód. Nareszcie nadeszła wiadomość dnia 6 Sierpnia, że wojska carskie nadciągnęły do Sieniawy, pod bezpośrednią wodzą ks. Golicyna, zależne do pewnego stopnia od rozporządzeń Patkula (3). Ciekawym pochodu owych posiłków carskich na pomoc Augustową szczegółem pozostanie, iż we Lwowie był mistrzem ceremonii ich uroczystego przyjęcia Jan Jabłonowski wojewoda ruski, wuj nowo-obranego króla Stanisława. Wyprawił wspaniałą ucztę, na którą zaprosił kniazia Golicyna i przedniejszych oficerów carskiego korpusu (4). Ze Lwowa ruszyły wojska carskie w stronę północno-zachodnią, a znalazły się, jak co dopiero powiedziano, dnia 6 Sierpnia o dwie mile od Jarosławia. Król August wyjechał wraz z całém swojém otoczeniem polskiém i saskiém na ich spotkanie, Patkul oddawał mu i przedstawiał nadeszłe posiłki. „Był to wszysto, mówi spra-

(1) Archiwum kopenhazkie.

(2) Tamże.

(3) Tamże. List Heinsa do Jessena z obozu pod Narwą, 5 Lipca 1704.

(4) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenzen aus Polen etc. Rapport z Sieniawy 8 Sierpnia 1704.

wozdanie naocznego świadka, „żołnierz dzielny i silny, umundurowany zewnętrznie bardzo dobrze, przybrany w barwy szare z niebieskiemi wyłogami, białe i czerwone na sposób moskiewski, zaopatrzony aż do ostatniego człowieka w należytą, dobrą broń tak, że JKMość z podobnego wojska, które zdrowego i rzeczywiście pod bronią istniejącego żołnierza 10,000 ludzi liczy, doznaje najwyższego zadowolenia (1).“

Po skończonéj rewii, wyprawił August ucztę, na którą zaprosił kniazia Galicyna, półkownika carskiego Rittera i Patkula jako reprezentanta cara. Takie to było pierwsze spotkanie się obu sprzymierzeńców na ziemi polskiéj, w mieścinie Czerwonéj Rusi. Po tém połączeniu się z posiłkami carskiemi składającemi się z 9 półków, jednego batalionu piechoty i 22 dział, liczyły siły Augusta do 24,000 ludzi, w liczbę których wchodziło 5,000 żołnierza saskiego, 4,000 kozaków, 120 chorągwi polskich i litewskich, tudzież 2,000 jazdy generała Brandta (2). Była to już siła poważna, z którą można było zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi choćby nawet tak groźnemu, jakim był król szwedzki, a którą zwiększano według nieustających wieści i doniesień bajecznemi cyframi kozaków nadciągających już, czy mających nadciągnąć pod dowództwem hetmana Mazepy, czy pułkownika Soroki. Raz widziano owe posiłki kozackie pod Dubnem, inny raz pod Kamieńcem Podolskim. Kozacy owi dwoili się i ukazywali wszędzie, dopomagając, choćby w wyobraźni szlacheckiéj tylko, skołatanéj sprawie Augusta. Rzecz dziwna tymczasem, stało się właśnie owo przybycie tak długo wyczekiwanych, a od tak dawna zapowiadanych posiłków hasłem rozstroju między Augustem a Patkulem. August chciał, aby się wojska carskie łączyły niezwłocznie w jednę wspólną massę z lotnym oddziałem generała Brandta; Patkul wydał rozkaz wręcz przeciwny, chcąc pozostawić korpusowi moskiewskiemu własną odrębność. Przyszło z tego powodu do wyraźnego rozstroju między królem a Patkulem, który obecnego jeszcze naówczas w obozie królewskim posła duńskiego,

---

(1) *Epistolae* Załuskiego, IV. List do Alexandra Salavollego z 11 Sierpnia 1704: „Ingredienti Leopolim Principi Galiczyno habitus honor salutantibus et inducentibus tribubus more militari vexillis et armis instructis. Palatinus Russiae eidem non defuit actui, quo celebrior esset, excepit prandio solenni praedictum principem, musica inde militari resonante, hinc tormentis rebeantibus; necesse est hospitem desiderante suscipere quem nos jugiter constat optare.“

(2) Nachrichten und Correspondenzen aus Polen (Archiwum drezdeńskie). Raport z Sieniawy, 8 Sierpnia 1704.

Jessena prawdziwém przerażeniem zdejmował. Patkul mówił i skarżył się, że August lekceważy sobie widocznie alians carski i że nie trzyma się jego stypulacyi, że nie odbywa żadnych rad wojennych. August obwiniał Patkula o nieposłuszeństwo, o mieszanie się we własne swoje domowe sprawy i zabierał się ze skargą nań do cara (1). Niewiadomo, do czegoby spór podobny wśród ówczesnych okoliczności między dowódzcami koalicyi był doprowadził, bo Patkul zabierał się już z carskiemi posiłkami do odwrotu, gdyby przyjacielska interwencya posła duńskiego Jessena, nie była pospieszyła zawczasu jeszcze z usiłowaniami przywrócenia zgody. Udało się rzeczywiście zgodę ową choć kulawo skleić, a bezpośredniém jéj następstwem było wprowadzenie posiłków carskich w pewną harmonijną akcyą i w pewien harmonijny organizm z resztą armii Augustowéj (2). Rozdzielono pomiędzy żołnierza carskiego oficerów z wojska saskiego umiejących po polsku, poddano go pod rozkazy królewskie, wprowadzono w całą siłę królewską pewien ład i porządek (3). Tymczasem przybywają ciągle w ową okolicę między Jarosław, Sieniawę a Jaworów, w któréj król August ostatnie dni miesiąca Lipca, pierwsze dni Sierpnia spędza, coraz to nowe, nie tyle materyalnéj, ile raczéj moralno-politycznéj wagi posiłki. List Sieniawskiego, hetmana polnego koronnego z dnia 18 Lipca, z Brzeżan (4), tłómaczący chorobą niemożność dotychczasowego przybycia, ale wyrażający najzupełniejszą uległość dla Augusta, jest jakoby zapowiednią przybycia jego własnych chorągwi, chorągwi daléj wojewodów krakowskiego i kijowskiego, starostów chmielnickiego winnickiego i tłumackiego, kasztelana halickiego, Baranowskiego

---

(1) Tamże. Raport z obozu króla polskiego z 23 Sierpnia 1704.

(2) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 361. List do Aleksandra Salavollego' dnia 10 Sierpnia 1704.

(3) Archiwum kopenhazkie. List Jessena do króla duńskiego z Krakowa 13 Sierpnia 1704: „Wie ich dorten (Jarosław) arriwirte fand ich zu meiner nicht ganz geringen Bestürzung den Konig in Polen mit Patkul ganz über den Fuss gespannt, sogar dass dieser fast die Resolution genommen, mit den moskowitischen Truppen wieder zu dem Czaren zurückzukehren, wie er dahin genugsam autorisirt. Ich habe aber auf die von ihnen beiderseits dazugegebene Veranlassung, durch Gottes Gnade das Glück gehabt, alles dargestalt unter sie redressiren etc."

(4) Tamże. List do Jessena z obozu króla polskiego, 23 Sierpnia 1704: „Und weil die mitgebrachte Officiers nicht allerdings anständig waren, so hat man gleich, so viel derselben der Polnischen Sprache kundig und bei denen Sächsischen Regimentare zu finden gewesen, dazu gesetzet, dass es noch ein weit berseres Ansehen giebet und grosse Hoffnung machet sich der Truppen mit Nutzen zu bedienen."

pułkownika z ordynacyi ostrozkiéj, które się powoli do obozu królewskiego ściągają (1). Wprawiwszy swój obóz w pewien ład i porządek, wyruszył król August dnia 8 Sierpnia z Sieniawy do Oleszyc, następnie przez Narol dnia 12 Sierpnia do Bełżca (2). Znajdował się tedy z siłą przeszło 20 tysięczną (3) o dziesięć zaledwie mil od Lwowa, niepewny do téj chwili jeszcze kierunku, jaki pochód jego miał obrać, unikając widocznie mimo poważnéj liczby swego żołnierza walnego spotkania ze Szwedem, wystawiając się słusznie na zarzut Patkula, iż działa „bez planu i że nie odbywa żadnych rad wojennych.“ Wśród podobnéj chwilowo bezmyśli i bezopatrzności toczył się pochód królewski w kierunku wschodnim daléj. Rozpoczęły się tymczasem deszcze i słoty, drogi się popsuły, prawie do nieprzebycia dla wozów, artyleryi i piechoty. W takiém położeniu rzeczy i wśród podobnych okoliczności przybył król August wieczorem dnia 18 Sierpnia pod wspaniały klasztor sokalski z samą tylko jazdą; piechota i bagaże nadeszły z powodu popsutych dróg w kilka dni dopiero późniéj. Brandt tymczasem ze swą lotną jazdą zabezpieczał tyły królewskie, refendarz koronny Stanisław Rzewuski zaglądał przedniemi strażami ku Lwowu i zasłaniał front królewskiego pochodu. Ostrożność podobna nie była zbyteczna. Renskiöld przeprawił się w te tropy za Augustem pod Sandomierz przez Wisłę a Wołosi jego pod dowództwem Grudzińskiego starosty rawskiego przebiegali kraj aż do gór, przecinali dowozy do armii Augustowéj, chwytali kassyerów, tak że kommunikacya obozu Augustouego z Wielkopolską, Krakowem i Dreznem mogła się tylko jakoby ukradkowo odbywać wzdłuż podnoża Karpat z niesłychanemi przeszkodami (4).

Zostawmy teraz na chwilę Augusta z jego obozem saskomoskiewskim, z jego assekuracyą Brandta i Rzewuskiego w Sokalu, w niepewności dalszéj akcyi, a przenieśmy się na widownię

---

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 331.

(2) Tamże. List do Alexandra Salavollego z 10 Sierpnia 1704. str. 361, 362.

(3) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten.

(4) Archiwum kopenhazkie. List Jessena do króla duńskiego z Krakowa 13 Sierpnia 1704: „Dass die Reise so beschwerlich gewesen, ist daher enstanden, dass ich auf Gutfinden Höchstgedachten Königs Majestät (Augusta) meinen Rückweg über das mit Wagen fast inpassable Gebirge an den Gränzen von Hungarn nehmen mussten, um nicht in die Hände der Sapiehischen Wallachen und anderer Raubgesindel, so nunmehr, da der Konig von Polen jenseit des San sich befindet bis unter erwälten Gebirge auf allen Landstrassen streifen, zu verfallen.“

działania jego przeciwników do Warszawy. Sięgnijmy dla dokładności naszego opowiadania w dzieje pierwszych dni po dokonanéj elekcyi Stanisława Leszczyńskiego.

Król szwedzki nie omieszkał natychmiast otoczyć najgorliwszą, ale też zarazem i wielce upokarzającą protekcyą swego wybladłego, znużonego i mocno zakłopotanego klienta. Zaraz dnia następnego po elekcyi wyprawił Karol ze swéj głównéj kwatery w Błoniu listy z powinszowaniem do neo-elekta. Tuż potém, jeszcze tegoż samego dnia wsiadł na konia i wyjechał wraz z kanclerzem Piperem i zwykle towarzyszącym sobie orszakiem ku Warszawie. Na połowie drogi spotkał Karol wyjeżdżającego naprzeciw siebie Stanisława i Benedykta Sapiehę podskarbiego litewskiego. Obaj monarchowie zsiedli z koni, przywitali się serdecznie i wstąpili następnie do pierwszéj lepszéj chaty wiejskiéj, gdzie odbyli czterogodzinną blizko konferencyą w obecności Pipera i Sapiehy. Nie ma prawie wątpliwości, że przedmiotem jéj był dzień wczorajszéj elekcyi, zachowanie się podczas niéj prymasa i innych senatorów Rzeczypospolitéj, tudzież środki zabezpieczenia choćby na tymczasem trwałości nowego tronu. Po odbytéj konferencyi powrócili Karol do Błonia, Stanisław do Warszawy, by spoglądać na zasępione i kwaśne miny samychże sprawców Augustowéj detronizacyi (1). Wspomnieliśmy już na początku niniejszego naszego opowiadania, jak energicznych środków ze strony króla szwedzkiego było potrzeba, by przekonać opornych o konieczności uznania nowéj królewskości. Karol zagroził prymasowi pożogą dóbr i inkwaterunkiem 600 żołnierza szwedzkiego. Argumenta tego rodzaju przemawiały u prymasa zawsze skutecznie. We cztery dni po elekcyi, we wtorek dnia 16 Lipca około godziny 3-ciéj z południa przybyli na zamek prymas, Hieronim Lubomirski w. hetman koronny, Pieniążek wojewoda sieradzki, Towiański wojewoda łęczycki, Bronisz marszałek konfederacyi warszawskiéj, i złożyli uroczysty akt uznania nowego króla. Stanisław przyjmował ich w tak zwanéj marmurowéj komnacie, mając przy boku w zastępstwie kanclerza Benedykta Sapiehę podskarbiego litewskiego. Czyniąc ten akt uległości, postanowił przemawiający w imieniu deputacyi prymas, wyzyskać go zarazem praktycznie. Przemówił za posłami podlaskimi, którzy aż do ostatniéj chwili stawiali na polu elekcyjném opór przeciw wyborowi Stanisława, a teraz przez Horna kontrybucyami i zemstą osobistą zagrożo-

---

(1) Nordberg, tom I, str. 469.

nymi się znaleźli. Tuż za prymasem i za ową uroczystą deputacyą uginających karku senatorów i dygnitarzy, pojawiała się patronowana także przez prymasa, równocześnie, w téjże saméj marmurowéj komnacie zamku, deputacya szlachty ziemi czerskiéj biorącéj dobrodusznie za prawdę zaręczenie Szwedów, że elekcya Leszczyńskiego to synonim niezwłocznego pokoju, a że z chwilą jéj ustaną wszelkie kontrybucye i ciężary wojenne: szlachta czerska prosiła pokornie o „zwolnienie swéj ziemi od ciężaru obcego żołnierza."

Obudwom deputacyom i na obiedwie mowy odpowiedział dyplomatycznie mistrz ceremonii i kanclerz nowéj królewskości, Benedykt Sapieha podskarbi litewski, zaręczając uroczyście „wszelką neo-elekta staranność około uspokojenia Rzeczypospolitéj i zadosyćuczynienia życzeniem współobywateli" (1). Tegoż samego dnia wreszcie poszedł witać na zamek nowego króla, królową i królowąmatkę magistrat warszawski; był przyjęty na uroczystém posłuchaniu, a usłyszał słowa łaskawéj odpowiedzi znowu z ust podskarbiego litewskiego. Co ważniejsza wreszcie dla nowéj królewskości, przybyła pod Warszawę dywizya wojska koronnego oboźnego i podkomorzego Lubomirskich, rozłożyła się obozem na równinie nadwiślnéj pod Białołęką i podniosła w ten sposób gotową siłę w ręku neo-elekta do liczby siedmiu tysięcy przeszło ludzi (2). Cała siła szwedzka tymczasem stała w liczbie 26,000 ludzi między Łowiczem a Błoniem.

Karolowi zależało teraz naturalnie na utrwaleniu dzieła swego z dnia 12 Lipca, na daniu pewnych podstaw i warunków bytu tronowi Leszczyńskiego, który się chwiał na wszystkie strony bez ciągłéj assekuracyi i obecności opiekunów szwedzkich. Jeśli tron Leszczyńskiego nie miał być środkiem tylko obliczonym na podrażnienie Augusta, jeśli miał rzeczywiście być podstawą nowego porządku rzeczy w Polsce i warunkiem pewnego poważnego przymierza między Szwecyą a Polską, należało zgnieść i stłumić pierwiastki oporne, przełamać ostatecznie Augustową potęgę, przekonać wreszcie Rzeczpospolitą samą o możności istnienia nowego stanu rzeczy. Jako pierwsza i naturalna przeszkoda, którą w dążeniu do podobnego celu usunąć należało, przedstawia się konfederacya sandomierska z całym swym przyborem prawa publicznego polskiego wymierzonym przeciw Stani-

---

(1) *Epistolae*, Załuski, tom IV, str. 333. Amico confidenti z 20 Lipca 1704.
(2) Tamże, str. 334.

sławowi Leszczyńskiemu i dziełu konfederacyi warszawskiéj, przedstawiał się daléj August ze swą organizującą się pod Sandomierzem na nowo siłą zbrojną i oczekiwanemi posiłkami carskiemi. Zniszczenie jednym zamachem zwycięzkiego dotąd miecza podobnéj przeszkody kusiło dość naturalnie wyobraźnią i wojenny animusz młodego króla, ale rozwaga polityczna i względy strategiczne miały tu także swe prawa i byłyby przemówily zwycięzko, gdyby upór Karola nie był nauczył uległych mu generałów szwedzkich, że wszelkie przedstawienia i uwagi pozostają bez wpływu na twardy umysł ich pana. Rozwaga polityczna i względy strategiczne przemawiały za pozostaniem na miejscu, w Warszawie, jako za najskuteczniejszym środkiem pogromu konfederacyi sandomierskiéj i Augusta. Renskiöld stał w 8,000 ludzi, po większéj części jazdy, w okolicy Sandomierza na lewym brzegu Wisły i wystarczał najzupełniéj do czuwania nad każdym ruchem i krokiem Augusta (1). Puszczenie się z całą armią szwedzką w pogoń za Augustem i konfederacyą sandomierską nie obiecywało żadną miarą pożądanego skutku, bo nie było najmniejszéj rękojmi, że Sas dotrzyma placu i dostarczy swemu przeciwnikowi sposobności nowego tryumfu. Przeciwnie było wszelkie prawdopodobieństwo, że go wywiedzie w pole, że go zaprowadzi w strony odległe od jego podstawy operacyjnéj, a że następnie, korzystając z jego oddalenia i ogromnych przestrzeni wypłata nieporównanego figla robocie jego rozpoczętéj w Polsce. Niedość na tém, przemawiały jeszcze inne względy za pozostaniem w Warszawie i akcyą wojenną w tamtych stronach, a następnie w Poznańskiém. Pod koniec miesiąca Lipca zaczęli właśnie poruszać województwo poznańskie i kaliskie w myśl konfederacyi sandomierskiéj Maciéj Radomicki generał wielkopolski i rodzina Szółdrskich. Stanęło dwanaście chorągwi pospolitego ruszenia owych województw (2), rozkładając się obozem to, jak już powiedzieliśmy wyżéj, pod Burzewem, to pod wsią Cieślami o kilka mil na zachód Poznania.

Objął nad temi szlacheckiemi chorągwiami dowództwo sam Radomicki z przewyższającym go nieskończenie w sztuce prowadzenia wojny patryotycznéj Adamem Śmigielskim starostą gnieźnieńskim. Niebezpieczeństwo nie byłoby ztąd dlą Szwedów zbyt wielkie, ponieważ jeżeli wierzyć ich sprawozdaniom, świeże

(1) *Epistolae* Załuskiego, IV, 333: „Generalis Reinschild suas supra Vistulam extendit copias a Sandomiria usque ad Solcum."

(2) Tamże, str. 347: „Interim Generalis Majoris Poloniae Radomicki 12 vexilla erigit."

owe chorągwie szlacheckie nie kwapiły się bardzo do boju. Rzecz nabierala jednakże wagi, gdy z końcem miesiąca Lipca od Krosna przez Międzyrzec i Kargowę wtargnęła armia saska nowéj formacyi pod dowództwem najdzielniejszego z dowódzców saskich, generała Schulenburga, gdy się połączyła z Radomickim i Śmigielskim, a rozpoczęła dzieło akcyi wojennéj od ciężkich kontrybucyi i gwałtów w dobrach Stanisławowych, Lesznie, Rydzynie i Wschowie (1). Najprostsza przezorność główněj kwatery szwedzkiéj w Błoniu nakazywała konieczność ograniczenia się na prostéj obserwacyi Augusta przez Renskiölda, uprzątnienia się z najbliższym nieprzyjacielem w Wielkopolsce, czuwania wreszcie nad zmienną polityką prusko-brandeburską, która pokorniała wobec Szwecyi w miarę zbliżania się wojsk szwedzkich do swych granic, która rozpoczynała natychmiast poufniejsze szepty z Flemmingien i Patkulem, skoro tylko Karola czuła w pewnéj odległości. Niedość na tém wszystkiém jeszcze, wołał natarczywie wzgląd na niebezpieczne położenie Inflant o pozostanie co najmniéj w Warszawie. Była to właśnie chwila konania, jeśli tak wolno powiedzieć, obrony szwedzkiéj w Dorpacie i Narwie. Słaba była wprawdzie nadzieja, aby módz obie twierdze ocalić. Jakkolwiek z daleka reprezentował przecież generał Löwenhaupt ze swym korpusem w Kurlandyi pewien węzeł kommunikacyiny między krajem nadbaltyckim a główną siłą szwedzką w Polsce. Ruch téj ostatniéj na południe Polski, na Ruś, zrywał bezpowrotnie wszelki związek między siłami szwedzkiemi, zamieniał odrazu, jak się też rzeczywiście późniéj stało, Inflanty i Estonią na stracony posterunek dla Szwecyi. Opuszczenie Warszawy, pochód na Ruś, zamieniał, słowem, armią szwedzką w Polsce na okręt wśród otwartego morza bez bezpiecznéj przystani, obalał własne wodza jéj dzieło we wnętrzu Rzeczypospolitéj.

Wszystkie te względy przemawiały wprawdzie w obozie szwedzkim, ale nie przemawiały do twardéj głowy i nieprzełamanego uporu młodego króla szwedzkiego. Jak byk podrażniony czerwonym szmatem podstępnego torreadora, zabrał się runąć ku Sandomierzowi za Augustem i za konfederacyą sandomierską. Postanowienie to zapadło niemal w dniu elekcyi, czy nazajutrz po niéj. Przed wymarszem trzeba jednakże było choć dorywczo i pospiesznie załatwić pewne sprawy nowéj królewskości. W tym celu odbyła się dnia 18 Lipca nowa, uroczystsza nieco konferen-

(1) Tamże, str. 333.

cya między obu królami w Ołtarzewie (1). Prócz nich byli obecni i brali w niéj udział prymas Hieronim Lubomirski w. hetman koronny, Benedykt Sapieha podskarbi litewski, Jan Pieniążek wojewoda sieradzki i kilku innych panów. Głównym przedmiotem konferencyi było zaspokojenie domagających się należnego żołdu chorągwi wojska koronnego. Uchwalono, że po złożeniu przysięgi wierności Stanisławowi otrzymają nasamprzód jako zaliczkę 25,000 talarów, późniéj nieco resztę. Równocześnie trzeba też było, wywiązując się z danego przyrzeczenia, że elekcya nowego króla sprowadzi nareszcie Polsce pożądany pokój, wyznaczyć z własnego ramienia komissarzy ku rozpoczęciu negocyacyi w tym celu z komissarzami Stanisławowymi. Wybór Karola padł na Arwida Horna, starego Wachslagera i Palenberga dawnego wice-prezesa trybunału dorpackiego. Obecność Wachslagera w składzie téj komissyi raziła nieco drażliwości polskie, ponieważ Wachslager, Toruńczyk rodem, był właściwie poddanym Rzeczypospolitéj. W niemożności jednakże skutecznego oporu, nie pozostawało nic innego, jak poddać się woli króla szwedzkiego i zgodzić się na obecność Wachslagera (2). Ze strony Stanisławowéj zaś wyznaczono do tychże traktatów jako komissarzy: Mikołaja Święcickiego biskupa poznańskiego, Hieronima Lubomirskiego w. hetmana koronnego, Jana Pieniążka wojewodę sieradzkiego, Stefana Branickiego wojewodę podlaskiego, Franciszka Grzybowskiego kasztelana inowrocławskiego, Władysława Ponińskiego podkomorzego koronnego, Antoniego Lasockiego starostę zakroczymskiego, Władysława Czarnkowskiego, Wacława Jeruzalskiego chorążego bielskiego, Kazimierza Skiwskiego, Michała Sapiehę pisarza litewskiego, Józefa Sapiehę starostę słonimskiego, również Daniela Wychowskiego starostę nieborowskiego (3). Nie zapominajmy, że w chwili wymarszu właśnie króla szwedzkiego z pod Warszawy, że w łonie samychże osobistości składających najbliższe neo-elekta otoczenie znajdowały się żywioły nie wierzące gwiaździe jego, poszukujące za pośrednictwem wojewody malborskiego Karewskiego i posła duńskiego Jessena zgody i porozumienia z Augustem, że Stanisław sam był podobno téj myśli niezbyt dalekim, a pojmiemy, jak bardzo wiele i bardzo poważnych argu-

---

(1) Nordberg, tom I, str. 469.

(2) Archiwum kopenhazkie. List posła duńskiego Grünnego do króla duńskiego ze Sztokholmu 18 Lipca 1704.

(3) Nordberg, tom I, str. 474.

mentów przeciw owemu wymarszowi mówiło. Mimo to wszystko nastąpił ów wymarsz! Dnia 18 Lipca pożegnali się Karol i Stanisław w najprzyjaźniejszy sposób po odbytéj w Oltarzewie konferencyi. Dnia następnego, 19 Lipca, w rocznicę bitwy kliszowskiéj, wyruszył król szwedzki z pod Błonia, pozostawiwszy w Warszawie pod dowództwem Horna 1000 piechoty, 200 jazdy szwedzkiéj ku zabezpieczeniu osoby Stanisława, wyprawiwszy daléj trzy pułki jazdy, w sile trzech tysięcy koni pod dowództwem generała Meyerfelda do Wielkopolski w pomoc zagrożonéj przez Sasów załodze Poznania (1). Dosłownie tedy tego samego dnia prawie, kiedy August wybiera się z pod Brześcia i ciągnie w kierunku wschodnim na spotkanie posiłków carskich, dźwiga się Karol z pod Błonia na gonitwę za nim. Dzieli ich *tylko* pięćdziesięciomilowa przestrzeń. Że jeden drugiego nie dogoni, można być aż nadto pewnym; ale czego można być równie pewnym, to że kraj i ludność jego cierpią srogo przy owych ,,mijanych tańcach obu królów,“ jak mówi szlachecki pamiętnikopisarz Otwinowski. Pochód armii szwedzkiéj kierował się z Błonia na Mszczonów i Białą do Nowego Miasta. Przez dzień 21 Lipca wypoczęła tu armia szwedzka, 22 ruszyła przez Ułów do Przytyka, gdzie odpocząwszy znów jeden dzień i przemaszerowawszy przez miasto Radom, stanęła dnia 26 Lipca w Kobylanach. Z Kobylan posunął się Karol do Czerwonéj, gdzie się zatrzymał przez dni kilka. Ztamtąd ruszył na Sienno, Boryą, Gliniany i Ożarów do Wyszmontowa, dnia 2 Sierpnia stanął nareszcie pod Sandomierzem, gdzie znalazł Renskiöld'a w obliczu rozrzuconego przez Augusta szańca przedmostowego i zerwanego mostu. Pierwszém staraniem króla szwedzkiego po przybyciu tam była restauracya kommunikacyi po obu brzegach Wisły w celu dalszéj gonitwy za królem Augustem. Kazał więc przedewszystkiém zbudować znów most łyżwowy pod Sandomierzem na Wiśle i przeprawił się z częścią swéj armii na prawy brzeg rzeki (2). Dzieje tego pochodu króla szwedzkiego z równin mazowieckich w żyzne łany województwa sandomierskiego upamiętniają się w kronice téj smutnéj i niezaszczytnéj wojny czémś inném przecież jeszcze na

---

(1) Tamże, str. 469: ,,Le lendemain Charles décampa de Blonie après avoir laissé sous les ordres du général Horn un détachement de mille hommes d'infanterie et de deux cents chevaux qui devait rester à Varsovie pour la sûreté du roi Stanislas.“ Str. 471: „On détacha en attendant le général major Meyerfeldt avec trois régiments de Cavalerie pour entrer dans la Haute Pologne afin d'y mettre les Saxons à la raison.“

(2) Nordberg tom I, str. 469.

nieszczęście, a nie ową nomenklaturą miejsc, do których zachodził i w *których* się zatrzymywał, a nie datami tylko, *kiedy* się w nich znalazł. Dostawszy się w serce województwa sandomierskiego, w ową dzielnicę konfederacyi sandomierskiéj, w owo zarzewie oporu przeciw sprawie swojéj i swego nowo-wyniesionego do królewskiéj godności klienta, uważał się król szwedzki jakoby w kraju nieprzyjacielskim. Nie inaczéj spoglądała też na pochód wkraczających w swe żyzne i zamożne strony ludność województwa sandomierskiego. Wsie stawały na wieść o zbliżaniu się Szwedów pustkami, chłopi uciekali z bydłem, gotowém ziarnem, wszelkim dobytkiem w lasy; Szwedzi znajdowali się często w kłopocie o żywność, zmuszeni szukać jéj po lasach, kryjówkach i zasiekach w ślad za mieszkańcami. Niekiedy udawało się im dostać żywności za drogą zapłatą, niekiedy pomagali w zyskaniu jéj Żydzi. Cały marsz jednakże przez województwo sandomierskie był w skutek tego mocno utrudniony, nosił zaś nadto charakter krwawy i ponury. Upamiętniony okrutnie na Mazowszu i Podlasiu Klas Bonde świeci i tutaj prześladowczą czynnością. Wydobywa z kraju, ściąga z ludności żywność i kontrybucye. Gdzie nie może dobrowolnie, łupi i pali. Owe „wypoczynki“ jedno czy kilkodniowe armii szwedzkiéj w różnych miejscach województwa sandomierskiego znaczą się regularnie złowrogo w losach miejscowéj ludności. Z każdego takiego wypoczynku wychodzą we dnie konne komendy Klasa Bondego; skoro noc zapadnie, wznoszą się słupy ogniste nad widnokręgiem i przyświecają ponuro pochodowi i pobytowi owych szczególnych sprzymierzeńców na ziemi polskiéj. Przedewszystkiém zawziął się Klas Bonde na dobra Stanisława Denhoffa marszałka konfederacyi sandomierskiéj, i między innemi spłonęły doszczętnie wsi jego Pawłowice i Jaroszyn. Nie inaczéj obchodził się z dobrami Stanisława Morsztyna wojewody sandomierskiego. Włości jego zniszczone i spalone, wojewoda sam, pozostawiając pogorzelisko nieproszonym gościom, schronił się w Krakowskie. Ależ i innym nie działo się lepiéj. Renskiöld złupił klasztor Św. Krzyża i sprowadził siedmiu mnichów okutych w kajdany do obozu szwedzkiego (1). Wsie płonęły dziesiątkami, bydło i dobytek wszelki

---

(1) Nordberg I, 469: „Ce fut le lieutenant-colonel Bonde qui leur inspira cette crainte en exécutant l'ordre qu'on lui avait donné de mettre le feu aux terres et aux villages qui appartenaient à Denhoff, un des principaux partisans du roi Auguste et Maréchal de la Confédération de Sandomir.“

ludności uprowadzano gwałtem. Wystarczało zabicie jednego Szweda, by śmierć jego pomścić pożogą całéj dokoła okolicy. Miasteczka Zwoleń, Tymienica, Jasienice z przyległemi wsiami, zostały spalone przez Szwedów; czego niespalono, obłożono ogromnemi, niepodobnemi do wydobycia kontrybucyami. „Całe województwo sandomierskie,“ pisze Załuski, „zakrwawione mordami, spustoszone pożogą,“ a że to nie przesada i nie żal Polski tylko, że daléj praktyka tego srogiego postępowania nie była ani dziełem podkomendnych tylko, ani też nie dotykała tylko naczelnych głów konfederacyi sandomierskiéj, najlepszym dowodem następny, lakoniczny zapisek panegirycznego kronikarza Karola XII, Nordberga: „*Karol* wyprawił tymczasem kilka komend, aby wybierać kontrybucye i palić włości zwolenników konfederacyi sandomierskiéj.“ Otoż to illustracya pochodu armii szwedzkiéj z pod Warszawy ku Sandomierzowi, otoż sprawdzenie zaręczenia tylokrotnie łatwowiernéj szlachcie przez Szwedów i konfederacyą warszawską, że elekcya nowego króla to rękojmia pokoju i wypoczynku, otoż oryginalna bezwątpienia propaganda sprawy nowego, siedzącego na łasce Szwedów w Warszawie króla! Co zaś najgorsza, to że ów biedny król stał na bardzo słabych nogach, że jak wiemy był otoczony gronem chwiejnych przyjaciół, że potrzebował miłości kraju, że zagrożony na miejscu, że zagrożony niemniéj przez Sasów w swych posiadłościach wielkopolskich, że zmuszony choć w części wywiązać się niecierpliwéj szlachcie i wojsku z danych przyrzeczeń, przysyłał z żalami i prośbami za Karolem do obozu szwedzkiego Jana Sapiehę (1), że sam zdrowy rozum polityczny nakazywał w interesie własnego dzieła oszczędzać raczéj i łagodzić, aniżeli drażnić i roznamiętniać jego prze-

---

Epistolae Załuskiego, IV. List do Aleksandra Salavollego z 11 Sierpnia 1704: „Ignes nocturnos terna vice hinc spectavimus; putatur Zwolenium Jasiniecum et Timinecum cum pagis ultra 10 exustum, cujus potissimum causa occisus in aliquo illorum Suecus... Exactiones gravissimae etiam in clerum exercentur ab iisdem... Abegerunt iidem Pawłoyiciis ad comitem Denhoff pertinentibus aliquot centum diversi pecoris uti et equos... Jarossini abacta sunt pecora, exspoliatum templum.“ „Clas Bonde non amore dignus sed odio, in Palatinatu Sandomiriensi calamitosum absolvit lustrum quia illum caedibus cruentat et incendiis vastat, aliquot decadibus pagorum, praesertim ad mareschalcos Sandomiriensis Confoederationis attinentibus, incensis, idem Palatino Sandomiriensi (Stanislao Morsztyn) minitans.“

(1) Nordberg I, 470. Archiwum kopenhazkie. List do Jessena z 28 Sierpnia 1704: „Der neu erwählte König beginnt sich heftig zu beklagen, dass der König von Schweden durch grosse Promessen ihn in dies Labyrinth gebracht, nunmehr aber die Effecten solches Versprechens aufhörten dannenhero auch des neuen Königs Partei je länger je schwächer wird.“

ciwników. Wróćmy teraz do opisu dalszego Karola pochodu, który, nawiasowo powiedziawszy, względem kraju i ludności nosi ciągle jeden i ten sam charakter. Zostawiliśmy go dnia 2 Sierpnia pod Sandomierzem, zkąd zrobił wycieczkę pod Zawichost. Tutaj dowiedział się od Renskiölda, że August, zniszczywszy swe magazyny, ruszył z pod Łańcuta ku Jarosławowi, a że odwrót jego zasłania znajdujący się zaledwie o dwie mile odległości od obozu szwedzkiego w 2,000 koni generał Brandt. Za odebraniem téj wiadomości przeprawił się Karol dnia 6 Sierpnia z całą swą siłą przez Wisłę, by popróbować jeszcze gonitwy za Augustem a przynajmniéj zachwycić Brandta. Zamiar ten spełzł jednakże jak przewidzieć było można, na niczém. Zręczny Brandt, zyskawszy jeden dzień marszu, przeprawił się przez San, zniszczył za sobą wszelkie materyały mostowe i podążył za główną siłą Augusta. Równocześnie zaś doszły od kilku dezerterów ruskich do obozu szwedzkiego wiadomości, że król August złączył się z posiłkami carskiemi pod Sieniawą, ale i zarazem, że nie czekając, ruszył już daléj ku Oleszycom. Wiadomości te doszły Karola w Pilchowie dnia 9 Sierpnia i powinny były przy szczypcie namysłu skłonić go do niezwłocznego odwrotu na lewy brzeg Wisły, a następnie do powrotu ku Warszawie. Nie było odtąd żadnéj nadziei doścignięcia króla Augusta, dalsze zagłębianie się z całą swą siłą, w Ruś Czerwoną nie przedstawiało żadnych korzyści politycznych i strategicznych, narażało tymczasem coraz bardziéj dzieło króla szwedzkiego w Warszawie, panowanie jego wojenne w Wielkopolsce, kommunikacyą z krajem nadbaltyckim. Wszystkie te jednakże bardzo naturalne względy nie zaważyły niczém na szali postanowień króla szwedzkiego, który przekonany już nawet w Pilchowie o niepodobieństwie doścignienia i zachwycenia Augusta ciągnie przecież swą bezmyślną, zbrojną wędrówkę daléj. Z Pilchowa posuwa się do Przędzela nad Sanem, przeprawia się na prawy brzeg rzeki pod Ulanowem i wędruje daléj wśród niesłychanych upałów, wśród niedostatku dobréj i zdrowéj wody, odbywając powolne marsze, podczas których mnóstwo żołnierzy pada ze znużenia, gorąca i pragnienia. W ten sposób postępuje Karol wzdłuż Sanu daléj, na Zarzycę, Rudnik, Leżajsk do Wierzewic, gdzie staje dnia 13 Sierpnia. Tutaj zatrzymuje się trzy dni, odbierając ze wszech stron niekoniecznie pocieszające wiadomości. Wołosi Grudzińskiego, ci sami Wołosi, którzy zmuszają posła duńskiego Jessena do ostrożnéj podróży wzdłuż podnoża karpackiego, którzy chwytają kuryerów wyprawianych z obozu Augustowego do Krakowa, palą z rozkazu Karolowego włości

stronników konfederacyi sandomierskiéj, łowią kilka dział prowadzonych nieostrożnie za Augustowym obozem, sprowadzają żywność i bydło do obozu szwedzkiego, zabierają nawet kilku czy kilkunastu jeńców saskich, — ale co ważniejsza, przynoszą znów wiadomość, że król August nie zatrzymując się na miejscu, postępuje z pod Jarosławia daléj, i że o zachwyceniu głównéj siły saskiéj teraz już w żaden sposób mowy być nie może! Równocześnie nadeszła istnie jakby ostrzegająca, złowroga wskazówka do obozu szwedzkiego pod Wierzewicami: wiadomość o zdobyciu Dorpatu przez cara, daléj o zagrożeniu przezeń Narwy. Niedość i na tém jeszcze; nadeszły do Wierzewic wiadomości o niefortunném spotkaniu Meyerfelda z Schulenburgiem w okolicy Poznania i listy od biednego Stanisława z Warszawy, biadające na swe położenie, skreślające w jaskrawych barwach spustoszenia Sasów w Wielkopolsce, wzywające w niebogłosy pomocy szwedzkiéj. Karol pocieszył biednego neo-elekta dobremi słowami i obietnicą wygranéj Meyerfelda, który jak zobaczymy niżéj, znajduje się właśnie w téj chwili, nie mogąc dotrzymać placu Sasom pod Poznaniem, w zupełnym odwrocie ku Gnieznu, a następnie ku Zawierzu,—a posunął się sam dnia 16 Sierpnia ku Jarosławiowi za Augustem! Zawędrowawszy do Jarosławia rozkłada się tu Karol wśród okoliczności, jakie skreśliliśmy wyżéj, na całe dwa tygodnie, skazany samém położeniem rzeczy na mimowolną bezczynność, zakłopotany co do dalszego planu działania. Dwaj królewscy przeciwnicy znajdują się tedy w drugiéj połowie Sierpnia przedzieleni znów znaczną przestrzenią, Szwed z Jarosławia, Sas z Sokalu, pierwszy pewny nie doścignąć drugiego, drugi w przededniu wykonania zamachu odwdzięczającego się dowcipnie pierwszemu za akt z 12 Lipca (1).

Zostawmy ich tak przez chwilę na ich stanowiskach, a zobaczmy, co się tymczasem działo na widowni warszawskiéj i wielkopolskiéj.

Znane nam już po trosze z tego, co powiedziano wyżéj, smutne i zakłopotane położenie króla Stanisława. Depozytaryusz korony z ramienia rodziny Sobieskich, bez wiadomości o tym oryginalnym stosunku ze strony swego protektora szwedzkiego, czuł niepewny grunt pod nogami, nie miał wiary w samego siebie, przeczuł, jeżeli nie wiedział, że prymas, że w. hetman koronny, że marszałek konfederacyi Bronisz gotowi pocichu do zgody z Au-

---

(1) Nordberg, tom I, str. 477, 483, 484 i 485.

gustem. Z rodzinnéj Wielkopolski dochodziły go wiadomości o dokazywaniach Sasów w dobrach dziedzicznych i o wzrastaniu domowego przeciw jego władzy rokoszu Szółdrskich i Radomickich, na miejscu ciążyła mu opieka Horna i Wachslagera, broniła zaś niedostatecznie bardzo siła sześciotysięczna wojska koronnego rozłożonego pod Białołęką i 1200 Szwedów rozkwaterowanych w mieście i na zamku. Przyjeżdża wśród podobnego położenia rzeczy do Warszawy Alexander Sobieski w przezroczystém bardzo dla wszystkich *incognito*, prawdopodobnie by czuwać nad interesami swéj rodziny, być może, iż w zamiarze wykołatania na królu Stanisławie wyprawy do Saxonii w celu oswobodzenia uwięzionych braci (1). Stanisław stara się przynajmniéj choćby tylko stronników swych utrzymać w jakim takim ładzie i sforności. Wypróbowanemu zwolennikowi sprawy swojéj i Sobieskich, filarowi konfederacyi wielkopolskiéj, Władysławowi Ponińskiemu, wypuszcza sposobem dzierżawy żupy sielickie (2); innym swym stronnikom wyprawia raz poraz uczty i obiady (3), mimo to jednakże nie udaje mu się choćby we własnym obozie nawet utrzymać téj harmonii, jaka była potrzebna w tak krytycznym, tak zakłopotanym młodéj władzy jego momencie. Nie znający miary w słowach i postępowaniu rębacz partyi Stanisławowéj, Maciéj Gębicki, starosta nakielski, wszczął w samychże komnatach zamkowych gorszącą, głośną kłótnię z młodym Krzysztofem Towiańskim, podczaszym koronnym, zabierającym się właśnie wstąpić w śluby małżeńskie z córką w. hetmana koronnego Lubomirskiego. Padały najobelżywsze wyrazy z ust Gębickiego przeciw osobie podczaszego, przeciw matce jego i stosunkowi jéj z prymasem. Niedość na tém, począł Gębicki w obelżywy sposób wyrzucać hetmanowéj koronnéj, jak może wydawać córkę w dom podobną hańbą okryty. Podczaszy wyzwał Gębickiego na pojedynek. Błagania matki, interwencya prymasa i Stanisława zapobiegły krwawemu spotkaniu, nie mogąc naturalnie zapobiedz panującemu w skutek podobnego zajścia między pognie-

---

(1) *Epist.* Załuskiego, IV, 363 i 364. Listy do Alexandra Salavollego 10 i 24 Sierpnia 1704: „Princeps regius Alexander advenit (Varsaviam) *incognito*." „Princeps Alexander urget liberationem fratrum, consulitur illi ut impetratis Succis, Valachis et Cosacis invadat Saxoniam; id consilium num acceptaturus sit, tempus edocebit." Listy rodziny Sobieskich wydane przez Z. A. Helcla, Kraków, str. 516.

(2) Tamże, str. 519.

(3) Załuski *Epistolae.* T. IV, 334: „Tractavit Rex cardinalem, castellanum Cracoviensem, Lenciciensem et Podlachiae Palatinos, Thesaurarium M. D. Lithuaniae etc."

wanemi stronami rozdraźnieniu (1). Wśród tych kłopotów i domowych swarów trzeba zaś było choć dla ocalenia pozorów wystąpić wobec szlachty z jakimś aktem, któryby dowodził, że elekcya nowego króla prowadzi niby to do przystani pokoju i wypoczynku, tylokrotnie a tak stanowczo obiecywanego. Wobec wiadomości dochodzących z Inflant, z Wielkopolski, wobec nadchodzących Augustowi posiłków carskich, wobec doniesień o pożogach szwedzkich w Sandomierskiém, stawała się wiara w pokój rzeczą nieco trudną, ale tém większy może dlatego był powód zatrudnienia wyobraźni i umysłów jaką głośną i pokaźną w tym celu ceremonią. Materyał do niéj znalazł się gotowy w wyznaczonych obustronnie do traktowania o pokój komissarzach. Znane nam już z powyższego opowiadania ich nazwiska i osoby. Dzień właśnie rady łańcuckiéj, dzień może daléj, w którym się najwyżéj wznosiły słupy ogniste pożóg szwedzkich w Sandomierskiém, dzień 29 Lipca przeznaczono na termin téj obliczonéj na ukojenie niecierpliwości publicznéj komedyi. Zewnętrzne przygotowania i przybory były tém hałaśliwsze, pokaźniejsze i głośniejsze, im mniéj treści i wartości miała rzecz sama. Komissarze z obu stron byli na miejscu, osoby ich znane, przedmiot narad niewątpliwy. W razie więc traktowania rzeczy na seryo, w razie gotowości istotnego materyału do poważnych negocyacyi, wystarczało najzupełniéj zejść się pod wspólny dach, złożyć naradę a w rezultacie jéj obdarzyć nareszcie Rzeczpospolitą długo wyczekiwanym pokojem. Komedya jednakże potrzebna do otumanienia szlachty wymagała inaczéj. W tym celu ułożono po niejakich targach ze stronych szwedzkiéj, dnia 28 Lipca uroczysty ceremoniał audyencyi, jaką dnia następnego mieli uzyskać u króla Stanisława reprezentanci Karola XII. Rano, dnia 29 Lipca o godzinie 10-téj udali się generał Arwid Horn, stary poseł Wachslager i radca Palenberg do klasztoru Karmelitów na Lesznie, gdzie na ich przyjęcie czekało trzech senatorów: Jan Pieniążek wojewoda sieradzki, Franciszek Grzybowski kasztelan inowrocławski i Niszczycki kasztelan płocki, ofiarując im karety królewskie. Inni dygnitarze konfederacyi wysłali również dworzan i karety na przyjęcie komissarzy szwedzkich, którzy wsiadłszy do powozów wraz ze wspomnionymi wyżéj trzema senatorami, ruszyli powoli ku zamkowi. Kolaski szlachty poprzedzały powozy panów większego znaczenia. Po nich następowały karety szlachty należącéj do świty senato-

(1). Tamże, str. 348

rów, następnie szlachta na koniach. Albedil marszałek ambassady poprzedzał konno karetę królewską zajmowaną przez ambassadorów. Jechały za niemi trzy karety ich próżne, tuż za niemi trzech sekretarzy ambassady Schmidberg i Reuterbolm, wreszcie kilka karet podróżnych. Przed bramą Nowego Miasta, przez którą wjazd się odbywał, stała część wojska koronnego na koniach, przy tarczach, w zbrojach, przyodziana w lamparcie skóry, i tworzyła szpaler, którym ambassadorowie wjeżdżali wśród odgłosu trąb i kotłów. Na ulicach stała piechota wojska koronnego, zbrojno ustawiona w dwa szeregi. Na placu przed zamkiem stała straż brandeburska prymasa, na podwórzu zamkowém dwieście ludzi piechoty szwedzkiéj. Za wjazdem posłów na podwórze zamkowe odezwały się znów z otaczających galeryi trąby i kotły. Wysiadłszy z karet znaleźli ambassadorowie u wschodów na przyjęcie swe Władysława Ponińskiego, podkoniuszego koronnego, pełniącego obowiązki marszałka dworu, poczém ich Pieniążek, Niszczycki i Grzybowski wprowadzili na górę. Poprzedzał ich marszałek ambassady i szlachta należąca do świty, za nimi postępowali obaj sekretarze. U pierwszych drzwi pierwszego piętra, wyszedł naprzeciw nich Lubomirski podkomorzy koronny i zaprowadził ich przez salę do drzwi komnaty królewskiéj, dokąd ich znów wprowadził Benedykt Sapieha, podskarbi litewski pełniący obowiązki kanclerza. Leszczyński przyjmował ich stojąc pod czerwonym baldachimem. Za wejściem do komnaty wyszedł kilka kroków naprzeciw nich, następnie wrócił pod baldachim, kiedy tymczasem ambassadorowie ustawiali się w półkole. Arwid Horn znajdujący się w środku deputacyi, przemówił następnie po łacinie, wyrażając w imieniu swego pana radość ze wstąpienia na tron króla Stanisława, nadzieję, że Polska pod jego mądrém i szczęśliwém panowaniem, odzyska dawny blask i potęgę, pewność wreszcie, że niezachwiana przyjaźń będzie odtąd przyświecała wzajemnie obu monarchom i ich narodom. Po ukończeniu przemowy, doręczył Horn królowi listy uwierzytelniające, a Benedykt Sapieha odpowiedział mu po łacinie w imieniu króla polskiego. Po téj audyencyi u króla, poszli ambassadorowie z podobnemi komplementami do królowéj Katarzyny, w któréj imieniu odpowiadał w zastępstwie marszałka sufragan gnieźnieński, następnie do królowéj matki, Anny z Jabłonowskich, która mądra i najwymowniejsza może z całéj swéj rodziny, odpowiedziała komissarzom szwedzkim sama na ich komplement w języku francuzkim. Ztamtąd powrócili znów do komnaty królewskiéj, byli następnie w przyległéj sali przyjęci przez senatorów, odprowadzeni przez nich aż do wscho-

dów na dół, poczém w karetach królewskich powrócili wszyscy do kwatery generała Horna (1). Ceremonia więc, jak ztąd widzimy, była głośna, pokaźna, lśniąca tarczami i lamparciemi skórami, brzmiąca kotłami i trąbami, odbyta wśród najściślejszego przestrzegania wszelkich form i szczegółów etykiety dworskiéj. Uroczystość podobna pokrywająca błyszczącą nędzę nowego tronu i nowego króla mogła na krótki czas przynajmniéj otumanić łatwowiernych, zwłaszcza że tuż po jéj odbyciu, z dniem 30 Lipca (2), rozpoczęły się w obszernym refektarzu Karmelitów na Lesznie posiedzenia tak komissarzy szwedzkich, jak polskich w sprawie uspokojenia Rzeczypospolitéj i zawrzeć mającego się pokoju. Około długiego stołu zasiedli z prawéj strony komissarze szwedzcy, z lewéj liczni polscy. Zagaił konferencye Arwid Horn łacińską mową, na którą Mikołaj Swięcicki, biskup poznański stosownie odpowiedział. Po krótkiéj naradzie zgodzili się obustronni komissarze na przyjęcie traktatów oliwskich, za podstawę rozpoczętych negocyacyi, z zastrzeżeniem sobie możności zmiany pewnych artykułów, któreby takowéj ze względu na obecny stan rzeczy wymagały. Po szczęśliwém zyskaniu podobnéj podstawy obrad, nie postępowała jednakże właściwie naprzód, bo nie mogła postępować dalsza negocyacya. Każde dziecko pojmowało, że losy Polski, że wojna lub pokój rozstrzygają się wówczas na innéj widowni, aniżeli przy stole przestronnego refektarza Karmelitów na Lesznie. Mimo to, wymaga kronika owych dni w interesie dokładności wzmianki o ich treści i przebiegu. Po pierwszéj konferencyi z dnia 30 Lipca nastąpiła w posiedzeniach pauza aż do 7 Sierpnia, jakoby ku widocznemu dowodowi, że zakłopotani komissarze swego pokojowego zadania zbyt na seryo brać nie myślą. W dniu 7 Sierpnia nastąpiło nowe posiedzenie, na którém komissarze polscy przedłożyli następne warunki (3): 1) Zatwierdzenie traktatów oliwskich; 2) Zaręczenie w myśl ich całości krajów Rzeczypospolitéj; 3) Zwrot pieniędzy hibernowych zapłaconych wojsku koronnemu, przez Prussy Królewskie i Wielko-Polskę; 4) Przejęcie przez koronę szwedzką długu Rzeczypospolitéj, dla którego Elbląg zastawiony elektorowi brandeburskiemu, jako kompensacyą poczynionych w krajach polskich przez armią szwedzką spustoszeń;

---

(1) Tamże, str. 347. Nordberg, tom I, str. 471 i następne.

(2) Tamże.

(3) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenzen. Raport z Sokala 7 Sierpnia 1704.

5) Restauracya zamku krakowskiego spalonego przez Stenbocka; 6) Usunienie wszelkich wojsk obcych z krajów Rzeczypospolitéj; 7) Zrzeczenie się tronu polskiego ze strony Augusta pod gwarancyą Rzeszy niemieckiéj; 8) Zniesienie wszelkich kontrybucyi dla armii szwedzkiéj i ograniczenie ich na dostawę najpotrzebniejszych tylko dla niéj przedmiotów; 9) Nareszcie, ewakuacya krajów Rzeczypospolitéj ze strony wojsk szwedzkich. Warunki te, zaprzeczyć niepodobna, były dla Polski korzystne, ale czyż w ówczesnych okolicznościach poza teoretyczną wartość tylko mającém przyjęciem traktatów oliwskich za podstawę, mogły mieć choć imię praktycznéj doniosłości? Restaurować zamku krakowskiego, wykupować Elbląga, oddawać pieniędzy hibernowych, nie miała z czego Szwecya, żyjąca cudzym kosztem, żywiąca się sama wojną; odpowiedzią na zwolnienie kraju z kontrybucyi dla armii szwedzkiéj, były rabunki i pożogi sandomierskie Klasa Bondego. Postulat usunienia wojsk obcych z krajów Rzeczypospolitéj, zakwestyonowany właśnie w téj chwili jak najmocniéj inwazyą wojsk saskich do W. Polski, carskich na Ruś, mógł być tylko rezultatem odniesionego nad niemi zwycięztwa. Czuli też to i rozumieli bardzo dobrze Szwedzi, i dlatego zwlekali o ile możności niemniéj jałowe jak i bezowocne, pokojowe konferencye, oraz redakcyą *pactów conventów* dla nowego króla. Prócz tego przychodził im w pomoc ważny wzgląd formalny. Traktatem między Szwecyą a Brandeburgią z dnia 8 Sierpnia 1703 r. zobowiązały się obie strony nie zawierać bez wzajemnego pozwolenia i porozumienia jakichbądź układów z Rzecząpospolitą Polską (1). W ten sposób wychodziła Brandenburgia na naturalną między Rzecząpospolitą Polską a Szwecyą pośredniczkę, a obecność jéj reprezentanta na konferencyach warszawskich stawała się konieczną. Znane nam tymczasem ówczesne właśnie usposobienie dworu berlińskiego, jego rozmowy z Flemmingiem, jego targi o Gdańsk i Dolną Wisłę. W takiém położeniu rzeczy nie miał naturalnie dwór berliński interesu wyprawiać do Warszawy swego reprezentanta i dopomagać do przyśpieszenia toczących się tamże pozornych konferencyi, co i Szwedom było na rękę. Szwedzcy komissarze skorzy-

(1) *Epistolae* Załuskiego, T. I. str. 364. „Mediatorum praeteritio, cum nullus adhuc ab illis legatus compareat, immo vel mentio faceret difficultatem. Si vero Brandenburgicus suum legatum miserit, credibile est titulum non parvae confusionis futurum causam; jam autem notum est, tractatum inter Suecum et Brandenburgicum ad Thorunium definitum, hoc etiam punctum includere, ne una pars sine altera cum Republica paciscatur.

stali jednakże z tego argumentu wobec Polaków a tak wlokły się owe próżne w przedmiocie pokoju i traktatu pogadanki przez miesiąc Sierpień, aż im wypadki z innego pola, o których niżéj mowa będzie, niefortunnego nie zgotowały końca. Król Stanisław siedział tymczasem wśród komedyi owych konferencyi z żoną, jednoroczną córeczką Maryą, matką, zakłopotany i stroskany na zamku warszawskim, mając przy boku dawnych i znanych nam towarzyszów: biskupa Święcickiego, prymasa, Benedykta Sapiehę, w. hetmana koronnego Lubomirskiego, Towiańskich, marszałka Bronisza, Macieja Gębickiego starostę nakielskiego, Szwedów, również jako cichego i niewystępującego publicznie gościa Alexandra Sobieskiego. Z okien zamku wychodzących na Wisłę miał codzienną sposobność przyglądania się rozłożonéj na prawym brzegu rzeki sześciotysięcznéj dywizyi wojska koronnego, szemrzącéj raz poraz, niezadowolonéj, że prócz 30,000 talarów już wypłaconych, nie odbiera reszty zaległego żołdu. Z okien wychodzących na miasto patrzał na protektorów szwedzkich, sam w kłopocie o przyszłość, otoczony niepewnemi przyjaciołmi. Dziwna w życiu biednego Stanisława fatalność, która po dwudziestu dziewięciu latach od dnia do dnia niemal, o téj saméj porze roku, na téj saméj widowni, miała się ze wszelkiemi powtórzyć szczegółami! Niekiedy nękały neo-elekta marsowe intencye (1). Po ukończeniu wlokących się między komissarzami szwedzkimi a polskimi negocyacyi pokojowych, po ułożeniu *pactów conventów* zamierzał wybrać się sam w pole i zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi. Na tymczasem jednakże nie wiedział dobrze co robić, siedział na miejscu w Warszawie, nasyłał króla szwedzkiego w pochodzie jego ruskim skargami na swe położenie, prośbami o spieszną pomoc. Głównym tego powodem było coraz to draźliwsze położenie rzeczy w Poznańskiém, na który to epizod ówczesnéj ogólnéj sytuacyi uwagę zwrócić nam teraz wypadnie.

Poznań znajdował się od miesiąca Września 1703 (2) w ręku Szwedów. Zajmowało go 500 piechoty, 100 jazdy szwedzkiéj z czterema działami pod dowództwem pułkowników Liliehöka i Weidenheima. Załoga ta trzymała jakokolwiek na wodzy szlachtę

---

(1) Załuski, *Epistolae* t. IV, list do Alexandra Salavollego z dnia 30 Lipca 1704 r., str. 347: „Postquam Varsaviae stipendium militi numeratum, pacta conscripta, tractatusque conclusus fuerit, Electus ad campum, Regina cum matre alioque feomineo sexo ibit ad locum securiorem.“

(2) Nordberg, tom I. str. 375. Adlerfeld, *Lebensgeschichte Carls des XII-ten*. Tom II.

województw poznańskiego i kaliskiego, zmuszała Śmigielskiego ograniczać się na łowieniu dowozów i pojedynczych żołnierzy szwedzkich bez właściwego niebezpieczeństwa dla politycznego panowania Szwedów i konfederacyi sandomierskiéj, jest przecież dla Augustowych stronników w Poznańskiém równoczesném hasłem energiczniejszéj nieco akcyi. Zwołany na dzień 9 Czerwca pod Kościan przez Macieja Radomickiego, generała wielkopolskiego zjazd województw poznańskiego i kaliskiego uchwalił akces do konfederacyi sandomierskiéj, protest przeciw detronizacyi Augusta i wszelkim uchwałom konfederacyi warszawskiéj, mianując zarazem marszałkiem swego związku Ludwika Szółdrskiego, chorążego poznańskiego, półkownikiem generalnym Macieja Radomickiego generała wielkopolskiego. Ponowny zjazd szlachty pod Kościanem z dnia 14 Lipca uchwalał pospolite ruszenie obu województw w myśl konfederacyi sandomierskiéj. Nowa uchwała powzięta dnia 28 Lipca w obozie pod Burzewem oddawała nowopodniesione chorągwie szlacheckie pod komendę nadciągającego z posiłkami saskiemi feldmarszałka Steinaua, w pierwszych dniach Sierpnia, wreszcie znajdujemy pospolite ruszenie obu województw w liczbie dwunastu chorągwi w obozie pod Cieślami o cztery mile na zachód od Poznania (1). W téj też to właśnie chwili dojrzała nareszcie nowa formacya skołatanéj klęskami kliszowskiemi, pułtuskiemi i toruńskiemi armii saskiéj. Udało się wreszcie staraniom Augusta, Patkula, Bosego, tajnéj rady zarządzającéj Saxonią wydobyć z kraju nową siłę, zaopatrzyć w dostateczną broń i przybory wojenne. Pod koniec Lipca wyruszyła ta armia saska nowéj formacyi w nieobecności szczęśliwéj bohatera sromoty pułtuskiéj, feldmarszałka Steinaua, pod dowództwem dzielnego Schulenburga ku granicom Polski i znalazła się około pierwszych dni Sierpnia na ziemi województwa Poznańskiego. Siła ta, składała się, jak już wyżéj powiedzieliśmy, z 18,000 ludzi i dwudziestu czterech dział. Jak za wkroczeniem do Wielkopolski Sasi dali się we znaki dziedzicznym dobrom Stanisławowym, jakie rzucili alarmy na Warszawę, jak Marsowe intencye wywoływali ze strony króla Stanisława, wiadomo nam już z powyższego opowiadania. Około połowy Sierpnia nadciągnęła armia saska w okolice Poznania i połączyła się pod Cieślami z chorągwiami pospolitego ruszenia wielkopolskiego, których cała siła składała się zaledwie

---

(1) Archiwum grodzkie poznańskie. *Liber Relationum* grodu Wschowskiego na rok 1704.

z 500 ludzi. Równocześnie jednakże właśnie, kiedy szlacheckiemu obozowi pod Cieślami nadeszła pomoc saska Schulenburga, nadciągnął w sukursie szwedzkiéj załodze Poznania, wyprawiony przez Karola z obozu błońskiego posiłek 3000 jazdy pod dowództwem generała Meyerfelda. Przedsiębierczy, rozporządzający nadto liczniejszą od nieprzyjacielskiéj siłą Schulenburg, postanowił zachwycić niespodzianie Meyerfelda, znieść go a przynajmniéj pobić, następnie uderzyć, jeśliby się udało na załogę szwedzką w Poznaniu i odebrać jéj miasto. Plan ten miał tylko doznać połowicznego powodzenia. Połączywszy się ze szlacheckiemi chorągwiami pod Cieślami, posunął Schulenburg w nocy z dnia 14 na 15 Sierpnia 1800 grenadyerów i 4 działa pod miasto Poznań. Sam puścił się za tą piechotą w 1600 jazdy, nadciągnął nad Wartę w górę miasta dnia 16 Sierpnia a nazajutrz przeprawił się przez rzekę, zbadawszy poprzednio stan obozu i sił szwedzkich. Dnia 18 Sierpnia zgromadziwszy całą swą siłę, uderzył na Szwedów tuż pod samém miastem. Chorągwiom pospolitego ruszenia wielkopolskiego, dostało się przeznaczenie zajęcia przedmieścia Chwaliszewa i mostu na Warcie. Obrona Szwedów, którym w czasie bitwy przyszła w pomoc załoga poznańska, była jednakże według własnego raportu Schulenburga dzielna. Prawe skrzydło saskie było zrazu odparte przez jazdę w kiryssach Meyerfelda. Nakoniec jednakże odniosła zwycięztwo po zaciętym boju pod samemiż murami Poznania przemagająca liczba. Schulenburg wpędził załogę szwedzką do miasta, zmusił Meyerfelda z jazdą jego do odwrotu, zdobył obóz szwedzki wraz z całym zapasem żywności, furażu i bagażami. Szwedzi stracili według rapportu saskiego do 600 ludzi w rannych i zabitych, między innymi śmiertelnie rannego, dzielnego pułkownika Taubego, 65 w jeńcach, nadto dwie chorągwie, dwa kotły i dwa działa, 3—400 koni. Sasi podają swe straty na 197 ludzi w rannych i zabitych, między którymi polegly generał Brause. Z uznania godną po obu stronach ludzkością, odesłał Schulenburg rannych oficerów szwedzkich do Poznania, Liliehök rannych oficerów saskich do obozu saskiego. Taki to był rezultat owéj bitwy pod Poznaniem dnia 18 Sierpnia, pierwszéj od czasu rozpoczęcia wojny, w któréj Szwedzi nie mogli się chlubić zwycięztwem. *Stanowczo* jednakże, choćby na tym ubocznym teatrze wojny, niczego owo spotkanie nie rozstrzygało. Meyerfeld, pobity i poszczerbiony ze swą odsieczą nie mógł prawda dotrzymać przemagającéj sile Schulenburga placu i cofnął się częścią przed nim, częścią spowodowany niedostatkiem żywności, w powolnym odwrocie ku Gnieznu, następnie ku Łowiczowi. O zdobyciu Poznania

jednakże nie można było myśleć; Liliehök i Weidenheim utrzymali się szczęśliwie w mieście, odprawili z niczém wysłanego do nich z wezwaniem poddania trębacza Schulenburga, który dnia 20 Sierpnia cofnął się do obozu pod wieś Tomice i ograniczał się odtąd na luźnéj bardzo blokadzie miasta (1). Cokolwiekbądź przecież znajdowała się załoga szwedzka jakoby w stanie uwięzienia, kraj sam w posiadaniu strategiczném i polityczném Sasów i konfederacyi kościańskiéj, Meyerfeld ze swą odsieczą w odwrocie, wszystko dostateczne powody do coraz większych kłopotów w obozie warszawskim. Nie były zaś jedynemi. Próżno wzywa prymas obecny jeszcze w Warszawie Szczukę podkanclerzego litewskiego, by przybywał do Warszawy, by pomógł układać za pośrednictwem brandeburskiém traktat pokoju ze Szwecyą, by doprowadził nareszcie do skutku „ową zgodę, bez któréj bądź to pod miecze saskie, bądź pod jarzmo carskie pójdziemy.“ Próżno odzywa się równocześnie do Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego (2), „by sprowadził na dobrą drogę w. księstwo Litewskie, aby i ta nareszcie odetchnęła prowincya, nie wyczekując Moskwy, gorszego od choroby lekarstwa.“ Milczenie odpowiada na te wołania niepewnego, nawet mimo nich, dla nowéj królewskości prymasa. Biedny Stanisław wśród złych zewsząd wiadomości osamotniony; niedość na tém, doznaje co chwila przykrości i upokorzeń ze strony obecnych w Warszawie, niby to oddanych swéj sprawie dygnitarzy. Tak np. chodzi królowi o wystąpienie dnia 15 Sierpnia marszałka w. koronnego Kazimierza Bielińskiego w uroczystości posłuchania udzielonego szlachcie województwa Płockiego. Bieliński odmawia jednakże wezwaniu Stanisława, tłómacząc odmowę swą argumentem, iż obowiązki jego urzędu rozpoczynają się dopiero od dokonanéj koronacyi królewskiéj (3). Cóż dziwnego, że wśród podobnych klęsk, upokorzeń, złych wiadomości, prawdopodobnych nagabywań ze strony ciągle obecnego jeszcze

---

(1) Szczegóły wszystkie o tym epizodzie w kampanii wielkopolskiéj Schulenburga i Meyerfelda znajdują się w Archiwum drezdeńskiém *Correspondenzen und Nachrichten* etc. Rapport Schulenburga do Augusta z Tomic, 20 Sierpnia 1704. *Nordberg* tom I, str. 485. *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 359.

(2). *Epistolae* Załuskiego, t. IV, str. 350: „Quia vero etiam in Lithuania fidem habes, ad quam mea misi Universalia, plurimum efficere poteris ad unionem, sine qua aut sub gladios Saxonicos aut sub juga ibimus Moschovitica... Ducatus Lithuaniae nequit facilius quam a te rectificari; tempus jam est, ut etiam haec reviviscat Provincia, non exspectando Moschum, medicinam morbo pejorem.“

(3) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 366.

Alexandra Sobieskiego, Stanisław tracił głowę, że biadał nad swą błyszczącą nędzą, że nasyłał swego zagłębionego w awanturę ruską protektora skargami i listami, w których pisał, „iż woli nie nosić korony, aniżeli znosić położenie tak szkodliwe i upokarzające?“ (1). Trwał ten stan rzeczy w Warszawie aż pod koniec miesiąca Sierpnia; byłby prawodopodobnie wśród kłopotów i złowrogich widoków, ale ze względnym *materyalnym* dla *osób* spokojem ciągnął się daléj, gdyby nagle i niespodzianie na wielkim teatrze owéj mało-krwawéj wojny, nie były zaszły wypadki, które mu w przeciągu kilku dni miały położyć koniec i spowodować nową zmianę wojennéj i politycznéj sytuacyi. W interesie ich opisu wypadnie nam powrócić na widownią ruską, na któréj jednym krańcu pozostawiliśmy w połowie miesiąca Sierpnia goniącego za Augustem Karola, na któréj drugim widzieliśmy nie mogącego być dogonionym przez Karola, Augusta.

Dnia 16 Sierpnia zostawiliśmy Karola w Jarosławiu, dnia 18 Sierpnia Augusta wśród słoty i deszczów pod murami klasztoru sokalskiego. Plan Karola, by uchwycić umykającego ciągle Augusta, chybił najzupełniéj: o doścignieniu go nie było mowy. Sam Karol stracił wszelką tego nadzieję. Odpowiednio jednakże narzucało się samą naturą rzeczy natarczywie pytanie, co daléj robić w podobném położeniu, po tak niepotrzebném zagłębieniu się w kraj i widownią obcą głównemu teatrowi wojny? Mimo, że August w odległym od stanowisk armii szwedzkiéj Sokalu mógł sobie bezpiecznie żartować ze wszelkich gonitw i pościgów swego groźnego przeciwnika, panowało jednakże do ostatniéj chwili jeszcze w obozie szwedzkim pod Jarosławiem przekonanie, że Karol puści się za Sasem. Rzeczywiście, był też to jeszcze jak na ówczesne okoliczności plan najnaturalniejszy i najpożądańszy. Nie ręczyło wprawdzie nic za możność doścignienia Augusta, ale była przynajmniéj w takim razie pewność, że mu się nie da spocząć i zatrzymać, a nadewszystko, iż mu się nie da sposobności wykonania złośliwego i szkodliwego zamachu, jakim ów epizod kampanii świetnie uwieńczył. Stało się tymczasem, jak często bardzo w zawodzie wojennym Karola XII, wbrew przeciwnie wszelkim kombinacyom i przewidywaniom, W ciągu dwutygodniowego owego blizko pod Jarosławiem pobytu, wyprawił Karol w przedniéj straży pod Lwów wypróbowaną swą szrubę kontrybucyjną, znanego w roli umiejętnego i sprawnego zdziercy Rusi Magnusa

(1) Nordberg, tom I, str. 484.

Stenbocka. Zadaniem Stenbocka było ściągnąć ze stolicy i okolicznego kraju kontrybucyą i żywność. Dowódcą załogi lwowskiéj był Gałecki, wojewoda kaliski, jeden z najwierniejszych zwolenników Augustowéj sprawy, nienawistny osobiście Karolowi z powodu udziału, jaki mu przypisywał w zaczepieniu Szwecyi przez Augusta, plackomendantem miasta Kamieński. Gałecki spodziewał się co chwila posiłków kozackich Mazepy, August był w Sokalu. Czuwał nadto nad miastem z kilkutysięczną siłą Stanisław Rzewuski referendarz koronny i Janusz ks. Wiśniowiecki. Ufny w bezpieczeństwo swego położenia, dał Gałecki odmowną odpowiedź na wezwanie Stenbocka a podobno rzucił nawet o ziemię i podeptał list jego. Kłopot, jak się zdaje, co właściwie dalej robić w połączeniu z rozdraźnieniem osobistém przeciw wojewodzie kaliskiemu, spowodował Karola do nagłego marszu na Lwów ku prawdziwemu przerażeniu jego otoczenia, któremu szkodliwość i zgubność podobnego ruchu nie była tajna. Pozostawiwszy Renskiölda z sześciu półkami jazdy i sześciu półkami piechoty, razem 10,000 ludzi, w tylnéj straży, dźwignął się tedy Karol dnia 30 Sierpnia z obozu swego jarosławskiego. Dnia 31 Sierpnia znajdujemy go w Zaleskiéj Woli, gdzie pozostawia artyleryą i piechotę. Przez 1, 2 i 3 Września posuwa się z samą jazdą tylko i dragonami na Krakowiec, Jaworów do Nowego Jazowa. Za przybyciem dodaje mu nowéj ostrogi obawa, by czasem przed jego nadejściem, nie przybyły pod Lwów zapowiedziane posiłki Mazepy. Pozostawia więc bagaże pod zasłoną trochy jazdy i rusza wśród słotnéj pory, po nieznanych drogach, wśród niedostatku żywności przez 4 Września ku miastu. Dnia 5 Września znajduje się Karol w obliczu stolicy Czerwonéj Rusi, na wzgórzach ją otaczających. Referendarz koronny Rzewuski i Janusz Wiśniowiecki ukazują swą jazdę zdala, nad horyzontem, ale za zbliżeniem się Szwedów znikają bezpowrotnie, dając zaledwie ślad swéj obecności kilku nieszkodliwemi z powodu zbytniéj odległości przeciw nieprzyjacielowi strzałami. Gałecki rozporządzając załogą, zaledwie kilkaset ludzi liczącą, wziął się przecież według możności do spełnienia obowiązku obrony, którą mu zresztą nadesłane króla Augusta z Sokala instrukcye najwyraźniéj nakazywały. Spalił przedmieścia, osadził działami mury miasta, przylegające do nich klasztory, i czekał w podobném przygotowaniu nadejścia Szwedów. Rano dnia 5 Września ukazali się, jak dopiero co powiedziano, pod murami miasta, w obrębie miasta. w obrębie doniosłości strzałów. Karol sam zbliżył się pod nie, według swego zwyczaju w towarzystwie nieodstępnego od swego boku młodego księcia Emmanuela wir-

temberskiego, pazia Klinkowströma i kilku innych oficerów. Ogień idący z murów i z okien klasztornych ranił mocno w bok adjutanta królewskiego, generała Heilma, położył trupem dwóch innych oficerów z orszaku Karola. Mimo to ciągnął król swój rekonesansowy objazd daléj, i nakazał wieczorem poczynić na dzień następny wszelkie przygotowania do szturmu. Z brzaskiem jutrzenki 6 Września rzucili się Szwedzi ze zwykłym okrzykiem: *Za pomocą Boga!* na mury i okopy miasta.. Ogień załogi był silny, ale dzięki niewprawności i nieumiejętności rąk nim kierujących, mało nieprzyjacielowi szkodliwy. Karol, książę wirtemberski, pułkownicy Buchwald, Duckert, Krassau, wyuczeni dnia poprzedniego przez samegoż króla posługiwania się ręcznemi granatami dragoni, puścili się pędem na utwierdzenia miejskie, mimo gęstych strzałów. Napróżno usiłował pułkownik Duckert zwrócić Karola z niebezpiecznego miejsca. „Nie“—odpowiedział,—„zostanę z moimi żołnierzami. Jeżeli wam zależy na sławie narodu szwedzkiego, chodzi *mnie* o nią témbardziéj, mnie, królowi szwedzkiemu!“ Zagrzani widokiem podobnego męztwa, dragoni szwedzcy przełamali wszelki opór, wdarli się przez okopy i powywracane palisady do miasta i zajęli je po krótkim, bezkrwawym właściwie boju. Najdłużéj broniła się załoga klasztoru Franciszkańskiego, lecz i tu udało się przełamać obronę pułkownikowi Duckertowi. Gałecki, generał saski Berends, plackomendant miasta Kamieński, ukryci początkowo po różnych kątach, dostali się jeden po drugim w ręce Szwedów. Arsenał miejski z bronią, amunicyą, stu kilkudziesięciu działami stał się również ich zdobyczą. Zwycięzcy żołnierze chcieli zrazu miasto rabować; surowy rozkaz Karola powstrzymał jednakże rabunek. Strata załogi była niewielka; ograniczała się na sześćdziesięciu kilku rannych i zabitych. Szwedzi stracili zaledwie kilkunastu ludzi; między rannymi znajdował się jeden z głównych bohaterów zwycięzkiego dnia, pułkownik Krassau. Dnia następnego wyruszył Karol z miasta i rozłożył się obozem w pobliżu jego murów, aby być gotowym na możliwy odwet bądź to Mazepy, bądź referendarza koronnego. Tak więc odniósł król szwedzki nowe zwycięztwo, znalazł się w posiadaniu stolicy Czerwonéj Rusi, nabytku równie świetnego dla wyobraźni, jak szkodliwego w rzeczywistości. Oczywisty, dotykalny owéj szkodliwości dowód znalazł się w obecności Karola w saméj niemal chwili rozpoczynającego się na Lwów szturmu. Właśnie gdy się doń zabierał,—stanął w jego obozie wyprawiony jako kuryer z listami Stanisława, pułkownik Poniatowski, przywożąc wiadomości o wypadkach warszawskich. Stanął jako zwiastun i dotykalny we własnéj osobie do-

wód tragikomicznéj katastrofy, jaka w chwili istnie danajskiego podarku tryumfu lwowskiego, spotkała dzieło Karolowe na innéj widowni. Biedny Stanisław przesyłając w podobnéj chwili wiadomość do obozu szwedzkiego o własnéj klęsce, stał się przynajmniéj opiekunem i rzecznikiem zagrożonych mieszczan lwowskich, z których „*galantomo*, ale okrutny zdzierca Stenbock“ zabierał się już ściągać olbrzymią kontrybucyą 300,000 talarów... Karol pochwycił tedy dnia 6 Września Lwów i nienawistnego sobie osobiście wojewodę kaliskiego. Zobaczmy, jakim mu się tegoż samego dnia nieledwie odwdzięczył August figlem, i co znaczyło niespodziane i zagadkowe pojawienie się Stanisławowego wysłańca w obozie szwedzkim na dalekiéj od widowni jego młodego królowania Czerwonéj Rusi (1)

Około dnia 18 Sierpnia, jak wspomnieliśmy wyżéj, nadciągnął August wśród panujących ciągle dotąd słot i deszczów pod mury klasztoru sokalskiego z samą tylko jazdą, zasłoniony od niekoniecznie prawdopodobnego zresztą pościgu szwedzkiego oddziałem referendarza koronnego. Wkrótce nadeszła za nim reszta siły. Dnia 19 Sierpnia liczył w Sokalu 5,000 żołnierza niemieckiego, tyleż piechoty carskiéj, 4,000 Kozaków, 120 chorągwi koronnych i litewskich (2). Tegoż samego dnia jeszcze nastąpił wymarsz do Kryłowa, 20 do Dubienki, nazajutrz ruch ku Chełmowi (3). Dotąd nosi jeszcze na sobie pochód królewski ów charakter dotychczasowéj niepewności, na którą się Patkul tylokrotnie skarżył, widocznéj chęci tylko umykania przed pościgiem szwedzkim. W Chełmie, jak się zdaje, odbyła się rada wojenna, która miała zmienić postać rzeczy i nadać téj zbrojnéj wędrówce praktyczny, świadomy siebie wojennie i politycznie cel. Karol zagrząził na Rusi i zawziął się widocznie na Lwów, był zbyt daleko, aby pościg jego już teraz mógł być niebezpiecznym. Natomiast przedstawiała słabo obsadzona Warszawa z kilkuset Szwedami, z chwiejącą się w wierności dywizyą wojska koronnego, ze swymi dyplomatami szwedzkimi, z królem Stanisławem, Benedyktem Sapiehą,

---

(1) *Listy rodziny Sobieskich*, wydane przez Zygmunta Antoniego Helcla. List Pipera do króla Stanisława z obozu pod Lwowem 12 Września 1704. Szczegóły wzięcia Lwowa. Nordberg, tom I, str. 487—491.

(2) Archiwum kopenhazkie. Raport Menschena z Maciejowic 28 Sierpnia 1704: „5000 hommes des troupes allemandes, autant d'infanterie moscovite, 4000 Cosaques, 120 étendards de la Couronne et de la Lithuanie assez faibles.“

(3) Archiwum drezdeńskie. Correspondenzen und Nachrichten etc. Raport z Ujazdowa, 31 Sierpnia 1704.

prymasem, Alexandrem Sobieskim, Broniszem, biskupem Poznańskim, z całym przyborem nowéj królewskości i z całą śmietaną konfederacyi warszawskiéj, równie łatwą jak ponętną zdobycz. Karol brał Lwów, należało mu się odwdzięczyć Warszawą. Karol pochwycił wojewodę kaliskiego, należy mu się odwdzięczyć pochwyceniem Leszczyńskiego, rozbiciem w proch konfederacyi warszawskiéj, wywrotem dzieła z dnia 12 Lipca. Wśród podobnéj sytuacyi i pod wpływem podobnych usposobień zapadł tedy dnia 22 Sierpnia (1) w Chełmie, w obozie Augustowym, plan zamachu na Warszawę, plan niewątpliwie najpraktyczniejszy strategicznie, najzłośliwszy, jeśli tak wolno powiedzieć, politycznie, na jaki się zdobyć było można. Trzeba jednakże było w wykonaniu jego energii i pośpiechu. Szczęśliwym wyjątkiem, nie zbywało akcyi Augustowéj w tym epizodzie kampanii i na *tych* przymiotach. Carską piechotę, jako powolną w marszu, odesłał August ku Brześciowi Litewskiemu z rozkazem zwrotu ku Warszawie we wskazanéj chwili (2). Sam, rozporządzając siłą około 10,000 ludzi i dwudziestu kilku działami, zwraca się ku Parczowowi. Tutaj dzieli swe siły, pozostawia dzielnemu i sprawnemu Brandtowi zastęp 1,000 jazdy z rozkazem posuwania się ku Warszawie po prawym brzegu Wisły (3); sam z główną siłą zdąża pośpiesznemi marszami wskroś Lubelskiego ku przeprawie na jéj brzeg lewy. Raport sekretarza ambassady duńskiéj, obecnego całemu temu pochodowi Augusta, Menschena, z dnia 23 Sierpnia donosi, iż obóz królewski znajduje się już tylko o 22 mile od Warszawy. Dnia 28 Sierpnia przybywa armia królewska rano do Maciejowic i odbywa szczęśliwie przeprawę na lewy brzeg Wisły. Gdy tak z jednéj strony August,— posuwa się równocześnie i równolegle Brandt z drugiéj ku Warszawie. Obaj znajdują się 27 i 28 Sierpnia zaledwie o 10 mil od stolicy. Nietrudno wyobrazić sobie, jaki alarm rzuciły tutaj wiadomości o odwetowym zamachu króla Augusta, o posuwaniu się, o zapowiadających się z każdą godziną odwiedzinach Augustowych Sasów, Brandtowych Kozaków. Nie tracąc głowy, można było jednakże pomyśleć o środkach ratunku; przedstawiała się zaś pod tym względem alternatywa następna: Stawić śmiało czoło nadciągającéj burzy nie było niepodobieństwem, zaręczało nawet pe-

(1) Tamże.

(2) Tamże.

(3) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenzen etc. Raporta z 28 Sierpnia z Maciejowic, 31 Września 1704 z Warszawy.

wne widoki powodzenia. W Warszawie saméj było 1,200 dzielnego, wypróbowanego żołnierza szwedzkiego, w obozie pod Białołęką stała sześciotysięczna dywizya wojska koronnego, oboźnego i podkomorzego Lubomirskich; w Łowiczu nareszcie znalazł się z poszczerbioną wprawdzie w niefortunnéj wyprawie wielkopolskiéj, ale nie zniszczoną przecież, trzechtysięczną jazdą generał Meyerfeld (1). Szybkie zgromadzenie tych sił w Warszawie lub pod Warszawą z postanowieniem szczerém zajrzenia nieprzyjacielowi w oczy, mogło jeszcze bardzo łatwo zamącić Augustową radość, udaremnić pewny już w przekonaniu królewskiego obozu tryumf. Dziesięć tysięcy blizko ludzi mogło w Warszawie saméj zmierzyć się nie bez widoków zwycięztwa z mało co większą siłą Augusta. Z drugiéj strony przedstawiał się plan skromniejszy, ale udaremniający w razie niewątpliwéj możności wykonania również mściwe intencye zamachu Augustowego na Warszawę. Można było stolicę opuścić, wyprowadzić z niéj żołnierza szwedzkiego, króla Stanisława, dygnitarzy, bohaterów konfederacyi, pozostawić Augustowi puste miasto, nie dostarczać mu sposobności taniego tryumfu, podążyć pod zasłoną Meyerfelda do otwartego jeszcze Łowicza i puścić się wraz z nim ku armii Karola. Pościg króla Augusta nie był w takim razie ani wykonalny, ani możliwy. Tymczasem nie zdobyto się w Warszawie, tracąc najzupełniéj głowę, ani na jedno, ani na drugie, lecz obrano najzgubniejszą w takich razach drogę pośrednią. Meyerfelda pozostawiono najspokojniéj w Łowiczu, nie kusząc się wcale o ściągnienie go do Warszawy. Równocześnie wyprawiono najniepotrzebniéj z Warszawy aż ku Latowiczowi w celu sprowadzenia poczynającéj zbywać żywności majora Lejonhielma z 400 piechoty i 54 jeźdzców. Dnia 27 Sierpnia, właśnie w ten sam dzień, w którym król August zbliżał się do przeprawy maciejowickiéj, znalazł się Lejonhielm w obliczu 3,000 przeszło Kozaków i Sasów generała Brandta. O odwrocie nie można było myśleć z powodu piechoty. Major szwedzki zamknął się więc na cmentarzu miasteczka i postanowił się bronić przemagającéj sile. Rezultat walki nie mógł być jednakże wątpliwym. Szwedzi ulegli liczbie i byli zmuszeni złożyć broń. Strata saska w tém spotkaniu nie przenosiła podobno 25 ludzi w rannych i zabitych. Brandt przyjął Lejonhielma grzecz-

---

(1) Nordberg, T. I, str. 487. „La disette de fourage et de vivres obligea ensuite Monsieur de Meyerfeldt de décamper de Posnanie pour se rendre à Łęczyca. Il prit sa route par Gnèsne à Łowicz, ou il trauva le Cardinal Primat qui partit pour Dantzick et qu'il escorta jusqu'a Thorn."

nie i winszował mu nawet po rycersku walecznéj obrony, co przecież nie przeszkodziło, iż rozdraźnieni walką, trudni do utrzymania w karbach dyscypliny wojskowéj Kozacy, już po skończonym boju wymordowali większą połowę składających broń Szwedów (1). Ubytek tych kilkuset walecznych ludzi nie był dla obrony Warszawy obojętnym; miał się jednakże odbić stokroć gorzéj jeszcze następstwami moralnemi. Na wieść o klęsce Lejonhielma pod Latowiczem, postanowił Horn teraz bardzo już po niewczasie wyruszyć z całą załogą i dywizyą wojska koronnego na nieprzyjaciela i stoczyć z nim walkę w otwartém polu. Przed klęską latowicką i przy obecności Meyerfelda, był może plan podobny niezupełnie niewykonalnym. Teraz jednakże podniosła zaraz głowę chwiejność w. hetmana koronnego przeciw Stanisławowi w ten sam niemal sposób, w jaki dwa lata temu na polu bitwy kliszowskiéj przeciw Augustowi. Ruszony przez wojewodę malborskiego, przez wojewodzinę poznańską Małachowską, przez posła duńskiego Jessena, Lubomirski tkwił wprawdzie chwilowo w obozie Stanisławowym, ale nie miał zamiaru poświęcać się dla niego.

W obec marszowych intencyi Horna, którym i Stanisław nie mając nic lepszego do roboty przytakiwał, wzdrygnął tylko ramionami i odpowiedział, że nie może być mowy o stoczeniu bitwy przez wojsko, na którego wierność liczyć nie ma powodu. Mimo to wybrali się przecież Stanisław i w. hetman koronny ku Latowiczowi, niby to na spotkanie zwycięzkiego Brandta. Było to dnia 28 Sierpnia. Zamiast jednakże do walki, przyszło między obu stronami do negocyacyi w nocy z dnia 28 na 29 Sierpnia. W. hetman koronny wyprawił do Brandta synowca swego oboźnego koronnego z wezwaniem, aby jako generał w służbie Rzeczypospolitéj z nim się połączył. Brandt odpowiedział, że złożywszy Augustowi przysięgę na wierność, łączyć się z hetmanem nie może, ale że niezaczepiony sam, nic przeciw niemu nie przedsięweźmie. Obie strony zgodziły się na projektowany kompromis, „Pozwól mi spokojnie pójść do Warszawy,“ zażądał Brandt; „pozwól nam się usunąć spokojnie z dywizyą naszą w Lubelskie,“ odpowiedzieli Lubomirscy, a na tych warunkach stanęła zgoda, którą obecny w obozie król Stanisław zrozumiał dobrze i czemprędzéj do Warszawy umknął (2). W obec podobnego figla Lubomirskich, nie było już teraz, dnia 29 Sierpnia, istotnie nic lepszego do roboty, jak zapakować czémprędzéj manatki całéj załodze szwedz-

(1) Nordberg, tom I, str. 491.
(1) Tamże, str. 492.

kiéj w Warszawie i wyruszyć ku Łowiczowi. Tymczasem stało się raz jeszcze inaczéj. Prymas, Alexander Sobieski, poprzednio już Bronisz, Benedykt Sapieha, sam Stanisław z rodziną, matką, żoną, maleńką córeczką czmychnęli coprędzéj pod zasłoną trochę jazdy szwedzkiéj pod wieczór dnia 29 Sierpnia ku Łowiczowi (1), zkąd prócz Stanisława Meyerfeld całą tę emigracyą do Pruss eskortował. Stanisław wyruszywszy z Warszawy, towarzyszył aż do Łowicza téj wędrówce, następnie wyprawił z listem do króla o wypadkach warszawskich Stanisława Poniatowskiego, zwrócił się sam ku Wiśle, przeprawił się na jéj prawy brzeg w okolicy Kazimierza i podążył czémprędzéj przez Lublin ku armii szwedzkiéj pod Lwów. Horn natomiast postanowił z całą kancellaryą dyplomatyczną, z całą załogą szwedzką liczącą zaledwie tysiąc kilkaset ludzi, z niektórymi co więcéj skompromitowanymi bohaterami konfederacyi warszawskiéj i aktu z dnia 12 Lipca, niewiadomo dobrze w jakim celu, pozostać na miejscu i doczekać nadciągającéj burzy. Jeśli się mocno nie mylimy, wpłynęły na podobne postanowienia dwie osobistości: Maciéj Gębicki starosta nakielski, główny bohater pola elekcyjnego w dniu 12 Lipca, i Mikołaj Święcicki biskup poznański, właściwy wyniesienia Stanisławowego autor. Znany nam po trosze Gębicki jako rębacz obozu i sprawy Stanisławowéj; mniéj może znany Mikołaj Święcicki biskup poznański. Osobistość to nierzadka w annalach średniowiecznych, w wieku XVIII już anachroniczna, dygnitarz kościelny z szyszakiem na głowie, z pancerzem na piersiach, z drabiną szturmową w ręku pod murami oblężonego miasta. Sama wieść pochodu Brandta i Augusta wyprzątnęła jak wiatr plewy, Warszawę z całego dygnitarstwa konfederacyi, z całéj opozycycyi anti-Augustowéj. Nawet młody król Stanisław nie widział powodu wystawiać swéj osoby i korony na niepewne próby marsowego spotkania. Inaczéj waleczny biskup poznański, nie strateg żaden, ale mąż osobistéj nieustraszoności, jakich przykładów mało. Karol miał, jak się zdaje, sposobność poznać go dobrze. Rozstając się z nim w chwili wymarszu na wyprawę ruską, dał mu w prezencie, jemu biskupowi, nie brewiarz, ani paciorki, ale—*parę pistoletów* (2). Biskup okazał się tego poda-

---

(1) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenzen etc. Raport z Ujazdowa 31 Sierpnia 1704. *Monumenta historica Poloniae*, Romae, 1864, Augustyna Theinera, Tom IV str. 31: „e del principe Alessandro che l'accompagnava.“

(2) Monumenta Theinera IV. 32: „Il vescovo di Posnania im luogo di partire come haveva fatto il Cardinale, li sudeti palatini confederati, il neo-eletto e sua madre

runku bohatera Szwecyi godnym. Że szpadą przy boku, z Karolowemi pistoletami za pasem, pijąc raz poraz ze Szwedami i dodając im odwagi, zagrzewał ich do jak najenergiczniejszego oporu (1), odnalazł zapomnianych w zamkowym kącie pięć działek, rozstawił je ku obronie zamku, stał się wraz z Gębickim prawdziwą jéj duszą. W takim stanie były rzeczy rano dnia 30 Sierpnia. Wiele czasu do przygotowań obronnych nie pozostawało; czynił jednakże Horn jeszcze, co się wśród podobnych okoliczności robić dało. Nakazał zamknąć i zatarasować bramy miasta, zaopatrzyć się mieszkańcom na sześć tygodni w żywność, a zarazem oddać wzzelką broń. Na takich rozporządzeniach zszedł dzień 30 Sierpnia. Rano w niedzielę, dnia 31 Sierpnia, okolo godziny 9-téj, pojawił się w przedniéj straży od Ujazdowa sam król August z jazdą saską i kilku chorągwiami wołoskiemi. Nie zatrzymując się, wkroczył natychmiast do miasta i założył główną kwaterę w pałacu Radziwiłłowskim. Horn za słaby, by mu stawiać opór, cofnął się na zamek i postanowił bronić się tutaj. Wkrótce, w ciągu tegoż samego dnia nadciągnęła reszta Augustowéj armii wraz z artylleryą. Z prawego brzegu Wisły, na Pradze, pokazała się wieczorem jazda Brandta, nie mogąc się jednakże z powodu zerwanego mostu połączyć z Augustem. Miasto było przerażone niespodzianą wizytą, tembardziéj, że Kozacy i Wołosi królewskiego wojska ostrzyli zęby na rabunek, a królowi z trudnością tylko udało ich się powstrzymać od podobnéj zabawy. Nie pozostawało nic innego, jak wydać im przynajmniéj na łup i zniszczenie własność i pałace pogniewanych najwięcéj z królem dygnitarzy i bohaterów konfederacyi. Pałace Leszczyńskiego, prymasa, hetmana w. koronnego zostały przez Kozaków i Wołochów doszczętnie zrabowane i spustoszone. Wszelki znajdujący się w nich sprzęt, wina, żywność, kosztowności zostały zrabowane, drzwi, okna, piece potłuczone i powyłamywane. Dwóch małoletnich synów w. hetmana koronnego, uczniów warszawskiego kollegium jezuickiego spowadzono królowi Augustowi do pałacu Radziwiłłowskiego jako zakładników. Magistrat warszawski patrząc na to, co się dzieje, pospieszył składać Augustowi oświadczenia czo-

---

e moglie, volse restar in città ed usando le sue solit leggierezze si fece vedere armato con spada e due pistole al fianco, quelle nomi medeme gia donatelli doppo la faatt nominazione dal Re di Succia."

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str. 369. „Episcopus Posnaniensis habitoi pridie consilio cum generali Horn inter manducandum et bibendum suasit defension omnimodo incumbendum."

łobitności i tłómaczyć swe dotychczasowe postępowanie przymusem siły nieprzyjacielskiéj. Tymczasem nie ustawały ze strony Horna i biskupa poznańskiego mimo podobnych postępów nieprzyjaciela intencye obrony. Znajdowali się jeszcze w posiadaniu jakokolwiek utwierdzonego zamku i Nowego Miasta. Brandt nie mógł być szkodliwym chwilowo, ponieważ, jak co dopiero powiedziano, most na Wiśle był zerwany a ustawiona przezeń na Pradze baterya nie mogła z powodu zbytniéj odległości sięgać swemi strzałami zamku. Tak przeszła noc z 31 Sierpnia na 1 Września. Rano w poniedziałek posłał August trębacza do Horna z wezwanien poddania zamku; odebrał jednakże odmowną odpowiedź. Zaczęła się tedy obustronna, niekoniecznie szkodliwa kanonada, która trwała przez poniedziałek i wtorek dnia 2 Września. Biskup poznański obsługując według możności pięć działek zamkowych, przeszkadzał, ile się dało, restauracyi mostu i przeprawie Brandta; strzały idące przeciw zamkowi raniły między innymi Gębickiego starostę nakielskiego. Dnia 3 Września rano jednakże przeprawił się nareszcie Brandt wraz z całą swą jazdą przez Wisłę; Horn opuścił w skutek tego zupełnie miasto i zamknął się w zamku, August zaś podsunął się podeń, kazał zająć przyległe domy i rozpocząć ogień na krótką donioslość tak z ośmiu dział, jak z broni ręcznéj. Prócz tego kazał zwieźć pod zamek materyały palne, aby puścić nieprzyjaciela z dymem, jeśli nie złoży broni. W skutek tego zażądał Horn, widząc niepodobieństwo skutecznéj obrony, sam wieczorem dnia 3 Września kapitulacyi. Ofiarował się poddać zamek i wyjść sam z załogą na otwarte pole w celu połączenia się z armią króla szwedzkiego. Łatwo pojąć, że August propozycyą podobną odrzucił, domagając się zdania na łaskę i niełaskę. Wśród tego przeminęła znów noc z 3 na 4 Września. Rano dnia tego udał się do Horna umocowany przez Augusta do prowadzenia układów kapitulacyjnych generał Brandt. Kapitulacya przyszła nareszcie do skutku. Horn zdawał się na łaskę i niełaskę, oddawał całą załogę bez wyjątku w niewolę, zyskał zaś tyle tylko, iż oficerowie zatrzymywali broń, a stary Wachslager, poddany Rzeczypospolitéj, Toruńczyk rodem, miał być traktowany nie jako przeniewierczy więzień stanu, lecz jako jeniec wojenny. Dla walecznego biskupa poznańskiego nie mógł czy nie chciał Horn podobnego warunku wytargować. Uroczysta ceremonia saméj kapitulacyi odbyła się rano dnia 4 Września we czwartek. Stanął król August w otoczeniu oficerów swéj armii uszykowanéj w szeregi naprzeciw bramy zamkowéj, która na dany znak się otworzyła. Nasamprzód wyjechał konno gene-

załoga zamku. Horn, Wachslager i Palenberg na widok króla, zsiedli czémprędzéj z koni, zbliżyli się doń pieszo i złożyli mu głęboki ukłon, na który August uchyleniem kapelusza odpowiedział. Następnie zaprosił król wszystkich oficerów szwedzkich, stosownie do rycerskiego obyczaju ówczesnego prowadzenia wojen, na sutą ucztę do pałacu Radziwiłłowskiego. Względność jego posunęła się przy téj sposobności do tego stopnia, że dał Hornowi na słowo urlop, pozwolił mu udać się do obozu szwedzkiego Karola pod Lwów, a stawić się na połowę miesiąca Października do Lipska (1). Inaczéj całkiem znalazł się traktowanym biskup poznański, o którym szlachecki pamiętnikopisarz Otwinowski powiada, że „miał ręce po łokcie prochem uczernione i brwi, a także włosy na głowie poopalane, bo sam armaty nabijał i strzelał.“ Biskupowi nie było wolno wyjść z zamku na powitanie króla; pozostał w jego murach jako więzień silnie strzeżony. Liczba jeńców, którzy się dostali w ręce Augusta, wynosiła ogółęm 949 ludzi, 72 niższych oficerów, 821 prostych żołnierzy szwedzkich, reszta Polacy i Wołosi z gwardyi Stanislawa. Maciéj Gębicki starosta nakielski leżał ranny w zamku (2). Po zwycięztwie warszawskiém pozostał tylko August trzy dni na miejscu. 8 Września wyruszył przez Pragę na prawy brzeg Wisły i puścił się traktem płockim; 12 stanął w Kamieniu, 18 w Wyszogrodzie, wlokąc za sobą jako trofeje szturmu warszawskiego biskupa poznańskiego, którego instancye Załuskiego w. kanclerza koronnego na wolność wydobyć nie zdołały, a którego nuncyusz Spada i audytor jego Vanni Augustowi na więzienie do Saxonii z dalszém przeznaczeniem do Rzymu wywieźć pozwolili (3).

Otoż przebieg dwumiesięcznych niespełna od czasu elekcyi Leszczyńskiego wypadków, których kulminacyjną chwilą jest szczęśliwie wykonany zamach króla Augusta na Warszawę. Zamach ten, zasłużona kara nieoględnych i awanturniczych przedsięwzięć Karola, dowodził zupełnéj nieudolności króla szwedzkiego w przeprowadzeniu podjętego przezeń w Polsce dzieła. Podobnie jak na

---

(1) Szczegóły wzięcia Warszawy: Załuski, *Epistolae* tom IV, str, 367—371. Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenzen. Rapport z Warszawy 6 Września z Kamieńca 15 Września 1704, Nordberg, tom. I str. 493.

(2) Dzieje panowania Augusta II, przez Erazma Otwinowskiego, Kraków 1846, stron, 71.

(3) Archiwum drezdeńskie. Nachrichten und Correspondenz. Rapport z Kamieńca 15 Września 1704.

(4) *Epistolae* Załuskiego, tom IV, str, 377.

wielkiéj widowni wojennéj poświęcił nadbaltyckie prowincye i interes Szwecyi mściwéj pokusie odwetu na Auguście, tak znów na podrzędnéj już dla interesu politycznego Szwecyi widowni polskiéj, poświęcił trwałość wzniesionéj przez się królewskości Stanisława wojennéj pokusie, która go ciągnęła na awanturniczą wyprawę ruską. August skorzystał z podobnego błędu przeciwnika, pozwolił mu zagrzęznąć w dalekiéj Rusi, tymczasem rozpędził na cztery wiatry konfederacyą warszawską, opanował stolicę, zyskał możność połączenia się z posiłkami carskiemi i saskiemi, wykazał całą nicość Stanisławowéj królewskości, podniósł swą sprawę w obliczu niewierzącéj już gwieździe jego dyplomacyi europejskiéj. Chwiejne żywioły polskie zaczęły się na nowo ku niemu zwracać. Źródła późniejszego do sprawy królewskiéj akcesu w. hetmana koronnego Lubomirskiego należy szukać w owym szczęśliwym zamachu warszawskim. Mimo to nie należy przeceniać jego wagi. Na prawdę i stanowczo niczego nie decydował. Karol znajdował się w posiadaniu Lwowa z nietkniętą armią, którą trzeba było zwyciężyć, nimby pomyśleć było można o bezpiecznym wypoczynku. Zamiast bohaterów konfederacyi warszawskiéj i samego króla Stanisława, udało się Augustowi pochwycić w ciepłém ich jeszcze gnieździe małego właściwie znaczenia osobistości, jakiemi byli biskup poznański i starosta Gębicki. Słowem, mógł być złośliwy i przykry figiel spłatany Karolowi przez zamach warszawski, ale o losie wojny nie decydował. Przeciwnie, stał się znów tylko hasłem nowych „mijanych tańców obu królów," by się posłużyć malowniczą terminologią Otwinowskiego. Karol zerwie się na wieść o zwycięztwie Augustowém ku Warszawie, August umknie mu się nasamprzód w Płockie, ruszy następnie w Krakowskie, by przeciwnika przepuścić spokojnie na odwet poniecki w Poznańskie. Ofiarą pada kraj palony, niszczony, zdzierany kontrybucyami, kraj, którego łatwowierna szlachta goni za pokojem jak wędrowiec piaszczystéj pustyni za ułudném jeziorem, a nie umiejąc *dogodzić* sforną i jednolitą działalnością, rozbijając się na konfederacye i konfederacyjki, na akcesa i odstępstwa—wtrąca siebie i Rzeczpospolitą w coraz bezdenniejszą, w coraz mętniejszą i chaotyczniejszą przepaść wojenną. Opowiadanie jéj smutnych dziejów przekracza już jednakże zakres peryodu poelekcyjnego, którego sukces wojenny i polityczny streszcza się w zamachu króla Augusta na Warszawę z dnia 4 Września 1704 roku.

INDYANIE PÓŁNOCNÉJ AMERYKI

przez

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

Zarówno język etnografii jak i powszechnego mniemania zwykł wszystkie ludy pierwotne nazywać dzikiemi. Początek téj, nazwy sięga tych czasów, kiedy ciekawość Europy w braku ścisłych badań zadawalać się musiała plotkami kupców i marynarzy lub przesadnemi improwizacyami podróżników. Gałeczka śniegu stoczona z góry, oblepiwszy się w biegu—spada na dół wielką bryłą. W ten sam sposób rośnie każda pogłoska. Gdy załoga okrętu spostrzegła nad brzegiem morza czerwoną, czarną lub wzorzystą postać człowieka, który nago przewijał się między krzewami lub wdrapywał na drzewo po owoce, i gdy o tém ze zmienioną trochę prawdą opowiedziała wróciwszy do ojczyzny wieść ta niedługo potrzebowała przebiegać z ust do ust, ażeby z niéj urosło doniesienie, że gdzieś tam ludzie żyją osobnikiem, jak wilki w zaroślach lub małpy na drzewach. Nie należy się zaś dziwić zbyt pospiesznym wnioskom, jakie wyciąga z przelotnego spostrzeżenia prosty okrętowy majtek, gdyż na téj drodze potknęli się wszyscy missyonarze i wielu głębokich uczonych! chociaż nieraz długo przebywali pośród „dzikich.“ Ileż poważnych świadectw etnografia musiała unieważnić lub sprostować Myliłby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że na błędy tych świadectw składała się tylko lekkomyślność z fałszerstwem. Bynajmniéj. Pominąwszy rzeczywiście zdarzające się sądy pospieszne lub na zmyślonych dla sensacyi faktach oparte, zwykłym powodem ich omyłek jest z jednéj strony trudność zebrania dostatecznéj ilości dowodów, z drugiéj istotnie wielka różnica życia ludów pierwotnych od naszego. Jeśli jakiś missyonarz lub po-

dróżnik, nawykły do widoków społecznego uporządkowania i cywilizacyi narodów europejskich, znajdzie się nagle między Buszmanami lub Australczykami i spostrzeże ich ustawiczne przesuwanie się z miejsca na miejsce, luźną spójność gromady, brak tysiąca cech oświaty wyższéj, wreszcie różnice w zasadniczych pojęciach estetycznych i moralnych; to nic dziwnego, że wprzód dostrzeże pokrewieństwo tych nieznanych istot ze zwierzętami, niż z ludźmi, że wreszcie w przeciwstawieniu do tych ostatnich nazwie pierwsze „dzikiemi.“

Niezależnie od tego etnograficznego pessymizmu udało się już nauce sprawdzić z niezawodną pewnością, że dotąd nikt człowieka w stanie zupełnie dzikim nie odkrył, że wszędzie znaleziono już uspołecznione gruppy ludzi, które mimo całéj nizkości swego umyslowego rozwinięcia, niestałości miejsca, słabego zacieśnienia socyalnych węzłów, nie były zwierzęce. Innemi słowy, nie odkryto ani jednego ludzkiego osobnika, któryby jak tygrys lub jaguar przebiegał pustynie żywiąc się doraźnie zdobytym łupem; ani jednéj ludzkiéj gromady, którąby wiodła żywot stada bawołów. U wszystkich bowiem plemion „dzikich“ znaleziono ogień, zarody sztuki i przemysłu, zobowiązania moralne, organizacyą społeczną i t. d., co leży po za obrębem tego pojęcia, jakiém zwierzęco-dzikie życie obejmujemy.

Ze wszystkich ludów pierwotnych najwcześniéj i najlepiéj poznane zostały plemiona amerykańskie. Wczesne jednakże ich odkrycie i długie badanie nie wydało tych rezultatów, jakichby się przy podobnych warunkach można było słusznie spodziewać. Bo nie zapominajmy, że pierwszymi i długo jedynymi badaczami Ameryki były dwa najreligijniejsze w Europie narody, Hiszpanie i Portugalczycy, którzy przeniosłszy swój prozelityzm do nowoodkrytéj ziemi, sądzili ją jego logiką. Raz wprowadzone do nauki błędy z sankcyą imion uczonych długo opierały się zaprzeczającym je doniesieniom, a tém samém opóźniły wiarogodne poznanie osłanianych przez hiszpańsko-portugalską pobożność ludów. To też dopiero w kilka wieków otrzymała etnografia pewniejsze o nich wiadomości, a zaledwie dziś może ważniejsze zagadnienia rozstrzygnąć.

Wiadomo, że dotąd nie ustalił się w etnografii żaden powszechnie przyjęty podział ludzkich ras; różnice zaś między pojedynczemi klassyfikacyami są tak znaczne, że gdy jedni wykazują w naszym rodzaju kilka odmian, inni umieją odznaczyć kilkadziesiąt. Powodem téj na pozór dziwnéj niezgody jest ta utrudniająca wszelkie rozgraniczanie okoliczność, że jakkolwiek

gatunki ludzkie wzięte w krańcowych niepodobieństwach wyraźnie się różnią, przejścia pomiędzy pokrewnemi są tak zatarte, tak nieprzerwanie połączone wspólnością znamion, że niepodobna nigdzie nakreślić granicznéj linii. Jeżeli np. począwszy od Uralu postępować będziemy w kierunku szerokości Azyi, to chociaż typy będą się ciągle zmieniały, odcienia tych zmian wystąpią tak delikatnie, że dojdziemy aż do krawędzi Chin lub Syberyi, przepłyniemy Ocean Spokojny i ani razu nie natrafimy na ostateczny kres jednéj rassy i początek drugiéj. Mimo więc, że mieszkańcy kaspijskiego wybrzeża będą się znacznie różnili od wyspiarzy Polinezyi, nie zdołamy określić gdzie właściwie są punkta przecięcia się ich ras. Do téj trudności przybywa inna. Żadna rasa nie posiada takiego typu, któryby się bezwzględnie sprawdzał we *wszystkich* jéj rozgałęzieniach. Przyjmujemy np., że cechą typu murzyńskiego jest ciemna barwa skóry i krótki spłaszczony nos. Tymczasem są w północnéj Afryce plemiona murzyńskie z jasną skórą i orlim nosem. Wobec takich faktów łatwo pojąć, jak kłopotliwa i sztuczna jest każda etnograficzna klassyfikacya. Czy ludność rozłamiemy na 10 grup, czy na 50, oba podziały będą zawsze usprawiedliwione, a przytém oba nie będą rozgraniczeniem scisłém.

Los wszystkich plemion w tym względzie przypadł i pierwotnym mieszkańcom Ameryki, chociaż im nadał wiele właściwości odrębnych. Cieśnina bowiem Behringa nie jest w tym stopniu granicą etnologiczną, w jakim jest geograficzną. Ludy zamieszkujące Amerykę Północną wykazują równe pokrewieństwo z ludami Południowéj, jak i z plemionami zajmującemi przeciwległy brzeg Oceanu Spokojnego w Azyi. Na tém więc zwlaszcza miejscu nie może nas zajmować kwestya, czy pierwotni Amerykanie stanowią osobną rasę, lub czy należą do wielkiego szczepu Malajo-Mongołów, lecz jedynie zastanowić się możemy nad tém, jakie posiadają charakterystyczne znamiona, w jakim znajdują się dziś stanie i stosunku do swych europejskich zdobywców, cywilizatorów i tępicieli. Kwestya ta obok niezależnego od bieżącéj chwili naukowego znaczenia, nabiera obecnie wagi w skutek świeżych wypadków, jakie się w Północnéj Ameryce spełniają.

W epoce odkrycia téj części świata znaleziono w niéj różnomierną cywilizacyą. Kiedy bowiem zachód Środkowéj i Północnéj Ameryki wzniósł się do znacznéj kultury, inne pasy pozostawały w najpierwszych stadyach rozwoju. Rzecz naturalna, że te plemiona, które się zdołały ugruppować społecznie, oprzeć na stałych siedzibach, uorganizować według trwałych norm i wyrobić sobie

wyższą cywilizacyą t. j. siłę, nietylko oparły się chwilowo zdobywcom, ale zdołały utrzymać się nadal. Jakoż, z większemi lub mniejszemi racyami bytu istnieją dotąd obok państw z europejskiego napływu powstałych. Przeciwnie inne, które europejski napad znalazł w tak zwanym stanie dzikim, nie mogąc podołać w walce o byt, zaczęły zwolna ginąć, a proces téj wielkiéj śmierci trwa do dziś i trwać będzie póty, póki ostatnich resztek nie zgniotą koła bezlitościwego i ciągle posuwającego się rydwanu cywilizacyi.

Poznajmy się naprzód bliżéj z tą na śmierć skazaną ludnością.

Cechy jéj, jak każdéj innéj rasy, nie przedstawiają znamion stałych, lecz chwieją się ustawicznie. Najpowszechniejszy wszakże typ amerykańskiego Indyanina posiada długie, szczecinowate włosy z kolistém przecięciem; słaby obrost ciała, który często nawet wcale nie występuje. Kolor skóry przybiera najrozmaitsze odcienie, począwszy od lekko przyćmionéj barwy europejskich południowców, aż do czerwono-miedzianéj lub całkowicie czarnéj. Prognatyzm, t. j. wysunięcie szczęk naprzód, pojawia się, ale w dość umiarkowanym stopniu. Przeciętne oznaczenie stosunku między rozmiarami czaszki i jéj wielkości jest aż do dziś niemożliwe, gdyż zwlaszcza zachodni Amerykanie płaszczą dzieciom głowy i tym sposobem nadają im całkiem sztuczną formę, która zmienia naturalną i nie pozwala dokonać nawet przybliżonego pomiaru. Sądząc z niewielkiéj liczby czaszek nieoszpeconych, zdaje się, że amerykańscy Indyanie należą przeważnie do średnio i szerokogłowych. Wązko rozcięte, skośnie ustawione oczy, które, jak wiadomo, są charakterystyczném znamieniem szczepu mongolskiego, spotykają się bardzo często i u amerykańskich Indyan. Odrębną za to ich właściwością jest mały, spłaszczony i wywinięty nos, który wszakże u wielu plemion wydłuża się i podnosi przybierając kształt odmienny. Budowa ciała dość silna, słabsza jednak niż u rasy białéj i murzyńskiéj. Przejdźmy do właściwości psychicznych. Co się tycze języka, ten ogranicza pojęcia w pierwiastkach zawarte za pośrednictwem przydawek (*suffixów*), a przytém tak skłonny jest do zlepiania tych pierwiastków, że często tworzy jeden złożony wyraz tam, gdzie my potrzebujemy kilku zdań. Tak np. według Cranza, (1) Grenlandczyk następujące wyrażenie: *Powiada, że i ty także chcesz iść prędko, dla kupienia*

---

(1) Nóż piękny kupić iść prędko chcieć również ty także on powiada *sauig-ik-sini-ariartok-asuar-omar y-olit-tog og* (Cyt. u Peschla, *Völkerkunde*, 434).

sobie pięknego noża—oddaje jednėm słowem Język ten jest więc aglutacyjnym, t. j. pochłaniającym elementa mowy dla utworzenia z nich całości złożonych; jest zaś przytém zbyt na rozmaite narzecza rozszczepiony i mało zbadany, żebyśmy coś pewniejszego o nim powiedzieć mogli.

Zasadniczym rysem charakteru Amerykanów—powiada Fryderyk Müller (1), jest zamknięcie się w sobie i powaga. W tym względzie odróżniają się stanowczo od innych ras i niejednokrotnie przypominają Malajów. Amerykanin patrzy na wszystko, co koło niego się dzieje z dumną obojętnością, i w świecie zewnętrznym przyjmuje w ogólności bardzo mały udział. W obcowaniu ze współtowarzyszami poważny i milczący, okazuje ciągle rozwagę i przezorność. Zgromadzenia północno-amerykańskich Indyan odbywają się w sposób bardzo szczególny. Mówca mówi powoli, jednotonnie, jak gdyby monologował. Obecni słuchają go milcząc a milczenie to trwa jeszcze chwilę, chociaż mówca już skończył. Jeżeli po pewnym czasie inny prawić zacznie, zgromadzeni robią wrażenie ludzi roztargnionych, którzy zebrawszy w ciszy uwagę, budzą się nagle jak ze snu i zaczynają myśleć nad przedmiotem wykładu. Równolegle z tą widoczną apatyą i obojętnością wobec świata zewnętrznego idzie z niepodobieństwem graniczące panowanie nad sobą w znoszeniu cierpień. Indyanin złapawszy nieprzyjaciela obchodzi się z nim okrutnie, ale zarazem znosi cierpliwie okrucieństwo, gdy mu w ręce wpadnie. Nie wyda przytém żadnego głosu zdradzającego ból, nie okaże najlżejszém skrzywieniem twarzy wewnętrznéj walki. Bohaterowie Homera głośno skarżący się na swoje cierpienia byliby w oczach Indyanina tchórzami. Indyankę, któraby na podobieństwo naszych kobiet jęczała lub krzyczała w czasie porodowych bolów, wyszydzonoby ze wzgardą. To jednakże panowanie nad sobą nie wynika wcale z flegmatycznego temperamentu, lecz jest raczéj skutkiem wrodzonéj Amerykanom twardości i wewnętrznego zamknięcia się. Główny rys ich temperamentu jest przeciwnie choleryczny. Indyanin w tymże samym stopniu umie nie poddawać się wpływom zewnętrznym, w jakim gwałtownie i z bezprzykładną namiętnością oddaje się uczuciom. Gdy mu serce opanują czary miłości lub głowę obłąka szał gry, jest wtedy zdolny stracić całe mienie a nawet własne życie. W walce jest mężny. Wojnę prowadzi zwykle z takiémże okrucieństwem jak chytrością. Często w zaciekłości chwyta zabitego nieprzyjaciela i pożera. Obojętność jego charakteru oddzia-

(1) *Allgemeine Ethnographie*, Wien 1873, 242.

żywa odpowiednio na prawidła życia. Przyzwoitość nie pozwala np. mówiącemu przerywać lub kwestyonować prawdziwości jego słów. Nie przystoi również zbyt pospiesznie komuś odpowiadać. Z tego też powodu jest dla cudzoziemców nadzwyczaj trudno przestawać z Indyanami i z zachowania się ich wywnioskować to, co się w ich wnętrzu dzieje. Ponieważ są dla innych grzeczni, wymagają wzajemnie grzeczności. Obrażeni nie odpłacają natychmiast pięknem za nadobne, lecz robią najobojętniejszą minę, chociaż w duszy zaraz knują zemstę. Biada wtedy nieostrożnemu, który się dał uwieść pozorom i sądził, że tępego dzikasa można traktować z większém jeszcze lekceważeniem! Dotąd wizerunek nakreślony przez Müllera.

Rozumie się samo przez się, że rysy tego wizerunku zebrane są z plemion o tyle przynajmniéj w cywilizacyi posuniętych, że mogą wejść w stosunki z Europejczykami i stać się przedmiotem ich obserwacyi. Że jednak są to zasadnicze właściwości charakteru amerykańskich Indyan, wnieść możemy z najrozmaitszych podróżniczych świadectw.

Jak wspomniałem, pierwotni mieszkańcy Ameryki w czasie ich odkrycia dzielili się na dwie gruppy, z których jedna posiadadająca sformowane państwa otrzymała nazwę ucywilizowanéj, a druga zawierająca tułaczy w gromady—dzikiéj. Najniższe stany kultury znaleziono równie w Północnéj jak i Południowéj Ameryce. Tylko północno-zachodni kąt ostatniéj, nie sięgający bynajmniéj swém zachodniém ramieniem do południowego końca, był siedliskiem ludów ściśléj uspołecznionych; natomiast zagięcie północno-wschodnie aż po sam cypel Ziemi Ognistéj było placem koczujących i przeważnie z myśliwstwa a nadto z pasterstwa lub uprawy roli żyjących hord, które często (np. *Botokudy*) słabo wznosiły się po nad miarę życia zwierzęcego.

Myśliwskie plemiona Ameryki Północnéj—która nas w tém miejscu głównie zajmuje—w wielu względach są do poprzednich po dobne, ale w wielu—różne. Nim je w głównych gruppach imiennie poznamy, przypatrzmy się ich etnograficznemu obrazowi, nakreślonemu w dziełach Müllera, Peschla i innych. Znamy już zasadnicze cechy fizyczne i moralne północno-amerykańskich Indyan. Co się tycze naprzód ich odzieży, dostrzedz w niéj łatwo pompę w zjednoczeniu z fantastycznością. Na strój ten składają się głównie, skóry zwierząt, ozdobione najrozmaitszemi w kształcie długich frędzli spadającemi ozdobami, i zwykle—o ile służą za okrycie zwierzchnie—figurami pomalowane. Podobnie i twarz ubarwiona kreskami, których ilość wpływa na podwyższenie pięk-

ności a nawet czasem zapewnia pośmiertne zbawienie. Głowa, któréj włosy albo swobodnie się zwieszają albo zgolone redukują się do jednéj kiści, przystrajana bywa pękami piór lub końskich włosów, lokami zdartemi z czaszki zabitych nieprzyjaciół, bawolemi rogami, albo wreszcie jakąkolwiek ozdobą. Tego rodzaju rzeczy nawleczone na sznur obok przeróżnych jaskrawych przedmiotów opasują szyję, broń, sprzęty, a szczególniéj fajkę krajowców. Najprzedniejszym jednakże strojem północno-amerykańskiego Indyanina, są zawieszane na rękach i szyi kolorowe a zwłaszcza niebieskie perły, wyrabiane z małych muszelek, których wartość zależy od jednorodności, oszlifowania i pstrokacizny barw. Trudność przygotowania tego stroju podnosi go do bardzo wysokiéj ceny, która ujawnia się w społecznych i międzynarodowych stosunkach, jako środek utrwalenia przyjaźni lub spłacenia haraczu.

Za materyał do budowy mieszkalnych szałasów służy—u plemion trudniących się rybołówstwem—kora drzewna, u myśliwskich—bawole skóry. Pierwsze są zwykle większe i kuliste, drugie ostrokręgowe. Rusztowanie tych szałasów stanowią drągi powiązywane zwierzęcemi rzemieniami. Najrozmaitsze malowane figury i frędzlowane upstrzenia zdobią skórzany szałas z zewnątrz. Małe u spodu rozprócie tworzy drzwiczki, przez które mieszkańcy wczołgiwać się mogą. Na szczycie znajduje się otwór dla odciągania dymu; wewnątrz zaś w ziemi wygrzebane ognisko pod kociełkowatém naczyniem zawieszoném na trójnogu. Szałas taki jest mieszkaniem całéj rodziny i składem wszystkich jéj sprzętów. Można go łatwo rozbić, zwinąć i przenieść w inne miejsce na plecach kobiet, pełniących zwykle obowiązki jucznych zwierząt. Sprzęty domowe są wyrabiane z drzewa, gliny, kamieni i skór; broń—z kamieni i kości, gdyż mimo dostatku metalów, ich zastosowanie było Indyanom przed zetknięciem się z Europejczykami nieznane. Do łowienia ryb służą lekkie i trwałe czółna z kory drzewnéj lub bawoléj skóry. Plemiona myśliwskie używają w zimie drewnianych lub skórzanych sandałów, które utrzymując nogę na powierzchni śniegu ułatwiają polującemu ściganie zwierzyny. Gromada szałasów stanowi wieś osiedlającą się w okręgach obfitujących w zwierzynę i wodę i zwykle otoczoną dla bezpieczeństwa wbitemi w ziemię palami. Pożywieniem jest przeważnie mięso—suszone, wędzone lub gotowane; do surowego zmusza głód lub brak ognia. W obu wypadkach bez soli i korzeni. Niedostatek mięsa zastępują pokarmy roślinne, przyrządzane z gatunków dziko rosnących, gdyż uprawa ziemi jest północno-amery-

kańskim Indyanom po większéj części obcą. Przez zimę służą zapasy w lecie nagromadzone i w dołach zakopane. Indyanin nie żyje regularnie: je wtedy kiedy ma i zjada tyle ile ma. Ztąd też jest on z jednéj strony nieporównanie obżarty, a z drugiéj nieporównanie na głód wytrwały. Kobiety jedzą oddzielone od mężczyzn, razem z dziećmi i psami. Spirytualne napoje, zwłaszcza wódkę, wprowadzili Europejczycy. Najbardziéj rozpowszechnionym narkotykiem jest tytuń, który Indyanie palą w wielkich fajkach wyrabianych z miękkiego czerwonego kamienia i przystrajanych najrozmaitszemi ozdobami.

Według podania, u niektórych plemion fajczany kamień jest ciałem ich przodków; palą więc z niego na znak pokoju. Istnieje wszakże osobna wielkiego kalibru i kunsztownego wyrobu fajka pokoju, spoczywająca w namiocie wodza i służąca do ceremonii zawierania traktatów. Indyanie palili, jeszcze przed poznaniem tytuniu, proszek z drzewnéj kory i rozmaitych liści narkotycznych. Mają oni również swoje parowe łaźnie, podobne do rossyjskich bani. Ogrzawszy kamienie, zlewają je zimną wodą, zamykają namiot, i kąpią się w nagromadzonéj tym sposobem parze, stojąc w niéj na odpowiednio przyrządzoném rusztowaniu, Pierwiastkową broń północno-amerykańskich Indyan stanowiła maczuga, topór, łuk i strzała, z drzewa, kamienia i zwierzęcych kości. Znajomość z białymi zaopatrzyła ich w broń żelazną, zwłaszcza w topór i rzeźniczy nóż, który w ich ręku stał się strasznem narzędziem.

Dziecko zaraz po urodzeniu otrzymuje imię, które póty nosi póki mu towarzysze i krewni nie nadadzą innego, wyrażającego jakąś jego zdolność lub właściwość. Wychowanie młodzieży jest obrachowane na utrzymanie w niéj swobodnego i niepodległego ducha. Ztąd t ż dzieci podlegają bardzo małemu nadzorowi. Ich kary ledwie zasługują na to miano. Zwykle wystarcza oblanie dziecka zimną wodą. Jest to wielką pociechą dla rodziców, gdy ich potomstwo wcześnie objawia skłonności dorosłych. I dla tego dają dzieciom do zabawy czaszki zabitych nieprzyjaciół i uczą ich skalpowania. Skutkiem takiego systematu jest niczém nieokiełznana dzikość instynktów, opierających się najenergiczniejszym wpływom cywilizacyi. Chłopiec wchodzi do towarzystwa starszych bez żadnéj ceremonii; dojrzałość dziewczyny jest przedmiotem osobnéj uroczystości. Każdy młodzieniec, nim rozpocznie samodzielne życie, zaopatruje się naprzód w jaki cudowny amulet, który, nie odstępując go nigdy, strzeże od niebezpieczeństw.

Małżeństwo jest prostym aktem kupna, w którym zamożność

lub kolligacye konkurujących największą mają wagę. Zadziwiającą jest wczesna pora zawierania związków. Trzynasto lub czternastoletnie matki nie są wcale rzadkością. Naturalném tego następstwem jest szybkie starzenie się kobiet, które w trzydziestym roku życia są już zwiędłemi matronami. Zwykle mężczyzna bierze sobie tyle żon, ile ich wyżywić może; biedni zadawalają się jedną, bogaci biorą wiele. W wypadku wielożeństwa, najulubieńsza, którą jest rozumie się najmłodsza, zajmuje pierwsze miejsce. Życie kobiety płynie w spokoju, ale obarcza ją wszystkiemi ciężarami domowego gospodarstwa. Do mężczyzny należy tylko wojna; do niéj—sprowadzanie drzewnéj kory, obrabianie skór na szałasy i odzież, zbieranie drzewa i jagód, doglądanie dzieci, które nawet przy pracy musi na plecach dźwigać.

Chociaż pojedyncze rodziny wiodą odosobniony żywot pod strażą i kierownictwem swych naczelników, zwykle łączą się w większe gruppy, wioski, podlegające władzy wspólnego zwierzchnika. Połączenie to jednak jest bardzo luźne, a stanowisko przewodnika związku w czasie pokoju małoważne.

W ogólności jego władza wspiera się na osobistych przymiotach i podarkach, jakiemi przywiązuje do siebie najmężniejszych w gromadzie. Wojna łączy wioski w całości większe, pokolenia, którym wszakże brak ścisléj spójności i organizacyi. Najszacowniejszém trofeum jest skóra zdarta z głowy zabitego nieprzyjaciela wraz z uszami. Żądza takiego łupu popycha młodych wojowników nietylko do otwartego męztwa, ale i podstępnego mordu.

Przyczynę słabości i nieszczęść przypisują północno-amerykańscy Indyanie, jak inne im podobne ludy, wpływowi złych duchów, przybierających na się postać pewnych zwierząt. Jeśli więc ktoś zachoruje, pierwszém staraniem czarodzieja jest wynalezienie tego właśnie zwierzęcia, które w chorego wlazło, i wypędzenie go za pomocą odpowiednich ceremonii. Wyzdrowieje pacyent, to znaczy, że kuracya się udała; w przeciwnym razie pozostaje domysł, że doktor nie trafił na właściwe zwierzę, lub że ono chorego oczarowało nieuleczalnie. Umarłym zabijają na ofiarę zwierzęta, kładą do grobu ulubione sprzęty i potrawy, a u niektórych plemion obwinięte w skórę trupy wystawiają na drzewie lub wzniesieniu. Życie przyszłe przedstawia się im jako dalszy ciąg obecnego, wolne zupełnie od kary i nagrody za czyny na ziemi popełnione. Dusze nieboszczyków pozostają w ciągłych stosunkach z żyjącymi; z tego względu wzbudzają strach i stają się

przedmiotem błagalnych ofiar. U niektórych plemion nawet bluźnierstwa przeciw umarłym bywają karane śmiercią.

Wiara w Najwyższego Ducha występuje u Indyan w najrozmaitszéj postaci. Cześć jednakże dla niego jest bardzo słaba, gdyż całą pobożność wiernych pochłaniają duchy złe, których łaska ma daleko większą wartość, a wreszcie duch opiekuńczy, któremu należy się szczególna wdzięczność. Najprzyjemniejszą bóstwu ofiarą jest taniec, który u amerykańskich Indyan ma nierównie bardziéj religijne znaczenie niż u innych ludów. Biorący w nim udział występują pod postacią rozmaitych zwierząt, zwłaszcza niedźwiedzi, psów, bawołów i osłów. Obok tego są tańce fajczane, skalpowe i tym podobne, przywiązane do pewnych specyalnych uroczystości. Dopełnieniem tańców są rozmaite dobrowolnie zadawane sobie męczarnie, bądź dla zahartowania ciała, bądź dla przypodobania się bóstwu. Młodzieńcy zatknąwszy sobie w mięśnie haki przymocowane do sznurów zawieszają się na nich w powietrzu, nie zdradzając przytém cierpień najlżejszą skargą lub skrzywieniem twarzy. Jednym z rezultatów tego dobrowolnego katowania się jest zupełna obojętność na cudze boleści. Biada nieszczęśliwemu, który wpadł w ręce amerykańskich Indyan!

Cechy tego życia odbijają się z całą wiernością w poezyi tego plemienia. Śmiałe i okrutne czyny wojenne są głównym, często wyłącznym przedmiotem jéj natchnień (1)

Poznawszy właściwości natury i cywilizacyi północno-amerykańskich Indyan, poznajmy ważniejsze konary ich szczepu. Pominąwszy Eskimosów zajmujących skrajną północ, którzy do tego szczepu nie należą, spotykamy w nim następujące (przez Peschla (2) rozklassyfikowane) gruppy plemion:

1) *Kenai* rozsiani nad rzeką Yukon i *Atabaski*—między górami Skalistemi i odnogą Hudsońską w obrębie posiadłości angielskich.

2) *Algonkini* zajmują, a przynajmniéj w czasie odkrycia Ameryki zajmowali, przestrzeń zawartą między górami Skalistem u źródeł Missuri aż do Oceanu Atlantyckiego, szczególniéj zaś Stany północne. Do nich należał także związek pięciu ludów—*Delawarów*.

3) *Irokezi* w Kanadzie połączeni z *Huronami* czyli *Wyandotami*.

---

(1) Fr. Müller, 245—255.
(2) *Völkerkunde* 447, (1875).

4) *Dakota* bardziéj znani pod nazwiskiem *Sioux*. Zajmują na terrytoryum Stanów Zjednoczonych stepy między górami Skalistemi i rzeką Mississipi aż do Arkanzasu.

5) Na południu, wzdłuż łuku odnogi Meksykańskiéj żyją lub żyły drobne plemiona, które nie połączyły się w żadną większą gruppę.

Lekkie zastanowienie przy pomocy tego, cośmy wyżéj powiedzieli, doprowadzi do wniosku, że dokładne poznanie tak ruchomego, nieujętego w żadne stałe formy życia elementu, jest zadaniem nadzwyczajnie trudném.

W ciągu trzech przeszło wieków zaledwie udało się podróżnikom zebrać ogólne rysy cywilizacyi północno-amerykańskich Indyan; o dokładném zbadaniu ich a nadewszystko obliczeniu nie mogło być nawet mowy. Wiedziano tylko, że w skutek utrudnionych przez europejski napływ warunków, walki o byt i zmniejszania się obszarów ziemi, potrzebnych do wyżywienia ludności myśliwskiéj, jéj liczba spada z nadzwyczajną szybkością. Dopiero teraz można na podstawie urzędowych sprawozdań ułożyć statystyczną tablicę. Ogłosiło ją lipskie *Museum für Völkerkunde*, a przedrukował *Ausland* (1), my zaś z niego czerpiąc przytoczymy główniejsze jéj cyfry.

Według tego wykazu w Zjednoczonych Stanach jest:

Indyan cywilizowanych . . .	100,000.
„ półcywilizowanych . .	135,000.
„ dzikich.	81,000.
Razem .	316,000.

Przedewszystkiém zauważyć trzeba, że cyfry te mają tylko przybliżoną wartość. Bo jeżeli przypomnimy sobie naturę życia ludów zajmujących niższe albo najniższe stopnie cywilizacyi, to łatwo pojmiemy, że ścisłe ich obliczenie jest niemożliwe. Statystyka nieraz ledwie poradzić sobie umie z narodami oświeconemi, a cóż dopiero mówić o tak zwanych dzikich! Tam ona tylko domysłami sięgać może. Tylko więc ogólnie powiedzieć wolno, że liczba północno-amerykańskich Indyan wynosi około 300,000. Ponieważ zaś trudno odgadnąć, jaką zasadę *Commissioner of Indyan Affairs* (któremu należy się zasługa ułożenia spisu) przyjął w w rozklassyfikowaniu ich na *cywilizowanych*, *półcywilizowanych* i *dzikich*; ponieważ właściwie żadnéj tu zasady przeprowadzić niepodobna, więc tylko przypuszczalnie powiedzieć możemy,

(1) 1876, Nr. 22.

że około 100,000 Indyan prowadzi życie osiadłe i na podstawach europejskiéj cywilizacyi wsparte, reszta zaś, t. j. około 200,000 bardzo słabo lub wcale nie wyszła po za ten stan, jaki wyżéj ogólnie nakreśliliśmy.

Daleko odleglejszą wartość mają dla nas cyfry szczegółowe określające ilość głów w pojedynczych plemionach, gdyż tu ścisłość jest jeszcze trudniejsza i wątpliwsza. Wykaz przedstawia nam najrozmaitsze gruppy, począwszy od 17 do 17,000 osobników.

Nie możemy zastanawiać się nad każdą z tych grupp, ale przypatrzymy się uważnie jednéj. Jak powiedziałem wyżéj, na obszernych stepach dotykających jedną stroną gór Skalistych a drugą Mississipi aż ku Arkanzasowi, żyje wielkie plemię *Dakota*, bardziéj znane pod szyderczém imieniem *Sioux*. Statystycznie i etnograficznie przedstawia się ono, według wspomnianego spisu, w następującéj tabeli, w któréj zatrzymuję właściwą t. j angielską terminologią geograficzną.

Pojedyncze plemienne rozgałęzienia.	Ilość głów.	Miejsce zamieszkania.	County.
Blackfeet.	871	Grand River Ag'y.	Dakota.
„	700	Cheyenne River.	„
Black Tiger (czarny tygrys).	150	Wędrowne.	„
Brule lower (niższe).	1347	Upper (wyższa) Missouri.	„
Brule upper (wyższe).	5000	Whetstone Ag'y.	„
Brule upper.	320	Red Cloud Ag'y.	Wyoming.
Cuthead.	925	Cheyenne River.	Dakota.
Long.	200	Wędrowne.	„
Minneconjoux.	1655	Cheyenne River.	„
Oncpapa.	2976	Grand River Ag'y.	„
Oncpatina.	400	Milk River Ag'y.	Montana.
Ogallaa.	6000	Red Cloud Ag'y.	Wyoming.
Sans Arc (bez łuku).	1527	Grand River Ag'y.	Dakota.
Sans Arc.	1500	Cheyen River.	„
Santee.	1300	Milk River Ag'y.	Montana.
Santee.	791	Santee Rescroc.	Dakota.
Santee.	150	Devil's Lake Rescroc.	„
Sisseton.	683	Lake Traverse.	„
Sisseton.	200	Devil's Lake Rescroc.	„
Shooter.	900	Wędrowne.	„
Teton.	6000	Milk River Rescroc.	Montana.
Tatkannais.	700	Wędrowne.	Dakota.
Two Kettle (dwa kotły).	1100	Cheyenne River.	„
Unkapapa.	450	Wędrowne.	„
Wahpeton.	813	Lake Traverse.	„
Wahpeton.	350	Devil's Lake Rescroc.	„
White Eagle (biały orzeł).	200	Wędrowne.	„
Yanktonnais.	1406	Grand River Ag'y.	„
Yanktonnais upper.	2266	Milk River Ag'y.	Montana.
Yanktonais lower.	2607	Grand River Ag'y.	Dakota.
Yanktonais lower.	1200	Upper Missouri.	„
Yankton.	1947	Yankton Rescroc.	„
Yellow Liver (żółta wątroba?)	350	Wędrowne.	„
Ogółem	47184		

Szybkie wymieranie wszystkich słabo ucywilizowanych plemion pozwala przypuszczać, że i Sioux w chwili wtargnięcia Europejczyków było daleko liczniejsze niż dzisiaj. O stopniu jego rozwinięcia nie mamy szczegółowych wiadomości, to tylko pewna, że ono jest ucywilizowane nierównomiernie i że w znacznéj części prowadzi jeszcze życie najniższego etnologicznego rzędu. W tym stanie pozostające plemiona nie umiały i nie umieją nigdzie w wypadkach obrony łączyć się społem i działać solidarnie. Jest to zdolność występująca dopiero na wyższych szczeblach cywilizacyi. Słabo ukształcone hordy nie mają dostatecznego pojęcia o tém, jak dalece *l'union fait la force,* i dlatego nie wiążą się w większe massy, coby je ratowało w walce z nieprzyjacielem. Ktoś trafnie się wyraził, że gdyby wszyscy mieszkańcy Indyi Wschodnich rzucili *jednocześnie* czapkami na angielską armię, która ich w poddaństwie trzyma, pokryliby ją w całości i wydusić mogli. Często nie możemy pojąć, czytając opisy odkryć, jakim sposobem załoga okrętu złożona z kilkuset lub kilkudziesięciu ludzi mogła zdobyć milionami mieszkańców zaludnione kraje; otoż tajemnica tego nieprawdopodobieństwa kryje się właśnie w nieumiejętności łączenia się narodów słabo ucywilizowanych.

Każdy widząc zbliżającą się burzę, nie myśli o przymierzu z innymi, lecz gotuje się z nią do walki na własną rękę. Jest to pierwsza właściwość barbarzyńskiego świata, która go oddała na łup ucywilizowanemu i skazała na nieuniknioną zagładę.

Przybyły do niéj inne, równie śmiertelne. Pomijając przewagę europejskiéj broni i taktyki w wojennych starciach, zauważyć winniśmy, że samo zmniejszenie się gruntu, potrzebnego do wyżywienia ludów dzikich, jest dostatecznym ciosem dla ich stnienia. Przed wtargnięciem Europejczyków do Ameryki, pierwotni jéj mieszkańcy koczując po szerokich obszarach mogli się w nich utrzymywać z produktów, jakich natura bez żadnéj pomocy ludzkich rąk dostarcza.

Panujący na wielkiéj przestrzeni Indyanin miał dosyć na wyżywienie się zwierzyny, ryb i owoców, ale gdy obręb łowów przez przybycie Europejczyków zmalał, niczém niedający się zażegnać głód rozpoczął gorsze od miecza i kuli rzezie.

Bo zważmy, że są takie plemiona i takie przestrzenie, gdzie jeden człowiek potrzebuje dla siebie samego kilkudziesięciu mil kwadratowych; cóż zrobi, jeśli mu zostanie kilka, lub nawet pół? Następująca tabliczka, którą zestawiam z cyfr podanych przez

Lubbocka (*Prehistoric times*) uwydatni nam te stosunki w sposób bardzo widoczny.

W Patagonii przypadał . .	1	człowiek	na 68	mil kw. ang. (1).
U plemion odnogi Hudsona. .	1	„	na 60	„
W Paragwaju	4	„	na 1	„
w dzikich częściach Meksyku	1	„	na 2	„
w Meksyku właściwym . . .	8	„	na 1	„
w Neapolu . . . przeszło	183	„	na 1	„
w Wenecyi	200	„	na 1	„
w Lombardyi	280	„	na 1	„
w Anglii	280	„	na 1	„
w Belgii.	320	„	na 1	„

Widzimy z tego, jak dalece z postępem cywilizacyi zmniejsza się potrzebny do wyżywienia jednostki obręb ziemi i jak zabójczém musi być to zmniejszanie się dla plemion nieoświeconych. Bez środków i umiejętności wyzyskiwania ziemi uprawą, giną one z głodu, któremu zapobiedz nie mogą. Ta przyczyna obok innych zredukowała także i plemię Sioux, którego oddziały wędrowne żywią się tylko z myśliwskiego łupu. Cytowany u Lubbocka Schoolcraft powiada, że dziki żyjący tylko z polowania potrzebuje dla siebie przecięciowo 78 mil kwadr. ang. i że jeszcze w r. 1825 było w Stanach Zjednoczonych (nie licząc terrytoryum Michiganu) 97,000 Indyan zajmujących 77,000,000 akrów, to jest 120,312 mil kwad. ang. ziemi; na jednego więc mieszkańca przypada $1^1/_4$ mil kwadr. ang. Rzecz naturalna, że przez ciągły napływ europejskich wychodźców stosunek ten ciągle się zmiejszał na niekorzyść krajowców, tak, że dziś ta ich część, która nie zdołała się wyżéj ucywilizować i zabezpieczyć sztuką rolnictwa, jest zagrożona szybkiém wymarciem.

Rozpacz natchnięta tym losem popycha nieszczęśliwych do krwawéj walki z cywilizatorami. Właśnie przed parą tygodni odegrał się straszny dramat, zakończony smutnym skutkiem dla ostatnich. Plemię Sioux, które najenergiczniéj opierało się europejsko-amerykańskim zaborom, wyrznęło prawie cały pułk wysłany przeciwko sobie pod dowództwem generała Coster'a. Obok głównego wodza padli wszyscy oficerowie. Nie wiemy, jaką zemstę przygotowuje strona pobita; łatwo jednak przewidzieć

(1) Mila angielska jest mniéj więcéj czwartą częścią naszéj. Szczegółowy stosunek taki: 1 mila niemiecka równa się 4,0629 angielskim i 7,0609 wiorstom rossyjskim.

można, że to chwilowe powodzenie nie uratuje dzikiéj ludności, przeciwko któréj cywilizacya walczy całym swym arsenałem.

Kilka słów wyjaśniających należy się moralnéj wartości téj walki. Zaprzeczyć niepodobna, że sztandary cywilizacyi pławiąc się w nielitościwie przelewanéj krwi dzikich, pokalały się haniebnie jéj plamami. Okrucieństwa Hiszpanów, Portugalczyków, Hollendrów i Anglików, trapienie i rozdzieranie ofiar psami, wyrzynanie ich bez miłosierdzia, wystrzeliwanie nakształt zwierzyny, wszystko to jest fatalném świadectwem dla europejskiego sumienia, które bez żadnych wyrzutów, owszem chłodno lub z pobożném namaszczeniem dopuszczało się czynów zwierzęcéj zaciekłości. Ale z drugiéj strony żadna etyczna obrona nie uratuje sprawy barbarzyńskich plemion pragnących utrzymać się w posiadaniu ziemi potrzebnéj do wyżywienia ich bez pracy. „W Północnéj Ameryce—powiada Peschel—utrzymały się dotąd na terytoryum Towarzystwa Odnogi Hudsońskiéj pod opieką łaskawych praw ludy z myśliwstwa żyjące; dziś gdy przywileje Towarzystwa ustały, grozi tym ludom smutne przeznaczenie.

„Otwarcie wielkich zachodnich dróg do Kalifornii nadzwyczajnie przyspieszy wymieranie bawołów i pozostałych Indyan, tak że czerwonoskórni nie ujrzą już w Stanach Zjednoczonych wschodu nowego wieku, albo co najwyżéj pojedyńcze, obłaskawione ich okazy przewloką swój żywot lat parę. Paleontologiczny ten wypadek nie powinien być dla nas tajemnicą“ (1).

Taką rzeczywiście wróżbę kreśli nauka dla nieszczęśliwych dzikich plemion. Chociażbyśmy nad ich losami morze łez wylali, chociażbyśmy posłali im na pomoc najgłębsze współczucie i najenergiczniejsze protesta przeciwko europejskiemu tyrańtwu, nie opóźnimy ich śmierci ani o dzień jeden. Jak twarde ostrze przeciągnięte po miękkiém ciele rozpróć je musi, jak ciężka massa zwaliwszy się na kruche bryłki w proch je zetrze; tak narody ucywilizowane siłą naturalnéj konieczności zapanują nad barbarzyńskiemi. Nie przejdą dwa wieki, a pierwotne plemiona nowego świata tak się rozpłyną w żyłach ludów starego, że tylko w historyi ślady tego pochłonięcia zostaną.

---

(1) *Völkerkunde*, 154, (Leipzig, 1875).

NASZA HISTORYOZOFIA.

Napisał

F. K.

I.

Związek historyozofii szczególnéj z powszechną i z socyologią.

Przez historyozofią rozumiemy ogólny, na ciągłości i solidarności zdarzeń oparty pogląd na dzieje narodów cywilizowanych razem wziętych, lub na dzieje jednego narodu. W pierwszym razie będzie to historyozofia powszechna, w drugim szczególna. Takie ogólne poglądy, jako uogólnienia wielu szczegółów, jako indukcye wyciągnione z mnóstwa zdarzeń czyli faktów, tém są zasadniejsze, im więcéj wiarogodnych szczegółowych faktów, służy im za podstawę. Z tego się pokazuje, że historyozofia czy to powszechna, czy szczególna, musi się opierać na historyi: im historya lepiéj przesiala fakta, im gruntowniéj odwiała plewy od ziarna, tém historyozoficzne sądy i wnioski o przeszłości oraz przewidywania na przyszłość będą prawdopodobniejsze. Ponieważ zaś narody są tylko jakoby molekulami w téj wielkiéj massie, którą nazywamy rodzajem ludzkim; ponieważ zawsze, a osobliwie w nowszych czasach przy ułatwionéj kommunikacyi i wymianie myśli, czyli przy wielkiéj solidarności interesów wszystkich ludów, biorących udział w cywilizacyi powszechnéj, wzajemna zawisłość i oddziaływanie jednych narodów na drugie są bardzo znaczne: ztąd w rozważaniu dziejów jednego narodu, należy ciągle mieć na uwadze dzieje powszechne; ztąd oraz widoczna jest zależność historyozofii od socyologii, czyli nauki o społeczeństwie ludzkiém uważaném w całości, bez względu na różnice wynikające ze sztucznych granic oddzielających od siebie pojedyncze gromady zwane państwami i narodami.

Kto zatém przystępuje do wykładu historyozofii szczególnéj jednego narodu, powinien panować nietylko nad faktami, które się zdarzyły w społeczności przezeń rozważanéj; ale również nad faktami składającemi dzieje innych narodów biorących udział w cywilizacyi pewnego okresu, oraz mieć pojęcie praw socyologicznych, jakim ulega cały ród ludzki. Otoż socyologia, jak wiadomo, jest nauką pod pewnym względem nową; w przeszłym wieku jeszcze nazwa jéj nie była znana. Zagadnienia, nad któremi się socyologia zastanawia, proponowano podciągnąć pod naukę zwaną metapolityką (Schlötzer); ale nazwa ta nie utrzymała się, i twórca jéj jeszcze sobie nie zdawał jasno sprawy, jakie to przedmioty miały wchodzić do téj nowéj nauki. Im zaś nauka jaka jest młodsza, tém uogólnienia jéj są mniéj pewne, a tém samém inna nauka od niéj zależna, jak np. historyozofia szczególna pewnego narodu, także musi być chwiejną.

Gdy zaś mówimy, że socyologia jest nauką nową, to nie znaczy jakoby ją całkiem nowo od fundamentów w naszym wieku wzniesiono; lecz że przedmiot jéj, granice i metodę ściśléj określono. Jakoż w istocie nie brakło i w starożytności, w średnich i nowszych wiekach uczonych mężów, którzy się zastanawiali nad dziejami człowieka na ziemi, o ile ówczesne wiadomości na to pozwalały. Dość tu wspomnieć nazwiska Platona, Arystotelesa, Św. Augustyna, Bossueta, Vico, Monteskiusza, Condorcet'a, Herdera i innych. A chociaż autorowie ci jedni w ciaśniejszych, drudzy w obszerniejszych ramach materyał historyczny mieścili; chociaż przy niedostatecznéj krytyce i braku badań o czasach przedhistorycznych, inaczéj pod wielu względami niż dzisiejsi zapatrywali się na fenomena społeczne: niemniéj jednak torowali drogę teraźniejszéj socyologii, a imiona ich i prace z szacunkiem powinny być wspominane.

Nie jest więc socyologia bez przodków, nie jest nauką całkiem nową, lecz jedynie z pośrodka innych nauk, mianowicie tak zwanych moralnych i politycznych, w naszych czasach odróżnioną i jako osobna postawioną.

Związek historyozofii szczególnéj z powszechną i z socyologią jest tak widoczny na pierwszy rzut oka, że dowodzić go byłoby zbytecznie. Żaden naród dzisiaj nie stoi w odosobnieniu; chyba tylko w głowie jakiego metafizyka mogłoby się urodzić *państwo odosobnione;* ztąd też jasno się ukazuje konieczność rozważania fenomenów społecznych jednego narodu w związku z takiemiż fenomenami innych narodów. Jak się zaś na te fenomena

w naszych czasach zapatrują, zobaczmy przynajmniéj w streszczeniu celniejszych poglądów.

I tak, zdaniem jednych, w dziejach powszechnych urzeczywistnia się idea bezwzględna, staje się objektywną, przychodzi do świadomości siebie, a to na mocy dyalektycznego procesu, przez twierdzenie, przeczenie i zaprzeczenie tego przeczenia. Państwa, narody i indywidua wyobrażają momenta tego rozwoju idei; każdy z tych momentów znajduje swój wyraz w konstytucyi, obyczajach i zwyczajach, w mniemaniach i całym społecznym stanie pewnego narodu. Jest to tak zwany duch wieku, a wielcy mężowie są jego wcieleniem.

Nie każdy naród zdoła się związać w państwo; by zaś mógł dojść do tego szczebla, musi przechodzić niższe, które wyobrażają: rodzina, horda, pokolenie, a w końcu państwo jako ostateczny i najwyższy krąg życia społecznego. Miejscem, na którém idea bezwzględna odbywa te ewolucye, jest ziemia przedstawiająca trzy wielkie działy: 1-o okolice górskie; 2-o równiny i doliny; 3-o ujścia rzek i pobrzeża. Historya rozwoju człowieka w społeczeństwie okazuje cztery wielkie momenta czyli ostoje: 1-o *Wschód*, gdzie idea bezwzględna jeszcze nie wie o sobie. Tam prawa człowieka jeszcze nieznane, albowiem tam jedno panujący jest wolny. Przypomina to *dziecięcy* stan świata. 2-o. W Grecyi zaczyna indywidualność występować na czoło. Tam idea poznała, że jest świadomą siebie i wolną, tam już *niektórzy* ludzie są wolni. Przypomina to *młodzieńczy* stan świata. 3-o. W Rzymie występuje przeciwieństwo między objektem a subjektem. Jest to niby *męzki* wiek świata. 4-o. Nareszcie narody germańskie wyobrażają pogodzenie przeciwieństw; tam idea doszła już do świadomości siebie, tam już nietylko jak w Grecyi, *niektórzy*, ale *wszyscy* ludzie są wolni.

W historycznym rozwoju, podług téj nauki, państwa, narody i indywidua są jako bezświadome narzędzia pracujące nad urzeczywistnianiem się ducha świata; one przemijają służąc mu jedynie za szczeble, po których on kroczy ku wyższemu stanowisku. Ten duch bezwzględny wybiera sobie w każdéj epoce jakiś naród przewodniczący innym, wobec którego reszta ludów jest wszelkich praw pozbawiona.

Czytelnik zgaduje, że jest to historyozofia zrodzona w systemacie spekulacyi germańskiéj zwanéj absolutnym idealizmem. Ta idea bezwzględna, ten duch świata, któremu państwa, narody i indywidua służą za stopnie, za narzędzia bezwiedne, jest to *caput mortuum intelligentiae*. Niewiadomo zkąd on się wziął i po co wyprawia to widowisko na scenie dziejów powszechnych. Również

podział całéj historyi na cztery epoki, albo jak niektórzy proponowali na trzy, t. j. królestwo Ojca, Syna i Ducha, także jest dowolny i raczéj zabawką metafizyczną, niż umiejętną budową może być nazwany. Ostrzegali filozofów ludzie rozsądni, żeby nie *konstruowali* naprzód historyi, nie oznaczali peryodów sięgających w przyszłość, a tém mniéj do końca świata; ale napróżno. Ten gotyk dziejowy bardzo się podobał swojego czasu: dziś wspomina się o nim jako o próżném usiłowaniu. Więc też żartowano sobie z téj historyozofii i słusznie. Wszakże mniéj słusznie żartowano z głośnego jéj principium: „*was vernünftig ist, das ist wirklich; und was wirklich ist, das ist vernünftig.*“ Co rzeczywiste, to rozumne? A przecież tyle było i jest urządzeń, zwyczajów rzeczywistych, a jednak nierozumnych! Haarbeutle i haarzopfy istniały przecież rzeczywiście, a czyliż dlatego były rozumne? Pomimo jednak tych żartów, druga połowa owego principium, wyraża głębszą prawdę historyozoficzną, niż wiele wytartych a popularnych maxym. Co istniało, lub co istnieje obecnie, musiało i musi mieć swoje przyczyny, i o tyle jest rozumném nazywane. Historyk badając fakta i wiążąc stan obecny z przeszłym, dochodzi do przekonania, że to co jest, stało się konieczném następstwem tego co było; uczy się rozumieć dzieje powszechne i swojskie, ani rzucając na nie przekleństwa, ani na niewiadome *ixy* winy składając. Patrząc dziś na fakta dokonywające się w Niemczech, nie można zaprzeczyć, że pokolenie, które ich dokonało, przejęło się do gruntu tą historyozofią, co lubo idealną była, jednak bardzo realne przybrała formy. Nie myślimy przeceniać doniosłości pewnych poglądów głoszonych z katedr uniwersyteckich; ale to zdaje się być pewném, iż poglądy, o których mowa, niepomału przyłożyły się do wyrobienia pojęć polityczno-prawnych w rodzinie Germanów. Gdy się zjawili ludzie wyżsi, znaleźli grunt przygotowany do przeprowadzenia w życie i czyny teoretycznych wywodów.

Wszakże praca nad utworzeniem nauki w społeczeństwie nie ustała na przytoczonych pomysłach. Spostrzeżono się wkrótce, że takiego schematyzmu, jaki do dziejów chciała stosować spekulacya niemiecka, gotowego wnosić nie można, bo to zawsze tylko sztuczna budowa. Zaczęto więc na nowo rozważać, nie krępując się dotychczasowemi poglądami, czy i jakim prawom ulega ród ludzki w swoim rozwoju? Poszukiwaniom tym ujętym w pewną całość dano nazwę *Fizyki społecznéj*, w tém przypuszczeniu, że jak zjawiska świata nieorganicznego ulegają stałym prawom i stanowią fizykę właściwą; tak też i zjawiska społeczne muszą się rządzić stałemi, *sui generis* prawami, których system utworzy fizykę

społeczną. Był to w rozwoju pojęcia socyologii krok bardzo ważny, gdy uczeni przyszli do tego przekonania, że dzieje ludzkie nie są igraszką ślepego trafu, ani płodem kilku bohaterów, lecz naturalnym rozwojem uczuć, myśli i potrzeb człowieka, rozwoju, który się odbywa nie na los szczęścia, lecz według najpowszechniejszego prawa przyczynowości, a zatém koniecznie i rozumnie. Konieczności atoli téj nie należy rozumieć jakoby jakiegoś fatalizmu, w którym wola człowieka i jego inicyatywa nic nie znaczą; lecz jako nieuchronne następstwo jednych faktów z drugich, czyli skutków z przyczyn naturalnych. Doszedłszy do takiego przekonania, należało je stwierdzić *à posteriori*, czyli faktami historycznemi i w ogóle społecznemi. Zastanawianie się nad temi faktami doprowadziło do upatrzenia w rozwoju fenomenów społecznych strony *statycznéj* i *dynamicznéj*, i tym sposobem wszystkie fenomena podciągniono pod *statykę* i *dynamikę* społeczną.

Podług tego poglądu, należy do wszystkich zjawisk społecznych rozciągnąć zasadnicze, naukowe odróżnienie przeprowadzone w biologii, a polegające na tém, żeby osobno rozważać w każdym przedmiocie stan jego *statyczny*, a osobno *dynamiczny*. W biologii przy rozważaniu życia indywidualnego, odróżnienie to pozwala osobno zastanawiać się nad stanem czysto-anatomicznym, nad budową jestestwa organicznego, i znów osobno nad stanem fizyologicznym bezpośrednio wyrażającym samo życie. Otoż w socyologii analiza powinna być w podobny sposób przeprowadzona, a to przez odróżnienie w każdym przedmiocie politycznym *warunków bytu* społeczeństwa od *praw ruchu* czyli rozwoju jego. Ztąd też wykład fizyki społecznéj rozłożono na dwa działy, obejmujace statykę i dynamikę społeczną, które stanowić mogą dwie tak odrębne, a jednak wzajem się posiłkujące nauki, jakiemi są dzisiaj anatomia i fizyologia pojedynczego organizmu.

Zgodnie z tém zasadniczém pojęciem, gdy chodzi o poznanie praw czysto statycznych rządzących organizmem społecznym, ujrzano zasadę tych praw we wzajemnéj i koniecznéj zależności wszystkich części organizmu na podobieństwo tego, jak i w indywiduum organicznem panuje zależność pojedynczych części. Ta jakoby anatomia społeczeństwa, stanowiąca statykę socyologiczną, powinna mieć za przedmiot swojego rozważania wzajemne działanie i oddziaływanie, jakie na siebie wywierają wszelkie części organizmu społecznego. Takie zrozumienie anatomii społeczeństwa wymaga koniecznie, ażeby każdy z licznych elementów społecznych był rozważany i pojmowany nie bezwzględnie, ale względnie,

czyli w odniesieniu i stosunku do reszty elementów, z któremi w *solidarnym* zostaje związku.

Dynamika znów społeczna zajmuje się rozważaniem praw ruchu, postępu, albo lepiéj *rozwoju* społeczeństwa. Lubo pojęcie statyki społecznéj musi być z natury przedmiotu pierwszą podstawą wszelkiéj socyologii; niemniéj jednak trzeba wyznać, że dynamika społeczna stanowi nietylko jéj część bardzo ważną, ale nadto, że ona to jedna zdolna jest nadać téj nowéj nauce wybitny charakter filozoficzny, stawiąc na czele socyologii ideę główną różniącą ją od prostéj biologii, t. j. ideę postępu nieustającego, czyli raczéj stopniowego rozwoju ludzkości. Gdy zaś ludzkość składa się z ludzi, z indywiduów, więc naprzód oczywiście należałoby zrobić analizę popędów, dążności indywidualnych będących istotnemi czynnikami rozwoju rodu ludzkiego, oraz związać je z tym naczelnym instynktem, który popycha człowieka do ciągłego pod wszelkiemi względy polepszania bytu swojego; czyli innemi słowy nagli go do rozwoju swojego życia fizycznego, moralnego i umysłowego, o ile na to pozwalają okoliczności, w jakich się w danéj epoce znajduje... Dynamika zatém społeczna zależy na tém, by każdy stan, w jakim się społeczność znajduje, uważać za nieunikniony rezultat stanu poprzedniego, oraz za sprawcę stanu tuż następującego w duchu tego zdania Leibnitza, że *obecność brzemienna jest przyszłością.* Dynamika uważać ma za swoje zadanie, wykrycie praw stałych, przewodniczących temu ciągłemu rozwojowi, którego składowe czynniki razem uważane stanowią o zasadniczym kierunku, w jakim się ród ludzki rozwija. Słowem, dynamika bada prawa *kolejności*, *następstwa* zdarzeń, gdy tymczasem statyka społeczna zastanawia się nad prawami *spółbytności* fenomenów społecznych. Dynamika dostarcza polityce praktycznéj rzetelnego pojęcia o *postępie;* statyka uczy ją, jakie są warunki *porządku.*

Ale fenomena społeczne zachodzą na ziemi, na pewnéj jéj przestrzeni mającéj kształt taki lub inny, klimat zimny, gorący, lub umiarkowany, obfitość lub niedostatek wody, a ztąd rozmaitą faunę i florę, rozmaite płody i owoce przyrodzone, co wszystko razem uważane, stanowi otoczenie czyli warunki, śród których się społeczność rozwija. A jako dla całego rodu ludzkiego warunki wspomnione stanowią otoczenie fizyczne, i wielce na przebieg zdarzeń śród ludzi wpływają; tak znów urządzenia ekonomiczne, prawne, religijne i t. d. tworzą otoczenie moralne człowieka w pewnym narodzie, i również bardzo wpływają na rozwój przyrodzonych jego zdolności, stanowią o jego szczęściu lub niedoli.

Lecz chociaż uczeni przyszli do tego przekonania, że społecz-

ność według stałych praw się rozwija, i chociaż nagromadzono sporo faktów na poparcie téj hypotezy, trzeba przecież nadto było okazać i dowieść, że fenomena społeczne następują po sobie i istnieją obok siebie według pewnego ładu, że okazują pewną prawidłowość, że w istocie są one niby wykładnikami praw, których istnienia tylko się domyślano. Ażeby zaś przekonać się o téj prawidłowości, udano się o pomoc do statystyki, która pomimo dotychczasowéj niedokładności i szczupłych obserwacyi, tyle jednak dostarczyła danych, że przypuszczenie owo co do istnienia praw stałych rządzących społeczeństwem postąpiło o krok daléj do zostania prawdą zupełną i powszechną.

Fenomena społeczne są tak liczne i różnobarwne, pod pewnemi względami do siebie podobne, lecz też pod innemi tak od siebie różne, że ten kto je rozważa, łatwo może uledz złudzeniu, jak tego dowodem rozmaite schemata historyozoficzne; może naznaczyć jako przyczyny fenomenów takie fakta, które bądź do innych prowadzą następstw, bądź są tylko okolicznościami pomocniczemi; może prawidłowość częściową rozciągnąć do wszystkich objawów, i tym sposobem uznać za prawo powszechne to, co się tylko w pewném miejscu, lub pewnym czasie zdarza. Otoż przeciwko błędom tego rodzaju broni choć w części statystyka, o któréj młodszy Herschel słusznie powiedział, że „jest podstawą dynamiki społecznéj i politycznéj, że ona jedynie stanowi grunt twardy, na którym prawdziwość lub fałszywość teoryi i hypotez téj skomplikowanéj nauki (socyologii) mogą być wypróbowane“(1).

Życie społeczne tworzy człowiek: on obok czynników fizycznych niezależnych od jego woli, jest sprawcą wszelkich fenomenów życia zbiorowego; on zatém powinien być naczelnym przedmiotem badacza zastanawiającego się nad rozwojem społeczeństwa. Człowiek znów może być uważany ze strony fizycznéj i moralno-umysłowéj. Ztąd obserwacya fenomenów społecznych wymaga, by rozważać fakta takie, jak: rozród człowieka, wzrost i kształt ciała, stosunek części tegoż ciała do siebie, płeć i wiek, oraz rassę, do któréj należy; a powtóre objawy takie, jak: cnoty i zbrodnie, bogactwo i nędzę, sztuki i nauki, to jest ogół fenomenów, jakiemi o sobie dają znać tak fizyczna jak i moralno-umysłowa strona człowieka.

Wszakże oprócz obserwacyi samych faktów tego rodzaju, trzeba je nadto jako skutki powiązać z poprzedzającemi faktami, które się składały na ich przyczyny; przyczyny te mogą być wy-

(1) Wstęp do dzieła A. Quetelet'a *Physique sociale*, str. 63 (1869).

kryte przez porównywanie w wielkiéj liczbie fenomenów społecznych. Fakta znów uważane jako przyczyny są albo stałe, pojawiające się zawsze, lecz namacalne dopiero w wielkiéj massie szczegółów i dłuższych okresach czasu, albo zmienne i przypadkowe i wzajem się neutralizujące. Do wykrycia tych przyczyn stałych, dzielną daje pomoc statystyka. Ona jedna może na wnioskach tyczących się zagadnień socyologicznych wybić piętno jeżeli nie zupełnéj pewności, to wielkiego prawdopodobieństwa. Dobrze więc mówi Herschel, że „liczba, waga i miara są fundamentami wszelkiéj nauki ścisłéj, że żadna gałąź wiadomości ludzkich nie może być uważana za wyszłą z dzieciństwa, póki w ten lub inny sposób nie zdoła swoich teoryi sprawdzić za pomocą rzeczonych kryteryów. Czém są obserwacye astronomiczne i regestra meteorologiczne dla rozumnego wytłómaczenia obrotów planetarnych i zmian atmosferycznych; tém są dokumenta statystyczne dla filozofii społecznéj i politycznéj“ (1).

Na tém jednak pojęcie socyologii, jéj zadania i metody jeszcze nie stanęło; przybyły do jego uzupełnienia nowe widoki na fenomena społeczne. Oto wszyscy, którzy się nad temi fenomenami zastanawiali, widzieli je pod ogólném prawem rozwoju. Jak ten rozwój pojmować? Oczywiście jako postęp od mniéj doskonałego do doskonalszego stanu, i ten ruch społeczny oznaczono formułką krótką za pomocą wyrażenia, że odbywa on się od jednorodnego (homogenum) do różnorodnego (heterogenum) czyli przez różnicowanie, powstawanie różnic w tém co z początku było jednorodném. Objaśnienie tego zapatrywania się na rozwój społeczny bierzemy od autora, który o ile wiadomo, pierwszy je w téj formie wyraził.

„Zmiana jednorodnego na różnorodne, pisze on objaśniając prawo rozwoju, objawia się zarówno w postępie cywilizacyi uważanéj zbiorowo, jak i w postępie każdego pokolenia lub narodu; a nadto odbywa się dzisiaj ze wzrastającą szybkością.

I tak, plemiona barbarzyńskie stanowią społeczność w formie pierwotnéj i niższéj jako zbiorowisko jednorodne indywiduów, które i zdolności i funkcye mają podobne. Każdy człowiek jest tam wojownikiem, strzelcem, rybakiem, rzemieślnikiem; wszystkie niewiasty ponoszą jednakowe trudy; każda rodzina saméj sobie wystarcza i mogłaby żyć w odosobnieniu, gdyby jéj nie przyszło czasami z potrzeby napaść na inną lub się przeciw niéj bronić.

(1) Id. ibid. 65.

Jednakże bardzo już wcześnie spotykamy w rozwoju społecznym początek różnicowania, t. j. podział na rządzących i rządzonych. Zdaje się, że pierwszy postęp, jaki zgromadził błąkające się rodziny, polegał na powstaniu władzy. Władza mocniejszego zarówno imponuje hordzie dzikich, jak gromadzie zwierząt lub gronu uczniów. Z początku władza ta jest chwiejna, niepewna, i nie pociąga za sobą jeszcze zmiany w zatrudnieniach lub sposobie życia: naczelnik hordy sam poluje dla siebie zwierzynę, sam broń sposobi, sam szałas stawia, i niczém pod względem ekonomicznym nie różni się od reszty członków pokolenia. Powoli, w miarę tego jak się pokolenie rozwija, kontrast między rządzącymi a rządzonymi dobitniéj się objawia. Władza zwierzchnia staje się dziedziczną w pewnéj rodzinie, naczelnik jéj przestaje już sam myśleć o swoich potrzebach, służą mu inni członkowie pokolenia, a on tylko rządem się zatrudnia. Równocześnie powstaje inny rodzaj rządu, stojący na jednéj linii z pierwszym, mianowicie religia. Wszystkie starożytne świadectwa i podania uczą, że pierwsi naczelnicy byli uważani za istoty boskiego pochodzenia... Przez długie wieki te formy rządu zrodzone równocześnie, władza świecka i władza religijna, ściśle były z sobą złączone. W ciągu wielu pokoleń król był oraz najwyższym kapłanem, słudzy religii pochodzili z rodziny królewskiéj. Długi czas prawo religijne zawierało w sobie mniéj lub więcéj urządzeń świeckich, a prawo świeckie odbierało sankcyą od religijnego. Długi czas nawet u narodów najdaléj posunionych w cywilizacyi dwie te władze, służące sobie za wzajemny hamulec, nie były stanowczo rozdzielone. Otoż jak tylko massa społeczeństwa zacznie się różnicować i wychodzić ze stanu pierwotnéj jednorodności, gdy już są rządzący i rządzeni — pierwsi dzielą się na religijnych i świeckich, powstaje kościół i państwo, które znów z kolei dzielą się na rozmaite wydziały.

Równocześnie odbywa się innego rodzaju dzielenie czyli różnicowanie, mianowicie powstają rozmaite klassy pracowników. Tak więc gdy klassa rządząca przechodziła rozwój polegający na coraz większém różnicowaniu się; klassa rządzona postępowała w tym samym kierunku, który doprowadził do drobiazgowego podziału pracy, jaki widzimy u narodów cywilizowanych. Szczegóły tego rozwoju pracy podaje ekonomia polityczna. Ale ten rozwój i postęp od jednorodnego do różnorodnego w organizacyi przemysłu społecznego, okazuje nam jeszcze inne strony wielce ciekawe. Podział pracy z początku jest stosunkowo mały, naród przedstawia mniéj więcéj jednorodny obraz swoich zatrudnień. Dopiero gdy drogi i inne środki przewozu pomnożą się i ulepszą, rozmaite

strony kraju zaczynają osobne gałęzie pracy zaprowadzać. Tam wyrabiają płótno, tu materye bawełniane, wełniane lub jedwabne, gdzieindziéj koronki, pończochy, obuwie, narzędzia i sprzęty żelazne i t. d. A jako w jednym narodzie różnicowanie odbywa się za pomocą coraz większego podziału pracy, tak znów między narodami w całéj społeczności ludzkiéj powtarza się to samo w innéj formie. Wymiana towarów, którą wolny handel ułatwia, doprowadziła obecnie do tego, że każdy naród staje się producentem w pewnéj gałęzi przemysłu. Tym sposobem rozwój, który się rozpoczął od hordy barbarzyńskiéj, prawie jednorodnéj pod względem zatrudnienia jéj członków, postępuje do skupienia ekonomicznego całéj rassy i staje się coraz różnorodniejszym. Ta zaś różnorodność przejawia się w odrębnych zadaniach, jakie spełniają rozmaite narody, rozmaite okolice w tym samym kraju, rozmaite zatrudnienia i professye w tém samém mieście, nareszcie rozmaite stowarzyszenia robotników w celu produkcyi pewnego towaru" (1).

W organizmie społecznym działają najróżnorodniejsze siły; rozwój jego jest wynikiem ich działania. Ród ludzki jest cząstką wszechświata, ale cząstką różną od brył martwych i ulegającą nietylko tym prawom, które rządzą materyą nieorganiczną w niższych jestestwach, ale nadto sobie właściwym, nazywanym społecznemi. W świecie fizycznym, co się tycze fenomenów fizycznych, nauka zdobyła w naszych czasach wielkie uogólnienie znane pod nazwą korrelacyi lub zamiany sił jednych na drugie, tak że według tego pojmowania, ilość siły znajdującéj się we wszechświecie ani się zmniejsza, ani powiększa; rozmaite zaś siły nazywane ciepłem, światłem, elektrycznością, powinowactwem chemiczném, uważane są za spółrzędne i mogące zamieniać się jedna na drugą. Zadano więc sobie pytanie, czy taka zamiana sił da się rozciągnąć najprzód do życia czyli sił życiowych, daléj do sił umysłowych, a nareszcie i do sił społecznych, które mogłyby być tylko modyfikacyą téj niezmiennéj ilości siły, jaka istnieje we wszechświecie. Innemi słowy zadano sobie pytanie, czy prawo tyczące się trwałości i zamiany siły, sprawdzone w fizyce, władnie także w biologii, antropologii i socyologii?

Na pytanie powyższe odpowiedziano twierdząco, a odpowiedź ta brzmi jak następuje: „Jeżeli prawo powszechne zwane zamianą siły, transformizmem lub korrelacyą, władnie w zjawiskach życio-

(1) H. Spencer, *First Principles*.

wych i umysłowych, musi też rządzić i zjawiskami społecznemi. Wszystko cokolwiek się dzieje w pewném społeczeństwie, jest skutkiem sił organicznych lub nieorganicznych, bądź też kombinacyi obu tych rzędów; rezultatem bądź sił fizycznych otaczających człowieka i niezależnych od niego, lub też takich, któremi może kierować, oraz sił tkwiących w samych ludziach. W organizmie społecznym nie może nastąpić żadna zmiana tak w sposobach jego działania jak w skutkach ztąd wynikających, któraby bezpośrednio lub pośrednio nie miała swojego źródła w siłach fizycznych.

„I tak, siły społeczne i życiowe różnią się, caeteris paribus, odpowiednio do zaludnienia. Mogą się wprawdzie zdarzać rassy bardzo różniące się od siebie w zdolności kombinowania swoich usiłowań, przyczém widzimy, że siły wprawiane w ruch, niekoniecznie są proporcyonalne do liczby indywiduów składających owo społeczeństwo; ale w ogóle tak się dzieje, że siły występujące do działania utrzymują się w granicach, jakie im naznacza liczba indywiduów.

„Społeczeństwo nieludne, bez względu na wyższość charakteru pojedynczych swoich członków, nie może rozwinąć téj saméj ilości robót społecznych co ludne i wielkie. Produkcya i podział bogactwa muszą się w niém odbywać na niewielką stosunkowo skalę. Ani rozgałęzione dziennikarstwo, ani bogata literatura, ani żywa agitacya nie mogą się tam rozwinąć. Produkcya dzieł pięknych i odkryć naukowych także musi być szczupła. Najlepszym zaś dowodem téj korrelacyi sił społecznych i fizycznych odbywającéj się za pośrednictwem sił życiowych, jest różnica w summie działania, jakie okazuje to samo społeczeństwo, stosownie do rozmaitéj ilości sił czerpanych ze świata zewnętrznego przez członków tegoż społeczeństwa. Mamy tego co rok przykład na dobrych lub złych żniwach. Po złych zbiorach wnet następuje zmniejszenie się interesów. Fabryki zmniejszają pracę do połowy lub ustają zupełnie; dochody dróg żelaznych maleją, mniéj się sprzedaje, mniéj buduje, a jeżeli drożyzna zboża głód sprowadza, ludność wnet się opamiętywa i ruch przemysłowy témbardziéj wątleje. Przeciwnie znów, obfite zbiory zboża przy korzystnych innych warunkach wskrzeszają uśpione siły produkcyjne i tworzą nowe. Nadmiar energii społecznéj znajdzie lokacyą w nowych przedsiębierstwach, praca się zwróci do otwierania nowych dróg komunikacyi, produkcya rzeczy niezbędnych równie jak i zbytkowych wzrośnie, będą się kojarzyły liczniejsze małżeństwa, przy-

będzie ludności. Tym sposobem organizm społeczny stanie się rozciąglejszym, zawilszym i czynniejszym.

„Gdyby się nas zapytano, zkąd powstają siły fizyczne, które za pośrednictwem życiowych dają początek siłom społecznym, odpowiedzielibyśmy, że z promieniowania słońca. Życie społeczne polega na produktach zwierzęcych i roślinnych, one znów zależą od ciepła i światła słonecznego; z tego wynika, że zmiany dokonywające się w społeczeństwach są skutkami sił zrodzonych z tego samego źródła co i siły powodujące zmiany innego rodzaju (w świecie fizycznym). Nietylko siła konia zaprzężonego do wozu lub pługa, oraz siła robotnika, który go pogania, płyną z tego samego źródła, co siła wodospadu i huraganu; ale także siły szlachetniejsze i bardziéj zawikłane, jakie ludzkość okazuje, dają się ostatecznie odnieść do tego samego zbiornika.

„Toż samo można powiedzieć o siłach fizycznych które bezpośrednio przeistaczają się w siły społeczne. Wiatr i woda, które przed zastosowaniem pary, były wraz z siłą mięśniową jedynemi czynnikami pusługującemi w przemyśle, mają swój początek w cieple słońca; ztamtąd płyną też siły mechaniczne, które dziś tak skutecznie służą człowiekowi. A tak przechodząc z ogniwa do ogniwa, cofamy się od ruchu tłoka do parowania wody, od tego do ciepła wywiązującego się podczas utleniania węgla, od tego do assymilacyi węgla przez rośliny, z których się potworzyły pokłady węglowe, od tego nareszcie do promieni słońca. Te to siły słoneczne przeniesione od wieków w roślinność, która pokrywała ziemię, uwięzione w jéj głębiach, obecnie topią metale potrzebne na nasze machiny, przewożą nagromadzone produkta“ (1).

Z powyższego widzimy, że nauka o społeczeństwie ludzkiém zwana socyologią, coraz wyraźniéj granice swoje zakreśla, coraz jaśniéj rozumie warunki bytu i rozwoju rodu ludzkiego. Pojęcie jéj coraz się stawało pełniejszém, definicya ściślejszą, i dziś dotarła do tych uogólnień, które stanowią podstawę i jéj saméj, i historyozofii bądź powszechnéj, bądź szczególnéj. Jako takie uogólnienia, które każdy rozważający historyą narodów na pamięci mieć winien, jako pewniki, na których dalsze rozumowania opierać się muszą, można uważać następujące wnioski:

1-o. Że społeczność ludzka rozwija się według praw stałych zarówno statycznych jak i dynamicznych, które za pomocą statystyki poznajemy.

---

(1) H. Spencer, ibidem

2-o. Że rozwój ten ma swój początek w chęci coraz większego ulepszania bytu swojego pod wszelkiemi względy, tak fizycznemi, jak moralnemi i umysłowemi.

3-o. Że rozwój ten odbywa się śród otoczenia fizycznego i moralnego, czyli pośród warunków i okoliczności jednego i drugiego rodzaju, które szybkość jego modyfikują.

4-o. Że rozwój ten jest nieprzerwanym łańcuchem, w którym ciągłość zdarzeń wzajem z siebie wynikających, każe nam fakta wczorajsze uważać za przyczyny dzisiejszych skutków, a te znów za przyczyny zdarzeń jutrzejszych, czyli że historya rozwija się pod prawem przyczynowości, że w stosunkach społecznych zachodzi solidarność objawów.

5-o. Że rozwój społeczny odbywa się od jednorodnego (homogenum) do różnorodnego (heterogenum), od form prostych do coraz zawilszych, czyli za pomocą różnicowania.

6-o. Że w organizmie społecznym fenomena towarzyskie podlegają na równi z innemi fenomenami świata prawu o zachowaniu czyli trwałości siły.

Do takich uogólnień mniéj lub więcéj rozciągłych doszła dziś socyologia pod piórem znakomitych uczonych. Najnowsza hypoteza w zakresie nauk przyrodniczych, mająca wyjaśnić rozmaitość form organicznych, zwana od swojego twórcy Darwinizmem, zaczyna być stosowaną i do objawów społecznych, mianowicie dwie jéj zasady: dobór naturalny i walka o byt zostały użyte do wytłomaczenia początku narodów i przewagi jednych nad drugiemi. (W. Bagehot). Nie przesądzając rezultatów, do jakich wspomniona hypoteza może doprowadzić badaczów rozważających bieg dziejów ludzkich, przechodzimy do streszczenia poglądów naszych uczonych tak w zakresie socyologii powszechnéj jak i historyi naszéj dokonanych. Przyczém nadmieniamy, że ograniczymy się tylko XIX wiekiem i krótszemi lub dłuższemi uwagami co do niektórych jedynie pisarzy.

II.

Nasi badacze w zakresie socyologii i historyozofii.

Żeby dobrze rozumieć dzieje swojego narodu, należy rozumieć dzieje powszechne, oraz życie i rozwój rodu ludzkiego. Naród jest tylko cząstką téj ogromnéj całości, którą nazywamy ludzkością; prawa zatém, którym ulega całość, muszą się przejawiać i w częściach ją składających. Ztąd jasną jest zależność studyów histo-

rycznych nad pewnym narodem od badań socyologicznych w ogóle. Rozumieli to w części nasi historycy poświęcający w wykładzie dziejów swojskich ogólne poglądy na obejrzenie stosunków europejskich danego okresu, łącząc zdarzenia swojego społeczeństwa ze zdarzeniami ościennych i dalszych ludów, wykazując oddziaływanie wypadków ogólnych na swojskie. Wprawdzie nie powoływali się w opowiadaniu faktów na żadne prawa socyologiczne, bądź dlatego, że sama o nich nauka jeszcze nie istniała; bądź że zajęci gromadzeniem i brakowaniem faktów, nie mogli jeszcze stosować do nich teoryi i hypotez będących dziełem bliższych nam czasów. Niemniéj jednak widzimy nawet w tym kierunku pewne pokuszenia, które godzi się wspomnieć.

Pierwszym, o ile wiadomo, co rozmyślał nad całością dziejów rodu ludzkiego, był u nas H. Kołłątaj. Siedząc więźniem w Ołomuńcu, pozbawiony dostatecznych pomocy naukowych, napisał kilka rozpraw wydanych po jego śmierci pod ogólnym tytułem: „Rozbiór krytyczny zasad Historyi o początkach rodu ludzkiego“ (1842). Dzieło to kommunikował autor Janowi Śniadeckiemu z prośbą o krytykę osobliwie tych ustępów, które zaczepiały o astronomią, geologią i inne nauki przyrodnicze, w czém Kołłątaj czuł się mniéj biegłym. Śniadecki odpisał mu (1806), dołączywszy uwagi, z których się pokazało, że była to najsłabsza część w dziele Kołłątaja. Chociaż tytuł dzieła zdaje się zapowiadać badania nad tym okresem dziejów człowieka, które teraz nazywają czasami przedhistorycznemi; jednak autor właściwie rozważa dzieje po potopie. W uwagach jego tyczących się wielu rzeczy, bo i historyi, i chronologii, i kosmogonii, i teologii, są postrzeżenia trafne, ale też niemało błędnych, a głównie pomysł naczelny, z którego inne wypłynęły, mianowicie przypuszczenie przed potopem jakiegoś stanu wysokiéj cywilizacyi rodu ludzkiego, zgładzonéj tą katastrofą trzeba uważać za chybiony. Przypuszczenie takie nie da się pogodzić z tém, czego nas uczy dzisiaj archeologia i etnografia o prastarych przodkach naszych. Nie musieli oni być tak wysoko cywilizowanymi jak prawili poeci o złotym wieku ludzkości; gdy się patrzy na ich broń i sprzęty, na budowle i ozdoby, do przeciwnego dochodzimy wniosku, a mianowicie, że człowiek pierwotny (mniejsza o to czy przedpotopowy) był bardzo nędzną istotą pod wszelkiemi względy, że postęp i rozwój jego nieznający takiéj powszechnéj zaglady, ani nagłych skoków, był mozolny i powolny. I w tém Kołłątaj pobłądził, gdy przypuszczał możność zniknięcia na całéj kuli ziemskiéj owéj pierwotnéj i jakoby bardzo rozwinionéj cywilizacyi. Uwagi jego mające dowieść tego przypuszczenia bardzo małą dziś mają

wartość, i nie sądzimy, żeby się trzeba było dłużéj nad niemi zastanawiać.

Jak w pracach Kołłątaja znać wpływ ducha badań XVIII w., a osobliwie pisarzy francuzkich owego czasu, tak znów inny nasz autor pod wpływem filozofii niemieckiéj, głównie Schellinga, dotknął tego samego przedmiotu. Mamy na myśli M. Mochnackiego, który parę rozdziałów w książce „O Literaturze naszéj w XIX wieku“ poświęcił na zastanowienie się, bardzo zresztą pobieżne, nad historyą rodu ludzkiego. Uczeni tamtocześni upatrywali pewną analogią między rozwojem ziemi a rozwojem ludzi na niéj mieszkających. Posłuchajmy jak to fantastycznie całe to rusztowanie wygląda.

„Pierwsza w dziejach epoka, mówi Mochnacki, anorganiczną przypomina naturę. Ma ten sam kształt i podobieństwo. Tam w dali niedościgłéj postrzegamy kolosalne postacie pierwszych synów ziemi — malarskie figury, gruppy patryarchalne. Wielki był człowiek w początkach. Są to niejako skały pierwiastkowéj *formacyi* w porządku historycznym. A daléj następujący okres, czyż nie przypada do miary z wegetacyą w naturze organicznéj? Czasy poetyckiego natchnienia, zapału? Nie sen-li to rzeczywiście? Fantazya włada w tym świecie, i jako duch nad ziemią się unosi po uskromieniu burzliwych żywiołów... Dopiero w trzeciéj (naszéj) epoce czysty rozum rządzi światem. Czyż ta epoka nie przypada do miary z wyższym porządkiem w naturze i doskonalszą organizacyą? Trzy są działy w przyrodzeniu, trzy w dziejach okresy. A porządek, następstwo niewątpliwie takie: na początku *spółistnienie* we wszechrzeczy jestestwie i życiu wszystkich razem stworzeń. Harmonia światów Platona! Rajskie mienie, bez wiedzy, bez uznania, w tonice i powszechnéj zgodzie. To pierwszy okres. Przed wywołaniem z niebieskiéj ojczyzny, kiedy jak aniołowie jedném wszystko rozumieliśmy wejrzeniem, i w jednéni oka mgnieniu świat wszystek przebiegali, i naukę zaraz mieliśmy od stworzenia swego, — bez syllogizmu, mędrkowania i wniosków, tych szczudeł roztargnionéj potém natury wielkiego geniuszu, w którym przedtém była i zgoda, i harmonia, i jedność nierozdzielna, i moc *pojmowania* wszystkiego bez czasu (?) i *pojęcia* samego siebie! — Daléj odwrót opacznéj woli; odstępstwo człowieka od porządku ogólnego—wydarcie się ze wszech rzeczy jestestwa. Czas tworzydeł fantazyi, wiary, uniesień, smutku, melancholii. Wysoka poezya człowieka, mrok w blasku posępnym i łagodném świetle księżyca. Prawdziwa romantyczność. Człowiek jest tylko snem, cieniem w téj pięknéj epoce, któréj w naturze wegetacya roślin

odpowiada. To wiek pośredni między boskiém *natchnieniem* pierwszego a rozumem, albo raczéj *umem* ostatniego. Ten tedy jest drugi okres! Nareszcie *jasność* południa, pojęcie samego siebie, doskonała *reflexya*. Czas egoizmu, rozumowania, filozofii; w tym czasie my żyjemy. To trzeci okres! Cel historyi taki: „Bądźmy jako dzieci,“ ale w *umie*, rozumie, w uznaniu siebie samych w jestestwie naszém...“

Mochnacki tedy przypuszcza także na ziemi wiek złoty, a wyjście zeń ludzi uważa wraz z jakimś innym pisarzem za głęboki upadek. Podzielając zdanie tego innego (zdaje się, że N. Kamińskiego) powiada: Pięknie tedy i nie bez głębokiego w tę rzecz wejrzenia ktoś powiedział: „iż w tém, że rozumować i myśleć możemy, najoczywistszy dowód naszego zboczenia, upadku.“ Ta myśl o jakimś stanie doskonałości ludzkiéj, jakiéj człowiek dosięgnął gdy był w jedni, w zespoleniu z naturą, wraca często u Mochnackiego. Odłączywszy się od natury, człowiek upadł. „Za odstąpieniem od przyrodzenia, powiada on, wygasł instynkt ze wszystkiemi swemi cudownemi przymiotami; słabnie władza niegdyś tak dzielna *przeczuwania*, przenikania natury i zgadywania jéj nawet zamiarów—jéj trybu postępowania. Znikły cudowne dary wielu ludzi; szukać ich teraz potrzeba za granicą teraźniejszéj kultury, między dzikimi, albo w stanie jakiejś nieuleczonéj niemocy (jasnowidzenia?).“

„Dzisiejsza cywilizacya coraz usilniéj, pod czczym pozorem mistycyzmu i zabobonów, zaciera, zatarła wszystkie wrodzone zdolności pojmowania natury bez doświadczeń i sztucznych aparatów, toż rozkazywania jéj najmocniejszym siłom samém chceniem, lub uskramiania takowych niechceniem. Owe pierwotne związki ludzi z naturą zastępuje teraz nauka, która, jak się późniéj przekonamy, *nauką nie jest*.“ Takie to pojęcia mieli o człowieku i jego dziejach filozozofowie natury, których Mochnacki wiernie kopiował, nie domyślając się, że pisze bajki. Oprócz tego poglądu, który jest przeflancowaną z Niemiec rośliną, ma on i swoje własne widzenie wcale nie lepsze od poprzednich i pożyczanych.

I tak, na pytanie zadane sobie, dlaczego jedne narody giną bez śladu, a drugie pamięć po sobie zostawiają? odpowiada: dlatego, że jedne nigdy samych siebie w jestestwie swojém nie uznały, a drugie przyszły do tego uznania. Wielbiciel instynktu mass i jasnowidzenia, które niby w dzieciach ma być najsilniejsze pisze: „Wielkie też massy w najprostszych widzą zarysach: i choć samych siebie nie pojmują, powielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych, zakrytych i na pozór niedostępnych ich pojęciu, z podzi-

wieniem naszém daléj przenikają, niż ludzie stare lata mający, żartkiego dowcipu, bystrego rozumu.“

Naczytawszy się takich i tym podobnych marzeń w całym rozdziale, przyjemnie jesteśmy na jego końcu zdziwieni. Gdy autor zapomniał o porównywaniu trzech stanów człowieka z trzema peryodami rozwoju natury, woła ze smutkiem: „Niwa nauk ojczystych rozległa, bujna, nieprzejrzana okiem; tu każde ziarnko stokrotny owoc wyda; a robotnik rzadki, a ci, co szczerze, co ochotnie pracują, możeby się i dzielić nie chcieli zarobkiem z trzpiotami, dworakami literatury gotowalnianéj, niewieściéj—którzy kiedy myśleć potrzeba, szukają rozrywki w marnym dylletantyzmie. Niezmierne pole myśli otwiera się przed nami, którego ani ulotny dowcip, ani dylletantyzm nie ogarnie. Ileż rzeczy stało się w świecie ducha, o czém z cudzéj ledwieśmy wieści słyszeli? O cały wiek ubiegli nas postronni w sztuce, umiejętności, we wszystkich działach poznawań ludzkich. Wszystko to przekonywa, że nam trzeba teraz poważnych rozmyślaczów, a nie *belletrystów*, pracowitych pisarzy, a nie motylego owadu, co z kwiatu na kwiat przelatując z samych zawiązków ssie słodycz.“

Choćby to jedno szczęśliwe zboczenie od systematu, któremu dał się omamić, pokazuje, że Mochnacki, rozumiał braki swojego czasu i swojego społeczeństwa, gdy pisząc owe słowa sam przez się myślał, gdy literaturę „sumieniem narodowém“ nazywał.

Po tych pierwszych próbach nad socyologią, widzimy w literaturze naszéj pewien zastój w kierunku badań tego rodzaju. Próby owe były zbyt dorywcze i w niekorzystnych dla ich twórców okolicznościach kreślone. Kołłątaj wprawdzie z niemałym zapasem erudycyi zabrał się do pracy; ale brak pod ręką najpotrzebniejszych pomocy, brak przygotowawczych studyów zmuszał go często zastępować fantazyą niedostatek ścisłych dowodów. Mochnacki znów tylko okolicznościowo, jako wstęp do wykładu literatury, uważał socyologią, a nadto cały był przejęty tak zwaną filozofią natury t. j. fantazyowaniem nad naturą. Dopiero w naszych czasach wystąpił z lepszém do badań socyologicznych przygotowaniem J. Supiński i poglądy swoje wyłożył w dziele „Myśl ogólna Fizyologii Wszechświata,“ mającém służyć za fundament do jego prac ekonomicznych. O dziele tém trzeba nam więcéj szczegółowo wspomnieć, zostaje bowiem w bezpośrednim związku z rozważanym w niniejszym artykule przedmiotem. Myśl główna będąca zarodem całego dalszego rozumowania we wspomnionéj książce jest ta: że społeczność ludzka jest organi-

zmem przyrodzonym, stanowiącym cząstkę organizmu powszechnego, a tém samém prawa rządzące światem muszą się i w niéj przejawiać. W porównaniu z dawniejszemi teoryami, mianowicie Hobbesa i Rousseau'a, którzy społeczność ludzką uważali za rezultat umowy, kontraktu, który oczywiście jak każdy kontrakt za zgodą stron kontraktujących może być rozwiązany,—w porównaniu z takiém zapatrywaniem, to nowsze uważające byt społeczny człowieka za przyrodzony nie za sztuczny, jest bezwątpienia zasadniejsze, bo zgodniejsze z tém, czego nas uczy historya i obecny stan plemion dziko jeszcze żyjących.

Powtóre, społeczność jest nietylko organizmem przyrodzonym i uległym prawom przyrodzonym, ale nadto jest wyrobem ludzkim, to jest wszystko co ma i czém się stała, sobie zawdzięcza. „Dzika grusza stała się ogrodowém drzewem: człowiek dziki stał się społecznym człowiekiem" dzięki swojéj *gibkości* jak nazywa autor, a mybyśmy powiedzieli: dzięki podatności organizmu do przyjmowania nowych form i stosowania się do otaczających warunków. Człowiek z dzikiego stał się towarzyskim za pomocą wiedzy i pracy: wiedzą zdobywa na naturze nowe prawa i odsuwa coraz daléj kres niewiadomości; pracą wciska się w świat go otaczający i na nim piętno swojéj woli i rozumu wyciska. Ale ten rozwój człowieka musi się odbywać w zgodzie z prawami i pod prawami przyrodzonemi. Jakie są te prawa? Na to odpowiedź najtrudniejsza. Że społeczność ludzka rozwija się według *jakichś* praw, to przeczuwano, a przeczucie zamieniło się obecnie w przekonanie: chodzi tylko o ich określenie. Co ważniejsza, prawa przyrodzone dzielą na pierwszorzędne i drugorzędne czyli pochodne. Te ostatnie, jako dostępniejsze, przynajmniéj w części są zbadane, np. w ekonomii politycznéj, psychologii. Ale one są zależne od ogólniejszych, naczelnych, a może od jednego, które wiąże z sobą świat nieorganiczny i organiczny. Jakie jest to prawo, wszystkich praw korona? Odkryć je, podciągnąć pod nie wszelkie zjawiska, byłoby to ukonstytuować naukę nauk, znaczyłoby to wszystko zrozumieć i wytłómaczyć. Samo pokuszenie się o rozwiązanie tego zadania już musi uchodzić za chimeryczne. Monizm, do którego dziś zdążają wszystkie nauki, może być bardzo ponętnym ideałem, ale dla najtęższych umysłów nawet w obecnéj porze jeszcze niedościgłym. Takie uproszczenie zagadnień, takie zlanie mnóstwa rozmaitych praw w jedno, może być tylko zbiorowém dążeniem pokoleń, nie zaś dziełem jednéj głowy: a czy kiedy zostanie urzeczywistnione, także naprzód ani twierdzić, ani przeczyć nie wypada.

Supiński pojmuje świat fizyczny jako nieustający ruch odbywający się w skutku harmonijnego działania dwóch „przeciwnych potęg, dwóch jedynych sił na świecie: rzutu i rozkładu; sił przywiązanych do jednostek i siły ogólnéj poza niemi rozlanéj — tak jak dwie są tylko siły w mechanice i dwie odpowiadające im linie w geometryi.“ To pra-prawo, jak je nazywa, jest źródłem drugorzędnych praw przyrodzonych takich jak np. darmość, rozmaitość, podział pracy, wyścigi, stan czynny i bierny, wreszcie właściwości praw i materyi. Społeczność ludzka powinna okazać na sobie, w swoim rozwoju działanie tych praw. Jakoż autor przy pomocy historyi powszechnéj i ekonomicznych uwag stara się okazać, iż rzeczywiście ród ludzki ulegał tym prawom. Co do tego prawa praw, oraz innych zeń płynących, dużo byłoby do powiedzenia: ograniczymy się jednak do niektórych postrzeżeń. Oto zdaje nam się, że dziś jeszcze takiego naczelnego i jedynego prawa władnącego światem nieorganicznym i organicznym wskazać trudno; możnaby słuszniéj pojmować oba światy jako system praw krzyżujących się, między któremi i nad któremi stoi pojęcie przyczynowości jako największe uogólnienie. Daléj, mechanika niebieska ze swojemi prawami może być tylko w charakterze porównania, jako jeden jego wyraz, stawiona obok mechaniki społecznéj: mówiąc o sile rzutu i sile rozkładu, gdy chodzi o fenomena społeczne, wyrażamy się figurycznie. Tak samo figurycznie mówimy o społeczności ludzkiéj, gdy ją nazywamy organizmem. Do świata ludzkiego, jako do całości zbiorowéj, nie przypada ani nazwa mechanizmu ani organizmu: to tylko podobieństwo, porównanie między tém, co się np. dzieje w machinie lub jednostce organicznéj, a tém co widzimy w urządzeniach społecznych, w dążnościach człowieka. Takie upodobnienie jednéj rzeczy do drugiéj, mało znanéj do lepiéj znanéj, tylko wówczas jest posunięciem się naprzód w rozumieniu faktów mniéj rozumianych, gdy podobieństwo nie kuleje w istotnych cechach. Już zaś, jak powiedziano, porównanie społeczności ludzkiéj czy to z machiną ludzką, czy niebieską, z organizmem rośliny lub zwierzęcia, tylko do pewnego stopnia daje się przeprowadzić; różnic między obojgiem prawie tyleż co i podobieństwa. Z tych powodów nie zdaje nam się, żeby owo prawo praw, owo harmonijne działanie sił rzutu i rozkładu w czémkolwiek posunęło naprzód rozwiązanie zagadnienia t. j. dotarcie do formuły będącéj pierścieniem wiążącym, wszystkie jakiegokolwiek rodzaju fenomena.

Co się tycze praw drugorzędnych a płynących z naczelnego, także trudno z autorem nazywać je prawami, jak np. darmość.

Przyroda z całym zapasom materyi i sił istnieje darmo. To prawda: ale to jest fakt, nie prawo. W świecie ludzkim, społecznym, przychodzące do życia jednostki znajdują także zapas gotowych wiadomości i środków bytu, zdobytych pracą i wiedzą poprzednich pokoleń; i o nich możnaby powiedzieć, że darmo i bez zasługi korzystają z zaoszczędzonéj pracy i nagromadzonéj wiedzy swoich praojców—ale i tego zjawiska prawem nie można nazywać.

Toż samo da się powiedzieć o innem, pochodném prawie, t. j. o rozmaitości powszechnéj. Rozmaitość taka i w świecie fizycznym i w świecie społecznym istnieje, ale nikt tego prawem przyrodzoném nie nazwie, kto się ściśle trzyma znaczenia przywiązanego do wyrazu „prawo przyrodzone."

Trzecie z kolei prawo drugorzędne widzi Supiński w podziale pracy tak przyrodzonéj czyli w naturze, jak i społecznéj. Ależ podział pracy jest to fenomen głównie ekonomiczny i jako taki ulega sam prawom, które wyjaśnia ekonomia polityczna. Możnaby to nazwać zasadą, początkiem pewnych pojęć w téj dziedzinie, ale nigdy prawem.

Czwarte prawo pochodne, zwane przez autora „wyścigami," jest tém, co na polu ekonomiczném nazywamy konkurencyą, a w szeregach istot organicznych walką o byt.

Postrzeżenia czynione przez Supińskiego w tym ustępie tak mocno przypominają Darwina i jego „*struggle for life*," że gdyby nie to, iż „Myśl ogólna fizyologii powszechnéj" była napisana na kilka lat przed wyjściem dzieła Darwina „O początku rodzajów," autor nasz mógłby uchodzić za plagiatora. Wszystko co tu powiedziano o owych wyścigach i między zwierzętami i między ludźmi, nacechowane jest głębokim rozumem. Godne też uwagi okolicznościowe zboczenie autora do emigracyi. „Młodzież nasza, powiada on, niosąc życie w ofierze ludom dobijającym się swobód, pozostawia próżnie na rodzinnéj ziemi, które wypełniają ludzie gotowi, ale ludzie innego szczepu. Jest to jedną z przyczyn, że gdy ludność każdego innego narodu narasta z każdym rokiem, ludność nasza stojąca powyżéj chłopstwa, zmniejsza się z każdym rokiem. *Mors tua, vita mea!*"

Pozostałe dwa prawa, zwane „stanem czynnym i biernym" oraz „wiedzą i pracą," zasługują na taką samę krytykę co i poprzednie, mianowicie, że nie są prawami. „Stan dziecięcia, mówi autor, jest dopiero stanem czynnym. Ono nie zaczęło istnieć dla innych, bo dotąd dla siebie istnieć nie umie. Jednostka ludzka znajduje się jednocześnie w dwojakim stanie: żyje dla siebie, i to jest jéj stan czynny; zależy od reszty świata, i to jest jéj stan bierny."

Ostatniém prawem zasadniczém, wynikającém z „pra-prawa" jest wiedza i praca; wiedzą zdobywamy poznanie przyrody materyi i jéj własności, pracą działamy na materyą. „Materya jest pewném jestestwem martwém (?), którego stanem ciągłym jest stan bezwarunkowo bierny (?)." Tego już nie rozumiemy, a tém mniéj, żeby wiedzę i pracę nazywać prawem. Wprawdzie autor używa objaśnień i przykładów to z nauk przyrodniczych, to z historyi i ekonomii w celu uprzystępnienia tych oderwanych pojęć: zdaje się wszakże, iż nie zdał sobie jasno sprawy z tego, co się nazywa prawem przyrodniczém i natworzył niby praw, które należałoby nazwać albo wprost faktami, albo zasadami.

Nie sądzimy więc, żeby Supiński wykrył prawa przyrodzone rządzące społeczeństwem ludzkiém, żeby jego „Myśl ogólna fizyologii wszechświata" była fizyką społeczną ukończoną. Bo też zadanie takie jeszcze dziś nie da się rozwiązać: nie można budować syntezy w porze, gdy analiza faktów i fenomenów społecznych, trudniejsza z natury swojéj od chemicznéj i matematycznéj, pierwsze stawia kroki.

W szczegółach także znajdują się punkta sporne, jak np. twierdzenie, że trwoga związała ludzi w społeczeństwo, że trwoga była rodzicielką wiary. Przypomina to zdanie Lukrecyusza: *Timor fecit deos*, lub Hobbesa: *homo homini lupus*. Ale dziś kiedy badania nad mitologiami i religiami weszły na inne tory, już trwogą samą powstania ich tłómaczyć nie można (1).

Lecz chociaż Supiński nie wyłożył pełnéj i rozwiniętéj fizyki społecznéj, jednak tak w ogólnych poglądach na ten przedmiot, jak i w szczegółowém onych zastosowaniu, pierwszy u nas rzucił myśli śmiałe, z prawdą zgodne, często głębokie, świadczące o samodzielności jego umysłu i oczytaniu się tak w swojskich, jak i obcych główniejszych pracach temu przedmiotowi poświęconych. Jako myśli zdrowe i prawdziwe w tém jego dziele, uważamy stojący na czele pewnik, że społeczność ludzka jest organizmem przyrodzonym, nie sztucznym; że się rozwija według praw także przyrodzonych, przeciwko którym nic nie podołają prawa ludzkie i sztuczne; że czém jest i jaką jest, sobie zawdzięcza, a szczególniéj swojéj wiedzy i pracy. W szczegółach także uderza autor trafnemi postrzeżeniami. Tak np. szukając w historyi potwierdzenia praw społecznych, powiada: „Na rozległém polu chrześciańskiéj ery,

---

(1) Czytać co do tego *Les Temps Mythologiques*, par C. A. Moreau de Jonnès (1876).

w okresie dziejów rozwijających ziemski indywidualizm, każdy naród dożyć był powinien chwili, w któréj *środek społecznéj ciężkości* kupiąc się ciągle ku górze, *utkwi ostatecznie w jednostce* wychodzącéj zwycięzko z pierwszych, wewnętrznych wyścigów. Każdy naród dożyć powinien także tego drugiego peryodu, w którym przyrodnicza siła rozkładu przemagać już zacznie w organizmie jego, w którym zatém samoistność pojedyncza ugiąć się musi pod ciążeniem życia zbiorowego...; gdzie nie doszło *do silnéj i samowładnéj jednostki*, pokąd ta była czasu potrzebą, *tam nie stężał rdzeń społeczny*, tam usamowolnienie pojawiło się przedwcześnie, tam zatém wszystko co przyjdzie po niéj, będzie oderwaném, wiszącém w powietrzu, a burze zmiatają co nie wrosło w ziemię. Polska, Węgry nie doczekały się zlania w *jedno ognisko* wszystkich sił społecznego życia, pozostały im więc tylko przedwczesnéj świetności wspomnienia."

Wnosząc z przeszłości i teraźniejszości o tém, jak może przyszłość wyglądać, kończy autor tą uwagą: „Narody się zrastają w jednolite ciało, które żyć kiedyś będzie bez trwogi, opieki, sławy, poezyi i niewoli, które żyć będzie *pracą* i *wiedzą*. Im daléj w tył, tém więcéj mistyczności, sztuki i urojeń; im daléj naprzód, tém więcéj prawdy, suchości i rzeczy" (1).

*   *

*

Autorowie, o których dotychczas była mowa, mianowicie zaś Kołłątaj i Supiński, zostawili mniéj więcéj systematyczny, na obserwacyi fenomenów fizycznych i społecznych oparty wykład swoich pojęć historyozoficznych. Można sądzić, że obu rzędów fenomena nie dość ściśle tłómaczyli, co się stosuje mianowicie do pierwszego; ale zawsze trzymali się gruntu, na którym spór i rozbiór są możebne. Inaczéj się rzecz ma z tymi, o których jeszcze wspomnimy, a których możnaby zaliczyć w poczet proroków, marzycieli, słowem romantyków. Szczegółowy rozbiór ich historyozofii już był próbowany przez Trętowskiego, Libelta i innych; przytaczać więc wyjątków, streszczać poglądów, nie widzimy potrzeby ani pożytku. Mamy zaś na myśli takich pisarzy, jak H. Wroński, L. Królikowski, A. Cieszkowski, Z. Krasiński, a po części i Mickiewicz. Na pozór zdawaćby się mogło dziwném to połącze-

(1) J. Supiński: *Pisma*. Tom I. passim (1872).

nie nazwisk pod rubryką historyozofii romantycznéj, zwłaszcza że np. Wroński, jako matematyk, z romantykami nie miał nic wspólnego. Ale był on twórcą pomysłu zwanego przezeń *mesyanizmem*, który następnie znalazł echo u wymienionych wyżéj autorów. Całą więc tę historyozofią możnaby nazwać *messyaniczną* albo romantyczną. Jest pewne wspólne tło, na którém pisarze ci snują swoje marzenia o celach i przeznaczeniu ludzkości. Tém tłem jest wyczekiwanie jakiegoś messyasza niekoniecznie w postaci ludzkiéj, który ma rozpocząć panowanie nad światem. Jak w początkach chrześciaństwa, na gruncie egipskim w Alexandryi, zbiegły się w jedno ognisko rozmaite wiary i filozofie i zrodziły gnostycyzm; tak i u tych autorów zmieszały się: wiara, filozofia i historya, ażeby dać początek historyozofii, która była mieszaniną poezyi z metafizyką, chrześciaństwa z utopiami socyalistycznemi. Oczywiście, taka charakterystyka nie może być stosowana ściśle do wszystkich, albowiem każdy z nich ma sobie właściwe niektóre zapatrywania; łączy ich zaś tło wspólne, t. j. messyanizm, albo parakletyzm. Niektórym zdawało się, że ludzkość przeżyła dwa okresy, a obecnie wstępuje w trzeci: nad tamtemi panował Ojciec i Syn, nad tym ma panować Duch Ś-ty. Nadto zdawało im się, że ludy słowiańskie są powołane do przewodniczenia innym w tym ostatnim okresie. Zaczęto narzekać na Zachód, że się przeżył, zmateryalizował, zgnił, strupiał, a jak niegdyś Germanowie odświeżyli zepsutą krew gnijącego państwa Rzymskiego, tak teraz gdy i Romanie i Germanie znów uległi wewnętrznéj zgniliznie, odrodzenie świata ma wziąć na siebie Wschód, a bliżéj Słowianie. Narzekania takie jeszcze dziś dają się słyszeć, lubo nie więcéj są warte od owych messyanicznych proroctw. Trenów podobnych nie można brać na seryo; co najwięcéj mogą uchodzić za poetyczne obrazy. Historyozofia messyaniczna, będąca zbiciem w bezładną massę teozofii, metafizyki, polityki i historyi, nie nadaje się do poważnéj krytyki. Proroctwa, widzenia tych messyaszów i parakletów są jak noc ciemne, i mogą być rozumiane jak się komu przywidzi. O dziełach ich śmiało można powiedzieć, że każdy znajdzie w nich dogmata, jakich mu potrzeba. Obrońcy i apostołowie téj historyozofii powiadają przeciwnikom: nie rozumiecie, nie macie namaszczenia, nie dorośliście do tych wielkich idei; ale fakta są lepszą na te marzenia krytyką, niż najsubtelniejsze kommentarze. Kogo dotychczasowe fakta dziejowe nie przekonały o mylności owéj historyozofii, ten niech czeka parakleta.

*

* *

Nieco wcześniéj od messyanicznéj, zjawia się w literaturze naszéj utopia panslawistyczna. Pod koniec zeszłego wieku, zaczęto się u nas zajmować Słowiańszczyzną, częścią dla zbadania gruntowniéj dziejów swojskich, częścią z amatorstwa (J. Potocki, A. Czarnocki). W czyjéj głowie powstała naprzód myśl zrzeszenia Słowian, nie wiemy na pewno: dość, że ją się natrafia u poetów i prozaików naszych pod koniec przeszłego i na początku bieżącego wieku. Najgłośniéj i najsilniéj wypowiedział ją S. Staszic (Dzieła, Tom IV, 1816). Przerażeni postępami germanizmu niektórzy pisarze nasi, radziby byli widzieli przeciwstawiony mu opór ze strony Słowian połączonych w jednę całość. Z tego widzimy, że nim się za naszéj pamięci urodziła utopia wielkich „konglomeratów rasowych,“ jak dotychczas wielce fantastyczna, przypisywana Napoleonowi III,—że mówię utopia ta kołatała się już daleko wcześniéj po głowach niektórych autorów naszych, nie wchodzących ani w różnice religijne, ani w historyczne i socyalne, stanowiące tamę do podobnego zrzeszenia Słowian. Nie można też rozumieć, coby zyskała ludzkość na takich konglomeratach, w których zostałby starty plemienny indywidualizm, uważany dzisiaj tak w osobach jak i społeczeństwach za najcenniejszy dorobek cywilizacyi, i najdzielniejszą sprężynę w rozwoju społecznym. Dłużéj nad tą utopią panslawistyczną nie będziemy się zastanawiali i przejdziemy do roztrząśnienia naszéj historyozofii specyalnéj (1).

III.

Czego potrzeba do napisania historyozofii pewnego narodu?— Dwa typy naszéj historyozofii: Wróblewski (Koronowicz) i Walewski.

Już na początku niniejszego artykułu powiedziano, że historyozofia szczególna, zatém pewnego narodu, jest uogólnieniem dziejów jego, wyciągnionėm ze szczegółowych zdarzeń historycznych, i że uogólnienie takie tém będzie zasadniejsze, im więcéj sprawdzonych i przebrakowanych faktów, składających ubiegłe życie społeczeństwa, zebrano. Na życie społeczne narodu składają się fakta: przyrodniczo-ekonomiczne, prawne, edukacyjne, religijne, i w ściślej

---

(1) Mochnacki już Bolesławowi Chrobremu przypisuje myśl zrzeszenia Słowiańszczyzny, by ją postawić przeciw germanizmowi. *O Literaturze polskiéj* etc 84 (1863).

szém znaczeniu polityczne. Chcąc zatém sobie utworzyć pojęcie o całości życia narodowego, zrozumieć drogi, jakiemi się posuwało, ocenić zdrowie i niedomaganie jego,—trzeba wprzód mieć, o ile źródła pozwalają, ścisłe pojęcie wyżéj wspomnionych faktów, czyli co na jedno wyniesie, trzeba przed pisaniem dziejów ogólnych. mieć szczegółowe dzieje tych czynników, które tworzą życie państwowe i społeczne. Należałoby więc wprzód mieć historyą plemienia i rasy, do któréj historycznie urobiony naród należy; historyą gospodarstwa tak prywatnego, jak i publicznego, czyli skarbowego; historyą rozmaitych gałęzi prawa oraz urządzeń administracyjnych i parlamentarnych, gdzie te ostatnie istniały; historyą spraw edukacyjnych i cywilizacyi; historyą spraw religijnych, oraz właściwą polityczną. Czy mamy już takie szczegółowe historye? Wiadomo powszechnie, że każda gruppa wymienionych faktów była wprawdzie przez naszych historyków traktowana w dziejach powszechnych narodu; ale niektóre z nich są tak powierzchownie zaledwie dotykane, iż trwalszéj budowy historyozoficznéj na tych dorywczych postrzeżeniach opierać niepodobna.

I tak, co się tycze materyalnéj, przyrodniczo-ekonomicznéj strony naszych dziejów, nie spotykamy u historyków naszych gruntowniejszego ocenienia stosunku ludności do ziemi i w ogóle otoczenia fizycznego. Nie zdają oni sobie i czytelnikowi sprawy z takich np. pytań: jakie było przyrodzone położenie ziemi, na któréj naród się rozwijał, jakie naturalne jéj bogactwo, jakie warunki klimatyczne, jaka rozciągłość granic, jakie przyrodzone twierdze (np. góry, rzeki), co wszystko pociągało za sobą właściwy system gospodarstwa, konieczność sztucznéj obrony i odpowiedniéj organizacyi wojskowéj.

Podobnież nie widzi się u nich dostatecznego rozważenia przymiotów i wad rasy, do któréj należymy, coby mogło objaśnić niejeden fakt dziejowy i społeczny, nietylko naszéj, ale też w historyi innych ludów słowiańskich: słowem brak że tak powiem, fizyki społecznéj. Poruszonym tu pytaniom poświęcali niektórzy nasi historycy, jak równie obcy o nas piszący, krótkie uwagi, ale żaden, o ile nam wiadomo, nie traktował ich w dostatecznéj rozciągłości i z odpowiedniém przygotowaniem naukowém.

Powtóre, sprawy ekonomiczne także bardzo słabo są przez historyków naszych traktowane; wielu z nich nawet nie okazuje zmysłu do ocenienia ekonomicznego stanu kraju w danéj epoce. Jeżeli który z nich taki zmysł posiadał i do opowiadania wciągnął sprawy ekonomiczne, wówczas i historya inaczéj wygląda. Mały tego przykład mamy na „Dziejach księztwa Warszawskiego," pi-

sanych przez hr. Skarbka. Brak tu wprawdzie materyału, albo może raczéj brak zdolności do zużytkowania takiego, jaki się znajduje. Z kronikarzy dawnych można ile tyle wyciągnąć, dość zresztą niepewnych faktów ekonomicznych, tyczących się produkcyi rolnéj, rękodzielniczéj, oraz stanu włościańskiego i miejskiego. Na takich wiadomościach przez kronikarzy zanotowanych, lub w niedrukowanych aktach zachowanych, oparli swoje poszukiwania: Tomasz Potocki, E. Stawiski i W. A. Maciejowski rozważający losy ludności wiejskiéj. Coby jednak można i należało zrobić, okazał X. T. L. w trzech swoich broszurach: „Rolnicza ludność w Polsce,“ „Jurysdykcya patrymonialna w Polsce,“ oraz „Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce.“

Losów stanu miejskiego trzeba szukać w Voluminach Legum, w dziełach Surowieckiego, oraz w monografiach większych miast, z których Poznań, Wilno, Lwów i Warszawa mają swoje dzieje drukowane, także zapewne jeszcze nie ostateczne.

Czy to więc chcielibyśmy poznać stan rolnictwa, przemysłu, rękodzieł i handlu, czy stan gospodarstwa skarbowego, czy nareszcie położenie włościan i mieszczan, jako klass produkcyjnych,— bardzo niewiele o tém wszystkiém w naszych historykach znajdziemy szczegółów. W ogólnych poglądach na pewien okres wspominają oni najczęściéj w tonie deklamacyjnym o tych sprawach, poświęcając im po kilkanaście wierszy. Już zaś bez znajomości stanu wszelkiéj produkcyi materyalnéj, oraz losu klass, które nią inne żywiły, dobrze rozumieć dziejów narodu nie można.

O zaprowadzaniu biur statystycznych w dawnych czasach nie myślano, więc nie znamy ani obszaru ziemi, ani liczby ludności, ani ciężarów, jakie na rzecz publiczną ponosiła, ani wysokości dochodu publicznego i jego użycia: słowem brak pewnych wiadomości co do czynników materyalnych, które stanowią fundament życia zbiorowego. Broszura Staszica „O statystyce Polski,“ nieco wiadomości w dziełach T. Czackiego, wspomnione wyżéj dzieł tyczące się stanu wiejskiego i miejskiego, rozproszone wzmianki po rozmaitych książkach, oto prawie wszystko na czémby mógł historyk opierać swoje uwagi o stosunkach ekonomicznych dawnéj Polski. Nie potrzeba dodawać, że wnioski oparte na tak kruchym materyale nie mogą być ostateczne. A z drugiéj strony znajomość ekonomicznego stanu kraju jest dla historyka nieodzowna, bo od tego stanu zależała odporna i zaczepna siła narodu, jego oświata i byt towarzyski. Rzeczy te łączą się jak przyczyny i skutki: nie znając pierwszych, nie zrozumiemy drugich.

Gdyby znów kogo wzięła ciekawość zapoznania się ze spra-

wami wojskowemi, z organizacyą rozmaitéj broni, z taktyką i sposobem prowadzenia wojny w dawnych czasach, ten oprócz „Artykułów Hetmańskich" nie znalazłby podobno u naszych historyków jako tako znośnych objaśnień. Wprawdzie podają oni liczbę wojska znajdującego się w téj lub owéj bitwie, notatki o zakładaniu obozów i taborów, o sprawianiu szyków; wszakże z tych napomknień niepodobna sobie utworzyć dokładnego pojęcia ani o dawnéj sztuce wojennéj, ani w ogóle o siłach obronnych narodu. Tymczasem skarb i wojsko, dwa czynniki najważniejsze po wszystkie czasy w życiu narodów, dwie, że tak nazwę, kolumny, na których się wspiera gmach państwa, są u naszych historyków prawie nietykane. Słowem ziemię, ludność, gospodarstwo, skarb i wojsko musiałby znać dobrze, ktoby chciał snuć wnioski filozoficzne o materyalnych siłach narodu i rozumieć bieg jego zdarzeń historycznych.

Stosunki prawne dawnéj Polski mamy stosunkowo jeszcze może najlepiéj opracowane, dzięki badaniom obu Bandtków, W. A. Maciejowskiego, Helcla, Hubego i Dutkiewicza. Pod tym względem historyk dziejów ogólnych ma najwięcéj gotowego i już krytycznie przejrzanego materyału. Za to znów historya naszego parlamentaryzmu leży prawie odłogiem. Otoż z niéj możnaby się dowiedzieć, jakie koleje przechodziła władza monarsza w ścieraniu się z interesami prowincyi i możnowładców, jak ją ci ostatni wątlili stopniowo, póki jéj całkiem nie spętali, co znów musiało zgubnie oddziałać na przebieg zdarzeń historycznych osobliwie od czasów gdy na Wschodzie i Zachodzie Europy monarchizm spajał, jednoczył i fundował nowożytne państwa.

Nie mamy także historyi administracyi, która wprawdzie w owych wiekach nie była tak skomplikowaną machiną, ani z tylu kółek złożoną jak dzisiaj; zawsze jednak jéj organizacya, stan klassy urzędniczéj, jéj wykształcenie i moralność, potężnie wpływały na sprężystość lub opieszałość w wykonywaniu rozporządzeń władz naczelnych. To co się czyta o starostach np. i sądach starościńskich, o wymiarze sprawiedliwości i osławionéj w późniejszych czasach palestrze, każe przypuszczać, że mechanizm administracyjny funkcyonował nadzwyczaj nieprawidłowo. Znaczenie mechanizmu rządowego jest wielkiéj wagi dla każdego państwa, choćbyśmy się nie godzili na to zdanie Pope'a, że nie forma rządu stanowi o jego dobroci, lecz dobra administracya:

„Let fools discept on forms of governement,
The best administered, is the best."

Dzieje dawnéj edukacyi starannie i sumiennie opracował J. Łukaszewicz; znane też są losy akademii krakowskiéj i wileńskiéj dzięki pracom Sołtykowicza, Balińskiego i innych; akademia zamojska nie znalazła dotychczas dziejopisa. Mniéj zebrano wiadomości o szkołach dyzunickich i protestanckich, oraz o szkołach duchownych (seminaryach) sposobiących młodzież do posług kościelnych. Ale w dziejach oświaty niedość zregestrować ilość szkół, opisać ich uposażenie, książki, z jakich uczono, i metody, których się trzymano: trzeba jeszcze wykazać do czego prowadziła edukacya, o ile przygotowywała młodzież do przyszłych posług obywatelskich i obowiązków towarzyskich, o ile sprzyjała wyrabianiu się nienawiści, które potém wybuchały na obradach publicznych wtenczas, gdy trzeba było radzić o obronie granic lub wymiarze sprawiedliwości.

Z historyą edukacyi w blizkim zostaje związku historya literatury, tak naukowéj, jak i pięknéj, oraz historya sztuki i uobyczajenia narodu, coby razem można nazwać historyą cywilizacyi. Takiéj historyi również nie mamy. Nasze tak zwane: „Historye Literatury“ są po większéj części bibliograficznemi i biograficznemi regestrami, mało lub wcale nie mówią o związku życia umysłowego z politycznėm i ich na siebie oddziaływaniu, o panujących w danéj epoce prądach umysłowych, o wpływie idei za granicą wyklutych, a do nas przeszczepionych i modyfikujących spółczesne pojęcia o rozmaitych sprawach. Najwięcéj jeszcze i najsamodzielniéj rozważał ten przedmiot M. Wiszniewski, którego też *Historya Literatury* posłużyła za główne, jeżeli nie wyłączne źródło dla kompilatorów późniejszych układających dzieje naszéj literatury. Ruch wszakże na tém polu do ostatniéj chwili nie ustaje; zrozumiano, że ogólną historyą literatury powinny poprzedzić studya nad pojedynczemi epokami, gałęźmi lub pisarzami. Medycyna, w części nauki matematyczne, niektóre sztuki piękne mają już swoje mniéj więcéj dokładne dzieje.

Sprawy religijne rozmaitych wyznań i sekt, były w naszéj historyografii traktowane dość obszernie, począwszy od połowy XVI w., lubo nie bez namiętności zaciemniającéj prawdę. Samo wprowadzenie chrześciaństwa nasuwało niektórym pisarzom pewne nowożytne tendencye, gdy jedni z Zachodu, z Rzymu, drudzy z Bizancyum początki jego naznaczali. Inni znów rozmiłowani w jakiéjś przedchrześciańskiéj cywilizacyi słowiańskiéj, leli gorzkie łzy nad zagładą mniemanych pomników i legend będących wyrobem oryginalnego ducha słowiańskiego. Zdawałoby się, iż żałowano tego wciągnienia nas przez chrześciaństwo Zachodnie do

cywilizacyi Zachodniéj, co gdyby nie nastąpiło, pewnobyśmy byli czém inném niż jesteśmy. I być to może, iż bylibyśmy tém, czém są Czarnogórcy albo Hercegowińcy, których ta zaraza z Zachodu idąca nie dotknęła.

Ale gdy się chrześciaństwo ustaliło, gdy hierarchia duchowna przewagi nabrała, osobliwie w epoce podziałów po Krzywoustym, przy braku silnego rządu centralnego, stosunek kościoła do spraw państwa nabrał szczególnego znaczenia. Kościół bowiem swoją wiarą i hierarchią łączył w pewną moralną całość rozbity naród, któremu zabrakło jedności politycznéj. O ile znów z drugiéj strony ta jego przewaga nie dozwoliła na wyrobienie się silnej władzy centralnéj, jest to pytanie, które tylko nasunąć, ale nie rozstrzygać możemy.

Przewaga żywiołu duchownego spotyka się w dziejach naszych i w późniejszych okresach. Dość tu wspomnieć czasy W. Jagiełły i wpływ kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, wyprawę na Turka za Warneńczyka, spory Kazimierza Jagiellończyka z duchowieństwem, ocalenie katolicyzmu za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta od Reformacyi, Unią religijną za Zygmunta III. Pojmowanie wpływu kościoła na sprawy publiczne, chociażby w epokach tylko co wymienionych, dzieli naszych historyków na dwie gruppy, z których jedna stawa więcéj w obronie berła, druga w obronie pastorału. Niezgodność ta jest może najjaskrawszą w ocenianiu dwóch kwestyi, mianowicie znaczenia dla nas Reformacyi i Unii brzeskiéj. Z obu tych spraw wynikły w dalszym rozwoju historycznym, dwa tak zwane interesa: dyssydencki i dyzunicki, które fatalnie przyłożyły się w końcu do rozsadzenia organizmu politycznego.

Niektórzy z historyków patrząc dziś na potęgę krajów protestanckich, chcieliby wmówić w czytelnika, że i Polska ówczesna byłaby im podobna, gdyby była przyjęła Reformacyą, jak gdyby potęga państw zależała wyłącznie od pojmowania grzechu pierworodnego, lub łaski i usprawiedliwienia bez dobrych uczynków! Kiedy znów w XVIII w. protestanci szukali opieki zagranicznéj i tym sposobem wewnętrzny nieład zwiększali, tego im owi historycy nie mają za złe, składając winę na stronę prześladującą—jak gdyby roztropnie było do godzenia domowych niezgód wzywać obcéj pomocy!

Nadmieniłem tylko o niektórych sprawach religijnych, których pojmowanie dzieli umysły piszących: spraw zaś takich jest w naszych dziejach mnóstwo. Historyk powinien je ocenić i okazać ważenie się szali między *sacerdotium* a *imperium*, nie zaś jak

czynili niektórzy, naciągać fakta i rozumowania do widoków swojéj konfessyi.

Nareszcie brak nam właściwéj historyi politycznéj, pod którą rozumiem to, co Niemcy nazywają *Staatsgeschichte*. Taka historya zajmuje się nietyle ciekawościami historycznemi, opisami wojen lub kabał dworskich, ile raczéj rozwojem urządzeń politycznych, ich wzajemném na się oddziaływaniem, ich pożytkiem lub szkodliwością, oraz stosunkami do zagranicy i jéj oddziaływaniem. Wzory takich historyi mamy w pracach: Gibbona, Mommsena, Grote'go, Macaulay'a i innych, którzy dzieje Rzymu, Grecyi i Anglii z tego stanowiska rozpatrywali. Wprawdzie niejeden z naszych historyków dotykał przypadkiem owych zadań w dziejach ogólnych, lub wykładając prawo publiczne, z natury przedmiotu musiał je rozważać: za to inne wcale nie zostały opracowane.

Z tego krótkiego przeglądu widać, że niektóre strony życia narodowego zostały gruntowniéj zbadane, inne bardzo niedokładnie, innych wreszcie zaledwie przypadkowo dotykano. Przegląd taki, w którym nie chodziło o pełność bibliograficzną, lecz o potrącenie uwagi czytelnika, może razem służyć za wskazówkę, jakich to potrzeba materyałów, ażeby się odważyć na filozofowanie nad dziejami powszechnemi, lub jednego narodu. Kiedy więc, jak z początku powiedziano, historyozofia jest uogólnieniem dziejów wyciągnioném z mnóstwa przebrakowanych i uporządkowanych faktów; oczywiście wynika ztąd, że gdy szczegółów takich brakuje, uogólnienie oparte na niewielkiéj ich liczbie, musi być bardzo problematycznéj wartości. Tém konieczniejsze jest takie następstwo, gdy filozofujący na dziejami naszemi nie zużytkowali jak należy nawet tego materyału, jaki im przygotowali historycy; gdy swoje przywidzenia lub antypatye i sympatye przenieśli do ludzi, zdarzeń i urządzeń dawnych, a przez to pracom swoim odjęli cechę gruntowności i spokoju, jakiemi studya tego rodzaju odznaczać się powinny.

Zarzut ten odnosi się do dwóch mianowicie pisarzy: Wróblewskiego (Koronowicza) i Walewskiego, których dzieła „Słowo dziejów polskich“ i „Filozofia“ tychże dziejów. posłużą nam za przedmiot dalszych uwag. Wybraliśmy ich nie dlatego, żeby w istocie byli typowymi pisarzami, ale dlatego, że innych nie ma, i że filozofując nad całością naszych dziejów z przeciwnego punktu na nie patrzali: kontrast ten zatém pozwoli nam wyraźniéj przedstawić ich pojęcia historyozoficzne.

*   *

*

Pojęcie historyi, jéj zadania, oraz metody, uległo w naszych czasach nadzwyczajnéj zmianie, w porównaniu z pojęciem, jakie o niéj mieli historycy klassyczni greccy i rzymscy, a tém bardziéj średniowieczni. Historya u starożytnych pisarzy, to przedewszystkiém dzieło piękne, to epopea w niewiązanéj mowie. Historyk ówczesny, to artysta, któremu chodzi o piękne obrazy, na których parę postaci bohaterskich maluje *con amore*, nie troszcząc się wiele o otoczenie, z którego one wyrosły: pociągają go do siebie przedewszystkiém ustępy bohaterskie w opowiadanych dziejach. Niektórzy z nich, jak Tucydydes, Polibiusz, Tacyt, umieją już głębiéj spojrzeć w dziejowy wątek, dopatrują naturalnych przyczyn w naturalnych skutkach, często nawet dla trafności i głębokości spostrzeżeń, jak np. Tacyt, po wszystkie czasy będą sławieni; bądź co bądź jednak ich sposób pisania historyi zawsze jeszcze mocno się różni od dzisiejszego. Dzisiaj historyka nietyle pociągają do siebie szczyty społecznéj budowy, co jéj podwaliny, a te podwaliny, to warstwy pracujące, to te mrówcze roboty milionowych rąk krzątających się około roli, rękodzieł, handlu, nauki; słowem, ten grunt, z którego wyrastają dziejowe zdarzenia. Dzisiejszy historyk wie gdzie szukać przyczyn wielkości lub upadku narodów; on wie, że dzieje nie są wyrobem kilku wybitniejszych postaci, ale wypadkową niedających się zliczyć sił żywych i pracujących w wielkim warsztacie społecznym: gdzie więc tych sił brakuje, tam bohaterowie i statyści nie mają co robić, nie mogą nic zrobić, przypuszczając, że na nieprzygotowanéj roli taki bohater lub statysta urodzić się może. Słowem, historyk dawny był artystą, a historya sztuką; dzisiejszy musi być uczonym, a historya umiejętnością, może nie tak ścisłą jak matematyka, ale też i nie jarmarcznym dramatem, w którym się pajace popisują, a maryonetki skaczą pociągane tajną więc niby nadzwyczajną siłą. Gdy ludzie nawet oświeceni o tém zapominają, skłonni są bądź do różowych rojeń, bądź do rozpaczy i pessymizmu, jak ten romantyk, który w dwóch wierszach wypowiedział konkluzyą naszych dziejów:

„Narodowy rozum zgłupiał,
Narodowy ogrom strupiał.“

Brzmi to poetycznie, ale nie prawdziwie; jeżeli zaś w tych wierszach jest odrobina prawdy, to historyozofia messyaniczno-romantyczna mogłaby wziąć na siebie część odpowiedzialności za ten rezultat. Takie ryczałtowe potępianie narodów, płynące czasami z wielkiego bolu moralnego, kiedyindziéj znów ze złéj woli, jest zabytkiem starych pojęć, według których w historyi widziano grę

przypadkowości, wynik kapryśnego losu, który dziś jednych strąca, a drugich podnosi na chybi trafi—nie zaś jednolite pasmo zdarzeń wywijających się jedne z drugich z koniecznością. Dwaj pisarze, o których mamy powiedzieć, nie otrząsnęli się jeszcze z tego starego pojmowania historyi. Wprawdzie nie przypisują oni wszystkiego co się stało ślepemu losowi, widzą jednak w dziejach naszych to, co sobie postanowili widzieć: swoje osobiste mniemania o ludziach i zdarzeniach przenieśli do historyi i byli przekonani, że wyciągnęli z niéj kwintessencyą.

Wróblewski w swojém „Słowie dziejów polskich,“ poszedł za Moraczewskim, o czém sam czytelnika uprzedza; gdy zaś Moraczewskiego nie stało, szedł na los szczęścia. Walewski w swojéj „Filozofii dziejów polskich“ rozumował na własną rękę, a choć niezgodnie z Wróblewskim, rzadko głębiéj od tamtego.

Nim wnikniemy do wnętrza dzieł obu wspomnionych autorów, przyjrzyjmy się ich zewnętrznéj formie, czyli układowi. Wróblewski w porządku chronologicznym streszcza panowanie po panowaniu i nad ważniejszemi faktami czyni swoje postrzeżenia i uwagi, w stylu rozwlekłym, retorycznym, deklamatorskim Że jednak trzyma się przynajmniéj chronologicznego ładu, czytelnik obznajomiony z dziejami, wie jakie fakta przyjdą pod rozbiór, i o tyle znajduje ułatwienie. Walewski przeciwnie, mówi bez ładu o wszystkich rzeczach pod słońcem i o niektórych innych; długiemi dopiskami gmatwa i tak już rozwleczone w texcie rozumowanie, słowem książka jego to *rudis indigestaque moles.*

Co się tycze charakterystyki wewnętrznéj ze względu na zasady, jakiemi się obadwa autorowie kierowali, to wprzód jeszcze nim cytatami usprawiedliwimy sąd nasz, nadmieńmy, że Wróblewskiego możnaby zaliczyć do demokratyczno-szlacheckiéj szkoły, Walewskiego do feudalno-monarchicznéj. U pierwszego nie widać głębszych studyów ani nad swojemi, ani nad powszechnemi dziejami, tak dalece, że jest on tylko echem J. Moraczewskiego; drugi, znać pracował nad historyą i powszechną i swoją, jak tego świadkiem inne jego dzieła, lubo także po doktrynersku ją wykłada. Jest prócz tego Walewski konserwatystą, wrogiem wszelkiego liberalizmu i parlamentaryzmu. nienawidzi państwa nowożytnego (prawnego), a wielbi militarne i rząd silny choćby z gwałtem połączony. Nie przeszkadza mu to jednak przy lada sposobności dawać napomnień księciu Bismarkowi i Prussom za ich teraźniejszą politykę kościelną, częścią dlatego, że w pojęciach historycznych stoi na gruncie średniowiekowych zapatrywań, czę-

ścią znów z powodu swoich habsbursko-apostolskich sympatyi, uważa te wycieczki za punkt honoru.

Ocenienie szczegółowe rzeczonych książek przedstawia niemałe trudności, głównie dla nieładu panującego w traktowaniu materyału historycznego. Chociaż bowiem Wróblewski trzymał się porządku panowań, że jednak za jednego panowania zdarzały się fakta najrozmaitsze; ztąd autor przeskakuje od jednych do drugich, bez względu na ich wewnętrzne pokrewieństwo lub różnice. Chcąc książkę jego ocenić, trzebaby roztrząsać paragraf po paragrafie, z czego urosłaby druga taka książka. Równie trudno w krótkiém streszczeniu podać główniejsze myśli z „Filozofii dziejów polskich“ Walewskiego, który w wykładzie swoim żadnego nie trzymał się porządku. Wobec takiego układu obu dzieł wspomnionych, musimy się ograniczyć do podniesienia z nich wybitniejszych sądów o osobach i zdarzeniach historycznych, tudzież o urządzeniach politycznych w dawnéj Polsce istniejących.

Nadto winniśmy dodać, że nie czujemy się na siłach do prostowania faktów historycznych, lecz je przyjmujemy jako krytycznie sprawdzone, i ograniczymy się do krótkiéj oceny sądów obu autorów o tychże faktach, do wskazania rezultatu, jaki z nich wyciągnęli.

Wróblewski rozpoczyna od wytłómaczenia tytułu swojéj książki, którą nazwał „Słowem dziejów polskich,“ a to słowo czyli ducha przenikającego całą naszę historyą widzi w walce ludu, czy też raczéj mniejszéj szlachty „z dwiema przeciwnemi (owemu słowu) zasadami: monarchiczną i możnowładzką.“ Mamy w tém wyznaniu jasno wypowiedziane stanowisko, z jakiego autor postanowił sądzić nasze dzieje, i zgodnie z tą zasadą przez cale trzy tomy postępuje. Dlatego też nazwaliśmy go demokratycznym historyozofem.

Tu zaraz zróbmy uwagę, że rozpoczynając filozofowanie nad dziejami jakiegoś narodu, zamiast wywieszania abstrakcyjnéj chorągwi, właściwiéj byłoby zastanowić się autorowi nad ziemią i ludem, jako dwoma głównemi czynnikami dalszego rozwoju historycznego. Obejrzeć granice téj ziemi, jéj geograficzne położenie i klimatyczne warunki, jéj przyrodzoną zasobność i bogactwo; zastanowić się następnie nad ludem i rasą, do któréj należy, nad jego charakterem i sąsiedniemi plemionami, o ile tenże charakter na sobie wyraziły — i w tych danych poszukać klucza do otworzenia przynajmniéj niektórych zagadek bytu narodowego: byłoby to, jak się zdaje, daleko właściwszém dla historyozofa, niż upatrywać walkę ludu szlacheckiego z monarchią i możnowładztwem już w X wie-

ku, kiedy jeszcze ani téj gwarnéj szlachty nie było, ani o podobnych dzisiejszym między warstwami narodu sporach nie mamy żadnych w kronikach wiadomości. Wszakże trudno winić autora za to czego nie zrobił: raczéj zobaczmy czy to co zrobił, dobrze wykonał.

Zaniedbawszy rozważenia materyalnych, jeżeli tak nazwać wolno, czynników historyi, t. j. zastanowienia się nad ziemią i ludem, upatruje Wróblewski zaraz w początku naszych dziejów „trzy pierwiastki społeczeńskie stale nami rządzić mające: w rządzie rodowym jednowładztwo umiarkowane wolnością i równością; we wstręcie do wszelkiéj niewoli, w szanowaniu praw człowieka (oczywiście nie chłopa) tęż doskonałą równość; w wiecowaniu zaś gromadzkiém lub powszechném, prawo czyli zwyczaj *jednomyślności* i wreszcie obieralność, a w tém wolność i jéj podwójną rękojmię“ (I, 3).

Że początkowo Lechici żyli w gromadach rodowych, jakoby patryarchalnych—jest to prawdopodobne, taki bowiem ład spotykają historycy wszędzie w pierwotnych okresach historyi; ale żeby u nas w X np. wieku gromada czy gmina stanowiła o swoich sprawach na zasadzie *jednomyślności*, jak twierdzi autor, lub żeby już wówczas widzieć początki *liberum veto*, na to trzebaby dowodów, których nie przytacza i przytoczyć nie może. Że anarchia płynąca późniéj z *liberum veto*, jak i samo to bezprawie nie urodziło się z Sicińskim, lecz miało źródło swoje wcześniejsze w antagonizmie prowincyi, oraz w braku wyrobienia prawno-politycznego w narodzie—na to dałyby się przytoczyć dowody. Nie wypada wszakże pojęć wyrobionych w XVI lub XVII wieku przenosić w X-ty i upatrywać już wówczas sławną *unanimitas* i wstręt do *absolutum dominium*. Autor, jak gdyby był świadkiem owych pierwotnych obrad lechickich, dodaje: „że w tłumie wiecującym niebezpieczną było rzeczą sprzeciwić się woli silnie wyrażonéj, i zwykle przyzwolenie musiało nastąpić.“ Podobno u Lutyków kijowym argumentem (argumentum baculinum) to przyzwolenie na opornym wyjednywano. Pomimo tego, Wróblewski o kilka wierszy niżéj wyciąga wniosek osobliwy: „wolném przeto było nasze pierwotne społeczeństwo.“ Tłum terroryzujący cudze, niepodobające mu się zdanie, a z drugiéj strony *liberum veto* hamowane „moralnością“ massy, moralnością, o któréj także nic nie wiemy—są to rzeczy nie tak łatwo dające się pogodzić z ową wolnością. Nie idzie nam zaś o to, czy rzeczywiście tak się odbywały obrady u prastarych przodków naszych, lecz o logikę autora. Takie

filozofowanie nad dziejami naszemi początkowemi, nie budzi zaufania do oceny późniejszych.

Jakoż z fałszywego wyszedłszy założenia, autor pod tym samym kątem widzi i dalszy rozwój nasz historyczny. Deklamując o nieskażoności „słowa,“ t. j. o mądrości gminu szlacheckiego, Wróblewski prorokuje, naturalnie po faktach, taką politykę narodowi: „Oto naród, w który zostało wcielone (owo slowo), nigdy się nie będzie rządził rachubą, zawsze uczuciem.“ Proroctwo się spelniło, ale żeby w tém tkwiła mądrość „slowa,“ w to już dziś zapewne nikt nie uwierzy. Slowem, cały ten wstęp historyozoficzny, w którym się dowodzi, że już dawni Lechici znali co jest równość, wolność, jednomyślność, obieralność i *liberum veto*, będące niby elementami „słowa,“ jest bez najmniejszych dowodów napisany.

Po wstępie, autor przebiega, jak już powiedziano, kolejno pojedyncze panowania i wszędzie gdzie się nadarza sposobność upatruje swoję myśl główną, t. j. walkę między massą szlachecką demokratyczną a monarchią i możnowładztwem. Podnosimy z jego dzieła tylko niektóre pojęcia, cechujące jego sposób widzenia rzeczy.

I tak, Mieczysław „panował narodowi wprawdzie czerstwemu i jeszcze pierwotnemu, ale już znacznie uszczerbionemu w swoich wolnościach“ (I, 14). Kto i jakie wolności narodowi odebral? Czy to nie czczy frazes?

Bolesław Chrobry walczy ze starszyzną narodową, która obstaje przy przy prawie *obieralności* (?) i nie dopuszcza wznowienia onegoż (I, 16—17). Zkąd się autor o tém dowiedział, nie pisze, lecz dodaje, równie bez podstawy, że to pochodziło z „republikańskiéj zasady obieralności,“ i że w tém wszystkiém „dziwna wikłanina,“ czemu wcale nie przeczymy.

Za Kazimierza I przyczyną poruszeń ludu, miala być „duma możnych i zapewne straszny ucisk stanu kmiecego,“ który za pogaństwa był „swobodnym i szczęśliwym“ (I, 29). Widocznie autorowi, gdy to pisał, stała na myśli *żakerya* (jacquerie) i koliszczyzna. I ta mniemana duma możnowładców, i ten stan kmiecy szczęśliwy przed nastaniem chrześciaństwa, wyglądają jak w bajce, gdy opowiadający dodaje w końcu, że „dawniéj lepiéj było.“

Sporu Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim nie może sobie autor dostatecznie wytłómaczyć, widzi jednak rezultat jego t. j. przewagę hierarchii w sprawach publicznych—co być mogło— lubo nie można się z nim zgodzić na drugą połowę konkluzyi, jakoby w tém nieporozumieniu z koroną duchowieństwo wzię-

ło na się „obronę sprawy narodu przeciw władzy“ (I, 34). Taki antagonizm między władzą a narodem, takie ważenie się elementów społecznych, jakie dziś widzimy w państwach konstytucyjnych nie mogło wówczas istnieć u nas, bo go nie było nawet w krajach Zachodu daleko wyżéj od nas politycznie wyrobionych. Bolesław Śmiały, był jak z kronikarzy można sądzić, nie malowanym królem, nie chciał więc, by mu udzielano monita. Kronikarze późno po tych czasach piszący, winę składają na króla, jakoby lud uciskał, niemoralne życie prowadził. Ze stanowczym sądem o całém zajściu trzeba się więc wstrzymać, póki lepszych nie będzie dowodów; ale też nie można twierdzić, że duchowieństwo wzięło na się obronę ludu, gdyż kronikarskie zapewnienia o jego ucisku są tak ogólnikowe, że niczego nie dowodzą.

Za Władysława Hermana, boczny syn jego Zbigniew podnosi bunt przeciw ojcu. Autor twierdzi, że go możni użyli za narzędzie do osłabienia władzy królewskiéj, i fakt ten uważa za początek „rodzącéj się wolności politycznéj“ (I, 35). „Bunt Zbigniewa— pisze dobrodusznie Wróblewski — może pewnie dowodzić pierwszego w naszéj historyi imania się możnych za sprawę wolności;“ poczém dodaje, że się „dość zgrabnie“ do tego wzięli. Ale po co, pytamy się, możnym bronić sprawy wolności, kiedy już przedtém, jak twierdził autor, byli wolni? Urodziła się tedy wolność z buntu Zbigniewa; widocznie jednak mało jéj było na jednych rodzicach, bo o kilka wierszy niżéj czytamy, że się „rodziła najpierwéj z wolnego ducha ludu, a nadto z zamierzchłych podań starosłowiańskiéj swobody“ (I, 36—37).

W taki sposób filozofuje Wróblewski nad naszemi dziejami za rządu Piastów. Gdy tych zabrakło, wstąpił Ludwik węgierski. Autor kommentując ugodę w Koszycach, mówi, że naród wówczas stanął „u wrót Rzeczypospolitéj“ i tu widzi zrządzenie Boże w tém mianowicie, że Opatrzność odmówiła Ludwikowi męzkiego potomstwa (I, 39). Trzeba więc było aż wdania się Opatrzności i obdarzenia Ludwika tylko córkami, ażeby się u nas mogły otworzyć „wrota Rzeczypospolitéj!“

Pod Jagiellonami znów się rodzi wolność, nie wiadomo już który raz z rzędu. Ale jakim sposobem? Oto gdy Jagiełło chciał po sobie zapewnić następstwo Władysławowi wydał dukument zapewniający szlachcie swobody jeszcze większe niż koszyckie, i złożył go w ręce kardynała Oleśnickiego. Kiedy potém król tych swobód nie dotrzymywał, szlachta wobec króla rozsiekała ów dokument na zjeździe w Łęczycy (1426). „Patrzał na to król zdumiały a smutny: powiadają, że mu się udało potém *zakupić* poje-

dynczo przyzwolenie wszystkich niemal panów—ale jeżeli to prawda, dodaje nasz statysta — w takim razie nie zaprzedano wolności, umiano tylko wyłudzić łaski lub pieniądze" (I, 174). Więc za swobody rwano się do szabel wobec króla—a potém ustąpiono za pieniądze! Nareszcie urodziła się wolność, ale jeszcze nie raz ostatni.

Za Kazimierza Jagiellończyka na nowo rodzi się wolność. Król potrzebował pieniędzy na wojnę pruską; pieniądze można było zebrać z podatków, od których się szlachta prawie już oswobodziła. „Kazimierz na sejmie w Piotrkowie (1456) ze łzami, modlił się prawie do biskupa krakowskiego i kapituły, aby mu dozwoloném było zastawić srebra kościelne, które przyrzekał wykupić zaraz za wpłyniony podatek; otrzymał odpowiedź, że tego nie dostąpiłby nawet groźbami wygnania i śmierci" (T. Morawski, T. II, 159). Nareszcie szlachta czyli stan rycerski zgadza się na podatki, ale pod warunkiem, żeby odtąd „bez zezwolenia stanu rycerskiego, t. j. izby poselskiéj, praw nie stanowiono, podatków nie uchwalano, wojny nie wypowiadano, pokoju nie zawierano" (I, 217). Mamy tu zatém początek ukonstytuowania się izby poselskiéj jako trzeciego czynnika prawodawczego, istotny początek naszego parlamentaryzmu. Jest to fakt rzeczywiście bardzo ważny w naszych dziejach. Taką drogą zyskiwał naród i w innych krajach udział w sprawach publicznych: brak pieniędzy zmuszał rządy do ustąpienia części praw przysługujących dotychczas koronie.

Ale gdy zważymy okoliczności, wśród jakich stan rycerski te swobody u nas sobie wytargował, mianowicie gdy wojnę zagraniczną trzeba było wszelkiemi siłami popierać; gdy czytamy, że król „ze łzami, modlił się prawie" o to poparcie; gdy nareszcie dodamy w co się zamieniły te swobody szlacheckie w późniejszych *paktach konwentach* i jak stopniowo związywały ręce władzy królewskiéj: to również wątpić możemy o mądrości „słowa" wcielonego w rzeszy szlacheckiéj. Wróblewski zaś wierny demokratycznemu dogmatowi swojemu taki wyciąga ztąd wniosek: „Tak tedy stanął stan rycerski w swojém wszechwładztwie; a właściwszy (?) niż był dotąd pogląd na nasze prawodawstwo polityczne uczy widzieć w tém dobro (?) i możność ocalenia kraju, nie zaś jego szkodę i upadek." (I, 218).

My zaś widzimy w całym tym targu z królem zwątlenie władzy centralnéj w porze, gdy jéj naród bardzo jeszcze potrzebował, gdy Litwa dążyła w kierunku odśrodkowym, gdy i inne prowincye nie były jak należy spojone. Natomiast przybył do obrad publicznych gmin szlachecki wyzyskiwany i popychany przez moż-

nowładców w widokach prywatnych, paraliżujący często w późniejszych czasach najzbawienniejsze uchwały. Fakta następne dowiodły, że przypuszczenie do udziału w rządzie massy szlacheckiéj bez stanu miejskiego i zagarnienie prawie wszystkiéj władzy przez stan rycerski, a właściwie przez kilkanaście rodzin możnowładczych, wyszło w istocie na zgubę, nie jak twierdzi autor „Słowa“ na ocalenie narodu.

Za Jana Olbrachta musiało być władzy królewskiéj już bardzo ciasno po tylu poprzednich narodzinach „wolności.“ Doradcą tego króla był Filip Kallimach Buonacorsi, który podobno podsuwał mu zamiar wytępienia szlachty za pomocą wojny zagranicznéj, a przez to rozwiązania sobie rąk do zaprowadzenia monarchicznéj samowładności. Czy tak było w istocie, nie chcemy w to wchodzić; ale szlachta: jeszcze bardziéj ograniczyła władzę królewską, czyli jak się wyraża nasz autor, władza ta „wpadła w tęższe od pierwszych łyka“ (I, 233). Na sejmie bowiem w Piotrkowie (1496) zastrzegła sobie znów szlachta: „żeby praw nie stanowić, na wojnę nie zwoływać bez poprzedniczego zebrania, nie już senatu, nie już nawet sejmu, ale sejmików prowincyonalnych.“ Żeby zaś odjąć królowi możność jednania na razie ciżby życzliwców sprawie monarchizmu, nie pozwolono mu odtąd wyszlachcać inaczéj jak za zasługę rycerską i to w czasie wojny. Potrącono i stany niższe, obmyślały bowiem projekta Kallimacha większe dla nich swobody. „Zabroniono kmieciom czynić prawnie w sądach ziemskich, które dotąd ze szlachtą mieli wspólne; zabroniono im i mieszczanom nabywać ziemię, a nakazano wyzbycie się z posiadanéj“ (Id. ibid.). Ciekawe jest co nasz statysta na to wszystko powie. Zdawałoby się, że to zdegradowanie stanu wiejskiego i miejskiego, to skonfiskowanie najistotniejszych elementów bytu dwóch tych stanów na rzecz szlacheckiéj swawoli, to podcięcie drzewa w korzeniu, powinnoby dać każdemu głębszemu badaczowi dużo do myślenia. Tymczasem Wróblewski uznaje wprawdzie że to były „krzyczące niesprawiedliwości,“ ale przecież zasługują „na jakieś pobłażenie“ dlatego, że szlachta obawiała się spotęgowania władzy królewskiéj, dlatego, że ona była „prawym wyobrazicielem dwóch walnych zasad słowa narodowego: wolności i równości“ (Id. ibid.). Piękna wolność i piękna równość, gdy wszyscy, z wyjątkiem garści szlachty, nie wyłączając króla, mieli zostać niewolnymi i nierównymi! Taka jest logika demokratycznego historyozofa.

Każdy, kto się z nami przyglądał temu ciągłemu rodzeniu się wolności, mógłby sądzić, że już jéj szlachta zdobyła dosyć.

Inaczéj przecież sądziła i ona i jéj panegirysta Wróblewski. Bo oto Alexander Jagiellończyk musi znów dawać fundamentalną ustawę téj osnowy: „Bez zezwolenia Stanów król nie będzie miał prawa nakładać nowych podatków, nie będzie bił monety, nie będzie stanowił nic o wojnie, nie będzie dowolnie rozporządzał dobrami stołowemi i królewszczyznami" — nadto „warowano sobie także swobodne urządzenie trybu sprawiedliwości" (I, 241). Tym sposobem, konkluduje autor, stan rycerski już dobiegał, ale jeszcze nie dobiegł kresu swojego wszechwładztwa. Czegoby mu jeszcze brakowało? chyba ptasiego mleka. Władzy królewskiéj tylko cień, stan miejski i kmiecy „szkaradnie ucierpiały," ale, powiada autor, bezstronność każe dodać, że to się stało z potrzeby „silnego na gorącym razie odpierania monarchizmu." Ten monarchizm jest dla naszego statysty istném straszydłem, tak jak był swojego czasu dla mądréj szlachty, w któréj upatrzył złożone „słowo" dziejów naszych. Z drugiéj strony dostaje się wszędzie Litwinom za to, że pragnęli ukonstytuować monarchizm „arystokratyczny."

Po wygaśnieniu rodziny Jagiellonów, korona idzie na zupełny frymark, na licytacyą więcéj dającemu. Obrano Henryka Walezyusza, a dlaczego obrano? Wróblewski zna przyczyny i te podaje. Poszło to ztąd powiada, żeby mieć „pana, któryby mniéj był groźny swobodom" a w części i dlatego, że Montluk był „zgrabniejszym" od Rosembergów i Dudyczów. Osobliwa to zgrabność tego Montluka, kiedy aż dla niéj kandydat przezeń forytowany zostaje królem!

Ale oto ważniejsza zachodzi zmiana. „Wielki" późniejszy Jan Zamojski, obecnie poseł bełzki, wniósł na konkwokacyi „i utrzymał prawo sławne, wynoszące elekcyą z koła obrad, oddające ją głosom całéj zgromadzonéj w otwartém polu szlachty." Nasz autor o mało nie wyskoczył z radości i tak objaśnia ten krok Zamojskiego: „Ważną byłoby rzeczą módz dokładnie oznaczyć chwilę sejmową, w któréj prawo to wniesioném zostało. Czy przed upadkiem, czy po upadku partyi rakuskiéj? Jeżeli po, czyn ten będzie czynem trybuna ludu pochlebiającego jego namiętnościom; jeżeli przed, zadanie przyjmie całkiem inną postać. Zamojski, główny natenczas wyraziciel prawdziwych chęci i dążeń narodu... wydzierał prawo elekcyi sejmowi, aby je dać pod straż całego narodu szlacheckiego, z którym sprawa nie była tak łatwą. Ostatnie podobniejsze do prawdy, chociaż i w pierwszym razie krok Zamojskiego dałby się jeszcze w pełni usprawiedliwić" (I, 361).

Krok politycznie najfałszywszy i najzgubniejszy nazwany tu w obu alternatywach dobrym, dającym się w pełni usprawiedli-

wić. Oddać wybór króla kilkunastu lub kilkudziesięciu tysiącom szlachty i pośród niéj szukać jednomyślności, zgody, jest to nie znać ludzi—jest to przecinać możność utworzenia władzy naczelnéj i otworzyć na oścież drzwi anarchii. Takiego kroku nie można usprawiedliwiać, chociaż rozumieć go można. Autor wszakże o kilka stronnic niżéj, tego samego Zamojskiego inaczéj traktuje, twierdząc, że nie był on ani głębokim znawcą, ani apostołem „słowa," że ono „pozostało dla niego zaklętém" (I, 366); „Umiał tylko udawać miłość równości," kończy Wróblewski charakterystykę Zamojskiego, którego tylko co nazywał „*wyrazicielem prawdziwych chęci i dążeń narodu.*"

Gdzie tylko władza królewska poniosła uszczerbek a szlachta zyskała nowy środek oppozycyi i posunęła się o krok daléj w swojém wszechwładztwie czyli swawoli, tam autor podziwia mądrość wcielonego w nią „słowa." Tak gdy ocenia *pacta conventa* podane Henrykowi Walezemu, gdy mówi o ustanowieniu Trybunału za Stefana Batorego t. j. o zagarnięciu przez szlachtę wymiaru sprawiedliwości, która tak jak korona miała pójść na frymark, gdy ocenia rządy Batorego, dążącego jak mniema do samowładztwa, wszędzie stan rycerski i jego wielmożność ma w nim gorącego apologetę. Nawet śmierć Batorego „nie zasmuciła narodu" dla jego dążeń do samowładztwa (II, 2). Następnie gdy ocenia działanie sejmu inkwizycyjnego przeciw Zygmuntowi III, który także nie znajduje pobłażania dlatego, że dążył do *absolutum dominium;* gdy rozważa bunt Mikołaja Zebrzydowskiego i wybuch jego pozoruje obawą ze strony szlachty postradania wolności; gdy strofuje Władysława IV, że przez zamachy na wolność „wywołał bunt Chmielnickiego, aby tym okropnym środkiem obalić rzeczpospolitą a zaprowadzić monarchią" (II, 421): wszędzie winną jest władza królewska, wszędzie stan rycerski jest niewinnym barankiem.

Za Jana Kazimierza Siciński, poseł z Upity, nabechtany przez Janusza Radziwiłła hetmana w. lit., zrywa *jednėm nie pozwalam* (veto) sejm r. 1652. Nasz filozof nazywa wprawdzie Sicińskiego „czeladnikiem" Radziwiłłowskim, ubolewa nad nieszczęsnym przykładem, ale zaraz się pociesza pisząc: „Przy zerwaniu więc pierwszego walnego sejmu chodziło, jak się zdaje, o *broń prawodawczą* (?) skuteczniejszą *przeciwko władzy królewskiéj* niż było prawo jednomyślności pod swoją dotychczasową postacią. Knowania królów przeciw Rzeczypospolitéj, znużyły w końcu cierpliwość narodu" (II, 500). Dla wymarzonego ideału republikańskiego Wróblewski gotów wszystko usprawiedliwić, nawet *liberum veto,*

a przyczynę usprawiedliwiającą to potworne bezprawie stanowią u niego „knowania królów.“

Bezprawie samo nazywa on eufonicznie tylko „przesadą stróżliwości republikańskiéj“—„hamulcem władzy, a nie żadném opętaniem anarchicznego usposobienia narodu.“ Całe to usprawiedliwie *liberi veto* jest czysto doktrynerską deklamacyą, wynikiem fikcyi na czele za zasadę przyjętéj przez autora, że „słowo“ dziejów naszych wcielone zostało w stan rycerski mający bojować z monarchią. Historyk, który powiada, że nigdzie tak jak u nas „władza królewska nie podchodziła tak *glucho*, więc tém niebezpieczniéj pod ustawę republikańską, żeby ją zwalić i samowładztwo wprowadzić,“ daje dowód, że nie zna dziejów obcych. Gdyby je znał, przekonałby się, że w innych krajach używano daleko skuteczniejszych środków niż u nas do zaprowadzenia monarchizmu. Ale deklamowanie przeciw monarchii, solidaryzowanie się z dawném warcholstwem szlacheckiém, jest konikiem, na którym nasz statysta wyprawia harce po całéj naszéj historyi.

Jan Kazimierz, niebardzo zdolny do stawienia czoła nieszczęściom, którym i zdolniejszy niełatwoby podołał, widział przecież, że rząd silny, monarchiczny mógł jeszcze złemu radzić, i czyto z własnego przekonania, czy za wpływem Francyi, myślał o oddaniu korony księciu francuzkiemu i zaprowadzeniu dziedzicznéj monarchii. Wróblewski dążenia te po swojemu ocenia i powiada: „Gdyby się Polska w téj porze stała była dziedziczném z Rzeczypospolitéj królestwem, *przestałaby być wolną*, zadałaby raz śmiertelny narodowemu słowu i posłannictwu“ (II, 614).

Bunty wojskowe i wciągnienie armii do politykowania, najgroźniejsza choroba państw po wszystkie czasy — znajdują u autora naszego usprawiedliwienie, a co ciekawsza, widzi on w nich „geniusz narodowy, czuwający nad wolnością“ (II, 612).

Po ustąpieniu z tronu Jana Kazimierza, a z nim i rodziny Wazów, już tych pokuszeń do zaprowadzenia silniejszego rządu nie widzimy. Obaj Piastowie, Michał i Jan Sobieski, nie myślą o *absolutum dominium:* zaczyna się raj dla stanu rycerskiego, a „słowo“ rozwija się coraz pełniéj, swawola a z nią niemoc idą w parze. Dopiero znów August II marzy o dźwignieniu monarchizmu, ale także napróżno. Nasz statysta wierny swojéj zasadzie, gniewa się za to na króla przy każdéj sposobności (II, 582—585).

Tak samo gdy ocenia reformę rządu dokonaną przed elekcyą Stanisława Poniatowskiego przez Czartoryskich, oburza się na nich, a w kanclerzu (Mich. Czartoryski) widzi „diabelską biegłość i wykrętarstwo“ — słowem „zabójcę wolności“ (III, 713). Nasz filozof

dokonałby całéj téj reformy bardzo prosto: „przez odjęcie królowi prawa szafunku,“ a wówczas i „słowo narodowe nie zostałoby sponiewierane.“ Po tém wszystkiém łatwo zgadnąć, że i Ustawa z 1791 roku nie bardzo mu się podoba. Krytykuje ją zatém w tonie słodko-kwaśnym, a nawet oppozycyi w części przyznaje słuszność. W opponentach widzi jeden żywioł „niepokalany,“ t. j. tych co nie chcieli „aby wiekowa dążność stanu rycerskiego do rzetelnego politycznego znaczenia w nic obróconą została.“

Rzeczona Ustawa wprawdzie się nie zaparła „słowa,“ ale postawiła je „w niebezpiecznéj kolei przez sprowadzenie narodu z toru wolnéj Rzeczypospolitéj na tór wolnéj monarchii“ (III, 763).

Sądzimy, że przytoczone przykłady rozumowania nad dziejami naszemi zawarte w „Słowie“ Wróblewskiego, dostatecznie dają poznać ducha całéj książki, zwłaszcza że wyszła ona jeszcze w r. 1858, była czytana, a tém samém nie jest publiczności obca. Powiedzieliśmy, że faktów nie myślimy prostować, lecz tylko sądy o nich przejrzeć. Otoż dzieło rzeczone oprócz pomijania wielu stron życia społecznego, grzeszy jeszcze tém, że prawie wyłącznie zajmuje się prawodawstwem politycznem i chwali w niém to, co w istocie zgubném było: t. j. swawolą jednego stanu nazwaną wolnością. Wróblewski jest apologetą téj swawoli a nieprzyjacielem monarchizmu. Taka filozofia polityczna, takie sądy o przeszłości mogą szerzyć jedynie anarchią gwoli demokratycznym mrzonkom, mogą prowadzić jedynie do anarchii umysłowéj, jak niegdyś podobnie rozumujących doprowadziły do zguby politycznéj.

Szczęściem, że nowsze prace historyczne choćby tylko Szujskiego i T. Morawskiego, zawierające trzeźwiejszy pogląd i rozumniejsze ocenienie dziejów naszych, mogą stanowić pewien antydot przeciw takim majakom historyozoficznym, jakie się snują po dziele Wróblewskiego.

* *

*

Na zupełnie przeciwnym krańcu pojęć historyozoficznych w stosunku do Wróblewskiego stoi A. Walewski. Przeciwieństwo to jużeśmy na początku ogólnie zaznaczyli. Tu trzeba nam bardziéj szczegółowo w rzecz wniknąć i powyższą charakterystykę usprawiedliwić.

Ogólnym początkiem czyli zasadą dziejów ludzkich jest podług Walewskiego „walka spirytualizmu z materyalizmem, lukta ducha z ciałem, lukta rozdwojenia i oppozycyi z dążeniem do zgody,

lukta protestacyi z powagami.“ Co do téj zasady możnaby zauważyć, że jest ona dość nieokreśloną i stosownie do tego, co kto będzie rozumiał pod spirytualizmem i materyalizmem, rozmaicie też może być rozumiana. Autor wprawdzie objaśnia tę zasadę mówiąc, że „duch kieruje światem, *Mens regit mundum;* ale objaśnienie to równie jest ogólnikowe jak zasada. Rozwijając dalej myśl główną, powiada, że walka owa odbywała się na świecie pod różnemi imionami, jako „lukta podwładnych ze zwierzchnością, republiki z monarchią, arystów z demokracyą, wiary z racyonalizmem, liberalizmu z konserwatyzmem i t. d.“ (Wstęp, III).

W naszéj zaś specyalnie historyi walka ta „żywo“ się także przedstawia, a „materyalizm w niéj reprezentują: anarchia, bunty—spirytualizm znów ma swojego przedstawiciela w monarchii, w restauracyi, w królu“ (ibid.).

Otoż tak w dziejach powszechnych jak i w naszych są dowody, t. j. fakta uczące, że nie każda oppozycya była złą, czyli jak autor nazywa materyalistyczną. Potępiając wszelką zmianę, wszelki ruch w dziejach ludzkich dokonywany przez oppozycyą, stanęlibyśmy w sprzeczności z faktami, które usprawiedliwiły słuszność oporu—a nawet nie moglibyśmy zrozumieć samych dziejów, których zasadą jest według autora, walka, lukta. Jużciż gdyby nie oppozycya, walkiby nie było, a tém samém i dziejów. Oppozycya leży w naturze umysłu ludzkiego, albowiem jeden człowiek lepiéj może widzieć i rozumieć niż drugi, i ztąd pochodzi niezgodność jego z panującemi w pewnym kierunku opiniami. Nikt też nie przystanie na to, żeby monarchia miała być koniecznie przedstawicielką spirytualizmu. Bywały monarchie już za naszéj pamięci, jak np. Ludwika Filipa i Napoleona III, których sami Francuzi do obrońców spirytualizmu nie liczą.

Historyą pojmuje Walewski jako „drugie Objawienie“ boskie, jako umiejętność wystawiającą nietylko wypadki, lecz oraz pomysły, idee, zasady, będące „duszą faktów.“ Takie pojmowanie historyi różni się wprawdzie od pojmowania jéj jako sądu powszechnego, *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht;* różni się od pojmowania jéj jako procesu koniecznego czynów ludzkich w duchu determinizmu; nie jest jednakże ściślejsze od kronikarskiego poglądu na dzieje ludzkie.

Nazywając historyą „drugiém Objawieniem,“ autor użył oczywiście tylko porównania, albowiem do wyrazu *Objawienie* przywiązano znaczenie ustalone, teologiczne. Jeżeli się o tém porównaniu nie pamięta i chce za pomocą Opatrzności tłómaczyć fakta dziejowe, przyszłoby też Opatrzność solidaryzować z najpo-

tworniejszemi faktami, w które historya obfituje; wypadałoby błędy ludzkie, grzechy polityczne składać na Boga, słowem nie możnaby wybrnąć ze sprzeczności. Ale o parę stronnic niżéj, autor zapomina o swojéj zasadzie i nazywa historyą „najwyższym trybunałem na ziemi“ (VII), widzi w świecie moralnym „nieubłaganą logikę“ wypadków. Nie wiemy zatém w istocie, za co mamy uważać historyą, czy za Objawienie boskie, czy za nieubłaganą logikę, która bardzo przypomina tak zwany determinizm niektórych historyków (Buckle, Draper). Z bardzo długiego i bardzo rozwlekłego *Wstępu* możnaby i jedno i drugie wyciągnąć, chociaż trzeba wyznać, że dalszy ciąg wykładu nie pozostawia wątpliwości, na którą stronę przechyla się nasz autor: stoi on duszą i ciałem pod chorągwią teokratyczną.

Wierny téj chorągwi uczy Walewski, że trzy są władze naczelne w świecie chrześciańskim: cesarz, papież i król: wszystkie one są „z bożéj łaski“ i stanowią główne czynniki oświaty. Papież, albo raczéj kościół ocalił porządek moralny; cesarz a respective król porządek społeczny i polityczny po rozbiciu państwa Rzymskiego. Ztąd pokazuje się powszechno-dziejowe znaczenie dynastyi i w ogóle monarchii przy organizowaniu państw nowożytnych. Nastała rzeczpospolita chrześciańska, papież mianował (sic) cesarzów i królów, zakwitła zgoda między władzą duchowną i świecką, rozwinął się ideał społeczno-polityczny pod tarczą feudalizmu, wrócił raj utracony, do którego nasz filozof radby jeszcze raz wrócić upadłą ludzkość. Wszystko złe, na jakie patrzymy, wynikło z rozerwania owéj zgody między *sacerdotium* a *regnum*, ze zburzenia rzeczypospolitéj chrześciańskiéj: ale to złe ustąpi. „Prawowitość czyli legitymiczność i lojalność, przedstawiające duchowość, zwyciężą ludoborstwo jako obrzydły materyalizm. Dlatego nie utrzymał się żaden bunt, żadna rewolucya ani w starożytności ani w czasach nowych.“ Najwyższą zaś siłą na ziemi jest „obok kościoła lojalność dla dynastyi“ (*Wstęp*, LXV).

Do takiego rezultatu prowadzi Walewskiego rozważanie dziejów powszechnych: poczém przystępuje on do zastanawiania się nad naszemi i widzi w nich „jednę panującą zasadę, a tą jest z jednéj strony dynastya, z drugiéj lojalność“ (*Wstęp*, LXVIII). Wprawdzie nie zamieniły się u nas uczucia dynastyczności i lojalności w „dogmat,“ ale jednak nie wygasły nigdy zupełnie.

Największą klęską dla narodów jest brak dynastyi: ztąd, powiada Walewski „ilekroć chciała Opatrzność nas ukarać, tyle razy odmawiała naszym królom męzkiego potomstwa.“ Wnosi więc, że Kazimierz W. „spełnił zbrodnię przeciw dynastyi Pia-

stowskiéj dlatego, że nie miał syna; Zygmunt August był takim samym winowajcą, ponieważ nie miał syna; Władysław IV został gnuśnym dlatego, że nie miał syna; Jan Kazimierz abdykował dlatego, że jak sam mówił, Opatrzność odmówiła mu syna; a chociaż „genialny Jan Sobieski trzech synów zostawił,“ jednak „Polacy postanowili spełnić samobójstwo i wyłączeniem dynastyi Sobieskich od tronu dopięli najwyraźniéj celu“ (ibidem, LXIX). Z tego wszystkiego wnioskuje autor, że losy każdego narodu zależą od „sposobu, w jaki spełniał swe powinności wobec swej dynastyi i króla“ (ibidem).

Oto jest mała próbka filozofii naszych dziejów pod piórem Walewskiego. Wciąga on Opatrzność do spraw dynastycznych i każe jéj karać naród za to, że ten lub ów z jego monarchów nie miał syna! Przypomina się tu Horacyuszowe zdanie: „Quidquid delirant reges, plectuntur Achivi.“ Naród, zdaniem filozofa, popełnił na sobie samobójstwo przez wyłączenie dynastyi Sobieskiego od tronu. Tymczasem wiadomo, że żaden z synów jego nie był zdolny nietylko na króla, ale na marszałka. Uważani dotychczas i słusznie za znakomitszych monarchów Kazimierz W., Zygmunt August, Władysław IV, są w oczach Walewskiego, bez względu na swoje zasługi, prawie zbrodniarzami dlatego, że nie mieli synów. Osobliwa to w istocie filozofia dziejów: jakby samo potomstwo męzkie i trwałość dynastyi były jedyną dźwignią bytu politycznego. Jest to oczywiście do przesady posuniona apologia zasady monarchicznéj, jest to fetyszyzm sui generis.

W historyografii naszéj nikt dotychczas nie wystąpił z tak bezwzględną obroną monarchizmu; przeciwnie widzi się w niéj bądź sympatye demokratyczne (Lelewel, Moraczewski), bądź umiarkowanie monarchiczne (Szujski, T. Morawski). Nie podzielając tego bałwochwalstwa, które Walewski w swojéj książce na każdéj prawie stronnicy powtarza, trzeba przecież przyznać mu część słuszności; albowiem monarchizm był i będzie najdzielniejszym wyrazem jedności politycznéj narodu, oraz formą rządu najskuteczniejszą, osobliwie w narodach niedość jeszcze skutych w jednolitą całość. Podkopywanie go w naszéj przeszłości, zostawianie króla bez poparcia z obawy *absolutum dominium*, odśrodkowe, egoistyczne dążenia żywiołów magnackiego i szlacheckiego, były, jak nam się zdaje, ciężkim błędem politycznym, i o tyle apologią Walewskiego w interesie monarchii pojąć i usprawiedliwićby można, gdyby ją ograniczył po wiek XVIII i gorliwością za cel nie przesięgnął. Za to znów trudniéj dopatrzyć téj lojalności dla dynastyi, którą Walewski koniecznie chce z dziejów naszych wyka-

zać, zwłaszcza gdy się ma na pamięci choćby rokosze Zebrzydowskiego i Lubomirskiego, nie mówiąc o dawniejszych za dynastyi Piastów; gdy się pomyśli o konfederacyach wojskowych i cywilnych miotających się przeciw królewskości. Nie rozumiano u nas wówczas, a przynajmniéj niewielu rozumiało, jakie jest znaczenie monarchii i dynastyi, które nie mając korzeni w narodzie szlacheckim, póty były popularne, póki miały co rozdawać wiecznie głodnemu rycerstwu!

Takie są zasadnicze poglądy Walewskiego na dzieje powszechne i nasze, wypowiedziane we *Wstępie* do jego „Filozofii." Po tym wstępie idzie *Przedmowa* dosyć pretensyonalna, w któréj autor powiada, że „przedsięwziął pracę niewdzięczną, pisząc dla narodu do filozoficznych zgłębiań najmniéj pochopnego." Może to i prawda, żeśmy nie byli pochopni do zgłębiań filozoficznych, do metafizycznych zaciekań; ani pajęczych systemątów nie natworzyli tyle, co np. Niemcy: ale znów odmawiać narodowi tak ryczałtem zdolności i chęci do zgłębiań filozoficznych, to trochę nieobyczajnie. Bądź co bądź, do pojęcia „Filozofii" Walewskiego jużeśmy dojrzeli i wiemy, co o niéj trzymać.

Zdawałoby się, że po *Wstępie* i *Przedmowie* dostaniemy się *in medias res*, że się nareszcie dowiemy, jaką nam autor przynosi „Filozofią" naszych dziejów. Ale oczekiwanie to zawodzi, albowiem znów brodzimy w samych przygotowaniach, błąkamy się po przysionku, do wnętrza gmachu trudno się dostać. Autor rozprawia o konieczności łączenia nauki dziejów naszych z powszechnemi, o czém zapewne nikt nie wątpi, a tém samém i dowodzić tego nie potrzeba. Bo też ładu w książce Walewskiego nie ma nawet za szeląg: prawi on o wszystkiém jak się co nawinie, czasami mądrze jak wytrawny pisarz, częściéj dziwaczy. Tak np. zadaje sobie pytanie: „Czemu Polacy zamiast się uczyć dwóch rzeczy najpotrzebniejszych człowiekowi: sztuki rozkazywania i umiejętności posłuszeństwa, uczyli się niedorzeczności jak *liberum veto?*" Pytanie to można sobie objaśnić, jak mniema autor „jedynie przy pomocy historyi feudalizmu." Oczywiście dlatego, żeśmy nie znali feudalizmu, nie nauczyliśmy się rozkazywać i być posłusznymi. Taką szkołą do wyrobienia cnót politycznych dla narodów Zachodu był feudalizm. Brak tych cnót w rozmaitych epokach naszéj historyi, wyprowadzenie początku i następstw tego braku, mogłoby stanowić bardzo nauczający rozdział w „Filozofii" naszych dziejów. Feudalizm zapewne także zostawił niejakie piętno na charakterze ludności europejskiéj—ale żeby wyrabiał w narodach sztukę rozkazywania i umiejętność posłuszeństwa—tego tru-

dniéj byłoby dowieść. Autor jeszcze raz wraca do tego samego tematu i pomiędzy przyczynami naszéj anarchii liczy także brak feudalizmu. Tymczasem z tego, co o feudalizmie wiemy, możnaby raczéj jego samego nazwać anarchią. Nie możemy zatém zrozumieć, jakim sposobem anarchia feudalna mogła w narodach wyrabiać cnotę posłuszeństwa i umiejętność rozkazywania. Bywały przecież narody, jak np. Rzymianie, które nie znały feudalizmu, a umiały i rozkazywać, i same być posłuszne, i anarchii się ustrzegły.

Daléj uczy nas autor o potrzebie filozofii naszych dziejów, i potrzeby téj wcale nie myślimy zaprzeczać, byle się do niéj wziął człowiek odpowiednio uzdolniony i wolny od doktrynerstwa.

Przeprowadzeni po tych wertepach dostajemy się do nowego „wstępu,“ tylko że ten dotycze początkowych naszych dziejów, a zatém można go autorowi wybaczyć po innych „wstępach.“ Tu spotykamy się z pytaniem: Czemu Polska przyszła na świat w X wieku? Pytanie całkiem, jak sądzę, niepotrzebne, tak jak niepotrzebnie pytałby się człowiek samego siebie: czemu się urodził w tym a nie innym roku? Autor jednak ma i na to pytanie odpowiedź mianowicie, że „Polska stała się potrzebną Opatrzności“ (20—21). Chcemy temu wierzyć, ale ponieważ Opatrzność nie objawiła nam dlaczego jedne narody wcześniéj, inne późniéj do bytu politycznego powołuje; nie mamy témsamém prawa podsuwać jéj swoich mniemań.

Miejsce urodzenia narodu byłoby równie ważnym jak i czas przedmiotem do rozmyślania dla „Filozofii“ naszych dziejów, gdyby autor przystąpił do tego z należytém przygotowaniem. Tymczasem Walewski zbywa przedmiot ogólnikiem, że „Polska urodziła się półdziką, półdzikiemi narodami otoczona,“ zdala od Rzymu i Carogrodu, będących wtedy ogniskami życia politycznego, a przeto musiała „improwizować swoje ustawy;“ ustawy zaś improwizowane muszą być słabe, więc dlatego brała u nas górę „społeczna i polityczna niesforność“ (23). Takiego wniosku i z takich premis nie powinienby statysta wyciągać. Ani Polska ówczesna nie improwizowała ustaw przejmując z wiarą od Zachodu zachodnią organizacyą kościelną, prawną i polityczną; ani nawet gdyby je improwizowała, niekoniecznie ztąd powinna się była rozwinąć polityczna niesforność. Tu, jak w wielu innych punktach, filozofia zawiodła filozofa.

Wybrnąwszy ze „wstępów“ i przygotowań, dochodzimy z autorem do badania „początków monarchii polskiéj,“ któréj Walewski przeciwstawi anarchią. Początków Polski monarchicznéj trzeba

szukać na łonie Słowiańszczyzny, nad którą Czesi, Polacy i Rossyanie już poczynili niejakie studya. Autor zamiast je roztrząsnąć i ocenić, przytacza o Słowianach zdanie dwóch cesarzy bizantyjskich: Maurycego i Leona, z których pierwszy powiada, że „Słowianie żyją w niezgodzie, że zwykle protestowali przeciw wszelkiéj władzy i swojéj i obcéj — że ani monarchii, ani nawet hegemonii na czas dłuższy uznawać nie chcieli“ (30—31). Otóż ten portret Słowian przypada do twarzy wszystkich ludów pierwotnych. Są one niesforne, póki ich organizacya religijna, prawna i polityczna nie ujmie w sforę, do ładu nie przyzwyczai i nie nagnie. Zresztą mamy przykłady żyjące, że niektóre plemiona słowiańskie pod silną dłonią rządzących do posłuszeństwa i sforności nawykły, że więc i zarzut wszystkim Słowianom uczyniony ostać się nie może.

Nasze podania czyli dzieje bajeczne uważa Walewski za apologi, w których się mieści sens moralny dla narodów i monarchów. „Wszystkie sagi polskie wystawiają złe następstwa z podziałów państwa, z bezkrólewia, z możno i gmino-władztwa wypływające. Każdy ustęp sag polskich tchnie nauką monarchizmu (!)“ (31; Dopisek). Takie objaśnienie podań historycznych nie więcéj warto w istocie od morału, jaki bajkopisarz dla dzieci na końcu bajki zamieszcza. Prawda, że jeszcze nie wiemy na pewno co znaczyli Lech, Krak, Wanda, Popielowicze, myszy i smoki—ale lepiéj się przyznać do niewiadomości, niż szukać pragmatyzmu w tém, co być może jest spólną tradycyą Aryów, nie zaś „nauką monarchizmu.“

Bądź co bądź była u nas z początku monarchia, chociaż jakim sposobem powstała, nie dowiedzieliśmy się od autora pomimo zapowiedzenia w tytule, że tego będzie szukał. Za to skrzętnie wylicza on przyczyny naszéj anarchii jako to: niefortunne miejsce i czas urodzenia narodu, przerywane jego polityczne wychowanie, słaby rojalizm, nizki stopień uczuć dynastycznych, nieszczęśliwe położenie topograficzne pod względem wojennym, izbę niższą w sejmie rej wiodącą i nareszcie brak feudalizmu. Chociaż tych mniemanych przyczyn naszéj anarchii za istotne jéj źródła uważać nie można, dałoby się jednak o tém wszystkiém wiele mądrych i pięknych rzeczy powiedzieć. Tu wszakże dość będzie zauważyć, że przecież bywała anarchia i tam gdzie znano feudalizm (np. w Niemczech), i nie znają jéj tam, gdzie izba niższa rej w sejmie prowadzi (np. w Anglii).

Zbadanie przyczyn naszéj anarchii byłoby bardzo nauczającém dla obecnego pokolenia, ale przyczyn tak w polityce jak

i w fizyce nie należy zmyślać (fingere causas), ani ich podawać więcéj niż potrzeba do objaśnienia fenomenu.

Po tylu początkach i wstępach mamy znów w księdze trzeciéj „badanie początków państwa Polskiego“ pomimo że autor już badał „początek monarchii naszéj,“ co jak się zdaje nie powinno być rozłączane; ale widocznie już z „początków“ nie wybrniemy. Otoż tu sobie autor zadaje pytanie, czy państwo Polskie powstało z podboju czy z rozwoju? Badanie to trudne, albowiem brak świadectw, a ztąd wnioski muszą być kruche. Jednak Walewski utrzymuje, że państwo nasze powstało nie z podboju, dowód zaś tego widzi w tém, że „naród to popierał to opuszczał monarchów“ (84). Dowód jak widzimy, bardzo słaby, mogący dowodzić wszystkiego, tylko nie tego co sobie autor założył. Historya bowiem nie zna innego sposobu tworzenia się państw nad podbój. Przewaga jednego plemienia nad drugiém, stwierdzona rezultatem wojny i zapasów, była zawsze państw rodzicielką. Tak było od początku historyi, tak jest dzisiaj, bo takie jest *jus belli*. Gdy się państwo zawiąże, gdy stanie naczelna władza, mogą dobrowolne Unie powiększyć jego terrytoryum; ale to nie wyłącza genezy państwa powstającego zawsze jak historya zapamięta na mocy „prawa mocniejszego.“

Jakież znów było owo państwo Polskie? Zwało się ono Rzecząpospolitą, mającą „silną formę, ale materyały z których się złożyło, były bezsilnemi. Duszą Polski była monarchia, ale ciało jéj było słowiańskie, skłonne do zbytecznéj wolności, nawet do równości, zatém walczące nieustannie z duchem“ (123). To już trudne do zrozumienia. Jeżeli bowiem pod formą państwa mamy rozumieć jego organizacyą polityczną, to ta nigdy u nas nie była silna. Duszą jéj miała być monarchia i ta dusza walczyła ze słowiańskiém ciałem, skłonném do wolności i równości. Co to wszystko znaczy? Skład państwa z kruchych, słowiańskich materyałów zlepionego wzmocnił się unią z Litwą i Prussami, „żywiołami niesłowiańskiemi lecz feudalnemi;“ wzrosło przywiązanie do dynastyi i królewskości, naród przebył szczęśliwie swój wiek młodzieńczy na początku XVI w. Zdawałoby się, że gdyby nie ów mniemany feudalizm litewsko-pruski, państwo Polskie nie mogłoby się było uorganizować. Feudalizm podług Walewskiego, to uniwersalne lekarstwo przeciw chorobie słowiańskiéj nieradności.

Wszystko tedy szło jak najlepiéj na początku XVI wieku. Dopiero „lukta wyznaniowa“ wstrząsnęła gmachem Rzeczypospolitéj i przerwała wychowanie narodu w szkole monarchizmu. Zaczęto „jak dziś przedewszystkiém wierzyć w rozum, w jego naj-

rozmaitsze kaprysy“ (?) (138). Nastąpiła pierwsza elekcya a z nią rywalizacya Francyi i Austryi o przewodzenie w Polsce. Ułożono *pacta conventa* „prawo nawskroś anarchiczne,“ dążono jakby umyślnie do tego, co rychłą zgubę sprowadzić musiało. „Statyści europejscy (którzy ?), powiada Walewski, czytając uchwały fundamentalne i organiczne konfederacyi warszawskiéj, sądzili, że jakiś żartobliwy publicysta napisał satyrę na ojczyznę Mieczysława i Łokietka“ (139). Krok ten był nowém zwichnieniem politycznenego wychowania narodu, któremu burza religijnéj Reformacyi pierwszy cios zadała. A jeżeli naród potém zaraz nie zginął, to zawdzięczał jedynie Bogu, „który mu Zygmunta III, Jana Kazimierza i Jana III brzydzących się maxymami wieku XVI zesłał“ (140). Dopiero Ustawa z 3 Maja „wyklinając (?) konfederacyą warszawską“ (1573), wróciła naród na drogę, którą nieroztropnie w XVI porzucił.

Taka jest jak najkrótsza treść „Filozofii“ dziejów naszych wyłożonéj przez Walewskiego. Podaliśmy tylko główniejsze myśli autora, które można było zebrać z chaotycznéj jego książki. Nie wdawaliśmy się w szczegóły historyczne, w prostowanie faktów pojedynczych, które autor mylnie podaje. Szło nam o danie wyobrażenia, jaki jest *duch* jego „Filozofii.“ Z treści téj widać, że autor przejęty żywo skutkami anarchii, wziął na się apologią monarchii, i to nie jakiejkolwiek, ale średniowiecznéj i tym sposobem stanął w sprzeczności nietylko z historyografią spółczesną swojską, ale w ogóle europejską. Wszystko u niego inaczéj wygląda, niż u dotychczasowych naszych historyków. Wielkim monarchą jest Jan Kazimierz, a Zygmunt I jednym „z wydatniejszych gubicieli Polski,“ którego nazywa „gnuśnym.“ Kazimierz W. jest u niego „występnym,“ ponieważ nie miał syna, a Zygmunt III zbawcą Polski dlatego, że chodził na pasku polityki rakuskiéj. Nicbyśmy przeciw temu nie mieli, że historyk w nowém świetle pokazuje nam zdarzenia i ludzi, gdyby to nowe światło, t. j. nowe zapatrywanie było oparte na faktach, nie zaś na przywidzeniach. Autor jakby się uwziął wszystko w naszéj historyi na wspak widzieć i co jedni chwalili lub chwalą, to on niezawodnie zgani: jest to opozycya dla opozycyi. Jeżeli do tego dodamy nieustającą polemikę z liberalizmem, z rewolucyą, z demokratami i antykościelnemi prawami w Prussiech, których sprawcą jest ks. Bismarck,—będziemy mieli przybliżone wyobrażenie o „Filozofii“ Walewskiego. Jedna tylko myśl z całéj książki zasługuje na uznanie, t. j. obrona zasady monarchicznéj odnośnie do dawnych naszych dziejów. Gdyby Walewski rozwinięciu téj

myśli zdolności swoje był poświęcił, byłby istotną uczynił przysługę i nauce dziejów i spółczesnemu pokoleniu. Po demokratycznych mrzonkach Moraczewskiego i Wróblewskiego, historya nasza potrzebuje badacza spokojnego, bezstronnego, milującego naród rozumnie, któryby nie schlebiając próżności, umiał jasne strony charakteru naszego ocenić i ciemne pokazać. Taka filozofia naszych dziejów byłaby szkolą dla spółczesnych, i hołdem prawdzie złożonym.

Porównani z sobą dwaj pisarze, których dzieła wzięliśmy za przedmiot rozbioru, okazują się najprzód jako stojący na krańcach w zapatrywaniu się na dzieje nasze. Charakteryzując stanowiska ich najogólniéj, możnaby Wróblewskiego nazwać obrońcą anarchii, Walewskiego apologetą monarchii. Pierwszy z nich raduje się, ile razy władza królewska poniosła uszczerbek a szlachecka buta i anarchia brały górę; drugi prawie się pieni ze złości na widok majestatu królewskiego, obdzieranego z uroku i władzy. Tamten powstaje na feudalizm i gromi Ludwika Węgierskiego, który jak mu się zdaje pragnął go do nas wprowadzić; ten w feudalizmie upatruje środek niechybny przeciw anarchii, która dlatego się u nas rozwielmożniła, iż naród nie przeszedł przez szkołę feudalną. Wielkimi królami podług Wróblewskiego byli ci, co popuszczali wodze swawoli, pozwalając na wzrost demokracyi szlacheckiéj; podług Walewskiego znów wielkimi byli: Zygmunt III, Jan Kazimierz i Jan Sobieski. Jeden z nich widzi „słowo“ czyli mądrość narodu w tém, że nie dał u siebie zaprowadzić *absolutum dominium;* drugi uważa brak tegoż *absolutum dominium* za główną niemal przyczynę wszystkich klęsk naszych. Tak więc obaj autorowie są pod wszystkiemi względy z sobą sprzeczni i tylko w chaotyczności swoich rozumowań zgodni. Taka historyozofia jak Walewskiego jest raczéj paszkwilem i objawem złego humoru, niż mądrością z dziejów naszych wyciśniętą. Taka znów jak Wróblewskiego, jest panegirykiem swawoli, hodującym anarchią i politykę romantyczną, po któréj zwykle następują rekryminacye.

Historya może być mistrzynią żywota, byleśmy do niéj nie wnosili chwilowych namiętności i spokojnie rozważali przeszłość, któréj ani apoteozować ani potępiać, lecz którą rozumieć należy. Jeżeli zamiast tak objektywnego i bezstronnego sądu zechcemy fakta przeinaczać i przeinaczone brać za oręż do stronniczéj szermierki; przeniewierzamy się majestatowi prawdy i prowadzimy spółczesnych na mylne drogi. Że do tak bezstronnego sądu o dziejach naszych jeszcze daleko, dowodem są choćby dwa dzieła powy-

żéj roztrząśnione. Bez zbytniego naciągania możnaby wszystkich naszych historyków nowszych pomieścić w dwóch kategoryach i zaliczyć do monarchistów lub republikanów: ale jak jedni tak drudzy widzieli w historyi naszéj nie to co było, lecz co widzieć chcieli. Tymczasem historya powinna badać, jak mówi H. Spencer najważniejsze pytanie, mianowicie: „Jakie są prawa, od których zawisły pomyślność lub upadek narodów, ich trwałość lub wstrząśnienia? Zamiast tego historycy zbierają plotki o intrygach i skandalach dworskich, o oblężeniach i bitwach, o zbrodniach szlachty, rozterkach stronnictw, o urodzinach, zaślubinach i śmierci monarchów. Roztrząsają drobiazgi, szczegółki, będące niby deseniami na tkance minionych czasów; ślepi zaś są na te groźne fakta rzeczywistości, które każdy wiek chowa w fałdach szat swoich; na te straszne prawdy, które płomieniście spoglądają ku nam z szarego oblicza przeszłości. Z kolejnych warstw historycznych pokładów troskliwie zbierają wszystkie jaskrawe ułamki, rozwodzą się nad każdym drobiazgiem, który budzi ciekawość lub uderza błyskotliwością, i cieszą się wzorem dzieci ze swoich błyszczących cacek. Tymczasem bogate żyły mądrości rozgałęzione śród tych rozbitych szczątków, leżą nietknięte. Gromadzą skrzętnie stosy śmiecia w grubych woluminach, zostawiając na boku bogate pokłady kruszcu, z którego złote prawdy możnaby wytopić“ (1).

---

(1) Social Statiecs, 63. Wyd. z 1868.

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiém

napisał

JÓZEF KIRSZROT.

VI.

Amortyzacya.

Jedną z najzbawienniejszych zasad Towarzystw Kredytowych Ziemskich jest amortyzacya. System amortyzacyjny nie powstał razem z instytucyą, ale dopiero późniéj zastosowany został, jako jedno z najważniejszych ulepszeń. Pierwsze Towarzystwo Szlązkie przyjęło obowiązek zaspakajania listów zastawnych na każde żądanie wierzyciela za sześciomiesięcznèm naprzód wypowiedzeniem. W roku 1790 Towarzystwo w księztwie Luneburskiém po raz pierwszy zastosowało u siebie system amortyzacyjny; za jego przykładem poszło W. Ks. Poznańskie, a następnie Królestwo Polskie.

U nas system ten przyjęty został nie bez trudności. Przy dyskusyi nad projektem do prawa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przeciwnicy systemu amortyzacyjnego (Staszic) nazywali go przedłużeniem moratoryum do lat 28. Doświadczenie jednak przekonało o błędności tego zapatrywania. Zasada wycofania listów w przeciągu lat 28 bynajmniéj nie wpłynęła na ich bezcenność; przeciwnie, listy pomimo téj zasady chętnie były przyjmowane i kurs ich nie był nigdy bardzo nizkim, a niekiedy nawet stał wyżéj od nominalnéj wartości. Dla dłużnika zaś pewność, iż kapitał nie będzie mu nagle wypowiedziany i że takowy umarza się w drobnych peryodycznych ratach, wydał bardzo zbawienne skutki i był powodem, iż wszystkie Towarzystwa Kredytowe zastosowały u siebie zasadę amortyzacyi.

Nasze Towarzystwo jak najkonsekwentniéj przeprowadziło zasadę niewymagalności kapitału przed upływem okresu amortyzacyjnego; nie może ono wypowiadać kapitału nawet w razie niespełnienia zobowiązań ze strony dłużnika, lub niebezpieczeństwa dla pożyczki.

Inne instytucye nie doprowadzają do takiéj ostateczności zasady niewymagalności, i tak np. Towarzystwo poznańskie stanowi, iż cały kapitał staje się na raz jeden wymagalny w następujących wypadkach:

1) za przejściem dóbr w ręce cudzoziemca;

2) jeżeli wartość dóbr zmniejszoną została, albo jeżeli dobra podlegają sekwestrowi lub subhastacyi;

3) jeżeli dłużnik nie płaci rat;

4) jeżeli dobra są źle administrowane, albo kiedy właściciel nie wykonywa przyjętych względem Towarzystwa zobowiązań, lub nakoniec nie stosuje się do rozporządzeń Dyrekcyi (art. statutów z r. 1857).

U nas we wszystkich powyższych wypadkach pożyczka Towarzystwa pozostaje nadal w pierwotnéj swojéj wysokości; przejście dóbr w ręce cudzoziemca, lub subhastacya takowych nie ma żadnego wpływu na stosunek zastawionych dóbr do Towarzystwa, niepłacenie rat skutkuje egzekucyą tylko o też raty, a po zapłaceniu takowych i egzekucya ustaje; na wypadek rujnowania dóbr w ten sposób, iż rodzi się obawa o pożyczkę Towarzystwa, służy Towarzystwu prawo zaprowadzenia administracyi zachowawczéj (artykuł 98 prawa z roku 1825, artykuł 42 i 43 prawa z r. 1860).

Jeden jest tylko wypadek, kiedy część pożyczki staje się wymagalną przed upływem terminu amortyzacyjnego, a mianowicie wówczas, kiedy właściciel mający urządzone gospodarstwo leśne, po otrzymaniu na mocy prawa z r. 1860 wysokiéj pożyczki, odstępuje od gospodarstwa leśnego. W wypadku tym właściciel pociągany jest do wystąpienia z taką częścią pożyczki, iżby pozostała jéj część bez względu na umorzenie, nie przechodziła téj wysokości, jaką byłby pozyskał bez urządzenia lasów, a gdyby jéj nie zwracał, Towarzystwo wystawia dobra na sprzedaż, wkładając na nowonabywcę obowiązek spłacenia odpowiedniéj części pożyczki (art. 3 pr. z r. 1860).

Znany jest jeszcze jeden wypadek, kiedy Towarzystwo żądało odrazu częściowéj spłaty swojéj wierzytelności, a właściwie dodatkowego zabezpieczenia pożyczki. Miało to miejsce w roku 1864

i następnych po uwłaszczeniu włościan. Ponieważ Towarzystwo udziela pożyczki na całości dóbr, więc niekiedy skutkiem odpadnięcia części dóbr na rzecz włościan, reszta pozostała przy dziedzicu nie przedstawiała dostatecznego dla pożyczki Towarzysta bezpieczeństwa.

W takich wypadkach Towarzystwo żądało, aby część listów likwidacyjnych, reprezentujących wartość odpadłych dóbr, zdeponowaną została w Banku Polskim do czasu odpowiedniego zmniejszenia się wierzytelności Towarzystwa, lub udowodnienia wyższego szacunku (art. 8, 12 i 18 przepisów o wydawaniu listów likwidacyjnych z r. 1865).

Na skutek powyższych przepisów zatrzymano przy wypłatach listów likwidacyjnych w depozycie Banku Polskiego na zabezpieczenie pożyczek Towarzystwa Kredytowego rs. 4,381,000, a to w czasie do końca 1869 r.—do tegoż wszakże czasu dozwolono już wypłacić zatrzymane listy na skutek udowodnionego bezpieczeństwa w summie rs. 2,088,550.

Proces amortyzacyjny dokonywa się w sposób następujący: Każdy stowarzyszony płaci na zaspokojenie pożyczki zaciągniętéj w listach zastawnych każdego z trzech okresów, i przypadającego od niéj procentu corocznie 6% od summy zaciągniętéj pożyczki w dwóch równych półrocznych ratach.

Z téj kwoty 4% przeznaczone zostają na zaspokojenie procentu, 2% na umorzenie długu. Płacąc 2% rocznie na amortyzacyą długu, kapitał powinien być umorzony po upływie lat 50. Skutkiem zaś płacenia stałéj stopy procentu, t. j. nie od summy, jaką właściciel dóbr dłużny pozostaje po upłaceniu każdéj półrocznéj raty, ale od summy pierwotnie zaciągniętéj, możliwém jest, że kapitał zamiast umorzyć się po upływie 50 lat, gaśnie w czasie daleko krótszym, bo po latach 28; po upłacie bowiem każdéj raty kapitał dłużny zmniejsza się, a ztąd i obowiązek płacenia procentu stosunkowo jest mniejszy; ponieważ zaś rata pozostaje ta sama, przeto przewyżka procentu, jaka się wnosi, idzie na umorzenie odpowiedniéj części kapitału, tak że przy każdéj następnéj racie coraz większa część przeznaczoną zostaje na umorzenie kapitału, a coraz mniejsza na zaspokojenie procentu od zmniejszającego się w ten sposób bezustannie kapitału. Cyfry lepiéj to wykażą; podajemy przeto w skróceniu tabliczkę amortyzacyi do art. 18 prawa z r. 1825 dołączoną, wykazującą w jaki sposób zaciągnięty dług, złp. 200 wynoszący, po latach 28 umorzonym zostaje:

Rok.	Rata.	Upłaty na procent.	Upłaty na kapitał.	Ubywa długu.	Pozostaje długu.
1	1	4,	2,	2,	198,
	2	3,96	2,04	4,04	195,96
2	3	3,92	2,08	6,12	193,88
	4	3,88	2,12	8,24	191,76
3	5	3,84	2,16	10 40	198,60.
	6	3,80	2,20	12,60	187,40.
4	7	3,74	2,26	14,86	185,14.
	8	3,70	2.30	17,16	182,84.
5	9	3,66	2,34	19,50	180,50.
	10	3.56	2,40	21,90	178,10.
. . .	. . .	. . .	. . .	. . .	. . .
. . .	. . .	. . .	. . .	. . .	. . .
10	20	3,08	2,92	48,60	151,40.
15	30	2,44	3,56	81,14	118,86.
20	40	1,68	4,32	120,78	79,22.
25	50	0,72	5,28	169,16	30,84.
28	55	0,18	5,82	179,18	2,82.
—	56	0,06	5,94	203,12	—

W ten sposób dłużnik przez regularne wnoszenie każdego półrocza 6 złotych umarza w ciągu 28 lat dług wynoszący 200 złotych z procentem w stosunku 4% rocznie, i w końcu nadpłaca złp. 3,12, które zostają własnością Towarzystwa.

Powyższa stopa amortyzacyjna była obowiązującą do pożyczek wszystkich trzech okresów. Prawo z roku 1869 przedłużyło czas amortyzacyi z lat 28 do la 36½ i 41, ztąd i półroczne raty na amortyzacyą zostały zmniejszone. Od pożyczek udzielanych 5-procentowemi listami zastawnemi, umarzających się w przeciągu lat 36½ stowarzyszeni płacą każdego półrocza 2½% na procent, ½% na amortyzacyą i ⅕% na koszta administracyi; od pożyczki udzielonéj w listach zastawnych 4-procentowych, umarzającéj się 'po 41 latach, płacą każdego półrocza 2% na procent, ¾% na umorzenie, ⅕% na administracyą.

Jakkolwiek prawo mówi iż 2¾%, które placą dlużnicy, korzystający z kredytu udzielonego w listach zastawnych 4-procentowych, idzie na opłacenie procentu i umorzenie długu, jednak że ściśle wziąwszy tak nie jest, gdyż ¾% nie idą wyłącznie na umorzenie długu, ale tylko 2/4% na amortyzacyą, a ¼% na premium dla posiadacza listu.

Widzieliśmy wyżéj, iż przy utworzeniu Towarzystwa Kredytowego zasada amortyzacyi spotkała przeciwników, którzy ją na-

zywali przedłużeniem moratoryum i przewidywali z tego powodu bezcenność listów zastawnych. Po usunięciu w praktyce tych obaw, pozostali przeciwnicy amortyzacyi w innym kierunku i w przeciwnych zupełnie motywach.

Zapatrując się na systemat długów skonsolidowanych, przez rządy używany, a polegający na tem, iż państwo od długu swego płaci jedynie tylko rentę czyli procent, kapitału zaś wcale nie umarza, w chwili zaś przewyżki dochodów nad wydatkami zakupuje na gieldzie swoje własne inskrypcye rentowe, a w potrzebie znowu je sprzedaje, niektórzy chcieli systemat ten zastosować do kredytu rolniczego, i w ten sposób zamienić Towarzystwo Kredytowe na wielką księgę długu ziemskiego, a listy zastawne na wieczyste dowody zastawu, przynoszące rentę, lecz nieulegające umorzeniu.

Zarzuty przeciwko amortyzacyi czynione są przez zwolenników powyższego systematu następujące:

a) Oprócz pożyczek Towarzystwa Kredytowego dobra w przeważnéj ilości obciążone są prywatnemi długami, kosztującemi daleko drożéj od pożyczki Towarzystwa. Właściciel dóbr zmuszony każdego półrocza umorzyć część pożyczki Towarzystwa, przeznacza dochody swoje na tę amortyzacyą, a pozostawia niezaspokojone pożyczki prywatne, które kapitaliści zwykle w całości na hypotece pozostawiają po zapłaceniu procentu, lub które bez wielkich trudności innemi zastąpić się dają. Co gorsza, niekiedy wierzyciel dóbr musi zaciągnąć pożyczkę prywatną dla zaspokajenia raty Towarzystwa. Otoż jest to złe wyrachowanie zaspakajać dług korzystny, a pozostać przy uciążliwym, umarzać dług, od którego się płaci 5%, a pozostawić lub zaciągnąć dług kosztujący 8%, a często i drożéj.

b) Przy systemacie odnawiania pożyczek po zamortyzowaniu dawnéj pożyczki, powstają koszta wygotowania nowych listów w miejsce zniszczonych, koszta sporządzenia aktów notaryalnych: przystąpienia, wypłaty i t. d., koszta podróży i starań, nakoniec straty na różnicy kursu. Wszystkie te koszta byłyby niepotrzebne, gdyby w miejsce umarzania listów, a następnie udzielania nowych, przyjętą została zasada nieamortyzacyi, czyli rent wieczystych (1).

Pomimo tych nie dających się zaprzeczyć zalet systemu długów skonsolidowanych, nie możemy go jednak zalecić kredytowi

---

(1) Antoni Wrotnowski. O kredycie rzeczowym, Warszawa 1862.

ziemskiemu. Dług bowiem taki stałby się ciężarem wieczystym własności ziemskiéj i zniżyłby jéj wartość o całą wysokość tego długu. I dziś wprawdzie majątek obdłużony pożyczką Towarzystwa jest mniéj wart o całą wysokość téj pożyczki, lecz dłużnik ma możność i nadzieję, iż przy oszczędności dług powoli zamortyzuje i po pewnym czasie majątek z takowego oczyści. Na zarzuty zwolenników długu skonsolidowanego, iż oszczędność wówczas tylko jest cnotą, kiedy jest dobrowolną, nie zaś przymusową— odpowiadamy, iż nie należy traktować ludzi ze stanowiska idealnego, lecz rzeczywistego, iż wszelka instytucya dla potrzeb ludzkich stworzona, musi się mierzyć z naturą ludzką, nie taką, jaką byśmy ją pragnęli widzieć, ale jaką ona jest w rzeczywistości. Oszczędność jest to ograniczenie swoich potrzeb, wyrzeczenie się używania, poświęcenie teraźniejszości dla przyszłości, myśl o przyjemności i szczęściu przyszłych pokoleń z uszczerbkiem własnéj przyjemności. Na takie jednak wzniosłe idee, na takie poświęcenie ze strony ogółu liczyć nie można. Bywają wprawdzie chwile, w których całe społeczeństwo składa dowody wielkiego poświęcenia i ofiar, ale oszczędność, aby była skuteczną, nie może być chwilową, wywołaną przejściowym entuzyazmem, ale musi być ciągłą i bezustanną. Tego zaś nigdy się nie osiągnie bez pewnego rodzaju przymusu.

Ludzie zwykle stosują swoje wydatki do dochodów; dziś każdy właściciel ziemski z dochodów swoich potrąca raty Towarzystwa Kredytowego, gdy zaś te zmniejszone zostaną, zdawać mu się będzie, iż dochody powiększyly się, i summa, przeznaczona na umorzenie długu, spotrzebowaną będzie po większéj części na nieprodukcyjny jaki wydatek.

Zwolennicy długów skonsolidowanych, i w ogóle przeciwnicy Towarzystwa Kredytowego mają jeszcze jeden na swoję obronę argument, a mianowicie ten, iż Towarzystwo Kredytowe założone zostało pierwiastkowo w celu oczyszczenia majątków z długów hypotecznych, a po dopięciu tego celu, co miało nastąpić po latach 28, winno się było rozwiązać, pozostawiwszy majątki ziemskie bez długów. Tymczasem majątki ziemskie, pomimo amortyzacyi i pomimo ciągłych odroczeń terminów wskazanych do zupełnego oczyszczenia hypotek, jak były, tak są obdłużone, Towarzystwo niczém się do ich oczyszczenia nie przyczyniło.

Jeżeli jednak przyjrzymy się kolejom losu, przez jakie kraj nasz przeszedł od czasu zawiązania się Towarzystwa do dnia dzisiejszego, to przekonamy się, iż Towarzystwo zadanie swoje spełniło, iż rzeczywiście oczyściło majątki z długów, jakie w owym

czasie je obciążały; długi zaś dzisiejsze są zupełnie innéj natury od tych, jakie w roku 1825 na hypotekach figurowały.

Dzisiejsze długi powstały skutkiem klęsk, jakie kraj przez pół wieku przechodził, reprezentują daléj koszta reform, jakie w kraju zaprowadzone zostały, że tylko wspomnimy uwłaszczenie włościan, reprezentują nakoniec koszta melioracyi w kraju dokonanych.

Stan dzisiejszego gospodarstwa jest inny, aniżeli był w roku 1825, znaczna część kapitału, którą spotykamy w kształcie passywum na hypotekach, znajduje się jako aktywum w melioracyach, w ulepszonéj ziemi, w budowlach, inwentarzach, machinach. Chcąc sobie zdać sprawę z działalności i zasług Towarzystwa Kredytowego, niedość jest porównać wysokość długów, obciążających ziemię dzisiaj i przed laty 50, należy jeszcze porównać i stan gospodarstw tych dwóch epok.

VII.
Opłaty stowarzyszonych.

Głównym obowiązkiem każdego stowarzyszonego jest wnosić w terminach pomiędzy 1 a 13 Czerwca i 1 a 13 Grudnia każdego roku raty, potrzebne do płacenia procentów od listów zastawnych i amortyzacyi takowych.

Raty te, jak wyżéj już poznaliśmy, są następujące:

Od pożyczek trzech pierwszych okresów 3% półrocznie.

" " z r. 1869 czteroprocentowych $2^3/_4$% "

" " z r. 1869 pięcioprocentowych 3% "

Jednocześnie z powyższemi ratami stowarzyszony wnosi opłatę na koszta administracyi.

Koszta te wynoszą:

Przy pożyczkach trzech pierwszych okresów po groszu od każdego złotego, wnoszonego do kassy Towarzystwa (art. 30 pr. z r. 1825) t. j. $3^1/_3$% każdéj raty, co wynosi $^1/_{10}$% półrocznie od zaciągniętéj pożyczki.

Przy pożyczkach z r. 1869 stowarzyszony płaci na koszta administracyi każdego półrocza $^1/_5$% zaciągniętéj pożyczki. Opłata ta na koszta administracyi może być podwyższoną do 1% (art. 45 pr. z r. 1869).

Oprócz powyższych opłat peryodycznych, zaciągający pożyczkę któregokolwiek z pierwszych trzech okresów obowiązani byli wnosić jednorazową opłatę na wygotowanie listów zastawnych

Opłata ta wynosiła przy pierwszéj emissyi:

od listów lit.	A	wartości	3,000 rs.	— 6 rs.	— kop.	
" " "	B	"	750 "	— 1 "	50 "	
" " "	C	"	150 "	— — "	30 "	
" " "	D	"	75 "	— — "	15 "	
" " "	E	"	30 "	— — "	15 "	(art. 29).

Opłata ta prawem z r. 1838 została podwyższona w sposób następujący:

od listów lit.	A,	rs. 9	— kop.	
" "	B,	" 2	25 "	
" "	C,	" —	45 "	
" "	D,	" —	30 "	
" "	E,	" —	30 "	(art. 30).

Prawem z r. 1869 koszta wygotowania listów zastawnych zostały zniesione; są one objęte w kosztach administracyjnych (art. 45).

Wszystkie pożyczki każdego z trzech pierwszych okresów musiały być umorzone w jednym i tymsamym czasie. Ponieważ jednak zdarzało się często, iż właściciele ziemscy przystępowali do Towarzystwa nie w pierwszym, lecz drugim lub w następnych półroczach, ztąd wyrodziła się potrzeba płacenia tak zwanego procentu amortyzacyjnego.

Ostateczny termin przystąpienia do Towarzystwa celem otrzymania pożyczki w listach zastawnych okresu I wyznaczony był do dnia 12 Czerwca 1838 r. (art. 200 pr. z r. 1825).

w listach zastawnych okresu II do dnia 31 Grudnia 1840 roku (art. 12 pr. z r. 1838).

w listach okresu III seryi I do d. 30 Czerwca 1853 (art. 1 pr. z r. 1853).

w listach okresu III seryi II do dnia 31 Grudnia 1866 roku (art. 4 pr. z r. 1860).

Termin, w którym udzielane będą pożyczki każdéj nowéj seryi w listach zastawnych z r. 1869, oznaczać będzie Komitet Towarzystwa (art. 32 pr. z r. 1869).

Prawo o pożyczkach trzech pierwszych okresów postanowiło, iż właściciel ziemski przystępujący do Towarzystwa po terminie rozpoczęcia się okresu amortyzacyjnego, obowiązany jest jednorazowo zapłacić wszystkie ubiegłe raty wraz z procentem składanym, tak jak gdy by był przystąpił w pierwszém zaraz półroczu rozpoczęcia się okresu.

Ponieważ jednorazowe wniesienie tego procentu amortyzacyjnego było nader uciążliwe, tém uciążliwsze, im późniéj od daty rozpoczęcia się okresu dobra do Towarzystwa przystąpiły, przeto władze Towarzystwa rozłożyły opłatę tę na raty, a mianowicie na

tyle rat, ile było ubiegłych półroczy od początku okresu, i raty te wnoszone były jednocześnie z właściwemi ratami półrocznemi z dopłatą procentu w stosunku 5% rocznie.

W roku 1853 stopa procentowa zmniejszoną została do 4%.

Przy emissyi listów zastawnych seryi II okresu III, inna przyjęta została zasada; ponieważ listy te miały być umorzone jednocześnie z listami seryi I tegoż okresu, więc opłata zaległości amortyzacyjnéj za wszystkie ubiegłe półrocza, których przy rozpoczęciu się nowéj seryi było już kilkanaście, w ten sam sposób co przy poprzednich emissyach, byłaby zbyt utrudzająca, dlatego prawo z r. 1860 postanowiło, że od daty przyznania pożyczek do seryi II należących aż do włącznie pierwszego półrocza 1881 roku opłaty na procent i amortyzacyą zostaną pobierane w jednostajnéj, w każdém półroczu tak ustosunkowanéj wysokości, żeby listy zastawne II seryi były współcześnie umorzone z listami zastawnemi seryi I tegoż okresu trzeciego (art. 5).

Staranie o to, aby listy zastawne danego okresu umorzone zostały w jednym czasie, było konieczne, póki istnienie Towarzystwa było ograniczone. Po upływie 28 lat od rozpoczęcia się okresu Towarzystwo powinno było rozwiązać się. nie można więc było pozostawić długów po Towarzystwie, i koniecznem było, aby po rozwiązaniu instytucyi nie znajdowały się już w obiegu nieumorzone listy. Skoro zaś w roku 1869 Towarzystwo zamienione zostało na instytucyą stałą, ustały powyższe powody ograniczenia czasu udzielania pożyczki danego okresu, i dlatego postanowiono, że Towarzystwo udzielać będzie pożyczki w każdym czasie (art. 6); co się zaś tycze terminu umorzenia, to takowe nastąpić powinno w przebiegu czasu pomiędzy przyznaniem pierwszéj pożyczki, a datą umorzenia ostatniéj pożyczki udzielonéj w listach zastawnych danéj seryi (art. 34 pr. z r. 1869).

W ten sposób już są zbyteczne opłaty procentu amortyzacyjnego, gdyż amortyzacya każdéj pożyczki nie rozpoczyna się od chwili otwarcia nowéj seryi, ale od chwili udzielenia pożyczki.

VIII.

Odpowiedzialność stowarzyszonych i Towarzystwa.

Wedle ogólnych przepisów prawa, każdy zaciągający zobowiązanie odpowiada nietylko z dóbr, na których pożyczkę zabezpiecza, ale z całego swego majątku tak ruchomego, jak i nieru-

chomego, teraźniejszego i przyszłego (art. 2092 kod. Nap. art. 2 prawa o przywilejach z r. 1825).

Przepisy te zostały zmienione ustawą Towarzystwa Kredytowego w stosunku dłużników do Towarzystwa i właścicieli listów zastawnych.

Za opłaty przypadające Towarzystwu z danych dóbr odpowiadają same tylko dobra (art. 33 pr. z r. 1825 i art. 61 pr. z r. 1869).

Odpowiedzialność z innego majątku właściciela wtedyby tylko drogą sądową według praw cywilnych poszukiwaną być mogła, gdyby dowiedzione zostało członkowi Towarzystwa umyślne zrujnowanie dóbr zastawionych przez niszczenie lasów, wyprowadzenie do innych dóbr lub wyprzedanie bydła, nasienia potrzebnego, narzędzi gospodarskich, lub umyślne zmniejszenie dochodu jakimkolwiekbądź sposobem (art. 33 pr. z r. 1825).

Prawo powszechne nie śledzi powodów, które spowodowały ruinę zastawu; bez względu na to, czy majątek dłużnika zmniejszony został skutkiem własnéj jego winy lub złéj woli, czy też skutkiem klęsk od woli jego niezależnych, prawo nakazuje spełnienie przyjętego zobowiązania; jeżeli jeden majątek nie starczy, pozwala poszukiwać na drugim.

Towarzystwo Kredytowe jest względniejsze pod tym względem; poszukuje na wszelkim majątku dłużnika w takim tylko wypadku, jeżeli zastawiony majątek zrujnowany został skutkiem złéj jego woli: w każdym innym wypadku Towarzystwo narażone na stratę skutkiem deprecyacyi dóbr pod bezpieczeństwo mu oddanych, samo stratę tę ponosić musi.

Jest to zasada nader humanitarna. Ponieważ jednak w interesach pieniężnych nie można się kierować humanizmem, przeto zasada owa niekorzystnie oddziaływa na operacye Towarzystwa. Opierając się na bezpieczeństwie, jakie jedynie i wyłącznie zastawione dobra przedstawiają, Towarzystwo przy udzielaniu pożyczki baczy na to aby w każdym wypadku, jakikolwiek los spotka zastawione dobra, takowe wystarczyły na zaspokojenie długu Towarzystwa. To jest może jedną z przyczyn nizkiego szacowania dóbr i niewystarczających pożyczek. Towarzystwo mogłoby może śmieléj postępować, gdyby obok odpowiedzialności rzeczowéj, miało jeszcze osobistą odpowiedzialność dłużnika.

Pojmujemy, iż instytucya udzielająca kredytu rzeczowego, powinna jedynie mieć na względzie rzecz daną jéj w zastaw; nie idzie wszakże za tém, ażeby zupełnie wyłączyć odpowiedzialność osobistą. Przyczyną upadku majątków bywają nietylko siła

większa i zła wola dłużnika; ważną tu także rolę odgrywają niedbalstwo, lekkomyślność, marnotrawstwo i t. p. Dlaczego dłużnik, który przez swoje wady zmarnował majątek do tego stopnia, iż Towarzystwo pożyczki swojéj nie odzyskało, gdy następnie przez spadek lub los zbogaci się, nie ma Towarzystwu zwrócić tego, co na nim straciło, co inni stowarzyszeni za niego zapłacić musieli?

Niejeden obdłużony właściciel nieruchomości, mający inne źródła dochodu, porzuciłby chętnie swoję własność, któréj dochody nie wystarczają na zaspokojenie procentów, gdyby nie ta okoliczność, iż oddanie nieruchomości na pastwę wierzycieli bynajmniéj go od długu nie zwalnia, że niezaspokojeni szacunkiem nieruchomości wierzyciele nie przestaną poszukiwać swoich należności na innym jego majątku.

Okoliczność ta jest dla niejednego bodźcem do spotęgowania pracy, do usiłowania oczyszczenia swéj własności z długów, zamiast lekkomyślnego lub rozpaczliwego jéj porzucania. Dla dłużników Towarzystwa względy te zobojętnione zostały.

Francuzki Crédit foncier inne pod tym względem przyjął zasady, a mianowicie wyjednawszy dla siebie dogodne środki egzekucyi, nie pozbawił się bynajmniéj środków, jakie każdemu innemu wierzycielowi przysługują: *En cas de non-paiemet des annuités, la Société, indépendemment des droits, qui appartiennent à tout créancier, peut recourir aux moyens d'execution, determinés par la titre IV du present decret* (art. 12 statutów Crédit foncier).

Poznańskie Towarzystwo Kredytowe również nie zwalnia dłużnika od osobistéj odpowiedzialności: *Der Verein ist befügt nach seiner Wahl wegen seiner Forderung an das Mobiliar oder Immobiliarvermögen des Schuldners sich zu halten* (§ 3 statutu z r. 1857). Jeżeli nowonabywca dóbr, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Poznańskiego we trzy miesiące od daty nabycia nie składa deklaracyi, że przyjmuje odpowiedzialność za pożyczkę Towarzystwa z osobistego swego majątku, to kapitał Towarzystwa staje się wymagalnym, (§ 14 regulaminu z r. 1866).

Dobra narodowe Towarzystwu zastawione, zostające pod władzą jednéj Dyrekcyi Szczegółowéj odpowiadają solidarnie za opłaty od nich przypadające (art. 34 z r. 1825). Skarb, tak samo tedy jak osoba prywatna odpowiedzialnym jest tylko z zastawionych dóbr; ta tylko zachodzi różnica, że dobra prywatne Towarzystwu zastawione, do jednego właściciela należące, lecz oddzielne księgi hypoteczne mające, nie odpowiadają jedne za drugie za przypadające od nich opłaty (art. 33); dobra narodowe zaś w gra-

nicach wspólnéj Dyrekcyi Szczegółowéj leżące, nawzajem odpowiadają za swoje zaległości.

Taka jest odpowiedzialność członków względem Towarzystwa; zobaczmy teraz jakiéj natury jest odpowiedzialność Towarzystwa względem jego wierzycieli, czyli względem właścicieli listów zastawnych.

Bezpieczeństwo terminowéj wypłaty procentów, czyli kuponów, i kapitału, czyli listów zastawnych, opiera się:

1) na opłacie rat należnych od stowarzyszonych;

2) na funduszu rozerwowym Towarzystwa;

3) na ogólnéj odpowiedzialności wszystkich stowarzyszonych dóbr (art. 61 pr. z r. 1869).

W przepisach o Towarzystwie Kredytowém znajdujemy kilkakrotnie wyrażenie o solidarnéj odpowiedzialności stowarzyszonych dóbr (art. 25 pr. z r. 1825). Wyrażenie to jest nieścisłe i niezgodne z istotną naturą odpowiedzialności, do jakiéj pociągnięte być mogą zastawione dobra. Solidarność, wedle prawnego pojęcia, jest to obowiązek każdego ze współdłużników zaspokojenia całości długu wszystkich współdłużników ciążącego. Gdyby tego rodzaju odpowiedzialność ciążyła stowarzyszone dobra, toby wszyscy właściciele listów zastawnych mieli prawo upominać się u któregokolwiekbądź ze stowarzyszonych zaspokojenia takowych w całości, a przynajmniéj w takich granicach, w jakichby zastawiony majątek starczył, a to ze względu na ograniczenie odpowiedzialności do samych tylko zastawionych dóbr.

Tak jednak nie jest.

Wedle zasad w ustawach Towarzystwa przyjętych, każde dobra odpowiadają tylko w stosunku do swego udziału w stowarzyszeniu. Przykład lepiéj to objaśni. Przypuśćmy, że Towarzystwo udzieliło pożyczki w summie 1,000,000, a poniosło strat w summie 100,000, to dobra, które otrzymały pożyczkę 1,000 muszą wnieść na pokrycie strat 100 (art. 23 pr. z roku 1825 i 62 pr. z r. 1869).

O solidarnéj przeto odpowiedzialności uczestników Towarzystwa Kredytowego mowy być nie może. Nawet w czasie dyskussyi nad prawem o Towarzystwie Kredytowém na skutek wniosku Rady Stanu wyraz *solidarność* z pierwotnego projektu usunięty został, jako niewłaściwie użyty; następnie jednak przy ułożeniu nowego projektu, wyraz ten napowrót do redakcyi się wcisnął.

Odpowiedzialność wszystkich dóbr rozkłada się w stosunku téj części pożyczki od Towarzystwa zaciągniętéj, jaka się okaże nieumorzoną w dacie pociągnięcia dóbr do odpowiedzialności, nie

zaś w stosunku pierwotnie zaciągniętéj pożyczki (art. 67 pr. z roku 1869).

Dobra stowarzyszone odpowiadają tylko za te dobra, które zaciągnęły pożyczkę téj saméj co one seryi resp. okresu, za dobra zaś, które korzystały z pożyczki innéj seryi resp. okresu, odpowiedzialność ta nie rozciąga się (art. 25 pr. z r. 1838 i 7 pr. z r. 1860).

IX.

Wycofanie z obiegu listów zastawnych.

Głównym środkiem wycofania z obiegu listów zastawnych jest losowanie, które się odbywa dwa razy do roku każdego 1 Kwietnia i 1 Października n. s.

Wysokość funduszu na umorzenie listów zastawnych każdego półrocza odpowiada summie opłat na ten cel przez stowarzyszone dobra w ciągu półrocza wniesionych (art. 19 pr. z r. 1825 art. 34 pr. z r. 1869).

Listy trzech pierwszych okresów umarzały się w ciągu lat 28, i to nie od chwili wypuszczenia ich w obieg, czyli raczéj wypożyczenia ich przez Towarzystwo właścicielowi danych dóbr, ale od chwili rozpoczęcia się okresu; i tak np. listy wypuszczone w r. 1833 nie umarzały się w przeciągu lat 28, t. j. w r. 1861, ale w przeciągu lat 21, a mianowicie w roku 1854, czyli w przeciągu lat 28 od roku 1826 licząc. To pociągało za sobą ważne niedogodności płacenia tak nazwanego procentu amortyzacyjnego przez właścicieli późniéj do Towarzystwa przystępujących, o czém wyżéj już była mowa.

Prawo z roku 1869 zaprowadziło pod tym względem nader ważną zmianę. Umorzenie listów zastawnych danéj seryi nie następuje od terminu rozpoczęcia się seryi, ale w przeciągu czasu pomiędzy przyznaniem pierwszéj a umorzeniem ostatniéj pożyczki (art. 34). Odstąpiono tedy od zasady, aby dług Towarzystwa umarzał się jednocześnie z jego wierzytelnością. Łatwo bowiem zdarzyć się może, iż dobra umorzyły już w całkowitości dług w Towarzystwie zaciągnięty, listy zaś, któremi dług ten był wypłacony, wylosowane jeszcze nie zostały, bo jeszcze nie nastąpiła data umorzenia ostatniéj pożyczki udzielonéj w listach téj seryi. Ta wszakże okoliczność na kredyt i kurs listów zastawnych żadnego nie ma wpływu. Dla właściciela listów zastawnych najważniejszą rzeczą jest pewność lokacyi i regularny odbiór pro-

centu; te warunki w niczém nowem prawém zmienione nie zostały; czy zaś list zastawny wcześniéj czy późniéj wylosowany zostanie, to dla niego rzecz obojętna, o ile kurs nie jest niższy od nominalnéj wartości.

Doświadczenie przekonało, że obowiązek umorzenia wszystkich listów zastawnych w ciągu lat 28 od naznaczonéj daty, nie jest wcale przyczyną wysokiego ich kursu, przeciwnie stało niekiedy na przeszkodzie podniesieniu się kursu nad al pari.

Losowanie dokonywa się na żądanie właścicieli listów zastawnych; kto chce, aby listy jego do urny włożone zostały, winien na 20 dni przed losowaniem wnieść o to podanie do Dyrekcyi Głównéj z wymienieniem numerów i liter listów.

W podaniu tém można wnieść żądanie, aby przedstawione listy raz na zawsze do losowania należały, i w tym razie już nie potrzeba przed każdém losowaniem ponawiać żądania.

W wypadkach, kiedy summa listów zastawnych przez właścicieli do losowania przedstawionych, nie wyczerpuje summy przeznaczonéj do losowania, reszta uzupełnia się z ogółu listów zastawnych w obiegu będących (art. 115, 117 i 118 pr. z r. 1825).

Prawo z roku 1869 postanowiło, iż do losowania należeć będą wsystkie listy zastawne, znajdujące się w obiegu (art. 35) zancszenie przeto żądań o losowanie jest już zbyteczne.

Losowania odbywają się oddzielnie co do każdego okresu i każdéj seryi, a nadto listy zastawne z r. 1869 losują się oddzielnie co do każdego z dwóch rodzajów t. j. 4 i 5% (art. 27 pr. z r. 1838, art. 35 pr. z r. 1869).

Oprócz wycofania listów zastawnych przez losowanie, takowe odbywa się i przez zamianę listów zastawnych dawniejszego okresu resp. seryi, na listy późniejszego okresu resp. seryi, czyli przez konwersyą.

Potrzeba zamiany z tego się wyrodziła, że jak to już wyżéj poznaliśmy, przed upływem czasu przeznaczonego na amortyzacyą listów jednego okresu, resp. seryi, udzielane bywają pożyczki odnowione nowego okresu resp. seryi. Dla lepszego zrozumienia téj operacyi finansowéj, przyjrzyjmy się jéj na przykładzie.

Przypuśćmy, że dobra X. otrzymały w chwili zawiązania się Towarzystwa pożyczkę w summie złp. 100,000. W roku 1840 żądają odnowionéj pożyczki, licząc od raty grudniowéj tegoż roku. Ponieważ do tego czasu dobra umorzyły z pierwotnie otrzymanéj pożyczki złp. 38,792 (ułamki pomijamy), przeto mają prawo do odnowionéj pożyczki w takiéjże saméj summie; a że w téj wysokości nie można wystawić listów zastawnych, których najmniejsza sztuka

wynosiła złp. 200, przeto stowarzyszony właściciel dopłaca złp. 8 i otrzymuje listy zastawne w okrągłéj summie złp. 38,800. Przy operacyi téj nie można właściciela pozostawić przy pożyczce w dawnych listach zastawnych, ale trzeba dawne te listy zamienić na nowe. Właściciel bowiem korzystający z pożyczek dwóch okresów, musi każdą z tych pożyczek oddzielnie amortyzować, a jak w niniejszym wypadku musi płacić 6% rocznie od pierwotnie otrzymanéj pożyczki w summie złp. 100,000 aż do czasu całkowitego jéj umorzenia, t. j. do roku 1854, a nadto od otrzymanych na nowo złp. 38,800 drugie 6% rocznie, czyli do roku 1854 musiałby płacić 12% od złp. 38,800, a 6% od pozostałych złp. 61,200 na procent i amortyzacyą dawnéj i nowéj pożyczki, a ztąd i cel pożyczki byłby chybiony, bo tak wysoka roczna opłata przechodzi możność właściciela dóbr. Dla usunięcia téj niedogodności postanowiono zamiast podwyższać opłaty, przedłużyć okres umorzenia, czyli zamienić listy zastawne I-go okresu na listy nowe II-go okresu tak, aby termin umorzenia wszystkich listów, czyli całéj pożyczki złp. 100,000, ukończył się w jednym terminie roku 1866.

Dla zamiany téj potrzeba było, aby właściciel wniósł do Towarzystwa nieumorzoną summę pożyczki, jak w powyższym przykładzie złp. 61,208 w listach zastawnych I-go okresu, a natomiast otrzymałby złp. 100,000 w listach II-go okresu. Ale operacya taka była niepodobna do wykonania. Właściciele dóbr nie byli w stanie zaopatrzyć się w tak znaczne fundusze dla zaspokojenia pożyczki I-go okresu, a nadto nasunęły się przeszkody hypoteczne, bo po zaspokojeniu pożyczki I-go okresu, niżsi wierzyciele hypoteczni zajęliby miejsce Towarzystwa, a skutkiem tego właściciele nie mogliby mieć zwróconych summ, które chwilowo tylko do Towarzystwa złożyli dla otrzymania większéj pożyczki, gdyż listy musiałyby być wydane na ręce wierzycieli, którzy w skutek spłaty pożyczki Towarzystwa miejsce spłaconéj pożyczki zajęli.

Dla usunięcia tych trudności Towarzystwo nie żądało złożenia nieumorzonéj części pożyczki, ale samo zamieniło pożyczkę I-go okresu na okres II-gi, a to w ten sposób, iż wystawiwszy nowe listy zastawne na całą summę pierwotnego długu, wręczyło właścicielowi dóbr taką tylko kwotę, jaka była już umorzoną, resztę zaś zatrzymało przy sobie dla puszczenia ich w obieg i wycofania przy ich pomocy dawnych listów.

Tu wszakże nasunęła się nowa trudność dla Towarzystwa. Dochody jego nie powiększyły się, właściciele bowiem dóbr otrzymawszy nową pożyczkę, nie płacili więcéj niż dotychczas, obo-

wiązki zaś Towarzystwa powiększyły się o całą summę potrzebną na płacenie półrocznych kuponów od téjże odnowionéj pożyczki, tudzież na umorzenie odpowiedniéj jéj części. A przecież Towarzystwo nie może więcéj poświęcić na spłatę listów i kuponów, aniżeli na ten cel od dłużników wpływa.

Zaradzić można było temu przez odroczenie terminu umorzenia listów zastawnych I-go okresu, odpowiednio do terminu umorzenia pożyczek przez właścicieli dóbr, obciążonych odnowioną pożyczką. Takiemu wszakże postępowaniu sprzeciwiały się nabyte prawa właścicieli listów zastawnych. Wierzyciele Towarzystwa nabyli listy zastawne I-go okresu w tém przekonaniu, iż takowe stanowczo będą umorzone do roku 1854, nie można przeto było bez pogwałcenia ich praw odroczyć terminu amortyzacyi listów do r. 1866. Art. 27 pr. z r. 1838 wyraźnie też zastrzegł, iż losowanie dawnych i nowych listów zastawnych odbywać się będzie oddzielnie. Fundusz umorzenia odpowiadać winien ilości tak pierwszych, jak drugich listów zastawnych, istotnie w obiegu będących.

Skoro tedy nie można było odroczyć terminu listów zastawnych I-go okresu, pozostał tylko jeden środek wycofanie ich z obiegu, i wypuszczenie w ich miejsce listów II-go okresu.

Ponieważ Towarzystwo nie posiadało własnych zasobów na wykupowanie listów zastawnych II-go okresu, przeto Bank Polski przyszedł mu w pomoc. Artykułem 29 pr. z r. 1838 włożony został na Bank Polski obowiązek wykupowania dawnych listów, za które Towarzystwo wydawało w zamian nowe listy. Dla prędszego dopełnienia konwersyi Bank upoważniony został do zmiany dawnych listów koloru żółtego na nowe koloru białego, tudzież do zamiany wszelkich znajdujących się w depozycie jego listów zastawnych dawnych na nowe, z doliczeniem różnicy kursu, jeżeliby jaka pomiędzy niemi zachodziła.

Dopóki wszystkie listy zastawne I-go okresu z obiegu wycofane nie zostały, Towarzystwo nie było w możności z własnych funduszów wydzielać summy, jaka każdego półrocza potrzebną była do umorzenia listów zastawnych tak jednéj, jak drugiéj seryi. Dla zaradzenia téj potrzebie również Bank Polski upoważniony został do zasilania kassy Towarzystwa taką summą w gotowiźnie, jaka w stosunku do ilości cyrkulujących dawnych listów zastawnych potrzebną się okaże tak, aby Towarzystwo było w stanie zadość uczynić przepisom o losowaniu i wypłacie kuponów (art. 28). Fundusz przez Bank na amortyzacyą listów I-go okresu za-

liczony, zwrócony mu został przez Towarzystwo w listach zastawnych II-go okresu po nominalnéj wartości (art. 29).

Operacya powyższa pociągnęła za sobą koszta różnicy kursu, procentów, prowizyi i t. p., dla zaspokojenia których właściciele dóbr żądający odnowionéj pożyczki obowiązani byli płacić 2% od summy pierwotnie zaciągniętéj (art. 26). Summa ta przeznaczoną została dla Banku Polskiego, jako zajmującego się tą operacyą, z zastrzeżeniem wszakże, aby Bank przewyżkę, jaka się okaże po potrąceniu wszelkich kosztów Towarzystwu zwrócił (art. 29). Jakoż na operacyi téj osiągnięto oszczędności złp. 4,287,498 gr. 25, które w myśl powyższego przepisu przeszły na własność Towarzystwa.

W ten sam sposób dopełnioną została konwersya listów zastawnych II-go okresu na listy III-go okresu, z tą tylko zmianą, iż z powodu zamożności Towarzystwa ono samo, bez pomocy Banku Polskiego, operacyi téj dopełniło, a nadto uwolniło właścicieli dóbr, biorących odnowioną pożyczkę, od opłaty 2%, którą przy konwersyi listów I okresu obowiązani byli wnosić.

Nadto dla szybkiego wycofania listów II-go okresu uciekano się do tak zwanego losowania przymusowego, dozwolonego art. 3 prawa z roku 1853. Operacya ta polegała na tém, iż Towarzystwo oprócz funduszu, jaki wedle ustawy należy każdego półrocza poświęcić na amortyzacyą listów, a który to fundusz powstaje z rat, przez zastawiane dobra wniesionych, przeznaczyło własne fundusze na wylosowanie listów zastawnych okresu II-go i wylosowane za te fundusze listy zamieniało na listy okresu III-go, podczas kiedy listy wedle prawa na amortyzacyą losowane, niszczyło.

Wedle prawa z r. 1869 po umorzeniu $^1/_{10}$ części pożyczki, właściciel ma prawo żądać, aby dług pozostały przeniesiony został do nowego okresu umorzenia (art. 12), a nadto może żądać podwyższenia nowéj pożyczki w stosunku do wartości dóbr w chwili konwersyi (art. 60).

Zamiana listów dawnéj seryi na listy nowe, odbywa się w sposób następujący:

a) albo właściciel dóbr składa w Dyrekcyi Głównéj listami zastawnemi téj seryi, w któréj pożyczka zaciągniętą była, kwotę wyrównywającą nieumorzonéj ilości długu, a Dyrekcya wydaje listami zastawnemi bieżącéj seryi takąż samą kwotę, która stanowić będzie nową pożyczkę w listach seryi bieżącéj i zajmie miejsce hypoteczne listów poprzedniéj seryi (art. 56);

b) albo Dyrekcya Główna sama się zajmuje wycofaniem z obiegu listów zastawnych seryi dawniejszéj drogą dobrowolnéj

zamiany na listy nowéj seryi z dopłatą różnicy kursu, a to na żądanie i koszt właściciela dóbr (art. 57 pr. z r. 1869).

X.

Egzekucya zaległości.

Od regularnego płacenia przez Towarzystwo kuponów od listów zastawnych i umarzania tychże listów w zakresie prawem przepisanym, zależy kredyt Towarzystwa, a skutkiem tego i kurs listów zastawnych. Możność zaś wywiązania się przez Towarzystwo z przyjętych zobowiązań zależy od regularnego wnoszenia przez stowarzyszonych członków rat wyżéj opisanych. Ztąd konieczne było obmyślenie środków zrealizowania tych rat na wypadek niewnoszenia ich w sposób dobrowolny. System egzekucyi nieruchomości obowiązującéj u nas procedury jest długotrwały i zbyt kosztowny. Towarzystwo, które płacić musi regularnie procenta i część kapitału w półrocznych ratach, stałoby się niewypłacalném, gdyby musiało należności sobie przypadające realizować w drodze subhastacyi, lata trwającéj. Dlatego Towarzystwo obdarowane zostało przywilejem dochodzenia przypadającéj mu należności w sposób łatwiejszy niż ten, jaki przysługuje innym wierzycielom.

Egzekucya tedy odbywa się w sposób następujący:

Od dnia uchybienia raty, dłużnik płaci tytułem kary $^1/_2$% od summy zaległéj. W drugim miesiącu kara ta wzrasta do 1%; za każdy następny miesiąc kara płaci się w tym samym stosunku co w drugim miesiącu (art. 85 pr. z r. 1825).

Wedle prawa z r. 1825, po drugim miesiącu zesłany był do dóbr egzekutor, któremu trzeba było dawać żywność i po złotemu za każdy dzień egzekucyi, niezależnie od kary (art. 85).

Po trzecim miesiącu Towarzystwo zaprowadzało administracyą nad zalegającemi w opłacie dobrami. W razie bezskuteczności téj egzekucyi, dobra wypuszczane były w trzechletnią dzierżawę (art. 86). W braku konkurenta do dzierżawy, Towarzystwo zatrzymywało dobra pod swoją administracyą i ogłaszało sprzedaż przez publiczną licytacyą (art. 91).

W braku nabywcy Towarzystwo zatrzymywało dobra w swojéj administracyi przez rok, a jeżeli w ten sposób zaspokojone nie zostało, wystawiało poraz drugi dobra na sprzedaż od zniżonego szacunku, a mianowicie od summy, w któréj się mieszczą tylko należności uprzywilejowane, jak podatki, tudzież dług Towarzystwa. Jeżeli i na takich warunkach nie znalazł się nabywca, To-

warzystwo zatrzymywało dobra na swoję bezwarunkową własność (art. 91).

W latach 1838 i 1853 zaprowadzone zostały niektóre małoznaczne zmiany w powyższych środkach egzekucyjnych, stanowcza zaś zmianą nastąpiła prawem z roku 1860.

Doświadczenie lat kilkudziesięciu doprowadziło do przekonania, że wydzierżawianie dóbr i ich administracya z jednéj strony nie są dość skuteczne, a z drugiéj przyczyniają się do ruiny dóbr, że nadto dotychczasowe środki egzekucyjne zbyt długo, bo aż trzy lata przeciągać się mogły, nim do rezultatu doprowadziły. Prawem tedy z roku 1860 zaprowadzone zostały trzy stopnie egzekucyi.

Pierwszy stopień zależy na wyznaczeniu kar w tym samym stosunku, co pod prawem z roku 1825.

Gdy zaległość pierwszéj raty powiększoną zostaje przez zaległość następnéj raty, stosowany bywa drugi stopień egzekucyi, polegający na wystawieniu dóbr na sprzedaż (art. 1 przepisów o egzekucyi z r. 1860).

Jeżeli sprzedaż nie dochodzi do skutku z powodu braku licytantów, zarządzoną zostaje druga czyli ostateczna sprzedaż od zniżonego szacunku czyli od summy, wyrównywającéj téj części pożyczki Towarzystwa Kredytowego, jaka po zapłaceniu zaległości pozostanie do umorzenia z dodaniem:

a) trzechletnich podatków skarbowych i ciężarów uprzywilejowanych;

b) zaległości Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, obliczonych po datę drugiéj sprzedaży;

c) kosztów sprzedaży (art. 23 i 24 pr. z r. 1860).

Jeżeli do drugiéj téj sprzedaży nie zgłosi się nikt z chęcią kupna, dobra przechodzą na własność Towarzystwa.

Towarzystwo korzystając z powyższych środków egzekucyjnych, sprzedało od chwili swego zawiązania do końca roku 1869:

		dóbr	na 100 sprzedanych dóbr
w obrębie Dyrekcyi Szczegółowéj w	Warszawie	58	12
" " "	Kaliszu . .	66	13
" " "	Radomiu .	50	10
" " "	Kielcach .	72	15
" " "	Lublinie . .	61	13
" " "	Siedlcach .	41	9
" " "	Płocku . .	103	21
" " "	Suwałkach	34	7
	razem	486	100

Z powyższego wykazu najniekorzystniéj przedstawia się gubernia Płocka. Pod względem ilości dóbr stowarzyszonych jest ona trzecią z kolei; najwięcéj dóbr należących do Towarzystwa dostarczyła gubernia Warszawska, następnie Radomska, trzecią dopiero z kolei jest gubernia Płocka, a pomimo to sprzedano w niéj prawie dwa razy tyle dóbr co w gubernii Warszawskiéj. W następnych wszakże latach stosunek znacznie się polepszył na korzyść gubernii Płockiéj. Jak późniéj się przekonamy, w latach od 1870 do 1875 r. po gubernii Suwalskiéj, najmniéj sprzedano dóbr w gubernii Płockiéj.

Fakt ten godzien jest zastanowienia. Za czasów gospodarstwa pańszczyznianego, gubernia Płocka, w obrębie któréj dobra mniejszéj rozległości korzystają z pożyczek Towarzystwa, była najbardziéj niewypłacalną, po uwłaszczeniu zaś stosunek ten ogromnie się zmienił na niekorzyść prowincyi, w których większe dobra obciążone są pożyczką Towarzystwa.

Prawo z roku 1869 tę tylko zaprowadziło zmianę w środkach egzekucyjnych przez prawo z roku 1860 przepisanych, iż decyzya o wystawienie dóbr na sprzedaż wydaną zostaje nie po zaległości dwóch rat, ale w ciągu trzeciego miesiąca po zaległéj pierwszéj racie (art. 52).

Energiczna ta exekucya przyczynia się do częstszego niż poprzednio wywłaszczenia. Jak załączająca się tabella przekonywa, w ciągu 4 lat panowania prawa z roku 1869, Towarzystwo sprzedało prawie połowę tyle dóbr, co pod dawném prawem w ciągu lat 45; od roku bowiem 1825 do 1870 sprzedało dóbr 486, zaś od 1870 do 1875 dóbr 226, a mianowicie:

	od 1825 do 1870	od 1870 do 1875
w obrębie Dyrekcyi Szczegółowéj w Warszawie	58	19
„ „ „ Kaliszu. . .	66	41
„ „ „ Radomiu .	50	52
„ „ „ Kielcach. .	72	32
„ „ „ Lublinie . .	61	32
„ „ „ Siedlcach .	41	19
„ „ „ Płocku. . .	103	18
„ „ „ Suwałkach.	34	13
razem	486	226

Z cyfr tych nie można bezwarunkowo wnosić, iż od czasu zaprowadzenia prawa z roku 1869 dokonywa się w kraju więcéj sprzedaży przymusowych, aniżeli poprzednio. Tak nie jest. W miarę bowiem powiększania się wywłaszczeń przez Towarzystwo, zmniejsza się ich liczba w drodze subhastacyi przez innych wierzycieli dopełnianych. Poprzednio, kiedy egzekucya przez Towarzystwo prowadzona, była długotrwała, prywatny wierzyciel mógł prędzéj załatwić się z subhastacyą, aniżeli Towarzystwo ze swoją procedurą; dzisiaj przeciwnie Towarzystwo działa szybcéj aniżeli prywatny wierzyciel, i ztąd powiększa się liczba przymusowych sprzedaży przez Towarzystwo dokonanych, a natomiast zmniejsza się ich liczba przez osoby prywatne do skutku doprowadzanych.

Kary liczą się według prawa z roku 1869 tak samo jak dawniéj, t. j. za pierwszy miesiąc po ½% od summy zaległéj, w następnych po 1% miesięcznie, po zapisaniu zaś ostrzeżenia o sprzedaży dóbr do księgi hypotecznéj, kara liczy się znowu tylko ½% miesięcznie (art. 54). Zmniejszenie kary w czasie rozwiniętéj już w całéj pełni egzekucyi tém się usprawiedliwia, iż w tym czasie narastają koszta egzekucyjne, które same przez się są znacznym ciężarem dla dłużnika, należy więc łagodzić kary.

W tém miejscu zaznaczyć należy dość smutny fakt, iż w zwyczajnych latach, w których nie ma szczególnych klęsk, w przecięciu połowa zastawionych w Towarzystwie dóbr zalega w opłacie przypadających od nich rat. W latach klęsk stosunek ten bywa wyższy. Były lata, że zaległości w stosunku do wpływów miały się jak 76 do 29, a nawet 73 do 27 (rata czerwcowa 1866). W ogóle biorąc cyfrę przecięciową za czas od zawiązania się Towarzystwa do końca roku 1869, na 100 należności wpływało 57,7 zalegało 42,3. Rata czerwcowa regularniéj wpływa, aniżeli grudniowa. Trzeba jednak nadmienić i tę okoliczność, iż zaległości te pochodzą nietylko z niemożności płacenia, ale i z wyrachowania; przy wysokiéj bowiem stopie procentowéj, jaką rolnik płacić musi, przewyższającéj bardzo często 12% na rok, czyli 1% na miesiąc, korzystniéj jest do czasu wniesienia ostrzeżenia do hypoteki płacić Towarzystwu kary, aniżeli procenta od wypożyczonych zkądinąd summ.

Z tém wszystkiém Towarzystwo nie jest twardym wierzycielem; wyjednawszy dla siebie energiczne środki egzekucyi, nie pozbawiło się wszakże możności udzielania dłużnikom ulg, w wypadkach rzeczywistéj potrzeby.

Jeżeli przez wypadek siły większéj, jak ogień, gradobicie, wylew wód, pomór bydła, zupełny nieurodzaj i t. p., dobra do

tego stopnia zniszczone zostaną, że właściciel pozbawiony jest połowy rocznego dochodu; wówczas należność Towarzystwa rozłożoną zostaje na raty (art. 97 pr. z r. 1825—47 pr. z r. 1869). Ulga ta udzielaną być może albo przez rozkład najwyżéj dwóch rat półrocznych na części spłacalne w ciągu jednego lub dwóch półroczy, albo przez przedłużenie o sześć miesięcy terminu opłaty najwyżéj dwóch rat półrocznych (art. 48 pr. z r. 1869).

Przedstawiamy w tém miejscu wykaz ulg, udzielonych przez Towarzystwo od roku 1854, w którym to dopiero roku co do téj pozycyi cyfry zbierać zaczęto, do końca 1869 r.

W OBRĘBIE DYREKCYI SZCZEGÓŁOWÉJ	korzystało z ulg dóbr	Summa należności rozłożona na raty		na 100 dóbr korzystało z ulg
		rubli sr.	kop.	
Warszawskiéj	120	38936	74½	15
Kaliskiéj	47	17175	16½	6
Radomskiéj	81	32981	30	10
Kieleckiéj	127	59203	65½	16
Lubelskiéj	191	111232	90	24
Siedleckiéj	111	60133	47½	14
Płockiéj	21	4494	33½	3
Suwałskiéj	89	39882	58	12
Łącznie	787	364040	15½	100

Płockie, które jakeśmy wyżéj widzieli, składa się przeważnie z mniejszéj stosunkowo własności, najwięcéj dostarczyło dóbr do sprzedaży przymusowéj, najmniéj korzystało z ulg. Najwięcéj udzielono ulg w obrębie Dyrekcyi Szczegółowéj Lubelskiéj, któréj stowarzyszone dobra są największe pod względem rozległości.

Najwięcéj ulg udzielono w roku 1864, a mianowicie 92 dobrom rozłożono na raty summę rs. 49,741 kop. 20; w roku 1860 żadne dobra nie zgłosiły się o udzielenie im ulgi.

Jakkolwiek powyższe środki egzekucyjne, odstępujące od ogólnego prawa dla wszystkich innych wierzycieli obowiązującego, podyktowane zostały koniecznością, nie można jednak utaić słabych ich stron. System egzekucyjny Towarzystwa nie skrócił ogólnego postępowania subhastacyjnego, w kraju obowiązującego,

ale zupełnie od niego odstąpił; ztąd istnieją obok siebie dwa odrębne systemata egzekucyjne, wywołujące nieraz kollizyą pomiędzy prawami Towarzystwa a prawami innych wierzycieli. Dla nadania Towarzystwu przywileju i pierwszeństwa przed wszystkimi innymi wierzycielami nietylko w porządku hypotecznym, ale i pod każdym innym względem postanowiono, iż postępowanie subhastacyjne w drodze sądowéj przez któregokolwiek z wierzycieli rozwinięte, będzie wstrzymane, póki Towarzystwo swojéj zaległości nie wyegzekwuje (§ 132 instrukcyi z r. 1826).

Przepis ten gwałcił w najwyższym stopniu prawa wierzycieli, którzy przez cały czas trwania egzekucyi ze strony Towarzystwa, żadnych kroków przedsiębrać nie mogli dla odzyskania swojéj należności, a gdy po wyczerpaniu przez Towarzystwo wszelkich środków egzekucyi, co jak wyżéj powiedzieliśmy, kilka lat trwać mogło, dłużnik zapłacił zaległości, wierzyciel prywatny straciwszy kilka lat czasu i procenta, które giną po trzech latach, jeżeli szacunek dóbr nie wystarcza na pokrycie wszystkich długów, musiał od początku zacząć subhastacyą, która znowu lata trwała.

Prawo z roku 1853 usunęło tę niesprawiedliwość względem wierzycieli i postanowiło, iż egzekucya Towarzystwa nie powinna tamować jednoczesnéj egzekucyi prywatnego wierzyciela (art. 14 pr. z r. 1853). Przy tym znowu systemacie staje się niesprawiedliwość dłużnikowi, gdyż musi płacić podwójne koszta, jedne Towarzystwu, drugie prywatnemu wierzycielowi. Stratę tę ponosi dłużnik, ilekroć sam koszta płaci, niekiedy jednak dotyka ona wierzyciela, a mianowicie wówczas, gdy obok egzekucyi przez Towarzystwo prowadzonéj, rozwija subhastacyą, a sprzedaż Towarzystwa dochodzi do skutku przed ukończeniem subhastacyi. W tym wypadku wierzyciel, który łożył koszta na subhastacyą, takowe traci, jeżeli szacunek sprzedanych dóbr nie pokrywa wszystkich wierzycieli.

Niedogodności te byłyby usunięte, gdyby system egzekucyjny Towarzystwa był bardziéj zbliżony do systemu ogólnie w kraju obowiązującego; wówczas nie trzebaby było prowadzić dwóch oddzielnych egzekucyi, bo w razie zaniechania egzekucyi przez Towarzystwo mógłby się podstawić w jego prawa inny wierzyciel i kontynuować egzekucyą od tego punktu, na którym ona przez Towarzystwo zaniechaną została i vice versa

XI.

Administracya.

Poznawszy główne zasady Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, należy teraz przyjrzeć się czynnikom, które machinę tę w ruch wprawiają, to jest administracyi.

Władze Towarzystwa dzielą się na trzy instancye:

a) Dyrekcye Szczegółowe.

b) Dyrekcyą Główną.

c) Komitet.

a) Przy ośmiu wydziałach hypotecznych istniejących w Królestwie Polskiém, a mianowicie w Warszawie (tu istnieją dwa wydziały: jeden dla nieruchomości Miasta Warszawy, drugi dla dóbr należących do jurysdykcyi dawnego województwa Mazowieckiego), Łomży, Siedlcach, Lublinie, Kielcach, Radomiu, Kaliszu i Płocku, funkcyonuje ośm Dyrekcyi Szczegółowych, do których attrybucyi należy: rozpoznawanie dowodów przez żądających pożyczki przedstawianych, przedstawianie wniosków o zatwierdzenie pożyczek, wypłata takowych i zahypotekowanie, przyjmowanie opłat od stowarzyszonych, egzekucya należności Towarzystwa, taxacya dóbr i załatwianie wszelkich bieżących czynności.

Do składu każdéj Dyrekcyi Szczegółowéj wchodzi siedmiu radców, którzy wybierają ze swego grona prezesa. Radcy urzędują kadencyami, przez nich samych ułożonemi.

Radcy wybieralni są na lat cztery z pomiędzy stowarzyszonych właścicieli ziemskich, a co lat dwa połowa się odnawia.

b) Naczelny kierunek i zarząd interesami Towarzystwa, a w szczególności rozpoznawanie apellacyi od decyzyi Dyrekcyi Szczegółowych, wystawianie listów zastawnych, losowanie i wycofywanie listów zastawnych z obiegu, wymiana listów i kuponów uszkodzonych na nowe, poszukiwanie listów i kuponów zastawnych, wypłata procentów i kapitału właścicielom listów zastawnych należy do Dyrekcyi Głównéj, do któréj składu wchodzi 16 radców i prezes. Radcy wybierani są po dwóch z każdego okręgu Dyrekcyi Szczegółowéj. Prezes mianowany jest przez rząd. Jestto jedyny urzędnik Towarzystwa, który nie wychodzi z wyborów, ale przez rząd jest mianowany. Komplet składa się z prezesa i 4 radców.

Kadencye sami radcy układają.

c) Do komitetu Towarzystwa należy staranie o zachowanie

kredytu listów zastawnych, przestrzeganie interesów ogółu Towarzystwa oraz pojedynczych jego członków i kontrola nad czynnościami Dyrekcyi. Do komitetu należy także ostateczna decyzya tak co do postanowień Dyrekcyi Główněj, jak i co do wysokości udzielić się mających pożyczek i wszelkich innych czynności w razie otrzymania zażaleń na decyzye Dyrekcyi Główněj.

Do składu komitetu wchodzi 16 radców, wybieranych po dwóch z okręgu każděj Dyrekcyi Szczegółowěj. Radcy wybierają ze swego grona prezesa, na którego miejsce wchodzi kandydat właściwego okręgu mający najwięcěj głosów. Prezes urzęduje lat 8, radcy po lat 4, co dwa lata połowa radców odnawia się. Komplet składa się z prezesa i 4 radców. Prezesowie komitetu Dyrekcyi Główněj i Szczegółowych pobierają stałą roczną pensyą, zaś radcy tylko za czas czynnego urzędowania.

Wybór powyższych władz należy do *zebrań Członków Towarzystwa*. Co dwa lata odbywają się zebrania stowarzyszonych należących do okręgu właściwych Dyrekcyi Szczegółowych w miejscach urzędowania tychże Dyrekcyi. Oprócz dopełniania wyborów, zebrania wysłuchują sprawozdania z czynności Towarzystwa, przeglądają rachunki i dowody i czynią nad niemi swe uwagi.

Wszyscy członkowie Towarzystwa, mający dobra zastawione w obrębie właściwěj Dyrekcyi, należą do zebrań, mają po jednym głosie i mogą być wybranymi do urzędów, a to bez względu na wysokość udziału w Towarzystwie, czyli wysokość otrzymaněj pożyczki. Co do członków mogących być wybranymi, to tylko zrobiono zastrzeżenie, aby summa długów, dobra ich obciążających łącznie z pożyczką Towarzystwa, nie przewyższała połowy wartości dóbr. Urzędnik traci prawo urzędowania, jeżeli dopuszcza się zaległości względem Towarzystwa.

Trzěj członkowie każděj Dyrekcyi Szczegółowěj wybrani być muszą z członków Towarzystwa właściwego okręgu, reszta zaś urzędników Dyrekcyi Szczegółowěj, oraz urzędnicy Dyrekcyi Główněj i Komitetu wybrani być mogą mogą z członków Towarzystwa zamieszkałych w którějkolwiek stronie kraju, albo z obywateli osiadłych nie należących nawet do Towarzystwa, jeżeli złożą piśmienną deklaracyą, że zgadzają się na przyjęcie urzędu (art. 183 pr. z r. 1825).

Niezależnie od powyższěj kontrolli, nad czynnościami Dyrekcyi Szczegółowych ma nadzór właściwy prokurator trybunału cywilnego, a nad czynnościami Dyrekcyi Główněj prokurator sądu apellacyjnego.

Prokuratorom służy prawo attentowania na posiedzeniach

Dyrekcyi, czynienia swoich wniosków, zanoszenia protestacyi przeciwko postanowieniom Dyrekcyi, zaniesienia skargi na decyzye Dyrekcyi Szczegółowych do Dyrekcyi Głównéj, a na decyzye Dyrekcyi Głównéj do komitetu, przeglądanie i rewidowanie rachunków Towarzystwa (art. 57, 60, 106 i 107 pr. z r. 1825).

Takie są władze Towarzystwa, ich skład i atrybucye. Łatwo jednak pojąć, iż one są niedostateczne; są one organami właścicieli dóbr, t. j. dłużników, ale nie są bynajmniéj gwarancyą dla wierzycieli, t. j. właścicieli listów zastawnych. Dla pilnowania praw tych ostatnich, ustanowiony został niezależnie od władz Towarzystwa, *Komitet właścicieli listów zastawnych*, złożony z prezesa i czterech radców wybranych przez właścicieli listów zastawnych na lat 4 z odnowieniem połowy radców co lat 2. Komplet składa się z prezesa i dwóch radców. Prezes jest płatny, radcy pełnią obowiązki bezpłatnie.

Do komitetu tego należy pilnowanie praw właścicieli listów zastawnych i kuponów, a gdyby do wiadomości jego doszło jakieś uchybienie, mogące przynieść szkodę posiadaczom listów zastawnych, mają prawo zanieść skargę do Dyrekcyi Głównéj, komitetu, a nawet do Władzy Najwyższéj (art. 175).

Komitet właścicieli listów uczestniczy na zebraniach członków, przy losowaniu listów zastawnych, rewizyach kass, paleniu listów zastawnych i kuponów z obiegu wycofanych.

Wybory członków komitetu właścicieli listów zastawnych, dopełniają się na zebraniach właścicieli listów zastawnych, co dwa lata.

Na zebraniach tych właściciel złp. 10,000 w listach zastawnych ma jeden głos, złp. 50,000 dwa głosy, złp. 100,000 cztery głosy, złp. 200,000 i więcéj 8 głosów.

Prezes Dyrekcyi Głównéj, prezes komitetu właścicieli listów zastawnych i kancellarya tegoż komitetu otrzymują pensye od rządu, koszta na utrzymanie wszystkich innych władz Towarzystwa zaspakajane są z funduszów samego Towarzystwa (art. 31 pr. z r. 1825).

Powyższa organizacya władz Towarzystwa Kredytowego łączy w sobie wszystkie zalety dwóch sprzecznych systemów: centralizacyi i decentralizacyi. Oddzielne instytucye prowincyonalne są w stanie zadość czynić potrzebie danéj miejscowości w sposób szybki i tani; stowarzyszeni takiéj niewielkiéj instytucyi znają się nawzajem, i łatwo ocenić mogą stopień odpowiedzialności każdego pragnącego pożyczki, wartość, przymioty i wady jego dóbr. Francuzkiemu *Crédit foncier* słusznie czynione są zarzuty, iż nie wszyst-

kie prowincye Francyi w jednakowym stosunku korzystają z jego dobrodziejstw, że skutkiem centralizacyi departament Sekwany korzysta nierównie więcéj z kredytu instytucyi, aniżeli inne bardziéj oddalone departamenta. U nas na to skarżyć się nie można. Każdy zakątek kraju znajduje w swojém sąsiedztwie Dyrekcyą Szczegółową, która całą operacyą pożyczkową załatwia, przyjmuje żądania, taxuje dobra, wypłaca listy, inkassuje raty, egzekwuje i t. p.

Źleby to jednak było, gdyby Dyrekcye Szczegółowe zamiast stanowić gałęzie jednego wielkiego stowarzyszenia, były samodzielnemi instytucyami. Listy zastawne wydane przez instytucye prowincyonalne, nie mogłyby znaleźć wielkiego pokupu na przestrzeni całego kraju, a tém mniéj za granicą; publiczność nie dowierzałaby bardzo obligacyom na partykularzu wydanym. Obok tego listy zastawne przez liczne samodzielne instytucye emittowane konkurowałyby z sobą i wpływały wzajemnie na obniżenie kursu. Kapitalista musiałby śledzić działalność rozmaitych instytucyi, obznajmiać się z zasadami, jakiemi kieruje się ośm Towarzystw, kiedy dziś obojętną dla niego jest rzeczą przez którą Dyrekcyą listy były wypłacone, wszystkie bowiem listy dla całego kraju emittowane noszą wspólny typ, dają jednakową gwarancyą, na wspólnych oparte są zasadach.

Nasze miasta prowincyonalne chciałyby u siebie zaprowadzić instytucye kredytu na wzór Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, nie śmią jednak do tego przystąpić z obawy bezcenności wydać się mających listów z powodu zbyt lokalnego ich charakteru; obawa ta ustałaby, gdyby miasta mogły scentralizować się i utworzyć wspólną instytucyą na wzór Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie koszta powyższa machina administracyjna za sobą pociąga:

W latach od r. 1825 do końca 1869 r. źródła dochodu przeznaczone na administracyą przynosiły . . rs. 4,530,249 kop. 95½
wydatki zaś administracyjne wynosiły . . „ 5,231 595 „ 71
wydatki przewyższyły tedy dochody . . rs. 701,345 kop. 75½
Dochody przeznaczone na wygotowanie listów zastawnych wynosiły . . . rs. 341,836 k. 16
koszta na ten cel wyłożone czyniły . . . . „ 228,151 „ 69
dochody przewyższyły tedy wydatki . . . rs. 113,684 kop. 47.

Wogóle przeto wydatkowano więcéj aniżeli wpłynęło			rs. 587,661 kop. 28½
Niedobór ten pokryto:			
zasiłkiem rządowym . . .	rs 104,465	k. 41	
z innych źródeł Towarzystwa jak kar i t. p.	„ 483,195	„ 87½	587,661 „ 28½

XII.

Pomoc rządu tudzież kredyt prywatny.

Zarząd Towarzystwa dobrze dotychczas wywiązywał się ze swego zadania. Owocem korzystnego zawiadowania interesami Towarzystwa jest z jednéj strony regularna, ani na chwilę nie wstrzymana wypłata procentu i kapitału, a ztąd kredyt listów zastawnych; a z drugiéj strony zebrany z oszczędności znaczny majątek Towarzystwa.

Towarzystwo rozpoczęło swój byt nie mając żadnego własnego kapitału, i nie byłoby może w stanie wejść w życie i zobowiązań swoich z początku wypełnić, gdyby nie miało zapewnionéj pomocy ze strony rządu.

Pomoc ta jest prawie konieczną przy założeniu Towarzystwa dłużników, nie posiadającego kapitału zakładowego. Pierwsze Towarzystwo Szlązkie otrzymało od króla Fryderyka II subsydyum w summie 300,000 talarów na 2%; towarzystwa późniejsze również otrzymywały zapomogi rządowe, a pomiędzy innemi Poznańskie 200,000 talarów.

Na koszta pierwiastkowego urządzeuia naszego Towarzystwa Kredytowego rząd udzielił bezprocentową pożyczkę (art. 209 pr. z r. 1825), nadto zobowiązał się dostarczać funduszu na opędzenie kosztów administracyi na wypadek, gdyby opłaty na ten cel przez stowarzyszonych wnoszone, takowych nie pokryły (art. 31,) a w końcu zapewnił Towarzystwu pożyczkę na pokrycie zaległości we wpływach od stowarzyszonych przypadających, tudzież na pokrycie strat, ponieść się mogących na listach i kuponach falszywych (art 132 pr. z r. 1825).

Czyniąc zadość przyjętemu w téj mierze zobowiązaniu, skarb Królestwa udzielił Towarzystwu

bezprocentową pożyczkę w roku	1826	rs. 153,849	kop. 30
w 1 półroczu „	1827	„ 46,664	„ 55

w 2 półroczu	w roku 1827	rs. 9,300	kop. —
w 1 "	" 1828	" 31,726	" 20
w 2 "	" 1828	" 3,591	" —
w 1 "	" 1829	" 33 982	" 80
w 2 "	" 1830	" 15,000	" —
w 1 "	" 1831	" 22,500	" —
		Razem rs. 316,613	kop. 85

Towarzystwo pożyczkę tę zwróciło w następujących ratach:

w 2 półroczu	w roku 1832	rs. 22,500	kop. —
w 2 "	" 1835	" 33,678	" 95
w 1 "	" 1838	" 5,969	" 49
w 2 "	" 1840	" 75,000	" —
w 2 "	" 1841	" 75,000	" —
		Razem rs. 212,148	kop. 44

Reszta, a mianowicie summa rs. 104,465 kop. 41 została umorzoną, o czém niżéj będzie mowa.

Po utworzeniu Banku Polskiego obowiązek udzielania Towarzystwu Kredytowemu potrzebnych mu zaliczeń przeszedł na tenże Bank (art. 17 i 18 ukazu z roku 1828).

Następnie dwa razy jeszcze przyszedł rząd z pomocą pieniężną Towarzystwu Kredytowemu, a mianowicie w r. 1830 otworzył Towarzystwu kredyt w Banku Polskim do wysokości rs. 150,000, a to w celu ułatwienia przystępowania do Towarzystwa po rozpoczęciu pierwszego okresu umorzenia pożyczek. Towarzystwo bowiem, jak widzieliśmy wyżéj, rozłożyło właścicielom dóbr, przystępujących po roku 1826 do Towarzystwa opłatę procentu amortyzacyjnego na raty, potrzeba więc było zaciągnąć pożyczkę w ilości odpowiedniéj tymże ratom amortyzacyjnym (art. 11 instrukcyi z r. 1839) i na tę właśnie pożyczkę otworzył rząd kredyt w Banku Polskim. Procent od zaciągnąć się mającéj w Banku Polskim pożyczki, zobowiązał się skarb z własnych zaspokoić funduszów do dnia 12 Czerwca 1840, po téj zaś dacie obowiązek ten miał przejść na Towarzystwo. Ponieważ jednak Towarzystwo zaciągnąwszy w roku 1833 w Banku dług w summie rs. 150,000, takowy w dniu 10 Listopada 1839 r. w zupełności zaspokoiło, przeto od summy téj żadnego procentu nie opłacało.

Nakoniec w roku 1838 przy odnowieniu pożyczek rząd włożył na Bank Polski obowiązek wnoszenia w każdém półroczu do kass Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego takiéj summy, jaka potrzebną się okaże do umorzenia listów zastawnych tak pierwszego, jak i drugiego okresu.

Artykuł 31 pr. z r. 1825 stał się powodem nieporozumienia między władzami Towarzystwa a skarbem. Władze Towarzystwa utrzymywały mianowicie, iż fundusze, jakich rząd udziela na zaspokojenie administracyi Towarzystwa w wypadkach, kiedy źródła Towarzystwa na ten cel przeznaczone nie wystarczają, nie ulegają zwrotowi, wedle zaś interpretacyi skarbu fundusze te winny być zwrócone z wpływów na administracyą przeznaczonych, o ile wpływy te od bieżących wydatków administracyjnych zbywać będą.

Wynikiem tego nieporozumienia było to, iż władze rządowe przy zatwierdzeniu etatów Towarzystwa, poczyniły w takowych oszczędności, które krępowały rozwój Towarzystwa, zwłaszcza przy wprowadzeniu w wykonanie prawa z r. 1838 o udzielaniu nowych pożyczek. Dla usunięcia tych niedogodności Towarzystwo przedstawiło skarbowi projekt, iż gotowe jest zwrócić mu z wyłożonych przez niego funduszów złp. 1,000,000 i zrzec się nadal pomocy rządowéj co do ponoszenia części kosztów administracyjnych, lecz takowe w zupełności z własnych zaspakajać funduszów, a natomiast, aby skarb umorzył pozostałą część wyłożonych przez niego w interesie Towarzystwa funduszów, a mianowicie złp. 696,436 gr. 2, i pozostawił Towarzystwu możność rozrządzania funduszami na administracyą przeznaczonemi wedle własnego swego uznania. Propozycya ta została przez rząd dnia 7/19 Maja 1840 r. przyjęta i od téj pory Towarzystwo wszystkie swoje koszta administracyjne z własnych funduszów zaspakaja i nie korzysta z żadnych zasiłków rządowych.

Przy udzielaniu pożyczek III okresu zasady powyższe weszły w skład prawa z r. 1853, które uchyliło przepis art. 31 pr. z r. 1825, stanowiący, iż skarb udzielać będzie funduszu na zaspokojenie wydaktów administracyjnych Towarzystwa, w razie niedostateczności poborów na ten cel ustanowionych (art. 4); a daléj postanowiło, iż rozporządzanie funduszami na koszta administracyjne przeznaczonemi, należy do władz wyższych Towarzystwa, z obowiązkiem przedstawiania pod zatwierdzenie Rady Administracyjnéj etatów rocznych przychodów i wydatków administracyjnych (art. 5). W późniejszych czasach Towarzystwo, będąc w potrzebie pokrycia chwilowych niedoborów z dóbr, nie uciekało się już do pomocy rządu, lecz korzystało z kredytu prywatnego. I tak, w r. 1868 i 1869 Towarzystwo wypuściło obligi 6 procentowe na summę rs. 1,500,000 z obowiązkiem umorzenia ich w ciągu lat sześciu. Obligi te puszczone były w obieg za pośrednictwem domu bankierskiego Leopolda Kronenberga po cenie nominalnéj za opłaceniem komisu

2%; kurs obligów stał pierwiastkowo 99%, później podniósł się do 101%.

XIII.

Oszczędności Towarzystwa i fundusz rozerwowy.

Owocem korzystnego zawiadowania interesami Towarzystwa obok nie wstrzymanéj na chwilę wypłaty kapitału i procentów, jest zebrany własny majątek Towarzystwa.

Najpierwszém i najwyraźniejszém źródłem oszczędności była opłata 2% od właścicieli dopełniających zamiany listów zastawnych I okresu na listy II okresu.

Przeznaczenie tego funduszu nie było ściśle oznaczone w pierwotném prawie. W art. 163 pr. z roku 1825 nadmieniono, iż po rozwiązaniu Towarzystwa, komitet przedstawi projekt użycia funduszu Towarzystwa.

Przy drugiéj emissyi listów zastawnych w roku 1838 postanowiono, aby fundusz Towarzystwa podzielony został stosunkowo pomiędzy obadwa okresy, i aby przy ukończeniu I okresu, te dobra, które w ciągu takowego pożyczki nie odnowiły, korzystały z téj części ogólnego funduszu, jaka przypadnie w stosunku długu ich z hypoteki wymazującéj się do ogółu listów zastawnych I i II okresu (art. 8 dodatkowych przepisów z r. 1838).

Przy trzeciéj emissyi listów z r. 1853 postanowiono, że oszczędności Towarzystwa w drugim i trzecim okresie nie będą już dzielone pomiędzy stowarzyszonych, lecz stanowić będą ogólną własność Towarzystwa.

Przy zamknięciu I okresu oszczędności Towarzystwa wynosiły złp. 19,565,704 gr. 19, z których wedle zasad wyżéj wyłożonych wypadło dla stowarzyszonych, którzy korzystali z pożyczki I okresu złp. 1,448,254 gr. 19. Z funduszu tego przeznaczono złp. 1,257,660 gr. 12 na umorzenie dwóch rat, a mianowicie grudniowéj 1853 i czerwcowéj 1854, i w ten sposób okres I o cały rok został skrócony i stowarzyszeni zwolnieni zostali od zapłacenia dwóch ostatnich rat. Nadto pozostała summa złp. 190,594 została stowarzyszonym wypłacona gotowizną tytułem zwrotu nadpłaconéj raty czerwcowéj 1853 r.

Reszta oszczędności wynosząca złp. 18,117,540 gr. 1, czyli rs. 2,717,617 kop. 50 przestała być własnością stowarzyszonych i przeszła na ogólną własność Towarzystwa.

Prawo z roku 1853 rozdzieliło fundusz stanowiący ogólną własność Towarzystwa na dwie części: a) na kapitał rezerwowy zastosowany do summy udzielonych pożyczek; i b) na fundusz użyteczności publicznéj (art. 19). W wykonaniu tego prawa zapadło Najwyższe postanowienie z dnia $^{10}/_{22}$ Maja 1860 r., mocą którego rozporządzalny fundusz ogólnéj własności Towarzystwa w owym czasie rs. 2,918,830 kop. 24½ wynoszący, rozdzielony został w ten sposób, iż summa rs. 1,649,430 reprezentująca 3% całkowitéj wierzytelności Towarzystwa, przeznaczoną została na kapitał rezerwowy Towarzystwa; reszta zaś w summie rs. 1,269,400 kop. 24½ na fundusz użyteczności ogólnéj. To samo postanowienie wskazało jako cel użyteczności ogólnéj, do którego obroty funduszu rs. 1,269,400 kop. 24½ zmierzać mają, ułatwienie wieczystego oczynszowania włościan. W tym celu władze Towarzystwa miały sobie polecone udzielać z tego funduszu pomoc kredytową właścicielom dóbr, którzy złożą dowody, iż przystąpili do oczynszowania włościan. Po dokonaném zaś uwłaszczeniu Najwyższym ukazem z dnia 19 Lutego (2 Marca) 1864 r. fundusz ten już nie mógł być użytym na cel wskazany postanowieniem z r. 1860.

Na skutek wezwania Dyrektora Głównego b. Kommisyi Rządowéj Przychodów i Skarbu z dnia 25 Sierpnia (6 Września) 1866 roku, opartego na postanowieniu Komitetu Urządzającego, fundusz użyteczności ogólnéj, który do tego czasu wzrósł do summy rs. 1,730,139 kop. 35½, jako mający nadal zostać w zachowaniu Zarządu Skarbowego wydany został w dniu 27 Września (9 Października) 1866 roku, delegowanym do odbioru urzędnikom Komissyi Skarbu.

Fundusz ten dotychczas jeszcze przeznaczenia żadnego nie otrzymał; jedynie co do procentów od takowego, wyszło postanowienie, aby Komitet Urządzający corocznie poddawał pod Najwyższe zatwierdzenie wnioski co do jednorazowych wydatków użyteczności ogólnéj, które pokryte być mają procentami od tego funduszu, sam zaś fundusz pozostaje pod bezpośrednią dyspozycyą ministra finansów.

Druga część oszczędności Towarzystwa, stanowiąca jego fundusz rezerwowy, wzrosła do dnia $^{1}/_{13}$ Listopada 1874 do summy rs. 3,830,527 kop. 36½.

Do majątku tego Towarzystwa doliczyć należy wartość jego

nieruchomości	rs. 565,036	kop. 71
tudzież ruchomości	„ 37,661	„ 50½
Razem	rs. 602,698	kop. 21½

Prawo z r. 1869 daje następujące przeznaczenie funduszowi rezerwowemu i oszczędnościom Towarzystwa:

Fundusz rezerwowy Towarzystwa zastępuje niedobory, odnoszące się do wszystkich bez różnicy seryj, jak niemniéj niedobory pochodzące od pożyczek poprzednich okresów (art. 63).

Skoro fundusz rezerwowy przewyższać będzie 6% od pożyczek zahypotekowanych na dobrach, wówczas przewyżka ta obróconą zostanie na koszta administracyjne Towarzystwa, i w tym stosunku zmniejszają się opłaty od stowarzyszonych na ten cel pobierane (art. 65).

Jeżeli po zaspokojeniu wszystkich kosztów administracyjnych z funduszu rezerwowego, remanenta takowego wynoszą przynajmniéj 1/10 część wierzytelności hypotecznéj Towarzystwa, wtedy ta przewyżka obróconą zostanie na korzyść wszystkich stowarzyszonych w stosunku wysokości rat poborowych i zaliczać się będzie na poczet najbliższéj raty poborowéj.

W ten sposób położono kres nieograniczonemu tworzeniu się funduszu rezerwowego; o ileby takowy przekroczył ustanowioną wysokość, o tyle przestaje być własnością Towarzystwa, a przechodzi na rzecz stowarzyszonych, i w ten sposób powrócono w tym punkcie do pierwotnych zasad Towarzystwa.

LUDWIK WOŁOWSKI.

W przeszłym miesiącu po długiéj i ciężkiéj chorobie zmarł w Gisors Ludwik Wołowski, cudzoziemiec, który sobie na szeroką sławę we Francyi zarobił.

Urodził się on w Warszawie 31 Sierpnia 1810 r. Ojciec jego Franciszek Wołowski, znany prawnik, w roku 1808 mianowany był członkiem trybunału warszawskiego, a był przedtem sekretarzem specyalnéj legacyi wysyłanéj do Berlina, dla upomnienia się o akta i depozyta sądowe, wywiezione z Polski za zbliżeniem się wojsk francuzkich. Potém Franciszek Wołowski był obrońcą przy najwyższym trybunale Królestwa, lecz słabość zdrowia zmusiła go wyjechać na lat kilka do Francyi. Syn jego Ludwik tam we Francyi kształcił się i uczył, i wtedy to jeszcze pozabierał stosunki, które mu aż do końca życia wiernie dopisywały. Franciszek Wołowski sam uczył się w Uniwersytecie w Halli, i dbał o to, aby syn jego doskonale poznał języki cudzoziemskie, i oswoił się z metodami nauczania i wykładu prawa w Paryżu i Londynie. W r. 1830 Fr. Wołowski prezydował w komissyi prawodawczéj sejmu, rodzice w Paryżu się z nim zjechali, a Ludwik W. zajął się cały ekonomią polityczną; prace jego na tém polu ułatwiły mu naturalizacyą we Francyi roku 1834.

W tymże roku założył on „Revue de legislation et de jurisprudence,“ którego to przeglądu tomów czterdzieści pięć wyszło pod jego kierunkiem. W początkach warunki materyalne tego wydawnictwa były bardzo ciężkie, i nieraz potém Wołowski śmiejąc się opowiadał, że przez czas pewien łączył w swéj osobie obowiązki redaktora, korrektora a nawet roznosiciela książek,

które bardzo mało miały prenumeratorów. Przegląd ten wprowadził Wołowskiego w bliższe stosunki ze znaczną liczbą pisarzy, zajmujących się kwestyami ekonomii, przemysłu i finansów.

Wielu z młodych autorów, których pierwsze prace przyjmował do swego przeglądu, stało się potém znakomitościami w polityce lub w naukach, i pozostali mu na całe życie wdzięczni za to ułatwienie pierwszych ich kroków. Dobroć i uprzejmość jego kazały mu nieść pomoc wszystkim naokoło siebie. W roku 1839 mianowany był professorem prawa przemysłowego w konserwatoryum sztuk i rzemiosł. W roku 1848 wybrany był prezydentem rady tego zakładu, a w roku 1864 powołany tamże na katedrę ekonomii politycznéj. Siostra jego wyszła za Leona Faucher'a naprzód redaktora *Courrier Français*, a potém ministra spraw wew. Ludwika Napoleona. 13 Kwietnia 1848 Ludwik Wołowski wybrany był deputowanym, i przyłączył się zaraz do stronnictwa nazywającego się *grand parti de l'ordre*. Wotował prawo za wygnaniem familii Orleańskiéj, ale też wotował za zamknięciem klubów, za dozwoleniem pozwania Ludwika Blanka o nieporządki z 15 Maja, za odrzuceniem amnestyi, za deklaracyą, że gen. Cavaignac dobrze się zasłużył ojczyznie, za ekspedycyą rzymską etc. Najczęściéj żądał słowa w dyskussyach nad materyami społecznemi. Powstawał przeciwko prawu do pracy Lud. Blanka. Nawet czas jakiś chodził do klubów, próbując tam krytykować teorye socyalistów. A chociaż nie miał znacznego wpływu na robotników, słuchali go jednak cierpliwie, bo ustępował im w pewnych punktach, których im nie dopuszczała większość ekonomistów Ekonomia polityczna rozjaśniła niektóre prawdy, które dzięki jéj przeszły z teoryi do praktyki.

Slawna maxyma „laisser faire, laisser passer" wszędzie prawie doprowadziła do zniesienia pasportów i zawad handlowych. Lud. Woł. niemało przyczynił się do tryumfów wolnego handlu; ale z drugiéj strony ekonomia polityczna jest lenniczką interesów klass przewodniczących w towarzystwie. Kurs Wołowskiego w konserwatoryum był grzeczną walką z ideami, które fermentowały w massach ludu francuzkiego. Przedstawiał im, że każdy zdatny robotnik może zostać *bourgeois*, że nie ma na świecie innego postępu tylko osobisty — indywidualny. A szkoły socyalistów tymczasem twierdzą, że zdatny robotnik, nie powinien myśleć tylko o sobie i swoją tylko łódką kierować, lecz powinien podawać rękę swym braciom i dobijać się poprawy losu całéj klassy, do któréj należy. Ekonomia polityczna jeszcze broni nienaruszalności zasad przyjętych w kodeksie Napoleona, i doskona-

łości praw regulujących własność i pracę. Socyaliści pragną zmian. Proudhon wyzywał własność do walki, i twierdził, że Jubileusz żydowski, w czasie którego własność po latach pięćdziesięciu wracała do rodzin, i który nie dozwalał ojcom rujnować swego potomstwa, o wiele był wyższy od form własności przepisanych w naszych kodeksach. Zuchwałe te twierdzenia szkół socyalistowskich przerażały Wołowskiego, i usiłował wyjaśnić i wytłómaczyć, co w tych naukach było fałszywego lub pozornie dobrego.

Dzisiaj jednak massy robotników biegną w kierunku wprost przeciwnym temu, który ekonomia polityczna uważa za jedynie prawdziwy. Na kongresie katolików w Bordeaux, klerykalni zgodzili się na myśl korporacyi robotników, wyrzekają się nadziei zwycięźenia socyalizmu, a usiłują go uporządkować i zrobić katolickim. Robotnicy cierpią na odosobnieniu i rozproszeniu swojém, i dlatego chcą oni, nie wracając do zamkniętych korporacyi starego porządku, wiązać się w korporacye otwarte, któreby im pozwalały pomagać sobie wzajemnie. Każde rzemiosło i proceder za pośrednictwem izb syndykalnych patronów i robotników ma się stać jakby parlamentem, w którym pracodawcy i robotnicy dysputują o swych interesach, a kwestye sporne decydują głosowaniem ogólném w korporacyi. Wewnętrzna ta metamorfoza, która we Francyi olbrzymiemi kroki naprzód się posuwa, straszyła i niepokoiła Wołowskiego, ale za dowód dobroci jego może służyć, że robotnicy słuchacze jego kursów, wszyscy prawie adepci szkół innych, nigdy do niego żalu nie mieli. Szanowali oni jego dobrą wiarę i dobre dla nich chęci. Czasami zrażał ich ostro formułując doktryny oficyalnéj ekonomii. Na początku jednéj lekcyi naprzykład powiedział: „że kapitał odróżnia człowieka od zwierzęcia.“ Przypominało to może trochę zanadto słówko Windischgrätza, wedle którego godność ludzkiéj istoty zaczynała się od tytułu barona. Lecz Wołowski tak szczerze i serdecznie nauczał robotników cnót domowych, bez których żadna reforma powieść się nie może, że w dniach wyborów dawali mu oni chętnie swe głosy. Egzagerując sobie znaczenie i skuteczność staréj ekonomii, niemniéj głosił stale, że dzisiaj wszystkie myśli zwrócone ku polepszeniu losu robotników, że to jest cechą i zaszczytem naszych czasów; lubił powtarzać słówko swego przyjaciela, znakomitego Gladstone'a: „wiek nasz to wiek robotników.“ Darami swemi zaopatrywał biblioteki ludowe. Umysł jego pełny też był anegdot, cytacyi, apologów.

Zbijając dnia pewnego jakieś teorye germańskie, wykazywał, że język niemiecki nie ma stałych linii i rysów, że łatwo się podaje formowaniu słów niepewnych i niejasnych, że jeżeli pojęcie jakie nie jest dość jasne, to Niemiec wymyśli nowy wyraz, który ma temu pojęciu odpowiadać. „Mój ojciec,“ dodał „na początku, tego wieku studyował w uniwersytecie w Halli; otoż professor filozofii Schmaltz, któremu nie brakło wtedy rozgłosu w Niemczech, starał się wytłómaczyć słuchaczom jakieś doktryny metafizyczne gubiące się i kryjące w zmroku nowéj terminologii. Na zakończenie powiedział im: Wskażę wam sposób jak rozróżnić ideę prawdziwą od fałszywéj: przetłómaczcie je na język francuzki; ta, która wytrzyma próbę i będzie jeszcze pomimo to coś znaczyła, możecie ją śmiało przyjmować.“

Matka Wołowskiego umarła w czasie panowania kommuny; był on w Wersalu, nie wahał się udać do Paryża dla oddania jéj ostatniéj posługi, i nikomu tam na myśl nie przyszło niepokoić go. Kiedy został wybrany członkiem zgromadzenia wersalskiego, pierwszym na liście deputowanych Paryża, niektóre gazetki twierdziły, że dając mu swoje głosy, lud paryzki sądził, że mianuje Wróblewskiego, jednego z wodzów komuny. Twierdzenie to dziennik radykalny „Les droits de l'homme,“ powtórzył po śmierci Wołowskiego. Już to robotnikom były doskonale znane umiarkowane opinie Wołowskiego, niemniéj jednak może zakończenie nazwiskowe *ski* przyczyniło się do ułatwienia mu karyery politycznéj; korzystał on z sympatyi ludu paryzkiego dla Francyi północnéj. *Charivari* w karykaturze doskonale schwyconéj, przedstawił go z czterema rogami czapki polskiéj rogatywki, wychodzącemi mu z głowy. Wołowski do zgromadzenia ustawodawczego wybrany był 134 tysiącami głosów, a do prawodawczego 118 tysiącami. Nie brakło mu też i urzędowych zaszczytów. W r. 1844 mianowany kawalerem Legii honorowéj, a w r. 1851 oficerem tegoż krzyża. Członek *jury* na wszystkich wystawach, w roku 1873 ogłosił sprawozdanie z wystawy wiedeńskiéj przedstawione Akademii nauk moralnych i politycznych. W roku 1855 na miejsce Blanqui'ego wstąpił do téj Akademii, a w roku 1865 był jéj prezydentem i bardzo czynnie zajmował się każdą akademicką elekcyą. Doktor prawa uniwersytetu heidelberskiego, doktor ekonomii un. w Tübingen, członek akademii belgijskiéj, madryckiéj, krakowskiéj, poznańskiéj i kazańskiéj— ciągle prowadził obszerną korrespondencyą z zagranicznymi uczonymi. W 1852 założył *Crédit foncier de France;* potém zrzekł się kierownictwa tym zakla-

dem, skoro się przekonał, że zamiast poświęcać się wyłącznie potrzebom rolnictwa, puszczał się on na wszystkie operacye zwykłych banków.

W zgromadzeniach politycznych wymowa jego nie tyle miała powodzenia. Armand Marrast, prezydent izby prawodawczéj w 1849—51 tak o Woł. mawiał: „Wolowski est un mot polonais qui signifie clôture.“ Jakoż rzeczywiście często męczył słuchaczy; wymowa polityczna inna niż professorska, a Wołowski w izbie mówił tak samo jak w salach konserwatoryów, uczył swych kolegów, i to ich niecierpliwiło.

Od śmierci wnuka zdrowie jego szybko zaczęło się rujnować. Pomimo zaleceń doktorów, jednakże często wyrywał się z Paryża do Wersalu, do izby. Nominacya jego na senatora była naturalném zakończeniem tak długiéj karyery politycznéj — a jego naleganiom w znacznéj części winna Francya zaprowadzenie kass pocztowych.

Przegląd *La réforme économique* powiedział, że Wołowski był stronnikiem reform, lecz że ostateczne ich rezultaty przestraszały go. Jako człowiek prywatny był on rzadkiéj dobroci. Jeden z jego krewnych pobierał pensyą od rządu francuzkiego, którą mu Wołowski do Warszawy przesyłał; pensyą zawieszono, on posyłał daléj pieniądze, i krewny jego umarł nie domyślając się tego poczciwego podstępu. Należał on do wielu bardzo przedsiębierstw finansowych, a nigdy najmniejszy cień nie padł na jego nieposzlakowaną bezinteresowność. Ostatnie miesiące jego życia były bardzo bolesne; do cierpień fizycznych przyłączyło się męczeństwo bezczynności, straszne dla człowieka żyjącego ciągle wśród ruchu i zajęcia. Kazał się przewieźć do Gisors, do zięcia swego p. Ludwika Passy, sekretarza stanu w ministeryum finansów. Widok natury trochę go orzeźwił, a potém choroba znowu górę wzięła. Ciało jego odprowadzono do Paryża. Chowano go 19 Sierpnia z kościoła Ś. Trójcy. Trzech ministrów, wielu senatorów i deputowanych towarzyszyło ciału na cmentarz Père Lachaise. P. Bersot, dyrektor szkoły normalnéj, przemawiał w imieniu Akademii nauk; P. Peligot w imieniu konserwatoryum sztuk i rzemiosł, a P. Barral w imieniu stowarzyszenia rolników francuzkich. Alzacczycy złożyli wieniec na jego trumnie. Głęboko on był poczuł rozćwiertowanie Francyi, a kiedy otwarto składki, aby emigrantom Lotaryngii i Alzacyi dopomódz przesiedlić się do Algeru—złożył na ten cel dziesięć tysięcy franków.

Pisma jego bardzo rozmaitéj treści, ale nie ma pomiędzy niemi arcydzieł. Popularyzował on ekonomią, udostępniał ją dla każdego,

szczególniéj dla robotników, ale nie szukał dróg nowych. Sumienność prac jego jednakże na długi czas jeszcze zrobi z nich pierwszorzędne podręczniki w wielu bárdzo kwestyach. Oto lista prac jego:

Des sociétés par actions, 1838.

Mobilisation du crédit foncier, 1839.

Des brevets d'inventions et des marques de fabriques, 1840.

De l'organisation industrielle de la France avant Colbert, 1842 r.

Des fraudes commerciales, 1844.

De l'organisation du travail, 1844.

Statistique et forces productives de la France, 1846.

Etudes d'Economie politique et de statistique, 1848.

Des droits du travail et de l'action de l'état, 1848.

De l'organisation du crédit foncier, 1849.

De la legislation anglaise sur les coalitions, 1850.

Henri IV économiste, 1855.

De l'administration de Colbert, 1856.

Traduction annotée des principes de l'Economie Politique de Roscher, 1856.

De la division du sol, 1858.

La question du servage en Russie, 1858.

L'Economie Politique en Italie, 1859.

Le grand dessein de Henri IV, 1860.

Un grand économiste français du XIV siecle, 1862.

Les finances de la Russie, 1864.

La question des Banques, 1864.

Traité des monnaies de Nicolas Orescue, et traité de la monnaies de Copernic.

Oprócz tego odczytywał wiele sprawozdań w Akademii — i często pisywał artykuły w kwestyach bieżących do Revue des deux mondes, Revue de législation, Journal des Economistes. Jedną z ostatnich krótkich prac jego były: Les resultats économiques du paiement de la contribution de guerre en Allemagne et en France, 1874.

Z wyjątkiem może jednego dzienniczka mało na rzeczach się znającego, cała prassa francuzka po śmierci Wołowskiego wyraziła jednomyślnie żal poważny i pełne uszanowania sympatye pamięci człowieka, który przeżył wiek swój szanowany od wszystkich i każdego.

O SPEKULACYI GIEŁDOWÉJ W ROSSYI.

„Wiestnik Ewropy“ w zeszytach za Czerwiec i Lipiec roku bieżącego, zdając sprawę z „krachów“ berlińskich według książki p. O. Glagau, na którą i nasza prassa codzienna uwagę zwróciła, poprzedza sprawozdanie swoje uwagami o stanie interesów i spekulacyi w Rossyi. Uwagi te, jako i nas bliżéj dotyczące, podajemy w tłómaczeniu:

„Krach“ berliński i zgubne skutki jego, ciążące dotąd nad cesarstwem Niemieckiém, powinnyby być dla nas przestrogą i nauką. Można zarzucić, że zbyteczny rozwój spekulacyi w Niemczech, a szczególniéj na giełdzie berlińskiéj, głównem jéj ognisku, był następstwem szczególnych okoliczności, których u nas nie spotykamy; że tam doszła ona do takiego stopnia, o jakim my marzyć nie możemy. Można się też powoływać na to, że nie dostrzegamy jeszcze u nas wyraźnych symptomatów zbliżania się „krachu.“ Sprawa moskiewskiego banku, wywołała już jednak małe przesilenie; upadek tego banku, odbił się na niektórych kredytowych instytucyach w różnych miastach Rossyi; na giełdzie zaczęły zniżać się kursa tych właśnie papierów, któremi spekulacya z upodobaniem się zajmowała; papiery zaś rządowe z wyjątkiem pożyczek loteryjnych, zupełnie się nie chwiały. Wyraźna wskazówka, że to spekulacya się ulękła. Upadłość jednego prywatnego banku, nie mogłaby pociągnąć za sobą zniżenia kursu giełdowych wartości, gdyby nie było przytém obawy, iż przesilenie wzrośnie do większych rozmiarów. Widoczna tutaj obawa, że upadłość banku moskiewskiego mogła być tylko początkiem „końca,“ t. j. krachu rossyjskiego. Jednakże strach ten okazał się bezzasadnym. Chociaż nie wrócił dotychczas kurs z Lipca i Sierpnia przeszłego roku, jednakże krachu nie było.

A więc ciągniemy daléj optymistyczną argumentacyą:—z okoliczności naszych wypada, iż krachu przewidywać nie można.

Wszystko to prawdą być może, ale zawsze prawdą względną tylko, dlatego, że wszystkiego tego nie dosyć jeszcze, aby usunąć obawy o najbliższą nawet naszę gospodarską przyszłość. Rzeczywiście, gorączka spekulacyjna lat 1871 — 1873 w Niemczech a szczególnie w Berlinie, w znacznéj części była skutkiem przecenienia własnych sił gospodarskich, a przecenienia tego przyczyną były zwycięztwa we Francyi i połączenie w jedno całych Niemiec, których Berlin stał się stolicą. Prawda, że rząd pruski w walce swéj z Austryą i Francyą, starał się w kraju oprzeć na stronnictwie tak zwaném narodowo-liberalném, które przeważnie składa się z elementu kupieckiego, i rząd musiał ze swéj strony zrobić stronnictwu temu pewne ustępstwa — rozwiązać ręce nieograniczenie swobodnéj handlowéj konkurencyi, w prawodawstwie dać bezgraniczną swobodę lichwie i ażioterstwu, a nawet w finansowéj polityce państwa przyjąć jako dogmat naukę tego stronnictwa o złotéj jednostce monetarnéj w obrocie pieniężnym. A nakoniec wynika z tego samo przez się i jest faktem niewątpliwym — że spekulacya przy tych okolicznościach rozwinęła się i rozpaliła w Berlinie do stopnia, o jakim my pojęcia nawet nie mamy; tak samo jakeśmy nie widzieli ponad kassami naszemi prywatnemi i rządowemi unoszących się tych złotych obłoków, które przeleciały ponad niemieckiemi giełdami i kassami, w postaci pięciu miliardów wojennéj kontrybucyi.

Ale wszystkie te różnice w gospodarskiéj pozycyi Rossyi i Niemiec, nie powinny zakrywać przed nami rysów rzeczywistego podobieństwa, które się łatwo dostrzegać dają.

Zacznijmy od tego, że gorączka spekulacyi i idące za nią „krachy" niekoniecznie bywają następstwem zwycięztw. Wiedeńska spekulacya i krach wiedeński, który poprzedził berliński, następują po klęskach, nie po zwycięztwach. Podobieństwo tutaj w tém widzimy, że w Wiedniu jak potém w Berlinie, było przecenianie sił własnych, niezmiernie słabe istotne wytwarzanie produktów w porównaniu z namiętnym, niepowściągnionym popędem do tworzenia „nowych wartości" papierowych, t. j. do spekulacyi, do łatwych zysków, do gry. Stosunkowo słaby organizm przemysłowy Austryi i Pruss, słabowita ich produkcya, niedostateczne zapasy rzeczywistych kapitałów, nie mogły wytrzymać takich strasznych ciosów, jakie przetrwał przemysł angielski w przesileniu żelazno-kolejowém około 1840 roku i francuzki w kolejowo-bankowém przesileniu Pereirów, Mirès'a et comp., na po-

cząłku 1860. A zupełnie słaba produkcya Rossyi, i zaledwie egzystujący kapitał rzeczywisty, nie wytrzymałyby zapewne przesilenia nawet cztery razy słabszego od tych, które tak niszcząco wybuchły w Wiedniu i Berlinie.

Nie można znowu twierdzić, aby u nas nie dały się dostrzegać te przyczyny gorączki spekulacyjnéj, jakie w Prussiech przejawiły się w przecenianiu sił własnych, i w złotym deszczu cudzoziemskich miliardów; jak i zaprzeczyć nie można, że gorączka ta u nas zjawiała się i zjawia stosunkowo słabszemi paroxyzmami, i to nie ciągłemi, lecz z charakterem wracającym i coraz wzrastającym. Niezmierny przypływ kapitałów zagranicznych do Rossyi ściągnionych na budowę dróg żelaznych, naprzód poręczeniem dochodu przez rząd, a potém i rządowemi pożyczkami na tenże cel, to złoty deszcz w swoim rodzaju, miliardy franków, czasowo ściągnione przez rząd do Rossyi, jak i wojenna kontrybucya przyniesiona przez rząd do Niemiec. Prawda, że u nas te miliardy w większéj części przynajmniéj, użyły się zaraz na rzecz przemysłu, poszły w obrót, czego nie było w Niemczech, bo tam wywojowane miliardy pozostały tylko złudzeniem dla przemysłu, prawdziwym „miliardem w obłokach.“ Lecz za to miliardy nie były nam ofiarowane, tylko pożyczone, i prędko zaczęły wędrować napowrót do swych krajów najrozmaitszemi drogami: procentami, amortyzacyą, dochodem, zagranicznemi zamówieniami, zakupowaniem w samějże Rossyi papierów kolejowych, t. j. zwracaniem przez Rossyan znacznéj części pożyczonéj krajowi gotówki. Pozostało wrażenie powodzenia nieoczekiwanego, przewyższającego nawet najśmielsze rachuby, i ono to wywołało spekulacyą. Pod postacią nowych papierów, nowych „wartości,“ czyli w rzeczy saméj zobowiązań, zjawił się materyał dla spekulacyi. W rzeczy saméj w r. 1868 doświadczyliśmy pierwszego paroxyzmu gorączkowéj spekulacyi i gry giełdowéj, zaraz po silném pchnięciu, jakie wtedy dane było budowie dróg żelaznych. Już zaraz po tym pierwszym paroxyzmie, nastała reakcya, przesilenie, coś niby w rodzaju maleńkiego „krachu,“ który przejawił się tylko w Petersburgu i dotknął nietyle urzędową, ile wolną giełdę, tak zwaną „kulisę.“ Gra giełdowa przycichła na czas jakiś, lecz się nie przerwała; raz rozpoczęta już ona nie ustaje. O gdybyśmy mieli swobodniejsze pole do zakładania towarzystw akcyjnych, możebyśmy i Berlin w téj sprawie wyprzedzili! Wspomnijmy o czasach trochę odleglejszych, chociaż niedawnych, o początku 1860 r. Dość było ułatwienia w dozwalaniu zakładania towarzystw akcyjnych, ażeby się ich natychmiast zjawiła liczba zgoła nieodpowie-

dnia ani rzeczywistéj ilości kapitału w kraju, ani też źródłom przemysłu. Akcyjne przedsiębierstwa owego czasu, pękały jak bańki mydlane, po roku a często po kilku miesiącach egzystencyi.

Dzisiaj już większość nie pamięta pierwszego rozczarowania; nie pamięta tego, że siły nasze, o których tak wysokie mieliśmy pojęcie, nie dopisały nam w praktyce. Wrażenie to, chociaż je illustrowała ruina wielu osób, zatarło się zupełnie pod omamieniem nowych urojeń, wywołanych tak świetném i nieoczekiwaném powodzeniem, prędkiéj budowy niezmiernéj sieci dróg żelaznych, za napływem miliardów franków z zagranicy. Same rządowe emissye pożyczek na koleje żelazne wynoszą kapitał około 2 miliardów franków; a jakąż cyfrę wykaże cała summa zagranicznych kapitałów, zaciągnionych na budowę kolei od 1862 po 1870 rok, to jest do pierwszéj specyalnie kolejowéj pożyczki rządowéj? Wszak wedle wiadomości podanych w „Вѣстникъ Жел. Дор.“ kapitał naszych kompanii żelaznych kolei wynosi 1,320 milionów rubli, co stanowi 5 miliardów 280 milionów franków, t. j. summę równą francuzkiéj kontrybucyi.

Nie mieliśmy tak obszernéj swobody zakładania wszelkiego rodzaju akcyjnych przedsiębierstw, jaka dana była w Prussiech. Ale mieliśmy nie mniéj urojeń, nie mniejszą żądze spekulowania, mieliśmy też gotowych spekulantów, w znacznéj części tych, którym to się nie powiodła pierwsza próba szerokiego założycielstwa w Rossyi. Jakoż spekulacya rzuciła się na tę gałąź, w któréj rozszerzono granice założycielstwa, potém znowu zaciśnione, na interes bankowy. Nie było u nas banków prywatnych, nie było kredytu; własność ziemska i miejska, wszystkie rodzaje handlu i przemysłu potrzebowały kredytu; nic się nie robiło, wszystko leżało nietknięte dla braku kredytu, t. j. dla braku banków prywatnych i miejskich. Tak u nas rezonowano; i w rzeczy saméj do 1870 roku banków było bardzo mało, lecz za to odtąd znalazło się ich zbyt wiele. Wiadomo zaś, że brak kredytu wynika nietylko z małéj liczby, albo i z zupełnego niedostatku banków; lecz oprócz tego i o wiele więcéj wynika on z rozmaitych innych przyczyn. A naprzód z braku rzeczywistego swobodnego kapitału, któryby mógł się stać kapitałem obrotowym przemysłu; z braku popytu na wyroby tegoż przemysłu t. j. z ubóstwa massy narodu; z braku bezpieczeństwa, zależącego w części od prawodawstwa, a w części od samego charakteru przemysłu i handlu. Naprzykład gdzie zyski handlowe nie obliczają się w stosunku procentowym do obrotu, lecz zależą na prostém niespełnieniu zobowiązań; gdzie odbierający towar nie oblicza dostarczającego dlatego,

żeby więcéjnabrać, a potém ściąga wypłatę i wyprze się części długu; gdzie dostarczający towary, ceny swe oblicza nie w stosunku do tego, co go towar kosztuje, lecz w stosunku do nieuniknionych strat, z nieopłacania spożywców wynikających, a gatunek, wagę i miarę stosuje do tychże strat, nie zaś do swoich zobowiązań; gdzie upadłości zwykle kończą się wypłatą kilku kopiejek za rubel,—tam rzeczywiście nie może być kredytu. Powiadamy: — nie może być takiego kredytu, żeby kapitalista chętnie oddawał swoje pieniądze w obrót na przemysłowe lub handlowe przedsiębierstwa. Lecz tam właśnie możebna, a nawet nieodbicie potrzebna taka forma kredytu, w któréj kapitalista lub spekulant, za wynagrodzenie sobie ofiarowane, wypożycza *cudze* pieniądze. Ztąd to główna potrzeba w Rossyi banków towarzyskich i akcyjnych.

Nie mówiąc już o właściwościach takiéj potrzeby, i o nieuniknionych z czasem jéj następstwach, dostrzedz łatwo, że liczba tych potrzebnych banków może przejść daleko po za samę potrzebę. Do 1870 roku banki prywatne liczyliśmy na jednostki; teraz mamy ich setki. Obecnie liczy się banków miejskich 267, handlowych 39, ziemskich 19, miejskich towarzystw kredytowych 8, towarzystw wzajemnego kredytu 102. O sile mnożenia się banków można sądzić z następnego porównania: do 1860 r. banków miejskich było 19, teraz 267; banków handlowych do 1870 było 8, teraz 39.

Spekulacya założycielska zrobiła więc u nas z bankami co mogła; nie miała ona wolnego ruchu na innych obszarach, dlatego się tam nie popisywała, a i na tym dozwolonym, ograniczenia stały się z czasem koniecznemi. Gra giełdowa ze swéj strony w papierach bankowych, dostała nowy materyał, który stanął obok papierów kolejowych.

Przyznać musimy, że u nas założycielstwo nie mogło zawalić rynku nowo utworzonemi „wartościami" do takiego stopnia, jak to się działo w Austryi i Prussiech. Lecz za to musimy pamiętać, że na rynku naszym, bez tego już cięży cyrkulacya papierowa, któréj prawdziwa wartość niczém się w istocie swéj nie oznacza; otoż tego szczególnego w swoim rodzaju faktu w Berlinie nie było. Nie możemy oznaczać wartości pieniędzy papierowych wymianą, bo jéj nie ma; nie możemy też użyć do tego oznaczenia ceny, za jaką Bank państwa kupuje złoto, lub łażą (1) na złoto w handlu prywatnym, bo to będzie ocena warunkowa do danej chwili tylko się stosująca, a takiéj my nie potrzebujemy, bośmy przywykli obliczać na jedność papierową; nie mamy w obrocie ani srebra

(1) Łażc, albo łaża, to samo co *agio*.

ani złota, i w obrocie rubel papierowy stoi *al pari*, tylko przedmioty które nim opłacamy ciągle drożeją. Więc wysokość łaży na złoto dla nas prawie obojętna. Jeśliby okoliczności się zmieniły, np. na wypadek wojny, z cyfry téj nie możemy się zgoła domyślać co się z nią stanie; co wtedy Bank państwa musi zapłacić za rubel metalowy, jeżeliby go kupować potrzebował, jaka będzie wtedy cena złota na giełdzie. Zatém wartość prawdziwa wewnętrzna naszéj papierowéj cyrkulacyi niewiadoma nam, i dlatego przyznać musimy, że rynek nasz chociaż nie tak jak berliński w 1873 r. zawalony nieokreślonemi papierowemi wartościami prywatnego pochodzenia, zawsze jednak jest obciążony papierowym obrotem; czyli mówiąc innemi słowami: grunt rynku naszego może się okazać niedość twardym, kiedy się zdarzą na nim przesilenia.

Te są niektóre rysy podobieństwa pozycyi naszéj, do tego co było w Berlinie przed krachem. Ale główne podobieństwo dostrzedz się daje w *obyczajach* naszéj spekulacyi i wszystkich tych sfer, do których ona sięga. Obyczaje są właśnie te same, które w Wiedniu i Berlinie zrodziły „Schwindel“ i sprowadziły „krach,“ a historya moskiewskiego banku pożyczkowego już to do pewnego stopnia wykazuje; lecz wszystkim w ogóle wiadomo znacznie więcéj, niż to co tu o jednym banku się wykryło; a obyczaje te bardzo łatwo się przejmują. W pewnéj francuzkiéj komedyi pisanéj w epoce najpiękniejszego rozkwitu gry giełdowéj i spekulacyi, za drugiego cesarstwa, w czasach, które oglądały wielkie czyny Pereirów i Mirès'a; na pytanie co też rzeczywiście znaczą *les affaires?* daje się odpowiedź: „*les affaires — c'est l'argent des autres.*“ W Berlinie od 1870 roku to samo znaczący wyraz *Geschäft*, nabrał jednego znaczenia z wyrazem *Schwindel;* a nazwy *Gründer*, *Gründung* stanowczo nabrały znaczenia połajanek. Jeżeli mogło dojść do tego w krajach, gdzie handel bez porównania poważniejszy niż u nas, odznaczał się też większą sumiennością w rachunkach; nie dziw, że podobne obyczaje spekulacyjne mogły się u nas przyjąć prędzéj niż gdzieindziéj. Dopomagał do tego system koncessyi w budowaniu dróg żelaznych. Wykazał on, że ludzie nie mający zgoła kapitału, mogą obracać milionami i w lat kilka stawać się milionerami, a co zatém idzie, honory już same na nich spływają. Nauka moralna tego systematu taka: że najniewdzięczniejszą i najniepewniejszą drogą do bogactwa jest praca, oszczędność, usilne staranie o zjednanie sobie zaufania; że nie warto „*prowadzić interesu,*“ bo interes w najlepszym razie da tylko okruszyny, lecz że trzeba „*obrabiać interesa.*“ Zręczność zastąpiła wszystko: pracę, kapitał, zaufanie—a zręczność to właśnie spekulacya. Naj-

zręczniejsze sztuki berlińskiéj spekulacyi nie są nam wcale obce; nasi aferzyści znają się na nich, ciasno im tylko w ramach prawnych przepisów, nie mają pola do popisu. Nie jest to już dla nikogo tajemnicą, w jaki sposób u nas realizują się kapitały na przedsiębierstwa i jak małą, nic nieznaczącą rolę pretextu gra przytém samo przedsiębierstwo. Załcżyciel banku, mający w nim wpływ przeważny, rozpoczyna przemysłowe roboty gdzieś w miejscowości bardzo oddalonéj, kupuje tam fabrykę, zakłada towarzystwo na akcyach, i wzywa publiczność do zapisywania się na akcye, a używa wszelkéj możebnéj reklamy, nietylko sążnistemi anonsami, ale i *dobrém słowem* wypowiedzianém w téj lub owéj gazecie, która się nagina do podobnego rodzaju „literackiéj“ działalności. Jedno z dwojga nastać musi: albo podpisy się powiodą, albo nie udadzą. Powiodą się one, jeżeli publiczność weźmie wiele akcyi, a przedsiębierca dostanie *dużo cudzych pieniędzy*, przyczém zostawi sobie liczbę akcyi dostateczną, aby mieć większość głosów na pierwszych zgromadzeniach. Wtedy sprzedaje nowo założonemu towarzystwu fabrykę, ziemię i t. d. za cenę trzy razy wyższą od téj, którą zapłacił, a potém korzystając z wysokiego kursu, sprzeda cichaczem swoje akcye. Akcyonaryusze będą musieli prowadzić interes niedogodnie uwarunkowany, bo chociażby sam przez się mógł być korzystnym (co nie zawsze się zdarza), to obciążony wysoką ceną kupna, w zyskach da tylko zbyt mały procent od wyłożonego kapitału. Jeżeli się podpisy nie udadzą, założyciel zatrzymuje akcye dla siebie i zastawia je w banku, który ulega jego wpływom, którego może nawet jest dyrektorem, lecz w którym zawsze nierównie więcéj znajduje się *cudzych pieniędzy*, aniżeli jego własnych. Zastawi on je na summę przypuszczam nie wyższą od ceny fabryki, zawsze z korzyścią dla siebie, szczególnie jeżeli w akcie nabycia zapisał summę wyższą od téj, którą dał, lub jeżeli naprzód kupił fabrykę przez kogoś podstawionego, a potém odkupił od niego z ogromną fikcyjną nadpłatą. Jakkolwiekbądź pójdzie ta sprawa, w rezultacie spotkamy zawsze nieunikniony skutek, że „założyciel“ zarwał spory „kusz“ czy od akcyonaryuszów nowego przedsiębierstwa, czy od akcyonaryuszów banku, a zarwał go nadużywając swego wpływu, najczęściéj z małym bardzo nakładem, bo pierwotne kupno obywa się zwykle małym zadatkiem i obietnicami, które potém założyciel spełni lub nie spełni, zawsze jednak nie ze swoich pieniędzy, lecz z tego „kusza,“ który zarwał bez żadnego ze swéj strony nakładu.

Przytoczony przez nas przykład, przedstawia taki rodzaj spekulacyi, która prostą drogą prowadzi do „krachu,“ bo musi

przecie kiedykolwiek nastać czas obrachunku; portfele banków muszą być kiedyś obliczone i sprawdzone nietylko wedle rachunków i ksiąg, lecz w celu przeświadczenia się o pewności kupionych wexli i przyjętych zastawów. Nieprzewidziane przesilenie może znagła sprowadzić tę chwilę pierwéj niż się zdaje. Nie mówiąc już o ludziach znających się na interesach, ale i niewtajemniczeni, wiedzący jednak w ogóle co się u nas dzieje, nie zarzucą nam, żeśmy ten przykład wymyślili, że takich przykładów u nas nie było.

A więc sztuki spekulacyjne i skutki ich, które wykrył „krach“ berliński, zasługują na pilną z naszéj strony uwagę. Ostateczny ich skutek, sam „krach“ powinienby być dla nas nauką. Nie należy nam oczu zamykać i uspakajać się rezonowaniem, że „krach“ w Berlinie wywołały szczególne okoliczności, jakich my u siebie nie spotykamy; że nie wpłynęło do nas 5 miliardów franków z zagranicy, że rynek nasz nie jest przeciążony wartościami do pewnego stopnia fikcyjnemi, że na żadném polu nie mieliśmy dość miejsca do zbytecznéj spekulacyi, że nakoniec ani grunt moralny ani techniczne usposobienie nie nadają się u nas do zbyt wyuzdanéj spekulacyi. Widzieliśmy owszem, że w położeniu naszém można dostrzedz rysy niezmiernie podobne do tych, które panowały w Berlinie przed krachem i których on był tylko prostym skutkiem.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe doświadczenia z wolumetrem czyli plethysmografem.

Mówiąc w Nr. V niniejszego pisma o „wolumetrze“ który ostatecznie otrzymał nazwę *plethysmografu*, wynurzyliśmy nadzieję, iż przyrząd ten pozwoli rzucić wiele światła na mało dotąd znane kwestye fizyologiczne i patologiczne. Jakoż nie zawiedliśmy się. Wynalazca jego dr. *Mosso* z Turynu, w dalszym ciągu swéj pracy przystąpił do badania wpływu lekarstw na organizm, kwestyi jednéj z najciemniejszych w nauce spółczesnéj, i do bardzo ważnych doszedł rezultatów.

Przypominają sobie czytelnicy ową komedyą Moliera, któréj kandydat na lekarza zapytany: „dlaczego opium usypia?“ odpowiada: „dlatego, że ma własność usypiającą.“ Odpowiedź ta śmiech wzbudza, — ale bądź co bądź przyznać należy, że nawet i teraz wiedza lekarską niewiele więcéj o znacznéj liczbie lekarstw powiedzieć może. Zdobyliśmy już co prawda wiele szczegółów z tego zakresu, ale więcéj jeszcze pozostaje do zdobycia. Nawet najzwyczajniejsze, najpewniejsze i najdzielniejsze środki nie wyłączają się z téj reguły, tak dalece, że na zapytanie dlaczego, lub w jaki sposób, chinina leczy z febry, nic a nic nie moglibyśmy odpowiedzieć. Jeśli tedy w tym kierunku metoda badania p. *Mossa* zdoła rozjaśnić nasze pojęcia, to zaprawdę zasługi jéj będą kolosalne.

Na początek p. Mosso obrał wpływ chloralu na ciało ludzkie. Do apparatu zostało zastosowane urządzenie zapisujące zmiany objętości części ciała zawartéj w *plethysmografie*, a nadto przyrządy znaczące ruchy oddechowe i bicie serca.

Po zadaniu człowiekowi badanemu dostatecznéj dozy chloralu, cyrkulacya obwodowa przedstawiała znaczne różnice: naczy-

nia ramienia a zatém i innych części obwodowych rozszerzyły się, krew się w nich nagromadziła, a objawom tym towarzyszyło obniżenie temperatury wnętrza ciała. Ze wzmaganiem się tych objawów powiększała się i senność, któréj miejsce zajął wreszcie głęboki sen, nie dający się niczém odróżnić od snu naturalnego.

Z tego odpływu krwi ku obwodowi, oraz zniżenia temperatury wnętrza ciała, przezeń sprawionego wnieść możemy, że sen spowodowany od chloralu jest połączony z postępowém zwalnianiem obiegu krwi w ośrodkach nerwowych głowy. Chociaż więc jeszcze dotąd nie mamy dokładnych wiadomości o wewnętrznym mechanizmie snu, jednak dowiadujemy się już ztąd, że snom towarzyszy względna anemia mózgu.

Lecz nie na tém, powiada Mosso, ograniczają się wnioski nasze, które wyprowadzić możemy z badania człowieka poddanego wpływowi chloralu. Jeśli porównamy z sobą jednoczesne zmiany objętości badanéj części ciała z biciem serca, spostrzeżemy, że w miarę rozszerzania się naczyń obwodowych, bicie serca zwalnia się i staje się mniéj energiczném. Chloral więc jednocześnie paraliżuje naczynia i zmniejsza energią serca.

Dwa te ostatnie wnioski sprawdza Mosso w sposób następujący:

Zmodyfikowawszy swój apparat w ten sposób, aby mógł służyć do badania organów oddzielonych od żywego organizmu, przepuszcza przez te organa najprzód czystą surowicę krwi, a potém surowicę z dodatkiem chloralu. W drugim razie objętość organu powiększa się, i większa ilość płynu w tym samym czasie przezeń przepływa. Ztąd już wnieść można, że chloral wywołuje rozszerzenie się naczyń, niezawiśle od centrów nerwowych naczynio-ruchowych, gdyż działaniu jego poddany jest w tém doświadczeniu organ odosobniony. Jeśli następnie dla sprawdzenia tego wniosku, zastąpimy surowicę z chloralem czystą surowicą, to organ zmniejszy swą objętość i przepuści mniejszą ilość płynu w pewnym oznaczonym czasie. Mamy więc prawo, powiada dr. Mosso, uważać za sprawdzone pewne twierdzenie, a mianowicie, że *chloral działa na cyrkulacyą obwodową, wywołując rozszerzenie naczyń; wpływ ten jest niezależny od centrów nerwowych naczynio-ruchowych.*

Wprawdzie ścianki naczyń składają się z włókien i komórek nerwowych, z mięśni i tkanki sprężystéj; więc każda z tych części składowych może być dotknięta przez działanie substancyi czynnéj wprowadzonéj do naczynia: obserwacya zaś powyższa nie wyłącza wniosku, żeby tu nerwy w naczyniach będące nie brały

udziału. Nie jest więc ostatecznie wiadomo, który element ścianki naczynia ulega działaniu chloralu. Mosso jednak skłania się tymczasem przed analizą ostateczną ku mniemaniu, że specyalnie dotknięte są w tym razie elementa kurczliwe, gdyż te same zjawiska okazuje organ w dwa lub trzy dni po odłączeniu od żywego zwierzęcia, t. j. w czasie gdy żywotność nerwów już znikła.

Dla sprawdzenia drugiego wniosku, dotyczącego działania chloralu na czynność serca, experymentator używa serca żaby, które zachowuje swój rytm normalny długi czas po wyjęciu ze świeżo zabitego organizmu. Jeśli przepuszczamy przez takie serce surowicę czystą, to bicie jego jest częste, energiczne i równe; gdy do surowicy dodamy chloralu, czynność jego zwolni się, osłabnie i stanie się nieregularną. Graficzne znaki téj czynności otrzymane na papierze za pomocą stosownego urządzenia, okazują w uderzający sposób te różnice.

Mógłby kto zarzucić, że główną przyczyną osłabienia ruchów serca jest wyczerpanie jego siły żywotnéj, że nie chloral lecz czas osłabienie spowodował. Na to professor odpowiada, że przedewszystkiém przy zastosowaniu chloralu, zwolnienie i osłabienie energii serca następuje prawie nagle; a powtóre, że jeśli przez serce, które już było poddane takiemu doświadczeniu, przepuszczać będziemy czystą surowicę, to ruchy znowu staną się szybszemi i nabędą energii. Wprawdzie szybkość ta i natężenie nie będą tak wysokie jak przed przepuszczaniem chloralu, — atoli trzeba tu pewną część energii odliczyć na znużenie, któremu serce w skutek działania szkodliwego czynnika uległo; nadto różnica ta jest bardzo nieznaczną, tak dalece, że nikt nie będzie wątpił o tém twierdzeniu, kto porówna rysunki uderzeń serca w trzech stanach powyższych.

Jeśli przez czas dłuższy przepuszczamy surowicę z chloralem, to ruchy serca stają się coraz wolniejszemi, coraz słabszemi i nareszcie zupełnie ustają. Następuje wtedy zupełna śmierć serca, a czysta surowica już ruchów nie przywraca.

Ostatnich tych faz otrucia, Mosso naturalnie na człowieku nie obserwował. Z doświadczeń jednak powyższych wolno wnosić, że nastąpiłyby w zupełnie analogiczny sposób.

Z doświadczeń tych wynika, że i drugi wniosek eksperymentatora jest uzasadniony, t. j. że *chloral, jak powiedziano powyżéj, działa bezpośrednio na serce.*

Kończąc swój odczyt, w którym przedstawił studentom uniwersytetu turyńskiego powyższe fakta, professor Mosso wynurzył nadzieję, że po odkryciu jednego rogu zasłony, farmakologia

doświadczalna może się spodziewać w przyszłości nowych zdobyczy, „*albowiem jest już na właściwéj drodze: posiada odpowiednią metodę.*“

Czy podobna dotrzeć do bieguna.

Dotarcie do bieguna północnego stanowi oddawna marzenie uczonych i marynarzy. Jak się na nim przedstawia zorza północna i światło zodyakalne—jakie są stosunki geograficzne i meteorologiczne—w jaki sposób objawia się magnetyzm— jaka jest fauna i flora w tych nieznanych okolicach? Te i tym podobne pytania tak drażnią żądny wiedzy umysł ludzki, iż niemal corocznie rządy świata ucywilizowanego poświęcają miliony na usiłowania dla osiągnięcia tego celu.

Jakie się w tym względzie przedstawiają trudności i jakie hypotezy utworzono o sposobach dostania się do bieguna, — to czytelnicy wiedzą już z licznych opisów podróży i artykułów w gazetach. Wszyscy zajmujący się kwestyą możliwości dotarcia do tego tajemniczego punktu ziemi, mówią zawsze o lodach, o czystéj wodzie, o prądach cieplejszych, — jedném słowem tylko o warunkach zewnętrznych. W nich tylko widzą trudność jedyną. A ponieważ energia ludzka wiele już dała dowodów swéj wielkości, ponieważ wynalazczości człowieka granic zakreślić nie podobna; więc zwycięženie wszelkich przeszkód zewnętrznych można uważać za kwestyą czasu. Ale czyż nie ma żadnych przeszkód wewnętrznych, przywiązanych do saméj natury człowieka? Oto pytanie, którém się dotąd mało, albo wcale nie zajmowano.

Tymczasem i z téj strony mogą zachodzić trudności, których rozbioru nie powinniśmy omijać. Na jednę z nich zwrócił uwagę pan *Teodor Overbeck* z Hamburga. Twierdzi on, że nieprzezwyciężoną dla człowieka, ze względu na jego naturę, przeszkodą, będzie zmniejszanie się prędkości obrotu punktów ziemi w wysokich szerokościach położonych i wreszcie zupełne zniknięcie ruchu wirowego na biegunie.

Prędkość obrotu punktu na równiku wynosi na sekundę 1300 stóp, w naszych szerokościach 600—700 stóp, a na biegunie równa się zeru. Rzecz widoczna, że tak wielka prędkość, dorównywająca w naszych szerokościach kuli armatniéj, osłabia działanie siły ciężkości, a więc ujmuje znaczną część ciężaru naszym mięśniom. Overbeck więc wnosi, że stworzenie podobnéj jak nasza budowy, nie mogłoby wcale istnieć na planecie nie obracającéj

się, gdyż nie mogłaby udźwignąć ciężaru własnych członków. Czyż można pomyśleć, powiada, żeby ustanie tak potężnego ruchu, jaki na nasze ciała działa w szerokościach blizkich równika, pozostało zupełnie bez wpływu, albo też słaby tylko wpływ wywierało? A przecież bieguny ziemi są identyczne z ciałem nieobracającém się. Podczas zbliżania się do biegunów, zmniejsza się ciągle czynnik ułatwiający nasze ruchy, a muskuły nasze muszą dźwigać ciężar równoważony przez siłę odśrodkową;—wreszcie na samym biegunie żadnéj już ulgi nie będą miały i spadnie na nie cały ciężar, pokonywający ich siły.

Żeglarze usiłujący dotrzeć do bieguna północnego, dosięgli co najwyżéj takich szerokości, których punkta obracają się jeszcze z prędkością 150—200 stóp na sekundę. I tam więc siła odśrodkowa odejmuje muskułom część ciężaru, a jednak jak widać z opisów podróży, a co większa z opowiadań ustnych, daje się tam czuć wielka ociężałość, trudność odbywania podróży pieszych, dokonywania wszelkiéj pracy, i człowiek musi w tych okolicach spożywać ogromne ilości pokarmu, aby zupełnie nie osłabł. Cóż dopiero na biegunie, gdzie wcale siła odśrodkowa nie działa?

Pomimo wątpienia o możliwości dojechania do bieguna, Overbeck nie odradza przedsiębrać podobnych wypraw, gdyż bądź co bądź człowiek nie dotarł jeszcze do najwyższego punktu, dostępnego dla jego sił; wykazanie zaś istnienia podobnéj granicy, byłoby niezmiernie ważném dla nauki o ziemi, nie mówiąc już o tém, że i fizyologia nie omieszkałaby skorzystać ze spostrzeżeń tam dokonanych.

Gdyby jednak, powiada Overbeck, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, nie znaleziono podobnéj granicy, to wpadlbyiśmy na ślad bardzo wielkiego odkrycia, albowiem wykazywałoby to, że pomiędzy przyciąganiem a rotacyą ziemi, istnieją oprócz znanych, inne jeszcze stosunki, któreby mogły zupełnie zmienić dotychczasową naukę o tym przedmiocie. „Tak się jednak prawdopodobnie nie stanie, a bieguny pozostaną dla nas nazawsze obrazem z Sais, którego widok śmiałek musi życiem przypłacić.“

Przeciwko temu twierdzeniu wystąpił pan *Edward Glaser*, który oblicza, że ciężkość pod biegunem może się powiększyć tylko o mały ułamek, niezdolny do wywołania wpływów, których się pan Overbeck obawia. Pan Glaser przyznaje wprawdzie, że wpływ powiększonéj ciężkości da bądź co bądź uczuć potrzebę większéj pracy muskułów—ale według niego siły człowieka jeszcze jéj podołają.

Assymilacya krzemionki przez rośliny.

Pan *P. B. Wilson* spostrzegł, że popioły roślinne będąc traktowane rozcieńczonym kwasem i wyparowane do suchości na kąpieli wodnéj, nie przechodzą w stan galaretowaty, jak to się dzieje ze wszystkiemi krzemianami rozpuszczalnemi w kwasach, lub rozłożonemi węglanem sodu lub potasu. Gdy jednak popiół przed traktowaniem kwasem wystawimy na działanie wysokiéj temperatury, to następuje połączenie chemiczne pomiędzy krzemionką a alkaliami, ziemiami alkalicznemi i ziemiami znajdującemi się w popiele, poczém już w skutek traktowania kwasem, wydziela się krzemionka galaretowata, przedstawiająca wszystkie reakcye chemiczne kwasu krzemnego, zawartego w krzemianach naturalnych. Dalsze poszukiwania okazały, że krzemionka otrzymana z popiołu jest zupełnie swobodna, z niczém nie połączona. Z faktów tych p. Wilson wnosi, że krzemionka jest *jako taka*, w stanie swobodnym, przez rośliny assymilowaną.

Dla sprawdzenia téj teoryi, dodał Wilson do gruntu zasianego pszenicą pewną ilość mąki mineralnéj (ziemi wymoczkowéj Infusorienerde). Po traktowaniu słomy téj pszenicy kwasem azotnym okazało się pod mikroskopem, że pozostały osad krzemionkowy składa się z krzemiennych pancerzy *okrzemek* (Diatomaceae) tego samego rodzaju co i znajdujące się w mące mineralnéj. Brakło tylko większych tarczek, co do których p. Wilson wnosi, że nie ma ich dlatego, iż nie mogą się zmieścić we włoskowate naczyniach korzeni. Zdumiewający fakt obecności całych tarczek okrzemkowych w słomie dowodzi, że mąka mineralna nie ulega w gruncie żadnemu działaniu chemicznemu, ani też nie rozpada się mechanicznie na drobniejsze cząstki.

Z tego wszystkiego Wilson wnosi, że krzemionka w gruncie jest w ogóle bardzo subtelnie rozdzieloną, tak dalece, że może przejść przez drobne cewki rośliny, a nadto że krzemiany, zarówno naturalne jak i sztuczne, nie mają żadnego znaczenia jako nawozy. Nie mamy bowiem dostatecznych powodów do przypuszczania, żeby wegetacya mogła wydzielić z tak trwałych związków jednę z ich części składowych,—a wiadomo z powyższego, że krzemionka tylko w stanie swobodnym znajduje się w roślinach.

Skład chemiczny jarzyn.

Pan *H. W. Dahlen* oddawna zajmuje się tą kwestyą ważną zarówno dla nauki jak i ze względu ekonomicznego. Wyjmujemy niektóre z wypadków analiz przez niego podanych:

W 100 częściach substancyi świeżéj znajduje się:

	wody,	białka,	tłuszczu,	cukru,	substancyi bezazotowéj,	włókna
Marchew	85,8	0,98	0,16	2,10	8,94	1,10
Rzodkiew czarna	88,13	1,68	0,07	1,76	5,99	1,31
Kalarepa	89,39	1,54	0,08	1,97	4,81	1,23
Cebula	86,66	1 53	0,09	2,25	8,34	0,58
Ogórek	94,17	1,53	0,06	0,79	2,27	0,69
Dynia	88,55	1,35	0,08	1,66	6,30	1,49
Groszek zielony ogrodowy	79,20	5,64	0,44	ślad	12,31	1,79
Szczypiorek	80,83	5,13	0,78	ślad	8,46	2,38
Smardz	90,00	3,14	0,25	—	4,78	0,12
Trufla	70,80	8,01	0.45	—	12,21	6,73

Na zasadzie licznych przez siebie i przez innych dokonanych analiz, pan Dahlen przy końcu swéj rozprawy podaje następujący wykaz wartości pożywnéj rozmaitych przypraw roślinnych:

Stosunki są oznaczane z substancyi suchéj, gdyż ilość wody okazała się bardzo zmienną.

A. Wypustki. Młode wypustki korzeniowe szparagów są ulubioną jarzyną i przyprawą, ale należy je uważać za potrawę zbytkową. Stosunek substancyi pożywnéj równa się 1: 1,6, lecz azot obecny tylko w części w związku białkowym występuje, gdyż wypustki te posiadają znaczny procent asparaginy, związku azotowego niebiałkowego. Jak wszystkie części roślinne tego rodzaju, zawierają dużo, lecz delikatnego i nieinkrustowanego włókna, które nie obciąża trawienia.

B. Jarzyny i Włoszczyzna. Rozmaite gatunki kapusty, są prawie wszystkie bez wyjątku doskonałym, a mianowicie bogatym w białko i kwas fosforny, środkiem pokarmowym. Stosunek substancyi pożywnéj waha się od 1: 1,2 — 1: 1,4. Stosunek ten odnosi się do całéj rośliny, o ile jest używaną na pokarm, t. j. do delikatnych blaszek liści wraz z ich długowłóknistemi żeberkami. Jeżeli podczas przyrządzania usuwają się żeberka, to stosunek powyższy jest jeszcze korzystniejszym. Najbardziéj bogate w białko

są delikatne, małe jak orzech główki kapusty różowéj. Za wyborny środek pożywny należy uważać liście kapusty białéj, stosunkowo bardzo strawnéj. Bardzo pożywne są także liście szpinaku, które obok znacznéj ilości białka, mało mają włókna i dużo pożywnych substancyi mineralnych.

C. Sałata. Jest podobnie jak kapusta bardzo bogata w azot, popioły i kwas fosforny, a więc jest pożytecznym środkiem pokarmowym. Wprawdzie w stanie świeżym zawiera ogromną ilość wody (94%), ale pomimo to nawet w świeżym stanie ilość białka wynosi 2%.

D. Korzenie, bulwy, łodygi podziemne. Cechują się w ogóle małą ilością azotu i kwasu fosfornego, jednakże przy małym procencie włókna, zawierają dużo materyi wyciągowych bezazotowych i dlatego stanowią korzystny środek dodatkowy, równoważący zbyt wielki procent substancyi azotowych w niektórych pokarmach. Ilość wody waha się od 80—94%. Mięsiste korzenie gatunków *Raphanus* (rzodkiew) i *Brassica* (kapusta), odznaczają się stosunkowo większą ilością proteiny (białka) i kwasu fosfornego, wynoszącą do 20 i 21,5% substancyi suchéj, gdy tymczasem korzenie marchwi zawierają tylko 5 — 10% białka. Im te rośliny są starsze, témbardziéj zmniejsza się procent materyi białkowéj, kwasu fosfornego, cukru, tłuszczu i włókna, a powiększa się ilość bezazotowych materyi wyciągowych. Wiele korzeni zawiera materye, mające w swym składzie siarkę, i w skutek tego nadające im pewien szczególny zapach; do takich należą rzodkiew, seler i t. d. Ilość materyi pokarmowych plastycznych w bogatych w mączkę kartoflach, batatach i t. d. jest bardzo mała.

E. Cebule. Podziemne części gatunków rodzaju *Allium* (czosnek), są bardzo używane, ale tylko jako przyprawa nadająca smak. Wszystkie one zawierają w dość znacznéj ilości bardzo lotny oléj, ostrego zapachu, zawierający w swym składzie siarkę (siarek allitu), oraz pewne substancye gorzkie. Cebula zwykła jest dość bogata w materye białkowate i kwas fosforny, a ilość włókna w cebuli wyłuszczonéj jest mała.

F. Owoce, nasiona i okrywy nasion, stanowią najcenniejszy pokarm roślinny, gdyż zawierają wszystkie produkta życia roślinnego, z których się nowy organizm ma utworzyć. Posiadają pomiędzy innemi znaczną ilość ciał białkowatych.

W rodzinie *dyniowatych* (Cucurbitaceae), odróżniamy pod względem pożywności dwie klassy owoców, a mianowicie bogatsze i uboższe w proteinę (białko). Do pierwszéj należą głównie gatunki rodzaju Cucumis (ogórek), dające w pewném stadyum swego

rozwoju pokarm bardzo obfitujący w białko, kwas fosforny i potaż. Stosunek materyi pożywnych jest 1: 1,5. Nadto zawierają one dość dużo cukru gronowego. Uległszy fermentacyi (kiśnieniu), dają pokarm łatwo strawny i smaczny.

Melony są smaczne, bogate w kwas fosforny, zawierają 13% płynnego, żółto-pomarańczowego tłuszczu, a w świeżym stanie dużo wody (95%).

Dynia zawiera mało proteiny i kwasu fosfornego. Stosunek materyałów pożywnych 1: 6 do 1: 8.

Owoce strączkowe zawierają proteiny, mączki, potażu i kwasu fosfornego więcéj aniżeli wszystkie inne materyały pokarmowe rośliny, z wyjątkiem grzybów. Używają się w rozmaitych stadyach rozwoju, już to z łupiną, już bez łupiny.

Z powiększaniem się nasion zwiększa się ilość prawie wszystkich części pożywnych; dlatego też owoce strączkowe dojrzałe są pożywniejsze od niedojrzałych. W miarę dojrzewania nasion, cukier ich zamienia się na mączkę, ilość tłuszczu, włókien i wody się zmniejsza. Stosunek materyi pożywnych w łupinach niedojrzałych, zawierających nasiona waha się pomiędzy 1: 2,3 a 1:3. Zielony bób ma zawierać szkodliwą zdrowiu substancyą „phaseomannit,“ który łatwo jest usunąć przez gotowanie w wodzie. Niedojrzałe nasiona zawierają substancyą słodką (cukier gronowy), w miarę dojrzewania ilość włókna zmniejsza się, proteiny zaś, kwasu fosfornego i mączki powiększa. Nasiona niedojrzałe są smaczniejsze i łatwiéj strawne od dojrzałych. Dla wyzyskania całéj ich pożywności, trzeba do nich dodawać materyałów pokarmowych uboższych w proteinę.

Owoce soczyste, *jagody* zawierają według rozbiorów *Fresenius'a* małą ilość białka, i są tylko cenione z powodu smaczności.

G. Grzyby. Chociaż wielu gatunków grzybów jeść nie można z powodu trujących własności, jednak te z pomiędzy nich, które są jadalne, stanowią bardzo pożywny choć niezbyt strawny pokarm. Zawierają one dużo białka, nawet więcéj niż mięso (pieczarka, smardz, grzyb prawdziwy i t. d.); niektóre tylko jak np. trufla, są uboższe w proteinę. Ilość tłuszczu wynosi 1—3%. Nadto zawierają one pewne ciało pożywne „*fungin*,“ oraz cenne składniki mineralne, a mianowicie kwas fosforny. Wszystkie grzyby są bardzo trudnostrawne.

Wielkość siły odpychania sprawianego przez promieniowanie.

William Crookes w dalszym ciągu swych ważnych badań, dokonał pewnych ciekawych pomiarów, które podaje w wyjątkach z niedrukowanych jeszcze rozpraw.

W pracach pomiarowych posługiwał się instrumentem złożonym z płaskiéj pałeczki z rdzenia bzowego wykrojonéj, poczernionéj do połowy, poziomo zawieszonéj w balonie szklanym na długiéj nitce jedwabnéj. Do pałeczki było przymocowane małe zwierciadełko magnetyczne, a drugi magnes za pomocą którego można czułość apparatu powiększać lub zmniejszać, przez zwracanie ku zwierciadełku jednego lub drugiego bieguna, znajdował sie zewnątrz. Z balonu wypompowywał Crookes powietrze i umieszczał go w skrzyni obitéj wewnątrz czarnym aksamitem i mającéj tylko otwory do wpuszczania promieni. Ruchy pałeczki znaczył promień światła, odbity na skalę oddaloną od apparatu.

Gdy stawiał świecę w rozmaitych odległościach od apparatu, zboczenia pałeczki zmieniały się odpowiednio do odległości, według liczb następujących: Przy 6 stopach odległości zboczenie wynosiło 218°; przy 12 stopach 54°; przy 18 stopach 24.5°; przy 24 stopach 13°; przy 10 stopach 77°; przy 20 stopach 19°; przy 30 stopach 8,5°. Gdy postawił dwie świece obok siebie, działanie było podwójném, zaś od trzech świec, trzy razy większém aniżeli od jednéj.

Jeżeli promienie, nim wpadną w apparat przejdą przez rozmaite substancye, to zboczenie skazówki będzie mniejsze. Jeżeli np. świeca w odległości 3 stóp daje zboczenie 180°, to promienie jéj po przejściu przez szkło żółte, wywołują tylko zboczenie 161°, przez niebieskie 102°, przez zielone 101°, przez czerwone 128°, przez wodę 47° a przez ałun 24°.

Jeżeli po obudwóch stronach apparatu postawimy po jednéj świecy, w równych dokładnie odległościach, to promień znaczący na skali zatrzyma się na podziałce zero; jeżeli z jednéj lub z drugiéj strony zasłonimy świecę, to promień znaczący przebiegnie aż do końca skali. Można więc według Crookes'a używać tego apparatu do porównawczego mierzenia światła. Gdy po jednéj stronie umieścimy świecę, uważaną za normalną, w odległości 48 cali, to skazówka pokazuje zero na skali w następujących razach: 1-o gdy z drugiéj strony działają 2 świece z odległości 67 cali. 2-o jedna

świeca w odległości 6 cali, któréj promienie przechodzą przez roztwór siarczanu miedzi. 3-o jedna świeca w odległości 14 cali, przesyłająca promienie przez ałun. 4-o mały palnik gazowy w odległości 113 cali. Widzimy więc, że można używać jakiegokolwiek źródła światła jako jednostki miary drugiego, a nadto łatwo jest uniknąć szkodliwości wahań natężenia jednostki miary, regulując zawsze światło normalne w ten sposób, aby jedno i to samo zboczenie wywoływało.

Najciekawsze są jednak pomiary *siły mechanicznéj* odpychania sprawianego przez promienie. Przy tych badaniach posługiwał się nadzwyczaj czułym apparatem, umożliwiającym wyrażenie siły mechanicznéj jednéj świecy ułamkiem grana. Jest to waga polegająca na téj saméj zasadzie co i „waga skręcenia“ *Ritschie'go*, opisana w Philosophical Transactions z 1830 r. Bliższych szczegółów jéj budowy Crookes we wspomnianym urywku nie podaje, twierdząc, że nie można ich pojąć bez rysunku, który będzie dodany do rozprawy głównéj, a ogólne objaśnienia jego są tak niedokładne, że nie uważamy za potrzebne podawać ich, gdyż niewiele z nich można zrozumieć. Ograniczymy się więc tylko na określeniu czułości téj wagi. Według Crookesa, nawet jedna milionowa grana położona na szalce, zdolna jest wyprowadzić z równowagi ramię téj wagi. Ważąc na tym przyrządzie siłę mechaniczną świecy o 12 cali oddalonéj, Crookes obrachował, że równa się ciężarowi 0,000444 grana, zaś świecy w sześciocalowéj odległości 0,001772 grana. Na zasadzie prawa, w IV Nr. Ateneum, w artykule o pracach Crookes'a podanego, a powyżéj przytoczonemi faktami stwierdzonego, że wielkość działania mechanicznego światła jest w stosunku odwrotnym do kwadratów z odległości, wypadałoby, że jeżeli w odległości 12 cali działanie jest równe 0,000444 grana, to w odległości 6 cali, czyli dwa razy mniejszéj, powinno być cztery razy większe, a więc równe 0,001776 grana. Powyżéj zaś podaliśmy otrzymaną z obserwacyi liczbę 0,001772, różniącą się tylko o $^4/_{1,000,000}$ grana od liczby teoretycznie wyprowadzonéj. Tak mała różnica pomiędzy teoryą i obserwacyą, zdarza się we wszystkich pracach naukowych i kładzie się na karb niedokładności przyrządów i niedostatecznéj zręczności—warunków, których chyba nigdy do ideału matematycznego nie doprowadzimy. Możemy więc słusznie przyjąć z Crookes'em, że doświadczenie rzeczone sprawdza zupełnie prawo odwrotnego stosunku kwadratów.

Od badań siły mechanicznéj płomienia świecy, przeszedł Crookes do siły słońca. Doświadczenie robił dnia 13 Grudnia, kiedy

słońce było cienkiemi obłokami i mgłą tak przyćmione, że równało się tylko 10,2 świecom w odległości 6 cali. Obliczenie oparte na tych danych okazuje, że ciśnienie słońca na milę kwadratową powierzchni wynosi 2,3 tonn (około 5,000 funtów rossyjskich).

Crookes obiecuje jeszcze podać nowe obserwacye, za pomocą tego przyrządu dokonane, nietylko odnoszące się do fotometryi i odpychania sprawianego przez promieniowanie, ale nawet należące do innych gałęzi wiedzy, w których zastosowanie tak niesłychanie czułego apparatu, każe się spodziewać niemniéj ważnych od powyższych wypadków.

Bronisław Rejchman.

KRYTYKA.

Tragedye Sofoklesa. Przekład Z. Węclewskiego, Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj 1875 *str. XXVII*, 589.

Sofokles, nazywany przez Greków po prostu *tragikiem*, jak Homer *poetą kat'egzochen*, aż do początku XIX stulecia nie doznawał u nas takiego losu, na jaki sobie talentem i znaczeniem wielkiém w rozwoju piśmiennictwa powszechnego rzeczywiście zasłużył. Z wieku XVI, tak słusznie oświatą wsławionego, nie posiadamy wcale wydań dzieł jego w kraju naszym; a o przekładzie na polski toż samo powiedzieć należy.

Wiemy tylko o jedném dziełku Walentego Jakubowskiego „Antigone, tebańska dziewica, wierszem ułożona" (w Krak. 1574), w któréj rzecz cała wzięta, jak zapewnia Juszyński (I, 148), nie z Eurypidesa, ale raczéj z Sofoklesa i gładkim wierszem oddana." Jak się domyślać można z dwu wierszy przez Juszyńskiego przytoczonych, była to przeróbka dramatu na poemat epiczny, który „wiele ma w sobie prawdziwéj poezyi." Ale i ten utwór już za Juszyńskiego do nadzwyczajnych liczący się rzadkości, dziś prawie do mitów należy, kiedy p. Estreicher w spisie książek z XV i XVI, które obecnie w bibliotekach znaleźć można, zupełnie go opuścił, chociaż w części chronologicznéj zamieścił.

W wieku XVII wolano retoryczne tragedye Seneki, które wydawano i tłómaczono, ponieważ napuszoność i błyskotliwość więcéj do wyobraźni ówczesnym ludziom przypadała, niż prostota akcyi i wysłowienia u wieszczów Heliady. Wiek XVIII z jednéj strony zamało się był jeszcze z greczyzną oswoił, a z drugiéj zbyt namiętnie przylgnął do łacińskich i francuzkich wzorów, by zasmakować w tragedyi helleńskiéj.

Tak więc naszemu dopiero stuleciu przypadło w udziale zapoznać się zblizka i dokładnie z tragiczną Greków muzą. Gdyby się prawdą okazało to, co p. Estreicher (I, 396) podaje, że Franciszek Wężyk przetłómaczył *Króla Edypa* Sofoklesa w 1802, to jemu musielibyśmy przyznać palmę pierwszeństwa w sprawie zaznajomienia nas z najznakomitszym tragikiem greckim. Gdy jednak jest to rzeczą niezbyt prawdopodobną, Wężyk bowiem miałby wówczas rok zaledwie siedemnasty, a z notatki p. Estreichera domyślać się nawet wolno, że Edyp ten nie ukazał się w druku, palmę więc ową winniśmy oddać Gottfrydowi Ernestowi Grodkowi, którego wpływ na studentów akademii wileńskiéj i na rozwój studyów klassycznych w ogóle a tragicznych w szczególności miał niezmiernie wielką doniosłość. On to zamianowany professorem języków starożytnych w uniwersytecie wileńskim w 1805, w tymże roku wydaje rozprawkę o scenie w teatrze greckim a w następnym „Filokteta" Sofoklesowego. We trzy lata potém pojawiają się „Trachinki" z dyssertacyą o *thymele* (t. j. o ołtarzu, znajdującym się w środku orchestry) i obszernym kommentarzem. Późniéj nastąpiły rozprawy o parasceniach, hiposceniach, proedryach i t. p. częściach teatru greckiego. I pismem i słowem zachęcał uczniów swoich do studyowania sceny greckiéj; ulubieńcom rozdawał swoje objaśnienia. Dziś jeszcze istnieje w Warszawie własnoręczny rękopism Grodka z kommentarzem do Filokteta. Przedstawiliśmy tu zaledwie drobną cząstkę niezmordowanéj działalności tego zacnego professora, ale z niéj można już wnieść, jak wielkie zasługi położył względem ożywienia a raczéj wprowadzenia u nas studyów nad tragedyą grecką a w szczególności nad Sofoklesem.

Spółcześnie z Grodkiem Euzebiusz Słowacki w rozprawie konkursowéj, napisanéj celem osiągnięcia katedry wymowy i poezyi w akademii wileńskiéj, dał próbki swego tłómaczenia „Elektry" Sofoklesa (1811)

W kilkanaście lat późniéj Tadeusz Eliaszewicz pisze w Dzienniku Wileńskim o czasie, kiedy Sofokles utworzył Edypa Kolonejskiego i wydaje go we własnym przekładzie (1829). W rękopiśmie zostawił także tłómaczenie „Trachinek", którego krótką ocenę podał p. Kaszewski przy swoim przekładzie téj tragedyi dostawszy manuskrypt od p. Kowalewskiego.

W Warszawie ruch na polu badań nad tragedyą grecką objawił się o wiele późniéj niż w Wilnie i daleko mniéj wyraźnemi zaznaczył się ślady. O ile bowiem wiemy dotąd, zaledwie jednę, obszerną wprawdzie, ale zawsze odosobnioną znajdujemy

pracę Augusta Ludwika Wilhelma *Jaco'ba* professora uniwersytetu warszawskiego p. n. „Sophocleae quaestiones“ (1821), gdzie o początku tragedyi greckiéj szeroko się rozpisuje.

Zaledwie się umysły oswoiły z treścią i formą starożytnéj tragedyi w jéj najlepszym przedstawicielu, gdy duch powiał w inną stronę. Zwyciężył romantyzm. Nastąpiło zobojętnienie dla literatury greckiéj przez złość do konwencyonalności francuzkiéj. Co tylko przypominało „klassycyzm,“ *Tros Italusve fuat*, poszło w poniewierkę. Uniwersytety nie mogły obudzać wspomnień helleńskiéj starożytności, bo albo nie istniały, albo wegetowały zaledwie. Obojętność ta i lekceważenie trwały jak dla klassycyzmu w ogóle tak dla tragedyi starożytnéj w szczególności od r. 1830 do 1850. Wprawdzie Słowacki unosił się nad boleścią Elektry, Krasiński przytaczał słowa Antygony, ale publiczność i ogół literatów myślał o czém inném. Wyjątek stanowi niezły przekład Edypa Króla (1845) przez Alfonsa Walickiego w zbiorze, który miał obejmować „Arcydzieła dramatyczne“ a objął tylko 3 utwory, t. j. oprócz Edypa jeszcze Fausta i króla Jana. Samo to odosobnione zjawisko dowodzi wyraźnie, że czas do wskrzeszenia studyów klassycznych nie nadszedł jeszcze. Kto umiał po grecku i cenił starożytnych tragików, w cichości ducha uwielbieniem swojém się cieszył, gdyż ogół prędzéj wierzył Wiszniewskiemu, który twierdził, że „świat Homera i Arystotelesa daleko się odsunął i nie ma *żadnego związku* z epoką Trentowskiego i Mickiewicza“ (Hist. lit. I, 42), a potępiając wszelkie tłómaczenia z łaciny, hypotetycznie tylko o przekładach z greckiego się wyrażał.

Dopiero od r. 1850 datuje się nowa epoka w rozwoju naszych wyobrażeń o poezyi greckiéj. Namiętności romantyczne ukoiły się, a wniknięcie w istotę dziejów piśmiennictwa wykazało wielkie znaczenie doby klassycznéj. Wówczas to w zbiorze pism Wincentego Smacznińskiego wyszedł w Warszawie przekład *Antygony* 1), a w Krakowie p. Antoni Małecki miał swoje piękne odczyty o filologii klassycznéj i jéj encyklopedyi (druk w Krak. 1851), gdzie energicznie zaprotestował przeciw nieuzasadnionym gromom Wiszniewskiego, rzuconym na starożytność klasyczną. P. Małecki stosunkowo znaczną część prelekcyi poświęcił określeniu stanowiska i znaczenia „Estetyki czyli poetyki klassycznéj“ (str. 197—

---

1) Smaczniński zostawił w rękopiśmie przekłady reszty także tragedyi Sofoklesa (M. Łyszkowski: Krótkie wiad. st. 382).

252), gdzie znowu rzecz o cechach tragedyi greckiéj co do różnicy od nowoczesnéj wybitne zajęła miejsce.

Odtąd przekłady greckich tragików i studya nad teatrem starożytnym mnożą się z każdym rokiem. Naokoło Sofoklesa krzątają się głównie pp. Kaszewski i Węclewski; obok nich Małecki i Hugo Wróblewski, którzy Elektrę przełożyli (jeden w 1854, drugi w 1871).

Chronologicznie pierwsze miejsce zajmuje p. Kazimierz Kaszewski, który począwszy od r. 1853 wydał w przekładzie swoim Antygonę, Edypa Króla, Trachinki; obecnie zaś zapowiedziany jest *Filoktet*. Sam pan Węclewski, jakkolwiek surowy sędzia w kwestyi „wierności“ przekladu, przyznał p. Kaszewskiemu, „język jasny, wspaniały i świetny,“ daléj zauważył, że niekiedy dorównywa cudnéj mocy dykcyi Sofoklesa i wyraził nadzieję, że p. K. jaśniéj i wierniéj od innych odtwarzać go będzie, kładąc mu za warunek, żeby rodzajem dykcyi więcéj zbliżał się do pierwowzoru i w stosowniejszą formę przekłady swoje wlewal, gdyż dla zaokrąglenia i pełności wierszy wiele sobie pozwala ozdób zbytecznych 1). Do zalet przez p. Węclewskiego wskazanych dodajmy wiersz gładki i dźwięczny, a jednak jednostajnością nie nużący, daléj szczere przejęcie się pięknem zawartém w tragedyach Sofoklesa, a będziemy mieli powierzchowne przynajmniéj wyobrażenie o rodzaju tłómaczenia p. Kaszewskiego, To co p. W. mówi o potrzebie większego zbliżenia się do pierwowzoru, mianowicie pod względem formy w chórach, jest najzupełniéj usprawiedliwionem wymaganiem, a brak zadośćuczynienia mu sprawia, że przekładów p. K. za doskonałe odwzorowanie tragedyi greckich uważać nie możemy.

P. Zygmunt Węclewski, obecnie professor uniwersytetu lwowskiego, zajmował się z początku Eschilem i wówczas to dając w programie gimnazyalnym „Choefory“ w przekładzie, zrobił przegląd dotychczasowych prac na polu studyów nad literaturą grecką a mianowicie nad tragikami. Było to niejako obudzenie świadomości literackiéj o drodze już przebieżonéj i o trudach już dokonanych. Następnie ogłosił o „Teatrze greckim“ bardzo pięknie a sumiennie napisaną rozprawkę (w Bibl. Warsz. 1859 tom III, 379—398) i wziął się do przekładów Sofoklesa, podając na-

---

1) Zob. Studya w Polsce nad literaturą grecką w czterech przeszłych wiekach i przekłady tragików na na język polski p. Zyg. Węclewskiego (Bibl. Warsz. 1861, tom IV, str. 187).

przód Trachinki w 1859 i porównanie téj tragedyi z Herkulesem Etejskim Seneki, a potém Ajaksa (w Bibl. Warsz. 1865). Przekłady te dokonane były wierszem rymowym, jakkolwiek poprzednio tłómacząc Eschila, p. Węclewski używał go tylko w chórach, dyalogi zaś wierszem białym oddawał. Dlaczego tak robił, objaśnił w słowach następnych: *Nie będąc poetą* i nie mając do tego pretensyi, obawiał się, aby, uganiając się za rymem, nie odstąpił od prawdy i wierności oryginału. „Żem zaś w dyalogach dla słusznych zdaniem mojém powodów tego zaniedbał, a w chórach wiersza użyłem, to dla tegom pracę tę sobie zadał, aby i dla ucha co zrobić przy pewnéj z dawniejszych lat moich nabytéj łatwości. Lubo wiem o tém dobrze, że powszechnie u nas więcéj się gładkie i harmonijne wiersze podobają niż wiernością się odznaczające; wolałem przecież podług sił moich *prawdziwym i wiernym* się okazać i pozostać *ścisłym wierszopisem*, niż fałszywym tłómaczem“ 1).

Tłómacząc jednakże Trachinki i Ajaksa p. W. uległ ówczesnemu naciskowi literatów żądających rymu i postarał się o końcówki, jakkolwiek bardzo słabe. Dopiero obecnie, podając przekład całéj spuścizny tragicznéj po Sofoklesie, wrócił do pierwotnéj metody, oddając dyalogi wierszem rytmicznym, liryczne zaś części tragedyi rymami zdobiąc. Dla ujednostajnienia przekładu przerobił nawet dawniejsze tłómaczenie Trachinek i Ajaksa. Jak się z przedsięwziętego zadania wywiązał, obaczymy niebawem.

Na czele znajdujemy „życie Sofoklesa“ i „o dziełach Sofoklesa.“ Są to bardzo krótkie, ale z wielką znajomością przedmiotu i z wielką krytyką napisane artykuły. P. W. pomijając bajeczne, na fantazyi późniejszych kompilatorów lub objaśniaczów oparte podania, streszcza jedynie to, co według prawideł krytyki dziejowéj za pewne poczytywać wypada. Znaczną część szczegółów tu zawartych pomieścił p. W. już dawniéj w swojéj historyi literatury greckiéj; ale dodał też kilka nowych lub rozszerzył i uzupełnił poprzednie. Życiorys pod względem ściśle biograficznym t. j. względnie do jednostkowéj historyi Sofoklesa, nic niepozostawia do życzenia, chociaż bezwątpienia wolelibyśmy ujrzeć naszego tragika na tle otoczenia, wśród którego żył i działał. W ocenie dzieł jego, których liczbę na 96 przynajmniéj p. W. szacuje, znajdujemy zanadto zwięzłości i tego wyłącznego ograniczenia się do samego Sofoklesa, z bardzo treściwém porówna-

---

1) Studya w Polsce nad literaturą grecką i t. d. (Bibl. Warsz. 1861, tom IV, str. 189, 190).

niem jego stanowiska ze stanowiskiem Eschila a bez wskazówki co do następców, i bez zgłębienia istoty tragedyi greckiéj w porównaniu z nowoczesną. Jest to, że tak powiem, ocena czysto-filologiczna, nie zaś estetyczna. P. W. większą zwraca uwagę na to co Sofokles zrobił pod względem techniki dramatycznéj, aniżeli na to, co wewnętrzną treść utworów jego stanowi; więcéj mówi o porzuceniu trylogicznego sposobu opracowywania mitów, o aktorach i liczbie osób w chórach, o układzie tragedyi i jéj dykcyi, aniżeli o sposobie pojmowania samych mitów, o przekonaniach i dążności Sofoklesa. Co większa, mówiąc o tym ostatnim punkcie pan Węclewski nie uniknął nawet pewnéj z sobą samym sprzeczności. Raz bowiem mówi: „Nie chodzi Sofoklesowi *tyle o mit i o idee religijne i moralne*, za pomocą owego mitu wydać i przedstawić się mające, ile o to, żeby uwagę zwrócić *głównie* na *wewnętrzne usposobienie*, na duszę osób działających i *na akcyą* ztąd bezpośrednio się wywiązującą“ (str. XX). Drugi raz zaś powiada: „W ogóle tak długo tylko walczą bohaterowie Sofoklesowi, aż wolę bogów dokładnie przeznają; potém uchylają głowy i zginają kornie kolana przed niebian wszechmocą. Zaczém tragedya jego *ma głównie i prawie wyłącznie dążność religijną.* (str. XXI). Tych dwu różnych poglądów na dążność Sofoklesa pogodzić z sobą nie możemy; boć jeżeli tragedye jego mają głównie i prawie wyłącznie dążność religijną, to musiało też przecie chodzić głównie a może i wyłącznie *o idee religijne i moralne* za pomocą mitu przedstawić się mające, albo też wprost przeciwnie. Zdaniem naszém wiara we wszechmoc i wszechwiedzę bóstwa, wraz z poszanowaniem wyroczni, widzeń i snów jest jeszcze u Sofoklesa bardzo silna; to też w utworach jego znalazła jak najdobitniejsze uwydatnienie. Każda jego tragedya ma jeden i ten sam sens moralny: że przed potęgą bóstwa korzyć się należy, co nieraz bardzo wyraźnie chór tak w środku jak w końcu utworu wypowiada. Że z temi teologicznemi wyobrażeniami umiał Sofokles połączyć i charasterystykę psychologiczną, chociaż w najgrubszych tylko zarysach, zaprzeczać oczywiście nie myślimy; ale tylko kładziemy nacisk na to, że charakterystyka ta nie jest bynajmniéj głównem zadaniem i celem naszego tragika.

Jeden szczegół bardzo ważny, mający cechować twórczość Sofoklesa, podniósł p. W. dopiero we *wstępie* do Edypa Króla. Mówił już o nim dawniéj w r. 1869 w odczytach publicznych o literaturze i sztuce greckiéj (drukowanych w Tygodn. Illustrowanym). P. W. utrzymuje, że w tragedyi téj jak niemniéj w innych, osoby występujące nie są ofiarami ślepego przeznaczenia,

jeno że sami zaślepieni ściągają *własnowolnie* na się najokropniejszą niedolę i zagładę. (str. 282). Gdyby p. W. dla dowiedzenia swojéj tezy wybrał np. Antygonę, to miałby większe widoki na jéj szczęśliwą obronę, aniżeli w okropnéj historyi nieszczęśliwego Edypa. Jakież bowiem jest dowodzenie p. W.? Oto utrzymuje, że pierwszym błędem, który popełnił Edyp, było udanie się do wyroczni z pytaniem o swoich rodziców, gdy mu Polib i Meropa nie dali zadawalającéj odpowiedzi. Zdaniem p. W. Edyp, gdyby za wychowanie troskliwe, szczerze się był przywiązał do ludzi, których za rodziców poczytywał (Poliba i Meropy), byłby albo zaspokoił się ich objaśnieniem, nawet niedostateczném, albo nalegał na nich częściéj, ażeby mu byli bez ogródki jego pochodzenie wyjawili. Udanie się do Delfów po rozwiązanie zagadki swego pochodzenia poczytuje p. W. Edypowi za postępek „lekkomyślny i *zuchwały*, a nawet bezczelny.“ A kiedy Apollo nie odpowiedział mu wprost na pytanie, tylko oznajmił, że ojca zabije a matkę własną poślubi, p. W. poczytuje za złe Edypowi, że się nie domyślił znaczenia wyroczni i że nie przestał uważać Poliba i Meropy za swoich rodziców. Chcąc bądź co bądź tezę postawioną usprawiedliwić, p. W. nie waha się zabójstwa dokonanego na Lajusie, ojcu, (czego się Edyp ani mógł domyślić) nazywać poprostu mordem; a co więcéj grzech i winę Edypa upatruje w tém, że znając wyrok boski, „nie wstrzymał się od gwałtu w ogóle i od zawierania ślubów małżeńskich“ (str. 285). W ogóle p. W. wszelkiego rodzaju błędy, przewinienia i występki zwala na głowę nieszczęśliwego Edypa, i utrzymuje, że kara, która go w tragedyi spotyka, „nie jest większa i cięższa od przewiny i występków jego“ (str. 292). Nie żałuje barw czarnych na odmalowanie naczelnéj postaci tragedyi, byleby dowieść twierdzenia z góry powziętego.

Jak widzimy, jest to mowa adwokata strony pokrzywdzonéj nie zaś głos bezstronnego sędziego. Mnie się zdaje, że Edyp postąpił sobie zgodnie z ówczesnemi zwyczajami, kiedy się udał do wyroczni po rozwiązanie zagadki, któréj *nie mógł* rozwikłać na drodze zwykłéj, chociaż zrobić to probował. Daléj sądzę, że Edyp nie odebrawszy prostéj odpowiedzi na swoje szczere pytanie, w żaden sposób nie mógł się domyślić, że Polib i Meropa nie są jego rodzicami, nie mając do tego najmniejszéj podstawy; wyraz bowiem „phyteusamenos“ użyty przez dyplomatyczną wyrocznię nie miał dla niego innego znaczenia jedno „pater,“ którego widział w Polibie. Nie zgrzeszył wreszcie Edyp zabijając *we własnéj obronie* Lajusa i jego orszak, a czyn jego w żaden sposób nietylko w owych barbarzyńskich wiekach, ale i dziś nawet

„mordem“ nazwać się nie może. A co się tycze zdania p. W., że Edyp powinien był wstrzymać się od gwałtu i ślubów małżeńskich, to przepis taki mógłby mieć pewne uzasadnione znaczenie w świecie chrześciańskim, kiedy umartwienie ciała jako grzesznéj skorupy ziemskiéj stało się regułą; ale nigdy w świecie helleńskim, gdzie ciało i jego potrzeby poprostu ubóstwiano. Wymaganie postawione przez p. W. równałoby się unicestwieniu ciała w kwiecie wieku, co było dla Hellenów rzeczą wstrętną w wysokim stopniu.

Jeżeli pojęcie p. W. o winie Edypa nie da się usprawiedliwić ze stanowiska etycznego, to niemniéj byłoby niewłaściwém z estetycznego punktu widzenia. Gdyby bowiem Edyp był zbrodniarzem, splamionym licznemi i ciężkiemi występkami, to jakiém prawem poeta mógłby żądać od widza spółczucia dla swojego bohatera? Widz brzydziłby się nim jedynie i ze wstrętem odwracałby się od téj postaci, któraby całkiem zasłużoną odnosiła karę. Stanowisko Edypa byłoby o wiele nawet gorsze od położenia tych przestępnych, których nam nowa szkoła francuzka w powieściach i dramatach przedstawia, gdyż ci mają na swoje usprawiedliwienie nienormalne stosunki społeczne, a bohater Sofoklesa i téj obrony byłby pozbawiony; nie mógłby więc grać naczelnéj roli w tragedyi.

To też Sofokles ani nawet pomyślał o takiém sprzeczém z celami tragedyi przedstawieniu Edypa. Sam pan W. przyznaje, że w dramacie wielbią go wszyscy jako wspaniałomyślnego i roztropnego pana, jako dobrego, łagodnego małżonka, wzorowego króla, który ze wszystkich sił stara się o dobro i ocalenie podwładnych. (286). I tak też uważano go nietylko wówczas, kiedy nic jeszcze nie wiedziano o zabiciu ojca i poślubieniu matki, ale nawet po odsłonieniu tajemnicy. Tylko słowa spółczucia i ubolewania nad nieszczęśliwą dolą biednego Edypa z ust chóru i Kreona wychodzą; co większa, nawet karę, którą zbolały król przez oślepienie siebie własną ręką wymierzył, uważają za zbyt srogą i to mu wyrzucają. A takie zapatrywanie nie jest jedynie środkiem do wzbudzenia litości w widzach, gdyż i późniéj w „Edypie w Kolonie“ też same o tym wypadku powtarzają się sądy. Tak np. mówi Edyp:

Och! nabroiłem, nabroiłem wiele (1),

(1) W oryginale: *Przeniosłem*, o przyjaciele, *przeniosłem* najstraszniejsze nieszczęścia (ennekon, ennekon i t. d.).

Bóg świadkiem *mimowoli*, przyjaciele!
Wżdy nic przez moję winę się nie stało.

Tezeusz mówi do niego:

. . . . a że się lituję
Nad tobą, mam zapytać cię *biedny* Edypie *(dysmoros)*
Jakie przybyłeś zanieść do mnie i do grodu.

I tak wszędzie; Edyp jest biednym, nieszczęśliwym, prześladowanym przez los, ale nigdy występnym.

Nieszczęścia jego można zrozumieć tylko w połączeniu z dziejami całego domu Labdakowego: Edyp cierpi za winy przodków, którzy bogów obrazili. Bogowie są mściwi i nie lubią nieposłusznych, wyniosłych i dumnych; prześladują do trzeciego pokolenia i daléj, dopóki w cierpieniach ludzkich zadosyćuczynienia nie znajdą. W tragedyi „Trachinki" mówi w końcu przzodownik chóru:

I ty dziewico, już nie stój przed grodem,
Gdzie świeże śmierci widziałaś ofiary,
Niedolę wielką, cierpienia bez miary —
Nikt inny, *Zeus sam wszystkiego powodem.*

W tragedyi „Filoktet," mówi bohater nakłoniony przez Heraklesa do udania się pod Troję:

Zdarrcie mi przewóz bez szkody żadnéj,
Tam gdzie mnie wiodą—*los potężny*, rada
Przyjaciół moich i *świata wszechwładny*
Pan, który calą tę sprawę układa.

W „Antygonie" mówi przewodnik chóru do Kreona:

Nie błagaj teraz o nic. Toć *przeznaczonego*
Wyrokiem losu żaden śmiertelnik nie ujdzie.

Nie będziemy przytaczali innych napomknień i wskazówek, które nas utwierdzają w tém przekonaniu, że życie człowieka podług przekonania Sofoklesa, nie tyle zależy od jego postępków, ile od woli bogów i losu (czy ślepego czy nie, rozstrzygać nie ma potrzeby). Ale niepodobna mi nie wskazać losu Filokteta i Heraklesa, którzy cierpią bez żadnéj przyczyny wewnętrznéj, któraby w dramacie była wskazana. Nad jednym z tych bohaterów bo-

gini Hera z prywatnych tylko powodów mogła wywierać zemstę; co do drugiego nawet i ten powód nie istnieje wcale. Obaj nic nie zrobili takiego, coby zasługiwało na karę śmierci, lub długie cierpienia, a jednakże jeden umiera w okropnych cierpieniach, a drugi przez lat dziewięć znosi katusze na bezludnéj wyspie.

P. W. utrzymuje, że Sofokles *bardzo często* w słowach zrozumiałych i nie dwójznacznych (sic) *wiary w przeznaczenie się wypiera* i uczy nas, że bogowie nie podług własnéj *woli i chęci*, lecz podług przepisów i *praw rozumnych a odwiecznych* rządzą światem (str. 284). Na poparcie jednak tego twierdzenia nie przytoczył ani jednego dowodu; a jednak rzecz była bardzo ważna i na szczegółowy rozbiór zasługiwała. My, ze swéj strony przyznajemy się, żeśmy owych „słów zrozumiałych i nie dwuznacznych“ dopatrzyć się nie mogli. Samo pojęcie „Aty“ często występującéj w tragedyach Sofoklesa, która zsyła zaślepienie i nieszczęścia na śmiertelnych, jest zdaniem naszém, dowodem stanowczym przeciw owym prawom stałym a odwiecznym, któremi się mają kierować bogowie Sofoklesa. „Dike“ zaś pilnuje tylko sprawiedliwości ziemskiéj.

Na pojęcie roli *chóru* w dramatach Sofoklesa, które pan W. *à propos Edypa* króla bliżéj określił, w części tylko zgodzić się można. Z powodu jednéj sceny (Stasimon I w. 456—497) powiada p. W. „I tu, jak częściéj, chór nie jest tłómaczem myśli i uczuć poety i nie to ogłasza, co poeta za prawdę uznaje; lecz wyraża raczéj opinią ludu i zasługuje tyle na wiarę, ile znane przysłowie: „Vox populi, vox dei“ (str. 288). Prawdą jest, że pojedynczy chór w jednéj scenie nie wypowiada *całéj* myśli poety, gdyż to nie byłoby zgodne ze stopniowym rozwojem dramatu i zawcześnie odkrywałoby jego rozwiązanie, ale przyznać musimy, że chór w *całości* może być uważany za reprezentanta myśli tragika, gdyż zawsze zajmuje najbardziéj przedmiotowe, najbezstronniejsze stanowisko. W niektórych scenach jest wahający się, lub też po kolei, to jednéj, to drugiéj strony sprawę bierze w obronę, bo tak wymagają okoliczności, którym i sam poeta musiałby uledz, gdyby się przypatrywał cudzym sprawom a nie własnéj kreacyi; ale w całości zawsze głosuje za tym, który jest reprezentantem idei dodatniéj, jaką autor w dramacie przeprowadzić się starał W niektórych nawet tragedyach chór przez cały ich przebieg silnie stoi po stronie słuszność za sobą mającéj, np. w „Elektrze.“ Tak jest, chór w tragedyach Sofoklesa jest widzem nienamiętnym, niepodlegającym tym wzruszeniom, które się w sercach osób głównych dramatu budzą gwałtownie i odbierają im potrzebną w ży-

ciowych sprawach jasność i trzeźwość umysłu i wynikającą ztąd słuszność sądu.

To jest mniéj więcéj wszystko, co o wewnętrznéj stronie dramatów Sofoklesa p. W. powiedział szczegółowo; ogólniki bowiem, które pomieścił w streszczonym dzieł jego rozbiorze, właśnie z powodu swéj ogólności nie nadają się do analizy; można na nie się zgodzić w większéj części wypadków, gdyż bardzo słabo malują właściwości Sofoklesa i do każdego dobrego dramatu z jednakową słusznością zastosować się dadzą.

Przechodzimy do samego przekładu.

Jak już wspomniałem, p. W. tłómaczy dyalogi i opowiadania wierszem rytmicznym, chóry zaś i rozmowy liryczne (tak zwane śpiewy *ἀπο σκηνῆς*, komosy, komatia), wierszami rymowemi rozmaitéj miary. Oba te sposoby przekładu rozważać będziemy oddzielnie, gdyż ich charakter jest cokolwiek odmienny.

Wiersz rytmiczny dyalogów i opowiadań we wszystkich tragedyach jest trzynastozgłoskowy, jambiczny. Jamby jednak p. W. nie są oczywiście zupełnie czyste lecz pomieszane z daktylami, a co większa, bardzo często jeden wiersz ma rytm jambiczny a drugi trochaiczny. Wykazywano już po kilkakroć, że można u nas pisać wierszem jambicznym z zupełną prawidłowością; najobszerniéj o tém traktuje p. L. Jenike, w rozprawie swojéj „O znaczeniu rytmu w poezyi a mianowicie o rytmiczności języka polskiego.“ (Warsz. 1865). Nie będę więc powtarzał argumentów dawno już przytoczonych, a chociaż odzywały się głosy wprost przeciwne, jednakże i one świadczyły nietyle o niemożności, ile o trudności pisania dobremi jambami. P. W. usiłował co prawda utrzymać rytm jambiczny; ale nie przyłożył dostatecznego starania, ażeby go systematycznie w tłómaczeniu przeprowadzić. Oto mała próbka z „Ajasa:“

Mężowie drodzy! naprzód doniosę wam o tém,
Że Teukros właśnie z Mizyi skalistéj powrócił;
A gdy do szatry średniéj wodzów się przybliżał,
Wszyscy lżyli pospołu Argeowie jego:
Bo skoro idącego spostrzegli opodal,
Dokoła obstąpiwszy *się naigrawali*.
Ze wszech stron bez wyjątku wszyscy, zowiąc bratem
Szaleńca, *co na* swoich czyha; że nikt przeto
Kamieńmi jego utłuc na miazgę nie broni.
W końcu do tego przyszło, że miecze w ich ręku
Dobyte z pochew błysły. Kiedy już waśń miała

Dojść do ostateczności, starców ją uśmierza
Głos zgodny. Lecz gdzie Ajas, by mu to obwieścić?
Boć o wypadku każdym pan powinien wiedzieć.

Wiersze podkreślone z początku są miary trochaicznéj (z daktylami tu i owdzie); wiersze w środku podkreślone są tego rodzaju, że w nich dwie nieakcentowane zgłoski uważają się za jednę akcentowaną. Na 14 więc wierszy ogółem znajdujemy siedem nieprawidłowo zbudowanych. Nie jestto cyfra przeciętna, są bowiem ustępy, przedstawiające gorszy stosunek np. w Ajasie w 1—34, 50—72, 265—312, 695—730 i t. p.; w Trachinkach w. 130 — 164, 656—706 i t. p. We wszystkich tragedyach znajdują się ustępy, w których wiersz trochaiczny niemal mienia się z jambicznym. Ale są też i takie, gdzie rzadziéj się one spotykają. Ażeby dać poznać, jaką różnicę poczuje ucho, gdy mniéj więcéj prawidłowe następują szeregi, przytoczymy choć najkrótszy ustęp (z Króla Edypa w. 400—420).

Choć rządzisz, mnie należy przyznać równe prawo
Do słowa; pod tym względem jestem sobie panem.
Bo nie twoim ja sługą, jeno Loksyasza
I wcale mi nie trzeba opieki Kreona.
Więc mówię ci, bo lżysz mię z powodu ślepoty,
Masz oczy a nie widzisz, w jakim grzęźniesz grzechu;
Nie widzisz, gdzie przebywasz, ani z kim przestajesz.
Wieszli zkąd ród wywodzisz? Nie, nie wiedząc o tém
Na ziemi i pod ziemią swoich wrogiem jesteś
I strasznie krocząc, klątwa podwójna rodzica
I matki przegna z kraju ciebie, który teraz
Blask widzisz dnia a potém zoczysz pomrok nocy.
Po któréjże przystani, gdzież po Kiteronie
Niebawem nie rozlegnie się twoje biadanie,
Gdy poznasz, żeś po szczęsnéj podróży zawinął
Do portu małżeńskiego, zgubnego dla domu?
Nie widzisz też klęsk innych strasznych, co się hukiem
Na ciebie i na dzieci twe zarówno walą;
Więc miotaj na Kreona i na mój dar wieszczy
Obelgi! Wiedz jednakże, że nie masz człowieka,
Któryby nędzniéj niż ty kiedyś dni dokonał.

Takich ustępów, w których zrzadka tylko zadźwięczy jakiś ton nieharmonijny, dużo jest mianowicie w Edypie Królu, w An-

tygonie i Elektrze, Dla przykładu wskażemy przynajmniéj miejsc kilka: w Edypie Królu: w. 696 --713, 759 — 790, 1208—1255, 1326—1373; w Antygonie w. 153—201, 837—874, 1123 — 1174; a szczególniéj w krótkich dyalogach, któreby tu długo było wymieniać po szczególe; w Elektrze: w. 1—76, 86—117, 947—990 i t. d.

Już z tego krótkiego zestawienia możemy się dowodnie przekonać, że pisanie wierszem jambicznym nie przedstawia nieprzełamanych trudności; że potrzeba tylko pracy i wytrwałości, ażeby w języku naszym oddać choćby przybliżonym tylko sposobem charakterystyczną stronę zewnętrzną wiersza tragedyi Sofoklesa. Niekiedy nawet dość przestawić wyrazy, ażeby z niepoprawnego uczynić poprawny wiersz jambiczny. Tak np. wiersz początkowy w Ajasie, który u p. W-go brzmi:

Zawsze, Laerta synu, widzę cię jak wrogów i t. d.

może być zamieniony na czysto jambiczny w sposób bardzo łatwy, bo w skutek przestawienia wyrazów:

Laerta synu! zawsze widzę cię jak wrogów i t. d.

W innych miejscach trzeba szukać wyrażeń odpowiednich i zestawień wyrazowych, ażeby pożądaną rytmiczność zachować. Trud jednakże opłaca się zawsze, bo uczynienie zadość estetycznym wymaganiom formy w przekładach poetów, jest rzeczą warunkującą ich piękność.

Brak atoli zachowania prawideł rytmiczności w wierszach miarowych mniéj nas razi, aniżeli słabe wierszowanie, potrzebujące ciągłych podpórek, ażeby nie już płynąć, ale leźć mogło. Wiersz bowiem miarowy pomimo prób tylokrotnych, jeszcze dotychczas obcy jest uchu zwykłego czytelnika, który o rytmiczności w poezyi niewiele zasłyszał. Wiersz rymowy przeciwnie, będąc potrawą niemal codzienną, jest zrozumiały (co do swéj formy) uchu najpospolitszemu; każdy też z łatwością jeżeli nie myślą zanalizuje, to uchem odczuje nieprawidłowość jego budowy, albo trudności jego porodu.

Te cechy ujemne charakteryzują rymowe ustępy w przekładach p. Węclewskiego. P. W. sam wyznał, jakeśmy to słyszeli poprzednio, że *poetą nie jest;* a jakkolwiek ma wprawę w wersyfikacyi, jednakże wprawa ta nie doszła do stopnia łatwości. To téż w „zawiązywaniu wierszom ogonów“ czuć na każdym kroku wysilek, który do sprawienia estetycznych wrażeń wcale się nie

przyczynia. Weźmy parę przykładów. Oto np. antystrofa ze *Stasimon* w Trachinkach, w. 494—507:

Potok gwałtowny, kształt byka
Wziąwszy o wyniosłych rogach
Acheloj z Ojniad, na nogach
Czterech na plac się pomyka.
Z Teb Bakchosowych przybywa
Zeusa potomek, gach drugi:
Łuk sprężny na plecach spoczywa
A sam potrząsa maczugi
I włóczni drzewcem. Na środku
Zwarli się tedy, by przodku
Nie dać drugiemu, *gdyż ręki*
Księżny ich podżega żądza
A Cyprys *darząca wdzięki*
Małżeństwu sama, rozsądza.

W tych wierszach widzimy naprzód nienaturalny porządek wyrazów: podmiot w pierwszém zdaniu głównėm *Acheloj z Ojniad* znajduje się dopiero w 3-cim wierszu (jak w oryginale); orzeczenie zdania skróconego *wziąwszy* postawione po dopełnieniu a określenie *czterech* oddzielone od rzeczownika *na nogach* i t. d., a wszystko to gwoli wymęczonemu rymowi, który jest słaby (rogach—nogach, przybywa—spoczywa). Powtóre, wikła się składnia, w tych wyrazach, gdyż frazesowi *ręki księżny ich podżega żądza*, wiele brakuje do zupełnéj jasności i poprawności. Estetyczne wrażenie ostatecznie po zmęczeniu, spowodowaném rozwikływaniem trudności, nie może być inne tylko bardzo niemiłe.

Jakże inaczéj ustęp ten przedstawia się w przekładzie pana Kaszewskiego:

Acheloj tam z Eniady gór,
Burzliwy potok, *pierwszy gach*,
Przedstawił się jak srogi tur,
A rogi groźne miał *aż strach!*
Z Teb, gdzie przed laty mieszkał Bach,
Przybywa *drugi znowu gach*,
Syn Zeusa pełen męzkich cnot,
Zbrojny w maczugę, łuk i grot.
Każdy jednaką żądzę żywi,
Obaj zarówno walki chciwi;

I Afrodyte *pięknolica*
W szrankach *bojowy szał podsyca.*

Wiersz piękny, łatwy, dźwięczny, zrozumiały i jasny każdemu bez trudu uprzytomni w umyśle walkę spółzalotników o piękną Dejanirę! Ale z drugiéj strony są w tém tłómaczeniu braki innego rodzaju, a mianowicie *dodatki* złożone z wyrazów i wyrażeń których u Sofoklesa nie ma, *niewierność* w oddaniu niektórych myśli poety; a z tych największą jest zdanie, że Afrodyte (nie *pięknolica* ale *eulektros*) podsyca szał bojowy, gdy u Sofoklesa ona tylko jest *sędzią walki* (rhabdonomej). Są i u p. Węclewskiego piękniejsze ustępy mianowicie w Edypie Królu i w Antygonie, ale i one nie mogą zupełnie nas zadowolić. Przytoczę dla próbki jeden z najmniéj wykrzywionych, w. 646—655:

Nie, na Heliosa boga
Z wszystkich bogów *najpierwszego,*
Niech mię śmierć zabierze sroga
U bóstw, ludzi *wzgardzonego*,
Jeślim myślał o tém kiedy!
Lecz widok, jak kraj wymiera
Biedny, serce mi rozdziera
Więcéj wżdy to *przypuszczenie*,
Że może świeże *cierpienie*
Przystąpić do dawnéj biedy!

Pomijając małe przekładnie i słabe rymowanie, nie męczymy się tu przynajmniéj odgadywaniem arabesków stylowych. Summując atoli ogół wrażeń, jakie odnosimy z czytania ustępów rymowanych, musimy wyznać, że liczba niesmacznych przewyższa o wiele cyfrę udatnych lub przynajmniéj znośnych. Stosunek więc, jaki zaznaczyliśmy poprzednio co do wierszy rytmicznych, tutaj zmienia się na niekorzyść.

Zarówno ustępy rytmiczne jak i rymowane odznacza jeszcze parę innych właściwości, które tu wymienić uważamy za potrzebne. A więc przedewszystkiém dla załatania dziur w rytmie czy w rymie, p. W. musiał używać dłuższych form zaimków osobowych po czasownikach, zamiast krótszych. Wiadomo bowiem, że po czasownikach kładą się dłuższe formy wtedy tylko, gdy chcemy wyrazić przeciwstawienie. U p. W. zdarza się to głównie z zaimkami *jego*, *jemu* zam. go, *mu*, np. Gdyby miał rozum, *jemu* nie schodziłbym z drogi (str. 16). Nikt kamieńmi *jego* utłuc na miazgę

nie broni (str. 39). W namiocie zatrzymał Ajasa i wypuścić *jego* się nie ważył — bo prześladuje *jego* w dniu tym jeszcze tylko (str. 40) i t. d.

Co się tu rzekło o dłuższych formach zaimków osobowych, można również zastosować do samych zaimków, które jedynie dla rytmu lub rymu zostały wstawione np.

Przecz na głos sojuszniczki tak mało *ty* zważasz (str. 17).

Podobnież rzec należy o takich formach jak: *jaką-że, którą-że chcą-że* i t. p., które się często napotykają; i naodwrót takie formy skrócone jak: *jakiejż, jakimż, takichż, którymż*, wywołane jedynie potrzebą rytmu.

Daléj musimy zauważyć, że p. W. stara się nadać swym wierszom tok staropolski i w tym celu wprowadza kilkanaście wyrazów archaicznych, dziwnie je z neologizmami mieszając. W zasadzie nie mamy prawie nic przeciw takiéj metodzie postępowania; ale gdy się napotykają wyrazy, które bez słownika zrozumieć się nie dadzą, to nie możemy doprawdy odgadnąć, jaki jest cel wznawiania ich w utworach poetycznych. Nie przybliżymy się przez nie do dykcyi Sofoklesowéj i nie scharakteryzujemy téj mowy tragicznéj, którą się posługiwał; bo co niezrozumiałe, to niewiele nauczyć nas może. A tak się rzecz ma z wielu wyrazami i formami w przekładach pana W. Oto próbki: wniki, kona (dokonywa), żonął, kryg, niejednéj *faryny*, kuczy, przewód, szurzy, obacznie, krzykwa, chwatki, aby wam było mnie *lito;* zyszcząc, weszcznie, wydupniały, iszczy, szczezłaby, oblicznie, ptaszowieszczba, obacznie, zgrążony, uczyńca, rumienne, pychalec, wywiadać, podoba (podobieństwo). P. W. ze świadomością robi te innowacye i nieraz zwraca na nie uwagę czytelników w objaśnieniach; usiłowania jednak jego we większéj części wypadków uważamy za chybione, gdyż niezmiernie trudno jest wrócić życie dawno umarłemu wyrazowi, a tymczasem czytelnik, żądny wrażeń estetycznych, spotykając się z językowemi cierniami, zniechęca się do czytania. Jak w wszystkiém tak i w restaurowaniu języka starożytnego miarę zachować należy, jeżeli powodzenie ma uwieńczyć usiłowania nasze.

Wreszcie wspomnieć winniśmy o kilku całkiem nieharmonijnych wierszach i wyrażeniach, nieodpowiadających poważnemu tragedyi tokowi. Na str. 350 czytamy taki wiersz:

Z rąk własnych. *Lecz czém czyn ten* największy ból sprawia.

Na str. 382 znów taki:

Więc zdarzcie boginie,
Jak wyrok brzmi Fojbosa, koniec jaki życia
Mi już i wybawienie i t. d.

Na str. 390:

Gród przodków zamieszkuje; a pobiegł by wezwać
Go tu ten sam stróż, który *mnie też tu* wyprawił.

Takież same znajdują się w Edypie w Kolonie w. 855, 873 i 874, 1489; w Elektrze w. 1207 i inne.

Dykcya p. W. jest w ogóle bardzo poprawna, ale rzadko kiedy poetyczna. Wiemy, że u Sofoklesa zbytecznych ozdób niema; ale jego wyrażenia cechuje prawdziwie poetyczna prostota, która rzadko kiedy się ukazuje w przekładach p. W. Dosyć jednak na tém, że wyrażenia p. W. nie są niestosowne. Niewłaściwe wyrażenia są istotnie bardzo nieliczne, ale rażące. I tak na str. 120 Hilos odzywa się z powodu odejścia matki swojéj:

Won! Szczęść Boże! Radością, którą ojcu memu,
Sprawiła, niechaj sama także się obłowi!

Oryginał do tak nieestetycznego wyrażenia wcale nie upoważniał, bo tam czytamy: Niechże odejdzie, ciesząc się (all'herpeto chajrusa), a p. Kaszewski bardzo dobrze przetłómaczył:

Nie; niech idzie w pokoju i wielce szczęśliwa,
Rozkosz zrządzoną ojcu niech zdrowo spożywa.

Podobnież niestosowne są wyrażenia: *bzdurny* (str. 397), *bryka* i t. p Niepodobna również pochwalić następnego wyrażenia w chórze:

Ciemięzców rodzi pycha. Kiedy pycha
Głupia, zbyt wiele *nabroiwszy licha*,
Wbrew prawu i bez zysku się przesili i t. d.

Lepiéj to oddał Alfons Walicki:

Tyranów duma płodzi.
Duma, gdy w oślepieniu zbytkiem się przesyci
Niewczesnym i szkodliwym, gdy szczytu dochodzi i t. d.

Niepoetycznem i nie w miejscu jest wyrażenie *rościć sobie pretensyą*, które będąc bardzo późnego pochodzenia, nie odpowiada

prostocie Tezeusza, który je wygłasza. Inne, mniéj rażące błędy pomijamy, bo i tak zadługo może nad ujemną zastanawiamy się stroną. Jeżeli przekłady p. W. pod względem formy nie zupełnie nas zadowoliły, to natomiast musimy im przyznać całkowite uznanie co do oddania wewnętrznéj treści. P. W. jest wiernym tłómaczem myśli Sofoklesa, aż do najmniejszych drobnostek. Odstąpienia od textu nigdzie mu wykazać niepodobna; a jeżeliby zajść mogły pewne spory co do znaczenia tych lub owych ustępów, to jedynie na podstawie waryantów. P. W. oprócz przekładu miał jeszcze w niektórych razach pracę wielką poprawiania textu, co zawsze z sumiennością krytyka w objaśnieniach wskazuje. Przekłady p. W. przedstawiają nam tragedye greckie takiemi, jak je mamy w greckim oryginale. P W. wskazuje podział starożytnych na parodos, epizodya, stasima, exodos, ze wszystkiemi zmianami i odcieniami, jakie cechują dramat starożytny. Kto nie może studyować greckiego oryginału, dla tego przekład p. W. będzie dostateczną wskazówką tak układu całości jak i pojedynczych części Sofoklesa, wraz z dokładném, fotograficzném niemal oddaniem jego pomysłów i zdań. Prawda, że wtajemniczenie się w te szczegóły nie przyjdzie mu łatwo i gładko: ale też trzeba sobie raz to otwarcie powiedzieć, że czytanie arcydzieł starożytnych, wymaga pracy i mozołu, gdyż chcąc je zrozumieć, potrzeba się pozbyć dzisiejszych wymagań a po części kaprysów, potrzeba wniknąć w sposób życia i myślenia starożytnych — a tego bez trudu nikt pozyskać nie potrafi.

Niewierności więc nie możemy wytknąć p. W. Zwrócilibyśmy tylko jego uwagę, że nie oddaje myśli Sofoklesa następujące odezwanie się chóru do Edypa, który sobie oczy wyłupił:

Jak śmiałeś, *niegodziwcze!* takiego kalectwa
Szpetnego się nabawić?

Jest to wyskok chóru niczém nie dający się usprawiedliwić; dopiero co bowiem ze spółczuciem odzywał się do niego, szczerze nad nim się litując. W oryginale zaś czytamy:

Ὦ δεινὰ δράσας, πῶς ἔτλης τοιαῦτα σὰς
ὄψεις μαρᾶναι;

t. j. dosłownie: O ty, coś zdziałał rzeczy okropne, jak mogłeś tak oczy swe zniszczyć? To A. Walicki tak oddał:

Okropny czyn! jak mogłeś *własną ręką*
Oczy swe skalać!

Mowa chóru jest łagodna i spółczucia pełna, i wymówek w tak gwałtownych słowach, jak p. W. przetłómaczył nie wyraża bynajmniéj.

Ale bądź co bądź, takie niewierności są nader nieliczne, a raczéj prawie wcale ich nie ma, i nie wahamy się powtórzyć, że przekłady p. W. są *wierném odbiciem utworów Sofoklesowych* pod względem wewnętrznym.

Przed każdą z 7 tragedyi mieści się *wstęp*, w którym p. W. podaje szczegółową treść sztuki, objaśniając zarazem, kto treść podobną wziął przed lub po Sofoklesie za przedmiot dramatycznego opracowania. Daléj wspomina o czasie pierwszego wystawienia sztuki, o podziale ról pomiędzy trzech aktorów. Rozbiór krótki charakterów wchodzących do sztuki i wskazanie dążności poety wchodzi również w skład tych wstępów. Słowem zawiera się w nich wszystko, co do należytego zrozumienia *całości tragedyi* jest niezbędném. W objaśnieniach natomiast znajdujących się na końcu książki (str. 537—589), a odnoszących się również do każdéj tragedyi z osobna, pomieścił p. W. wszystko, co w szczegółowych wyrażeniach czy pojęciach, napotykanych w danym utworze, wymaga bliższego określenia dla człowieka nie obznajmionego ze szczegółami mitologii, geografii, religii, obrzędów i t. p. starożytnych Greków. Zbiór ten uwag usuwa wszelkie trudności, jakieby w zrozumieniu *szczegółów* utworu mógł napotykać czytelnik.

Wstęp wreszcie do „Dziewic Trachińskich" tém się różni od innych, że w nim spotykamy szczegółowe porównanie utworu Sofoklesowego z retoryczną tragedyą Seneki: Herkules Oetaeus, co jak już wiemy, stanowiło w r. 1859 przedmiot osobnego artykułu p. Węclewskiego.

Rzuciwszy teraz okiem na ogół tego, com dotąd powiedział, możemy oznaczyć stanowisko, jakie książka p. W. w piśmiennictwie naszém zająć może. P. W. od lat kilkunastu z zamiłowaniem pracuje nad przyswojeniem tragików greckich językowi naszemu. Wydawał pojedynczo, lub umieszczał w pismach peryodycznych niektóre utwory Eschyla, Sofoklesa i Eurypidesa. Obecnie dzięki hojności p. Działyńskiego przedsięwziął wydawnictwo, w którém mają się ukazać tragicy greccy w całkowitym przekładzie. Tom 1-szy zajmują tragedye Eschyla; tom 2-gi, który był przedmiotem niniejszego rozbioru, zawiera tragedye Sofoklesa. Przekład ich jest w wysokim stopniu wierny tak pod względem rozkładu jak co do

przedstawienia wewnętrznéj treści i słów greckiego poety. Ta zaleta wierności nadaje tłómaczeniom p. W. zaletę i znaczenie *filologiczne;* pod względem filologicznym a raczéj językowym i treściowym nic im niepodobna zarzucić. Są to więc przedewszystkiém przekłady wielce użyteczne zarówno dla młodzieży szkolnéj, jak dla tych oświeceńszych, którzy z powodu nieznajomości greczyzny, musieli się dotychczas uciekać do tłómaczeń w obcych językach, jeżeli chcieli poznać utwory poetów greckich. Dziś potrzeba ta znikła; każdy kto chce, może studyować greckich tragików w języku polskim. Przysługa więc, którą p. W. oddał piśmiennictwu naszemu, jest wielkiéj doniosłości; winniśmy mu uwolnienie od haraczu, który potrzeba nam było płacić piśmiennictwom obcym. Téj zasługi nikt mu nie odmówi, a za jéj trwałość dalekie pokolenia ręczyć mogą.

Atoli obok przekładów filologicznych potrzebne są tak dla massy publiczności, która niezbyt chętnie łamie się z trudnościami, a jednakże chciałaby się zapoznać ze spuścizną starożytności, jak niemniéj dla wzbogacenia literatury prawdziwie pięknemi (nietylko wiernemi) przekładami arcydzieł — potrzebne są, powiadam tłómaczenia *estetyczne*. Nie wątpimy, że przekłady p. W. obudzą przedewszystkiém studya nad estetyczną wartością utworów Sofoklesa, że zatém luka, któréj zapełnienie nie leżało zapewne w zamiarach p. W., zostanie usunięta przez prace nad znaczeniem i doniosłością tak pojedynczych tragedyi jak ich całością. A kiedy się już dostatecznie wyjaśnią pojęcia pod tym względem, znajdą się może chętni pracownicy, którzy obok wierności postarają się o piękno w przekładach. Z dotychczasowych tłómaczeń Sofoklesa najwięcéj odpowiadają warunkom estetycznym prace p. Kaszewskiego. Nie oddają jednakże one piękności Sofoklesowych kreacyi, gdyż zbyt często pozostając pięknemi, oddalają się od konieczném w przekładach wierności. Mianowicie misterne chóry, odznaczając się rozmaitością stosownie do treści opiewanéj, zbyt jednostajnie u p. K. się przedstawiają. Powtóre, nie ma u p. K. odróżnienia składowych części tragedyi greckiéj, scena następuje po scenie bez żadnych większych podziałów, co może dać fałszywe wyobrażenie o budowie dramatu starożytnego. Potrzecie, p. K., jak zauważył już p. W., szafuje kwiatami, gdy tymczasem styl poetyczny Sofoklesa, jakkolwiek odpowiadający w zupełności wymaganiom estetycznym, cechuje wielka prostota. P. K., który już większą połowę utworów Sofoklesa na język nasz przełożył, mógłby się podjąć pracy dopełnienia ich i przeróbki dawniejszych; a zostawiłby

piękną pamiątkę w literaturze — pamiątkę estetycznego przekładu Sofoklesa.

Tymczasem zaś, dopóki do tego nie przyjdzie, winniśmy wyrazić panu Węclewskiemu wdzięczność za przekład *staranny i wierny.*

P. Chmielowski.

Modlitwy Wacława, zabytek języka polskiego z wieku XV, odkryty i skopiowany przez ś. p. Alexandra hr. Przezdzieckiego. Wydał i objaśnił Lucyan Malinowski, dr. filozofii (osobne odbicie z „Pamiętnika Akademii umiejętności w Krakowie). W Krakowie 1875.

Dla poznania i nakreślenia procesu stopniowych zmian, jakim ulegał każdy język w ciągu życiowego swego rozwoju, cenny zawsze nabytek stanowić będą wydania krytyczne wszelkich zabytków języka z ubiegłych stuleci, jako też naukowe ich opracowania, polegające na dokładném przedstawieniu i umiejętném objaśnieniu właściwości języka każdego z tych pomników. Dla literatury lingwistycznéj polskiéj prace podobne są wielce pożądane i ważne. Jako zarysy bowiem pojedyncze, jako wiadomości o stanie języka w oddzielnych epokach jego rozwoju—pomijając inne dla nauki korzyści—dostarczają historykowi języka najniezbędniejszéj pomocy, przy któréj jedynie możliwe jest wykonanie tak trudnego zadania, jak złożenie całości obrazu rozwoju języka polskiego, czyli nakreślenie jego historyi.

Przyczynkiem rzetelnym do dziejów języka polskiego, mianowicie z epoki jego rozwoju w wieku XV, jest ostatnie dzieło pana Malinowskiego „Modlitwy Wacława." Autor opracował w nim naukowo jeden z pomników naszego języka z wieku XV, odkryty w 1870 r. przez Alexandra hr. Przezdzieckiego w Peszcie, w tamecznéj bibliotece uniwersyteckiéj i skopiowany częścią przez samego odkrywcę (kartek 60), częścią zaś przez zamówionego kaligrafa węgierskiéj akademii umiejętności.

Na początku swéj pracy, po krótkiéj przedmowie pan M. daje „opisanie rękopismu pod względem paleograficznym," z czego, między innemi, dowiadujemy się, że rękopis cały składa się ze 146 kart numerowanych, pergaminowych, w formie szesnastki, pismo ich gotyckie wyrobione, wskazujące wiek XV. Następnie wykazuje autor „treść wewnętrzną Modlitw Wacława." W celu oznaczenia jéj treści p. M. zadał sobie nader mozolną pracę zestawiania

i porównywania „Modlitw" zabytku z modlitwami brewiarza (Breviarium romanum) i psalmami. Drogą tych drobiazgowych poszukiwań, zaznaczając porządkiem stron wszelkie różnice w obu textach (str. 3—5), doszedł autor, że treść „Modlitw Wacława," jedną pisanych ręką, złożona jest z trzech części, z których każda stanowi odrębną, zamkniętą w sobie całość; a mianowicie, część I-a godzinki, tłómaczone z brewiarza; 2-ga, modlitwy o św. Annie; 3-a, godziny o aniele stróżu (o wlosznym angele), i one to zamykają rękopis słowami: Dokonaly się godziny o wlosznym angele przes pyszarza Waczlawa ubogego Waczlawa Finis (kodexu str. 146 verso). Te ostatnie słowa dały powód do nadania całemu zabytkowi tytułu „*Modlitwy Wacława*." W rozdziale 3-im swéj pracy, zatytułowanym: „Stosunek wzajemny pojedynczych części, oznaczenie wieku pomnika" (str. 5—8), na zasadzie porównań tak co do pisowni, jak i języka tych trzech części ze sobą, oraz z językiem Psałterza floryańskiego (pomnik z wieku XV) i zestawienia tychże przekładów z oryginałem łacińskim Vulgaty, wnosi autor, że część druga „Modlitw Wacława" jest późniejszą od części 1-éj i 3-éj. Wskutek czego, tudzież na zasadzie innych trafnych postrzeżeń robi bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że zabytek nasz jest kopią już gotowych trzech polskich modlitewników. Czas zaś, w którym przepisany został ów rękopis, odnosi autor do drugiéj połowy wieku XV-go, zgodnie ze zdaniem ś. p. prof. Sucheckiego, dodając, że oryginały, których jest kopią, zwłaszcza psalmy części pierwszéj i trzeciéj, mogły sięgać nawet XIV-go stulecia.

Po tych wiadomościach, które zapoznają nas z treścią pomnika i wypełniają część pierwszą pracy autora, następuje nierównie obszerniejsza i pod względem naukowym ważniejsza część druga pod nagłówkiem „Rozbiór gramatyczny Modlitw Wacława" (str. 9—47), W części 3-éj mieści się sam text zabytku, przedrukowany wiernie z rękopisu z dokładném oznaczeniem stronic oryginału (str. 48—78). Część czwartą stanowi „porównanie psalmów, znajdujących się w Modlitwach Wacława, z odpowiedniemi w Psałterzu floryańskim." Poczém następuje „słownik wyrazów godnych uwagi ze względu na formę, znaczenie i t. d." (str. 98—103), w końcu którego umieszcza autor zbiór wyrazów cudzoziemskich (str. 103—4).

W „rozbiorze gramatycznym" mówi autor naprzód o „*pisowni*" zabytku; wymienia tu porządkiem znaki graficzne, spotykane w kodexie dla oddania samogłosek i spółgłosek, przytaczając odpowiednie przykłady z textu. Godne tu jest uwagi użycie

znaków podwójnych *aa*, *ee*, *oo* dla oddania tak zwanych samogłosek pochylonych czyli ściéśnionych: *á*, *é*, *ó*, które, jak wiadomo, powstały z pierwotnych samogłosek długich (np. naam, zglaadz; ktorzi dobree czinili, bozee zbawienye; boog, persoon). Naturalnie, jak w pomnikach XIV wieku (np. w Ps. flor.), tak i w tym zabytku, użycie to trafia się tu i owdzie bez stałéj zasady i konsekwencyi.

System znaków dla oddania spółgłosek jest w ogólności takiż sam, jak w Psałterzu floryańskim. I w „Modlitwach Wacława" na oddanie spółgłoski *j* spotykamy przeważnie znak *g* na początku i w środku wyrazów, jak np. gimieniu, gi (acc. sg=*ji*, forma znana jeszcze w XVI wieku w epoce Zygmuntowskiéj), ginszi, giaaa, gemu, geden, mogim (mojim), rozmagitego, dage (daje) i t. d. Osobliwość stanowi tu dosyć częste użycie dwu *ll* na oddanie dźwięku *l* w różnicy od *l* (billa=była, llazką=łaską, s czially swogimi=z ciały swojimi i t. d.). W Psałterzu floryańskim dwójki téj *ll* nie spotykamy; trafia się ona tylko w niektórych księgach ziemskich z XIV i XV-go wieku, i to bardzo rzadko.

Dźwięk z oddany jest zwykle znakiem z, a także przez *s* i *sz*; pan M. jednak, spotkawszy wyrazy takie, jak: wzgardzenie, roszmislacz, sdrowa, i t. p, powiada, że w wyrazach tych „o wymawianiu dźwięków wyrażonych znakami *s* i *sz*... trudno coś pewnego orzec." Niepewność tę autora uważamy za zupełnie nieuzasadnioną. W wyrazach powyższych znaki *s, sz* przed następnemi spółgłoskami *g, m, d*,... nie mogły w wieku XV-ym wyrażać innego brzmienia niż dzisiejsze z.

Z kolei przechodzi p. M. do notowania i objaśniania zjawisk stanowiących przedmiot „*fonologii*" (str. 13). W § 51 zaznacza autor odpowiedniość starosłowiańskich grup *la*, *ra* polskim *lo*, *ro* (np. starosł. błato, gradъ, pols. błoto, gród i t. p.). W swoim czasie p. Baudouin de Courtenay, znany lingwista i krytyk surowy, poczytał to autorowi za mniemanie błędne, nie mające „najmniejszéj podstawy w historyi języka," nie wyjaśniwszy bynajmniéj, jak sam na to zjawisko patrzy; wszelako, chociażby pan B. odrębny swój pogląd teoretyczny wyłożył, zarzut, uczyniony przez niego, uważać musimy za niesłuszny; fakt bowiem pozostaje faktem, zarówno w epoce języka dzisiejszéj, jak i w wieku XV-ym. Fakt zaś polega na odpowiedniości następującéj: południowosłowiańskie, oraz czeskie *ra*, *la* odpowiada polskiemu oraz łużyckiemu *ro*, *lo*, zaś rosyjskiemu *oro*, *olo*; np.

starobulg. v. starosłow. *blato*, serb. *blàto*, czes. *bláto* pols. *bloto*, gór. łuż. *blóto*, ros. *bolóto*; starosł. *brada*, serb. *bràda*, czes. *brada*, pol. *broda* gór. łuż. *broda*, ros. *borodà*; starosł. *glava*, serb. *gláwa*, czes. *hlava*, pol. *głowa*, gór. łuż. *hlova*, ros. *gołowà;* starosł. *dragъ*, serb. *drâg*, czes. *drahy*, pol. *drogi*, gór. łuż. *drohi*, ros. *dorogòj*, i t. d. Odpowiedniość widoczna, mnóstwem podobnych przykładów stwierdzić się dająca.

W § 53, gdzie mówi autor o „znikaniu samogłosek,“ obok odpowiednich przykładów znikania *o*, i *i*, nie zupełnie słusznie powiedziano, że „*y* znika w wyrazie opfity—oplvity zam. opływity.“ Formę bowiem opłvity można uważać za zupełnie samodzielną, powstałą z pierwiastku *pl*, niezależnie od drugiéj, utworzonéj ze źródłosłowu *ply* (stsł. *plyti* v. *pluti*, *plovą*). Forma pierwsza, bez samogłoski *y*, trafia się też wyłącznie w „Modlitwach Wacława,“ a prawie wyłącznie w Psałterzu flor., gdzie powszechnie spotykamy: oplwiti (abundans, 49,20), oplwitoscz lub oplwytoscz (abundantia; 29,7; 144,7 etc), i może nie więcéj niż raz tylko użyto w Psał. flor. drugiéj formy ze źródłosłowem *ply*, mianowicie w ps. 30 wier. 30: odplaczy (gospodzin) *obplíwicze* czin ą czim pich (retribuet abundanter facientibus superbiam). Forma *obpływicie*, lub *obplwicie*, objaśnia nam zarazem sposób powstania dzisiejszych wyrazów: *obficie*, *obfity* i t. d. Z form powyższych wnosimy naprzód, że istniało poczucie przez piszących, a tém samém i w żywéj mowie, przyimka *ob*, nie zaś *o*, jako części składowéj wyrazu; przy zbiegu zaś następujących spółgłosek *plw* dźwięk *l* znikł w wymawianiu, a z dwu spółgłosek *pw* powstało pojedyncze brzmienie *f* (podobnie jak *ufać* utworzyło się z *upwać*, *upować*). Takie fonetyczne przeobrażenie, t. j. powstanie formy *obfity* z pierwotnéj *opłwity* lub *obpłwity* zatarło do niepoznania etymologią tego wyrazu. To też późniejsi pisarze, dla których pochodzenie wyrazu *obfity* było niezrozumiałe, stworzyli na jego miejsce inny, a m. *okwity*, posiłkując się fałszywą analogią do wyrazów kwitnąć, kwiat. Pan M. wspomina o tém zjawisku nawiasowo w uwadze na str. 28.

W dziale „fonologii“ najwięcéj pracy i miejsca poświęcił autor samogłoskom nosowym (§ 54—70). Pisarz Modlitw Wacława w zabytku tym na oddanie samogłosek nosowych używa kilku znaków graficznych aż w 12-stu różnych kombinacyach; używa ich, naturalnie, bez potrzeby, a co gorsza, bez stałéj zasady i konsekwencyi, podobnie jak to ma miejsce we wszystkich innych pomnikach języka polskiego z wieku XV i XIV-go. Otoż pan M. przedsięwziął bardzo trudne zadanie wykrycia pewnego systemu

w użyciu tych znaków, systemu, któryby rzucał światło na naturę dźwięków, przez te znaki wyrażanych. Szczegółów mozolnie zebranych przedstawił tu autor obfitość; nie doprowadziły go one jednak do rezultatów dodatnich, i dodać należy, nikogo nie doprowadzą; wniosków bowiem ogólnych o naturze dźwięków nosowych dobyć z nich wprost niepodobna. Szczegółowy i wyczerpujący wykaz pana M. (§ 64) najrozmaitszego użycia tych znaków we wszelkich formach wyrazów utwierdza nas tylko w przekonaniu, że opanować cały ten chaos, rozproszyć jego ciemności i wybrnąć z niego szczęśliwie, daremném byłoby pokuszeniem Dokładne zatém ocenienie wartości fonetycznéj samogłosek nosowych, w każdém miejscu ich użycia, na podstawie samych tylko, znaków graficznych, jest rzeczą niemożliwą. Wyrazów np. *swiótí sczióscze*, *róka* i t. p., wyjętych z pomnika XIV lub XV wieku patrząc na same znaki graficzne, nie potrafimy w żaden sposób rzetelnie odczytać, to jest nie rozstrzygniemy, czy wymawiano je: świanty, szczanście, ranka, czy też, jak dziś: święty, szczęście, ręka,—dopóki nie weźmiemy pod uwagę pomocniczych wskazówek takich, jak twardość i miękkość zgłosek, pierwotną długość i krótkość czyli ich iloczas (quantitas), późniejsze znikanie iloczasu, oraz przeradzanie się w skutek tego samogłosek, zestawiając zawsze znaki samogłosek nosowych z odpowiedniemi znakami dźwięków języka starosłowiańskiego *ę* i *ą*.

Pan M. w swém poszukiwaniu wykrył i oznaczył pewne odpowiedniości dźwięków nosowych, mianowicie przedstawił, jak w zabytku wyrażony jest dźwięk, odpowiadający starosłowiańskiemu *ą*, stsł.-mu *ę*, tudzież odpowiednim dźwiękom narzecza szlązkiego (opolskiego), przez siebie dokładnie zbadanego (1). Na zasadzie tych poszukiwań dochodzi do pewnych wniosków o naturze samogłosek nosowych. Z wniosków tych całkowicie jest trafny i prawdziwy wyrażony w § 66 pod liczbą 1, orzekający, że samogłoska nosowa, oznaczona znakami *am*, *an*, *a*, *ą*, „po twardych spółgłoskach nie wymawiała się (w wieku XV) jak *ę*, jak to ma miejsce w nowszéj polszczyznie, lecz jak *an*, t. j. dźwięk, który się zachował dotąd w szlązkich (dodać można i w wielu innych ludowych) dyalektach.“ Pod liczbą 2 mówi autor, że dźwięk nosowy, wyrażony znakami *an*, *a*, *ą*, *ó*, *o*, tudzież *en*, *in*, odpowiedni starosłowiańskiemu *ę* szlązk. *ę*, po miękkich spółgłoskach,

---

(1) Ueber die oppelnsche Mundart in Oberschlesien, von Lucian Malinowski. Leipzig. 1873. Patrz recenzyą téj pracy w „Niwię“ 1876 r., str. 581 i nast.

miał brzmienie=an podług analogii zgłosek twardych, ale obok tego dopatruje autor śladów wymawiania tegoż dźwięku jak *ę* i *in*. Na ostatnie to przypuszczenie co do *in* nie możemy godzić się z autorem, uważając wnioskowanie, na bałamutnéj grafice oparte, za niewystarczające. Za to prawdopodobném, a nawet prawdziwém jest twierdzenie, „że w końcu XV wieku nie było już żywego poczucia różnicy zgłosek miękkich i twardych, tak ściśle zachowanéj w narzeczach szlązkich ludowych (§ 66).

W dalszym ciągu (§ 80—83) przedstawia autor skrzętnie przez siebie zebrane zjawiska fonetyczne, dotyczące spółgłosek, jak: miękczenie, upodobnienie i t. d., widoczne w języku XV wieku. Przy objaśnianiu tych właściwości językowych autor trzyma się w ogólności podstaw naukowych; w kilku tylko miejscach nie można się zgodzić na jego tłómaczenie. Tak np. w § 72 nie przyjmujemy domysłu autora, jakoby wyrazy *hańba*, *ohydny* w nowéj polszczyznie zmieniły pierwotne *g*, na *h*, ulegając „wpływowi czeszczyzny,“ témbardziéj, że sam autor notuje, iż „lud w Cieszyńskiém mówi dotąd „to je *gańba*“ (=to wstyd)“ i t. p.; w ustach ludu zaś na Podlasiu pierwotne *głodać* (gryźć) zmieniło się na *hłodać* (np. co ty hłodasz?), oczywiście, nie pod wpływem czeszczyzny. Podobnie w § 73 nie uznajemy objaśnienia, że wyraz *dzisia* „powstał z dwu: genit. *dnia*+*śa* (od zaimka *ś*, *śa*, *śe*).“ Za prawdziwsze uważamy objaśnienie formacyi tego wyrazu, podane przez Baudouina, mianowicie, że forma pierwotna tego przysłówka jest *dziś* i przedstawia właściwie accusativus *dzień*+*ś* starosłow. dьньсь; z *dziś* zaś, według analogii wyrazów takich, jak *wczora* i t. p., powstało *dzisia*, następnie zaś *dzisiaj*, tak samo jak *onegdaj* z dawniejszego *onegda*.

W wyrazach „*gorkosczi*, *syestrankowie*“ i t. p. w wieku XV nie masz potrzeby upatrywać śladów „pierwotnego zmiękczenia nieprzechodnego“ (t. j. dźwięku r'=rь); prawdziwiéj będzie wyjątkowo napotkane użycie *r* zamiast *rz* uważać poprostu za błędy przepisywacza, zwłaszcza, że ten, mimo bardzo nieliczne tego rodzaju wyjątki, trzymał się w ogólności zasady wyrażania dźwięku syczącego *rz* przez *rz*, podobnie, jak to mamy stale w Psałterzu floryańskim i innych pomnikach wieku XIV i XV.

W § 77, mówiąc o wyrazie *slza* („w tym to padole zlesz“), bez potrzeby chwiejnym się okazuje autor, jeżeli gotów jest uważać w nim *z* za przyimek. Dzisiejszy wyraz *łza* ze staropolskiego *slza* (stsłow. *słaza* i slaza, czes. *slza*, *slze*, serb. *suza*, ros. *sleza* i t. d. sanskr. *srdż* emittere) utracił dźwięk *s* należący do pierwiastku, a nie będący przyimkiem. Wogóle zaś w całym tym

ustępie o „prawach głosowych spółgłosek“ charakterystyczne właściwości języka XV wieku są przedstawione i objaśnione przez autora umiejętnie.

W dziale „morfologii“ mówi autor naprzód, „o urabianiu tematów.“ Mieści tu szeregi suffixów, które w języku „Modlitw Wacława“ spotykają się najczęściéj jako końcówki twórcze przy budowie wyrazów. Większa część tych suffixów, istnieje jako części składowe wyrazów dzisiejszego języka, niektóre zaś z nich stanowią wyłączną właściwość staropolszczyzny. Następnie w tymże dziale „morfologii“ spotykamy nierównie obszerniejszą część pod nagłówkiem „flexyja“ (§ 91—136). Na zebranych z pomnika przykładach wystawia nam autor zakończenia staréj deklinacyi rzeczowników, przymiotników, zaimków i t. d., jak również szczególne zabytki ówczesnéj konjugacyi. W systematyczném przedstawieniu zjawisk tego rodzaju, w objaśnianiu form języka staropolskiego znać wszędzie rzetelną naukę; obok znajomości faktów z historyi języka widzimy uwzględnienie czynników psychicznych, tyle ważnych przy tłómaczeniu wszelkich objawów życia umysłowego, a tém samém i rozwoju języka każdego narodu. Zarzucić tylko musimy autorowi zbyteczną zwięzłość wyrażania się, tam zwłaszcza, gdzie staje się ona przyczyną niejasności, a nawet niedokładności. Tak np. w § 91 czytamy: „Rzeczowniki żeńskie z tem. (?) na *a* z poprzedzającą spółgłoską mają w starosł. gen. sg. na ę;“ wyrażenie niedokładne, gdyż końcówkę *ę* w dopełniaczu liczby pojed. mają w starosłow. i miały w staropolskim tylko te rzeczowniki żeńskie, których ostatnia spółgłoska tematowa (przed *a*) jest miękką, jak np. owca, owcę, dusza, duszę, staja, staję i t. p.; zaś ryba ma zawsze ryby, noga nogi i t. p., podobnie jak w dzisiejszym polskim. Tamże zaraz mówi autor, że „ta końcówka ę, raz tylko zachodzi w Psałt. flor. duszó, ps. 107;“ cytata mylna, gdyż powinno być ps. 120 w. 7, (str. 71 wyd. wiedeńs.), gdzie mamy: „ostrzezy duszó twogey gospodzyn“ (custodiat animam tuam dominus, *φυλάξει τὴν ψυχήν σου ὁ κύριος*). W drugiém miejscu Psałterza flor. wyrazu duszó („rozumey duszó moiey“ Ps. 68,22, str. 38 wyd. wied.) autor widocznie nie uważa za dopełniacz jak to czynią niesłusznie Miklosić (Vergl. Gram. III, 465) i Małecki (Gram. § 180); w miejscu tém zgodnie ze zdaniem prof. Nehringa (O psałt. flor. str. 78) w znaku nosowym na końcu trzeba widziéć omyłkę przepisywacza zamiast *i* (duszi) i uważać tę formę za celownik czyli 3-ci przyp., jak to ma miejsce często po słowie „rozumieć“ zarówno w staropolskim, jak i w starosł., w czeskim, serbskim, i w innych narzeczach słowiańskich. Mi-

klosić dawniejsze swoje zapatrywanie (Formenlehre, 1856) zmienił pod tym względem, i w dziele „Vergl. Syntax der slav. Spr." 1874, str. 591, przytacza przykłady z Psał. flor., a nawet z Kochanowskiego, na poparcie, że słowo „rozumieć" wymagało po sobie celownika. Obok tego już w XIV wieku znane jest użycie tego słowa z biernikiem czyli przyp. 4-ym, (w tymże Psałt. flor. 77,1), jak to ma miejsce dzisiaj.

Z kolei przedstawia p. M. niemniéj ważne spostrzeżenia swoje z zakresu składni (§ 137—157). Szczegóły tu zebrane, czy to jako właściwości rodzime staropolszczyzny, czy też jako zjawiska powstałe pod wpływem średniowiecznéj łaciny kościelnéj, uwydatniają w każdym razie rzeczywiste fakta językowe i stanowią cenny materyał dla przyszłego historyka języka polskiego.

Na uwagach, dotyczących składni, kończy autor część 2-gą swéj pracy pod nagłówkiem: „Rozbiór gramatyczny," a w dalszym ciągu, jak poprzednio wzmiankowaliśmy, umieszcza sam text „Modlitw Wacława." Każda strona textu przedrukowaną tu została osobno, z oznaczeniem paginacyi, bez zachowania jednak „rozmiaru stron i wierszy oryginału," jak obiecuje autor w przedmowie (str. 2). Stało się to niezależnie od woli autora; dla użytku zaś naukowego rzecz to małéj wagi. Za to nierównie ważniejszy i konieczny warunek, którego zachowanie jedynie stanowi o wartości wydania pomników tego rodzaju, został tu ściśle w ogłoszeniu textu utrzymany. Tym warunkiem, *sine qua non*, jest dosłowny przedruk textu, z zupełnie wierném zachowaniem wszystkich cech pisowni ówczesnéj. Dla użytku naukowego zachowanie tych właściwości oryginału jest niezbędne, ale zarazem i wystarczające; ktokolwiek bowiem, wydając jaki zabytek piśmienny, przeinacza w nim text, „poprawia" pisownią, modernizuje język, lub innéj dopuszcza się swawoli, szpeci bezwarunkowo pomnik i wyrządza psotę świętokradzką, zawsze karygodną. Na wydaniu „Modlitw Wacława," oczywiście, ani cień podobnéj winy nie cięży. Jest ono wierne i zgodne z oryginałem. Przedruk obejmuje 60 łamów na 15 kartach formatu ćwiartkowego (forma Pamięt. Akad. um.). Dla dania wyobrażenia dokładnego o piśmie oryginału, dołączone są na końcu dzieła podobizny 4-ch stronic textu.

Po texcie „Modlitw Wacława" umieścił autor w swéj pracy „porównanie psalmów Psałterza floryańskiego z psalmami, znajdującemi się w „Modlitwach Wacława." Mamy tu na 20 stronicach (78—98) we dwu łamach zestawione ustępy z Modlitw Wacława z odpowiedniemi miejscami, w Psalterzu flor. odszukanemi. Wy-

razy jednakowe w obu textach lub zbliżone do siebie, oznaczone są pismem rozsuniętém. Porównania w ten sposób przedstawione, unaoczniają nam różnice językowe pomników dwu sąsiednich stuleci, ale też są wypadkiem mozolnych i cierpliwych poszukiwań autora, zrozumiałych zaledwie dla tych, którzy prac podobnych dokonywali.

W krótkim słowniku (98—103) pomieścił p. M. wyrazy, które w XV-ym wieku miały odmienne od dzisiejszego znaczenie, lub też wyszłe z użycia archaizmy, lub wreszcie osobliwe pod względem swéj budowy. Przy każdym z nich umieszcza autor odnośną do textu cytatę. Zbiór kilkudziesięciu wyrazów cudzoziemskich, spotykanych w „Modlitwach Wacława,“ kończy pracę autora (s. 103—104).

W całém opracowaniu, pomimo cechy zbytecznego niekiedy pośpiechu, widoczne jest racyonalne, zgodne z dzisiejszym stanem nauki pojmowanie faktów językowych; w objaśnieniach przegląda wszędzie metoda naukowa; nie masz tu mrzonek i wytworów swobodnéj wyobraźni; autorowi znane są dobrze wymagania spółczesnéj nauki; temi się kierując, dokonał sumiennie pracy, którą istotnie wzbogacił ubożuchną literaturę naszę lingwistyczną. Bezwątpienia, gdyby nie ów pośpiech, nie trudno byłoby autorowi uniknąć i drobnych nawet usterków w swém dziele; wówczas wysoka dziś wartość tego dzieła znaczniéj jeszcze podnieśćby się mogła. W każdym razie wdzięczność należy się autorowi za wykonanie i Akademii krakowskiéj za ogłoszenie pracy ściśle naukowéj, z zakresu lingwistyki polskiéj.

Choć w końcu sprawozdania, nie możemy jednak nie wyrazić żalu z powodu, że praca tak poważna, tylu oszpecona została omyłkami drukarskiemi. Na kim cięży wina téj niepoprawności druku, nie do nas należy rozstrzygać. Autor sam prowadził korrektę, ale prowadził ją w Warszawie, gdy praca jego drukowaną była w Krakowie, a korrekty nie podlegały chyba ostatniéj rewizyi autora. Prawdopodobnie to było przyczyną, że na końcu dzieła znajdujemy wykaz sprostowań, drobnym drukiem dwie stronice obejmujący. Utyskiwanie nasze każdy mógłby uważać za nieuzasadnione, gdyby ów wykaz sprostowań pozwalał błędy samego dzieła rzeczywiście sprostować. Niestety! ze szkodą dzieła tak nie jest. W znacznéj liczbie umieszczonych tam poprawek nowe popełniono niedokładności i błędy, które nowych wymagają sprostowań. Oto parę przykładów: Na str. 6 wykazana jest poprawka bez oznaczenia wiersza; być zaś powinno str. 6 wiersz 5 z g. Nieco niżéj napisano str. 9 wiersz 6 i 8

z *dołu,* być powinno: z góry, a dopiero następne 3-cie sprostowanie na téjże 9 stronicy mą miejsce w wierszu 6 „z dołu.“ Na str. 15 oznaczona poprawka w wierszu 20, z góry czy z dołu nie wiadomo, powinno zaś być: w wierszu 19 z góry lub w 22 z dołu. Na téjże str. 15 w 19 wierszu wskazana poprawka po wyrazie „troska“ nie możliwa jest do zrobienia, gdyż wyrazu tego nietylko w wierszu 19 i sąsiednich mu, ale na całéj str. 15 wcale nie masz. Za to w wierszu tym (19) wyraz niewymieniony „*m'iędzi*“ kwalifikuje się do poprawienia go na *m'ędzi* lub *między.* Daléj zamiast str. 13 wiersz 13, powinno być str. 23 w. 13; zamiast str. 79 kolumna 1 w. 14, powinno być kolumna 2 w. 14; zamiast str. 88 kol. 1 w. 15 winno być wiersz 16; podobnie jest: str. 101 kol. 1 w. 13 zamiast kol. 2 w. 13. Nadto omyłki, nieumieszczone w wykazie, nie wszystkie należą do drobniejszych i łatwo poprawić się przy czytaniu dających. Takie np. jak na str. 16 w końcu § 51, gdzie wydrukowano „łaciń. ā = ŏ ołtarza, 121, altare“ zam łać. å = pols. ō; lub jak na str. 25 w § 74 w. 4 „ros. wyse“ zamiast wysze, i in. tym podobne nie powinny być w „sprostowaniach“ tak ważnego i cennego dzieła opuszczone.

Ad. Ant. Kryński.

KONIEC ZESZYTU DZIEWIĄTEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni.*

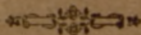

BIBLIOTH: UNIV.
JAGELLONICAE

OMYŁKI DRUKU.

Zeszyt VII.

Str.	*wiersz.*	*zamiast:*	*czytaj:*
5	6 (od dołu)	trwającéj	trawiącéj
20	3 (3-go przypiska)	Poniatowski	Potocki
51	2 (od dołu)	obowiązując się	obawiając się
53	11 (od góry po wyr.)	*że nie zerwą*	*układów*
57	23 (od góry)	poświęcił	uwięził
68	9 (od dołu)	tak	nań
68	8 ,, ,,	niegłośnego	niedonośnego
8	opuszczono przedostatni wiersz: *to na kilkadziesiąt lat przedtém w Anglji przyjmowali datki pieniężne,*		
199	26 od góry	dyastury	dyastazy
201	3 ,, ,,	bacteriam	bacterium
,,	12 ,, ,,	równocześnie	równomiernie
202	5 ,, ,,	potrzeby	przebieg
,,	12 ,, ,,	opuszczoném	ograniczoném
203	2 ,, ,,	obserwacya	obserwatorya
		meteorologiczna	meteorologiczne
205	13 ,, ,,	miarkuje	wnioskuje.

Redakcya ma zaszczyt upraszać szanownych Prenumeratorów, którzy odebrali VII i VIII zeszyt Ateneum bez wniesienia opłaty za 2-gie półrocze, o jéj nadesłanie przed wyjściem zeszytu następnego.



Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Августа 1876 года.